

Cyfr. P. 9/86 chr. Arch.

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr 7/406 - 8/407

1981



• *« La Culture »* • *Revue mensuelle* •

STEFAN KARDYNAŁ WYSZYŃSKI

OBSERWATORIUM : **NIEPODLEGŁOŚĆ I ROSJA**

SOCJUSZ : **TEORIA I POLSKA JEDYNOŚĆ**

Z. OLSZTYŃSKI : **... I CO DALEJ?**

SPIS RZECZY

Tymoteusz Klempski:	Stefan Kardynał Wyszyński	
Stefan Kardynał Wyszyński:	<i>Prymas</i>	3
Stefan Kardynał Wyszyński:	<i>List do Czesława Miłosza</i>	14
—	<i>List do Rosjan</i>	16
Gustaw Herling-Grudziński:	<i>Obserwatorium (Niepodległość i Rosja)</i>	18
Anka Kowalska:	<i>Gruzy</i>	25
Zofia Romanowiczowa:	<i>Początki</i>	39
—	<i>Na Wyspie</i>	49
Ryszard Krynicki:	WIERSZE	
—	<i>Nowy dzień. — Czego się boisz? —</i>	
—	<i>Jeżeli jeszcze żyjesz. — Niech już</i>	
—	<i>tak pozostaną. — Który walczyłeś</i>	58
Marek Baterowicz:	<i>Piosenka z pociągu</i>	60
Stanisław Swianiewicz:	ARCHIWUM POLITYCZNE	
Dominik Morawski:	<i>Klasowa struktura Europy Wschodniej</i>	61
—	<i>Korespondencja z Rzymu</i>	72
Socjusz:	K R A J	
Zygmunt Olsztyński:	<i>Teoria i polska jedność</i>	77
Anatol Marek Lipiec:	<i>... I co dalej?</i>	85
Janusz Rakowski:	<i>Praworządność i bezprawie</i>	96
Benedykt Heydenkorn:	<i>Wzory przeszłości</i>	107
—	<i>Aktywizacja mniejszości ukraińskiej w</i>	
—	<i>Polsce</i>	125
—	<i>„Zjednoczenie patriotyczne Grunwald”</i>	130
Adam Kruczek:	SĄSIEDZI	
J. Mirski:	<i>W sowieckiej prasie</i>	132
Andrzej J. Chilecki:	<i>Życie religijne w ZSSR</i>	138
E. Zagiell:	<i>Kronika niemiecka</i>	141
—	<i>Kronika litewska</i>	145
Andrzej Koraszewski:	SPRAWY I TROSKI	
J. Mondry:	<i>Szwedzi o Polakach i dla Polaków</i> ..	150
Andrzej Mietkowski:	<i>Wąteśa w Japonii</i>	155
—	<i>Studenci polscy wychodzą w świat</i> ..	157
—	<i>Preliminarz budżetowy rządu RP na</i>	
—	<i>wygnaniu</i>	159
Witold Wirpsza:	KRONIKA KULTURALNA	
Krzysztof Zawrat:	<i>Dzieje rymopisa czasu swego</i>	162
Maria Danilewicz Zielińska:	<i>Próba remanentu</i>	173
—	<i>Uwagi o sytuacji książki emigracyjnej</i>	179
Kisiel:	WOŁANIE NA PUSZCZY	
—	<i>Entuzjazm i niemożność czyli młyn</i>	
—	<i>polski</i>	183
Konstanty A. Jeleński:	CI, CO ODESZLI	
—	<i>Marynia</i>	189
M. Broński:	KSIĄŻKI	
Krzysztof Zawrat:	<i>„Populorum regressio” Zinowiewa</i> ..	192
Józef Łobodowski:	<i>Zmierzch</i>	195
Krzysztof M. Gebhard:	<i>Mychajło Kociubynskij — impresjonista</i>	198
—	<i>Polonijni prominenci w Kanadzie</i> ..	203
—	<i>Nadesłane nowości wydawnicze</i>	205
—	◆	
—	<i>Wydarzenia miesiąca</i>	207
—	◆	
St. Grygiel — D. Morawski,	<i>Listy do Redakcji</i>	219
N. Niemojowska — G.H.G.,	DOKUMENTY	
M. Rasiej:	<i>Z nowej Księgi Zapisów GUKPPiW</i>	
—	<i>w Warszawie, wg stanu obowiązują-</i>	
—	<i>cego od końca stycznia 1981</i>	219

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Lipiec/Sierpień - Juillet/Août 1981

INSTYTUT



LITERACKI

WPLĄTY NA FUNDUSZ « KULTURY »

Jane J. S. et James Barr, Chicago, Ill. (USA) — pamięci Stefana Strelcyna — \$ 25,00	F. 138,00
Irena Bauman, Leeds (Wielka Brytania) — zamiast kwiatów na grób Stefana Strelcyna — £ 2,00	F. 22,00
Janina i Zygmunt Baumanowie, Leeds (Wielka Brytania) — zamiast kwiatów na grób Stefana Strelcyna — £ 15,00 ..	F. 165,00
L. W. Brusowie, Oxford — dla uczczenia pamięci prof. Stefana Strelcyna — zamiast kwiatów	F. 250,00
Włodzimierz Brylewski, Hollywood, FL (USA), po raz 7-my — \$ 10,00	F. 54,32
M. & M ^e André Caquot, Paryż — pamięci Stefana Strelcyna Maria i Łukasz Hirszowiczowie, Londyn — zamiast kwiatów na grób nieodżałowanego kolegi i przyjaciela Stefana Strelcyna — £ 15,00	F. 200,00
Alicja i Aleksander Kotlicy, Effretikon (Szwajcaria) — zamiast kwiatów na grób zmarłego 20 maja br. w Manchesterze prof. Stefana Strelcyna	F. 165,00
Dr Janusz J. Kulikowski, Manchester (Wielka Brytania) — pamięci Stefana Strelcyna — zamiast kwiatów na jego grób Stanisława i Maksymilian Pszeniccy, Londyn — zamiast kwiatów na grób zmarłego niedawno w Manchester prof. Stefana Strelcyna — £ 10,00	F. 50,00
Maxime Rodison, Paryż — pamięci Stefana Strelcyna	F. 150,00
Halina i Karol Sterlingowie, Launay, 78960 Breval — zamiast kwiatów na trumnę Marii Czapskiej	F. 110,00
Czesława i Jan Seremakowie, Santa Monica, Cal. (USA), po raz 6-ty — \$ 60,00	F. 100,00
Henryk i Kali Weynerowski, San Francisco, Cal. (USA) — zamiast kwiatów dla bliskiego przyjaciela i prawdziwego patrioty śp. Wincentego Rożka — \$ 25,00	F. 330,00
Zamiast kwiatów na grób prof. Stefana Strelcyna w Manchesterze — Przyjaciele z Kolonii	F. 138,00
Adela i Władysław Żeleńscy, Paryż — zamiast kwiatów na grób Marii Czapskiej	F. 237,64
Beziemiennie z Londynu — nadesłał Tadeusz Heinrich — £ 10,00	F. 200,00
Beziemiennie z Milton, Mass (USA) — \$ 11,00	F. 110,00
Beziemiennie z USA, po raz 12-ty	F. 60,50
Danuta M. Podkomorska, Winnipeg, Man. (Kanada) — na pomoc dla opozycji w Kraju — za miesiące lipiec i sierpień — \$ US 200,00 (gotówką)	F.1.876,70
	F.1.100,00

DZIĘKUJEMY!

WPLĄTY NA NSZZ „SOLIDARNOŚĆ”

Maria Bielińska, Kopenhaga	F. 45,00
Beziemiennie z Grenobli	F. 100,00
Dla uczczenia 25-lecia kapłaństwa ks. Artura Jakobiaka — Tadeusz i Danuta Pogórscy oraz Maria Jabłonowska z USA — \$ 30,00	F. 165,00
Przesłane przez E. Suszyńskiego z Kalifornii sumy: 1) uzyskane staraniem dr. Kunca ze wspólnej akcji Kongresu Polonii Amerykańskiej i Polish Watch Center ze sprzedaży znaczków „Solidarności” — \$ 125,00 i 2) ofiara Lindy i Marka Mażyńskich — \$ 100,00 — razem: \$ 225,00	F.1.237,50
Krzysztof Rachański, Astoria, N.Y. (USA) — sumę zebraną wśród przyjaciół za rozprawienie znaczków „Solidarności” — \$ 75,00	F. 412,50

(Dalszy ciąg Wpłat na str. 224)

Stefan Kardynał Wyszyński

PRYMAS

Nie ma Go już pośród nas. To tak łatwo napisać czy powieździeć, ale zrozumieć... Wydawać by się mogło, że to takie proste i naturalne, że wiedzieliśmy o tym od dawna, że choroba, z którą przyszło mu walczyć heroicznie w ostatnich tygodniach, powinna nas była do tej nieobecności przygotować. Tak jednak się nie stało. Nie sposób bowiem od razu i na gorąco oswoić się z tą pustką, zrozumieć ją w całej złożoności, przyswoić sobie wszystkie jej konsekwencje. I zarazem jakaś irracjonalna nadzieja, że tej pustki nie ma.

Ubył nam ktoś wielki. Nie bójmy się wielkich słów tam, gdzie ich szarymi i bezsilnymi zastąpić nie można. To wszystko wymaga głębokich i nie na gorąco formułowanych refleksji. A zarazem poszukiwań odpowiedzi na tak wiele i tak różnych pytań.

Pierwsze z nich musi brzmieć: czy w tej pustce, która się rozwarła w samym oku cyklonu, w tym momencie ciszy zatrzymanej nad Polską, można obiektywnie, spokojnie i bez egzaltacji lub urazów opisać osobowość tego wysokiego, szczupłego człowieka emanującego aurę dostojności? On sam nie ułatwił nam zadania: był z nami i pośród nas przez tyle tak dojmująco trudnych dziesięcioleci, a równocześnie jakby nieco ponad nami, przynajmniej na tę odległość, która wyrasta w kościele pomiędzy wiernymi i amboną. Ascetyczny mistyk i trzeźwy realista, człowiek naznaczony charyzmatami przywódcy, który w swej działalności łączył razową powszedniość PRL z transcendencją wiary. Człowiek gorącego serca i chłodnej wyniosłości. Paradoks wielkiej osobowości w morzu paradoksów współczesnej Polski. Samotność przywódcy była dotychczas jego udziałem. Teraz stała się także i naszym.



P. 9786 Chł. Arch.

Fascynował nie tylko nas: świadczy o tym Jego biografia, napisana przez młodego historyka przybyłego z dalekiej Azji. Był kamieniem obrazy i ostatnią deską ratunku dla tych, którzy starali się w Polsce realizować zdalnie kierowany program niewolenia Polskiego Kościoła. Czy był kochany? Jeśli tak, to zupełnie inaczej niż kardynał a potem papież Karol Wojtyła. Czy sam kochał? Z pewnością tak, ale jakby pośrednio, poprzez Panią Jasnogórską, która była dla niego przede wszystkim Królową Korony Polskiej. Była to więc wielka ale trudna miłość, która może nawet nie liczyła na wzajemność ze strony tych, do których była — pośrednio czy bezpośrednio — skierowana.

I dlatego pisząc o Nim nie potrafię pisać o człowieku. Po prostu nie znałem go jako człowieka, ale jako przywódcę, jako symbol nieomal tego wszystkiego, co wiązało się z losem mego kraju. Jest to znajomość niepełna, więc kalekie muszą być moje próby dostrzeżenia przywódcy, ale i człowieka w dopiero co dokonanej historii, w którą odszedł nieodwracalnie w gorące dni schyłku tego brzemiennego dla Polski maja.



Kim był dla Polski? Przywódcą duchowym czy mężem stanu? I jednym i drugim równocześnie. Ale którym z nich bardziej? Wydaje mi się, że mężem stanu przede wszystkim, ale mogę się mylić. Przypuszczam bowiem, że w założeniu pragnął być drogowskazem dla serc i umysłów swych rodaków w ich drodze ku zbawieniu. Nie jestem nawet pewien, czy brał, przynajmniej w początkowym okresie, pod uwagę rolę polityczną, którą przyszło mu odegrać. Ta została mu jakby narzucona przez kierunek wydarzeń. I rozważanie tego problemu nie jest istotne, skoro rolę narzuconą mu przez historię przyjął i wypełnił.

W Polsce XX wieku mieliśmy zaledwie kilku ludzi zasługujących na miano mężów stanu. I kilku potencjalnych kandydatów do tej roli, której z takich czy innych przyczyn nie spełnili.

Roman Dmowski był przede wszystkim ideologiem. Nie zdołał odegrać takiej roli, do jakiej chyba rościł sobie prawa. Nie miejsce tu, by rozważać splot okoliczności, można jednak wskazać na charakterystyczne zjawisko zapóźnienia czy ograniczoności tego modelu nacjonalizmu, powiązanego ze swoistą *Realpolitik*, który proponował Polsce w dobie narastania fali nacjonalizmów agresywnych i nieludzkich. Po jego śmierci wypracowana przez niego ideologia nie miała większych szans, pomimo prób „podciągnięcia” jej ku włoskim czy niemieckim wzorom. To co pozostało po Dmowskim było mniej lub bardziej hałaśliwą pustką, której echa pobrzmiwają do dziś, między innymi w żalosnych zmarksizowanych efemerydach.

Józef Piłsudski był niewątpliwie największą postacią w Polsce pierwszej połowy naszego stulecia. To przecież on odbudował niepodległość, wychodząc niemal z niczego. Ale to także on zadał cios przed 55 laty, także w maju, tej polskiej demokracji, która sama ze sobą nie mogła się uporać. Niewątpliwie ostatnie 10 lat życia Marszałka budzi wiele ambiwalentnych refleksji, ale z punktu widzenia niniejszych rozważań najistotniejsze jest to, że po jego śmierci otworzyła się w kraju ponownie wielka pustka, której nie zdołano wypełnić. Zresztą nie było już na to czasu.

Władysław Sikorski odegrał rolę doniosłą w momencie ogłuszającej klęski wrześniowej: utrzymał konstytucyjną ciągłość rządu i poczucie dalszego udziału w wojnie z najeźdźcą. Sikorski uratował honor Polaków. My — naród chorobliwie czuły na tym punkcie — mamy jednocześnie skłonność do lekceważenia tego ważnego elementu polityki. Śmierć Sikorskiego była wielką tragedią, szczególnie dla walczącego kraju, który niezbędnie potrzebował w swym nadludzkim wysiłku człowieka-symbolu. Ale być może ta śmierć była dla niego samego najlepszym wyjściem z sytuacji, z której nie było wyjścia. Dla nas jednak w tamtym momencie, poza szokiem rozpacz, wydarzyło się coś więcej i coś gorszego: ponownie otworzyła się pustka.

Dramat Polski XX wieku polega na zbyt częstym następowaniu po sobie momentów, w których wszystko trzeba zaczynać od początku. Oby nie weszło to w nałóg, jako przeciwstawność tamtego, minionego dramatu I Rzeczypospolitej: kurczowego trzymania się starego.



Pierwszą podstawową różnicą pomiędzy wyliczonymi tu mężami stanu pierwszej połowy stulecia a tym, który wypełnił swą osobowością Polskę po 1945 roku jest to, że tamci byli wodzami i politykami, szli ku określonym celom państwowym, gdy tymczasem Prymas stawiał sobie inny cel: w planie duchowym. Tylko czy dziś jakkolwiek działalność pośród ludzi i dla ludzi może się ustrzec apolityczności?

Prymasa zwykliśmy byli, szczególnie w kraju, widzieć jako mocnego człowieka Kościoła i Polski. Był nim niewątpliwie, ale fakt ten przysłał inną cechę jego osobowości, którą skłonny byłbym uważać za nie tyle przeciwieństwo, co dopełnienie tamtej: umiejętność elastyczności. Może to wielu zdziwić, ale szersze i bardziej analityczne spojrzenie na jego wieloletnią działalność potwierdzi chyba mą opinię. Ten mocny człowiek, na dobrą sprawę jedyny w całym bloku wschodnim, który potrafił się przez siebie i przez reprezentowaną w swej osobie instytucję przeciw-

stawić presji terroru sowieckiego, był równocześnie kimś, kto rozumiał, że wiara tylko w dalekiej paraboli przenosi góry, że istnieją przeszkody, których przełamać wprost nie sposób, które jednak można obejść czy zneutralizować.

Potrafił działać ze świadomością dalekiej perspektywy i umiał samemu znajdować kompromisy i do kompromisów nakłaniać innych, kiedy to wydawało się niezbędne. Faktem jest jednak, że owa umiejętność kryła się za maską nieugiętości, tak jak oduchy serca za maską dostojności.

Bardzo często jego własni podwładni narzekali na tę nieugiętość, zwłaszcza w momentach, gdy reżym, nadwątlony kolejną konfrontacją ze społeczeństwem, oferował możliwość koegzystencyjnej stabilizacji. Zmęczeni stałym napięciem rzeczywistych czy potencjalnych represji, chętnie widzieliby przyjęcie takiej oferty. Prymas jednak rozumiał, że każde zatrzymanie się w drodze jest podobnym błędem, jak forsowanie zbyt trudnych przeszkód. Ten ascetyczny człowiek bardzo dobrze rozumiał otaczającą go rzeczywistość, był — można by zaryzykować sformułowanie — mistycznym realistą. Nie znaczy to, by nie popełniał błędów: najwięksi, jak uczy historia, popełniali je w niektórych momentach swego życia. I chyba nie zawsze zasięgał opinii ludzi najwłaściwszych (to także cecha wielkich osobowości). Nie chodzi tu jednak o szczegóły, ale o całokształt tego, co po nim w Polsce zostało, a wagi i miary tej spuścizny chyba nikt o odrobinie rozsądku nie zakwestionuje.

Te dwie podstawowe w mym przekonaniu cechy charakteru Prymasa nakładają się na jego działalność. Była wielokierunkowa, ale wybieram z niej te podstawowe kierunki, które nieustannie towarzyszyły jego działalności, jeszcze zanim objął urząd pełniony lat trzydzieści.

Ksiądz Stefan Wyszyński jako profesor wrocławskiego seminarium, a potem profesor Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego podjął szeroko zakrojone studia społeczne. Prawo kanoniczne i socjologia — jakież trafny był ów wybór w perspektywie przyszłej działalności. To co zapoczątkowała słynna encyklika Leona XIII *Rerum novarum* torowało sobie z trudnością drogę poprzez katolicyzm nie potrafiący się wyzwolić ze swej dziewiętnastowiecznej defensywności, uwikłany pośród skamielin różnych *ancien régime'ów*. Profesor seminarium w bardzo prowincjonalnym mieście nad Wisłą, w mieście naznaczonym piętnem rosyjskiego zaboru, choć niegdyś położonym na jego zachodnim skraju, podjął studia nad problematyką społeczną nie tylko własnego kraju, ale także i tego, którego cień nieustannie padał na Polskę. W innych krajach Europy na Rosję Sowiecką spoglądano zarówno z lękiem i nienawiścią, jak też z podziwem i nadzieją, ale zaw-

sze jako na coś odległego i może niezupełnie realnego. Rzeczywistość bezpośredniego sąsiedztwa była w Polsce aż nazbyt powszechna: przecież ta samozwańcza „awangarda ludzkości” co dopiero porwała się na naszą tak długo oczekiwaną i tak drogo okupioną niepodległość. Ale to nie ułatwiało zrównoważonego, analitycznego spojrzenia. Młody profesor prowincjonalnego seminarium zdobył się na nie.

I jeszcze jedno: Stefan Wyszyński redagował wówczas wydawane we Wrocławku pismo *Ateneum Kapańskie*. Mamy dziś raczej jednoznacznie nieprzychylną opinię o przedwojennej prasie katolickiej w Polsce. Jest to sąd uzasadniony o tyle, o ile dotyczy pism adresowanych do szerokiego odbiorcy. Solidny *Przeгляд Powszechny* nie czyni tu wyłomu, bowiem mimo wszystko miał zasięg ograniczony, elitarny. Jeśli jednak przewertować roczniki innych, jeszcze bardziej elitarnych (czy słuszniej — specjalistycznych) pism tamtego okresu (jak właśnie owo *Ateneum Kapańskie* czy warszawskie *Collectanea Theologica*), odnajdziemy tam wiele wartościowych prac. To jakby zapowiadało przyszłą działalność Prymasa: jej dwutorowość w dziedzinie oddziaływania społecznego.

Po okresie okupacji, kiedy wkraczaliśmy w nową i trudną do pełnego zrozumienia sytuację, ksiądz Wyszyński był już gotów do podjęcia najwyższego w Kościele polskim zadania. Było to ogromną szansą kraju, który nagle pozostał sam, całkowicie sam, postradawszy niemal z dnia na dzień sprzymierzeńców, a otrzymawszy w zamian „przyjaciół”. Był sam także od strony Watykanu, który zajmował wobec komunizmu stanowisko nieprzejednane, to znaczy w gruncie rzeczy inercyjne. Podobnie inercyjne stanowisko zajął już przedtem wobec faszyzmu i hitleryzmu, ale państwa Osi przegrały wojnę i ich modele ustrojowe rozsypały się w nicość i obrzydzenie, gdy tymczasem komunizm nie tylko trwał i miał trwać, ale ponadto znacznie poszerzył swe granice na ogromne obszary „rozebranej” w Teheranie Europy. Na nową drogę trzeba było czekać jeszcze długo, aż po pontyfikat Jana XXIII. Tymczasem przed Polską stał najczarniejszy okres „bezkrwawej rewolucji”: wielki zamach na tożsamość narodu.

Nowy Prymas w tej nowej sytuacji był zdany wyłącznie na siebie, na własne rozeznanie i na własne decyzje. To prawda: miał za sobą narodową jedynomyślność i religijną żarliwość społeczeństwa, ale wówczas było ono bezbronne, a proces zniewalania umysłów w pełnym toku. Każda więc decyzja była podejmowana w samotności. Twierdzą bowiem, że aresztowanie Prymasa było tyleż decyzją (bezpośrednią lub zdalnie kierowaną) Politbiura, co decyzją samego aresztowanego. On już wówczas wybrał: nie model kolaboracyjny ani obcą ambasadę, ale pozostanie z włas-

nym narodem, choćby nawet w izolacji narzuconej mu przez UB. A ponieważ tego właśnie spodziewał się od niego naród, więc w tej klęsce zawarła się jednocześnie zapowiedź przyszłego zwycięstwa.

Proszę zwrócić uwagę na pewne zamierzone i niezamierzone paradoksy ówczesnej sytuacji Kościoła: raz po raz ponosił klęski, które — widziane z oddalenia czasu — nie były wcale klęskami, ale wręcz przeciwnie: zwiastunami sukcesów. Izolacja Prymasa w klasztorach na dalekiej prowincji w rzeczywistości przybliżyła go bardziej narodowi niż Jego obecność w warszawskim pałacu prymasowskim. Oddzielenie Kościoła od państwa było zapowiedzią ogromnej konsolidacji i niezawisłości instytucjonalnej pierwszego. Upaństwowienie „dóbr martwej ręki” wyzwoliło go z kolei od społecznych antagonizmów, a jak wykazał bieg wypadków bynajmniej nie zubożyło. Wreszcie usunięcie nauki religii ze szkół zagwarantowało tej ostatniej ogromną swobodę: katecheta przestał być urzędnikiem państwowym, a nauczanie przestało być obowiązkiem szkolnym, stając się w zamian obowiązkiem moralnym. W rezultacie system szykan czy wręcz represji zahartował wewnętrznie Kościół polski, dał mu nową energię. Słyszysz się głosy: Prymas Wyszyński miał tę ogromną szansę oporu wobec prób zniewolenia powierzonego mu Kościoła, której nie miał nikt poza nim od Berlina po Władystok i od Tirany po Archangielsk: 90 % katolickiego społeczeństwa kraju. To wcale nie takie proste: oglądaliśmy totalne zniewolenie Kościołów prawosławnych u różnych narodów, u których procent wiernych nie był wcale niższy, a także podporządkowanie się władzy Kościołów protestanckich czy katolickich dysponujących pozornie znacznym społecznym zapleczem. Śmiem twierdzić, że jednak zadecydowała postawa przywódcy. I to jest chyba ten właśnie moment, owo obustronne rozpoczęcie konfrontacji, w którym przywódca przeobraził się w męża stanu.

Cały długi etap działalności Prymasa po jego powrocie z aresztu to droga pojedynczych, manifestacyjnych niejednokrotnie wystąpień, w których atakował od podstaw system, oraz ciągła droga pracy organicznej. Niektóre aspekty tej pracy mogły dziwić czy nawet bulwersować obcokrajowców, a także krajową elitę intelektualną. Wędrówki kopii Obrazu Jasnogórskiego, a potem, kiedy nastąpiło jej „aresztowanie”, peregrynacja samych ram przybierała nieraz wygląd odpustowy, jeśli nie wręcz komiczny. Mam jeszcze w oczach owe drogi, wzdłuż których ciągnęły się girlandy kokardek i wstążek, owe z umajonych drzewek budowane bramy triumfalne, owe nocne procesje ze świecami i śpiwami od domu do domu poprzez wsie, pełne babskiego zawożenia i ujadających po opłotkach kundli.

Prymas — realistyczny mistyk — postawił na taką właśnie pracę organiczną, on — chłodny intelektualista — zdawał sobie sprawę z potrzeby takiej jednoczącej ekspresji, która stałaby się dostępna wszystkim. Peregrynacje Pani Jasnogórskiej po Polsce rządzonej przez komunistów stawały się polityczno-ideową *biblia pauperum* XX wieku.

Z drugiej strony nie zaniechał starań o kształcenie elity i tak po prawdzie, gdy wygłaszał swe prelekcje (bo w żadnym wypadku nie były to „kazania”, ale trudno mi się zgodzić na termin zastosowany przez Prymasa — „konferencje”, semantycznie nieadekwatny a politycznie zdewaluowany), więc kiedy w katedrze warszawskiej czy jakimkolwiek innym kościele zabierał głos, to ten głos, choć przeznaczony dla wszystkich, trafiał przede wszystkim do inteligencji. Tak więc dzięki prawdziwie imponującym wysiłkom ostał się KUL, seminaria duchowne dość znacznie podniosły swój poziom, a ponadto szeroko sięgnęła fala akcji skierowanej ku świeckim, jako potencjalnym partnerom działania. Inna rzecz, na ile wykorzystana została ta rezerwa.

Mówi się powszechnie i tak to ostatnio sformułował kardynał Macharski w czasie kazania na wielkiej mszy na Rynku Krakowskim w dniu 17 maja, że bez polskiego Prymasa nie byłoby polskiego Papieża. Jest to sprawa oczywista, choć wymaga właściwego rozumienia. Karol Wojtyła szedł konsekwentnie własną świadomą drogą, ale znalazł się w kręgu tych, którym intelektualna postawa ułatwiała, a nie utrudniała pracę w Kościele polskim, a bądźmy szczerzy — nie zawsze tak było, i to otwarcie na walory intelektualne jednostek było niewątpliwie chwalebna właściwością Prymasa. I co więcej: kiedy spotkały się — jeśli tak rzecz można — w pół drogi owe dwie nieprzeciętne osobowości, nie nastąpiło żadne zderzenie, na co tak bardzo liczyli i co starali się podreżyserować komuniści. Prymas polski stworzył polskiego Papieża, bowiem we właściwym momencie podjął wraz z nim wspólną i niczym niezakłóconą wędrówkę.

Powtórzę raz jeszcze: wielki sukces Prymasa w jego społeczno-narodowym działaniu widzę po pierwsze w jego własnym przygotowaniu do zrozumienia przemian dokonujących się w ogólnej sytuacji i w poszczególnych strukturach społecznych, następnie w podjęciu dwutorowych działań o charakterze pracy organicznej: zainicjowanie współczesnej *biblia pauperum* powszechnego działania manifestacyjnego i jednoczącego przy równoległym poparciu elitarnego doskonalenia tych, którym można było następnie powierzać odpowiednie odcinki „frontu”. Z kolei ów front polegał na maksymalnie elastycznej taktyce przy ogólnie nieustępliwie ofensywnej doktrynie. Nie wiem czy Prymas po-

śród swych lektur znalazł czas na lekturę Clausewitza, wiem, że stając się mężem stanu może nawet nie z wyboru lecz z konieczności, zastosował ją skutecznie tam, gdzie nie było ani dywizji, ani czołgów czy armat. Była za to broń niekonwencjonalna potężnej, jak się miało okazać, mocy, broń woli społecznej, dla uruchomienia której potrzebny był ktoś o powszechnym autorytecie. I był nim właśnie Prymas powracający, trochę jak Piłsudski z Magdeburga, do oczekującego narodu.

Na wszystkie te wyliczone wyżej elementy i na dalsze, których świadomie (lub nieświadomie) nie mnożę, nakładał się ów specyficzny polski patriotyzm. Bowiem Kościołowi Polskiemu minionych stuleci rozliczne można postawić zarzuty, ale nie ten, by patriotyzmu nie głosił i nie współuczestniczył w nim. Prymas był gorącym patriotą, a ta cecha immanentnie w nim obecna wynikała po prostu z tego, gdzie, kiedy i z kogo się rodził. Był po prostu jednym z nas, choć, równocześnie będąc pośród nas był zawsze jakby trochę ponad nami.

Nie można pominąć jeszcze jednego aspektu działalności Prymasa — międzynarodowego zakresu niektórych Jego inicjatyw. Podejmowane w ramach instytucji Kościoła, wyraźnie wybiegały swym charakterem poza instytucjonalne granice. Mam tu na myśli jakże doniosłe nawiązanie dialogu z Kościołem niemieckim, a w rzeczywistości z narodem, z którym trzeba było ten trudny dialog nawiązać. Prymas nie tylko wyprzedził w swej inicjatywie Gomułkę, wzbudzając tym u niego atak bezsilnej furii, ale przede wszystkim nadał owemu dialogowi charakter autentyczny, co nigdy nie byłoby możliwe w wypadku komunistycznego pośrednictwa. Zrobił jednocześnie — poprzez gest wyciągnięcia ręki — to co godzi się zrobić przywódcy duchowemu, a równocześnie uwiarogodnił międzyludzkie i międzynarodowe dzieło zasypywania rozgradzających nas rowów czy fos, skoro oprócz żelaznej kurtyny na linii Odra-Łąba funkcjonował drugi jeszcze system przegród.



W sytuacji Polski, wychodzącej z koszmaru drugiej wojny światowej jako kraina ruin i żałoby, a wchodzącej w nową rzeczywistość sztucznego przesunięcia geopolitycznego i modelu ustrojowo-polityczno-policyjnego ustalonego porozumieniem wielkich mocarstw, wydawać by się mogło, że jedyną sensowną drogą mogło być pójście na powszechną kolaborację za cenę drobnych ulg i maciupkiej stabilizacji. Co bowiem dało się przeciwstawić bezwzględnej sile aparatu przemocy: tego własnego i co gorsze — tego centralnego, do którego ów własny był skutecznie podwiązany? Opór zbrojny? Ten nie miał absolutnie żadnych szans

w konfrontacji z Bezpieką, dobrze przeszkoloną przez NKWD. Więc opór świadomości zbiorowej, świadomości narodowej tożsamości? Tylko że świadomość tę należało na czymś nadbudować, ale na czym? Odziedziczone po okresie międzywojennym polityczne ideologie znacznie się zdezaktualizowały, a co najważniejsze, nie stwarzały materialnej bazy pod taką nadbudowę. Taką wspólną bazą mógł więc stać się wyłącznie Kościół. W swym nowym kształcie zaczynał się stawać możliwy do zaakceptowania nawet dla niewierzących czy inaczej wierzących.

Czy Stefan Wyszyński, obejmując miejsce opuszczone przez Hlonda i dążąc do konsolidacji powierzonego mu Kościoła na bazie narodowej świadomości, zakładał jego wobec tego narodu służebność? Nie wiem. Wiem jednak, że tak się właśnie stało. A stawało się tym widoczniej i skuteczniej, im wyraźniejsza zaczęła się pojawiać możliwość zwycięstwa w tym głuchym i powszechnym boju. Że po tamtej stronie przegrała baza ideowa, nas w kraju nie może dziwić, skoro przez trzydzieści z okładem lat nie miała dla nas niczego poza prymitywnymi i oczywiście zakłamanymi sloganami, które mogły być dobre jedynie dla oddalonych od realiów zachodnich biedaczków — tych ubogich ciałem w świecie rozpasanej konsumpcji i tych ubogich duchem — lewicujących intelektualistów. Że przegrały państwowe monopole też nie dziwi nikogo wychowanego w socjalistycznym bezsensie ekonomicznym. Że jednak ustrój przegrał także politycznie, to zaskoczenie nie małe, ale potwierdzające raz jeszcze zdumiewający fakt bezsilności potęg, nie uzbrojonych w potężne, charyzmatyczne jednostki przywódców.

I w efekcie to, że w ostatnim roku swego życia Prymas musiał ratować prujący się w szwach PZPR przed całkowitym rozkładem, może być paradoksem dla tych, którzy stali z zewnątrz naszych spraw, ale dla nas nie jest paradoksem, a świadectwem głębokiego patriotyzmu tego mocnego człowieka Polski. Bowiem z pewnością nie robił tego z radością, ale w głębokim poczuciu obowiązku wobec własnego narodu.

Ale czy Prymas w tym ostatnim, w tym tak brzemienym roku przewidział bieg wypadków? Czy zdawał sobie sprawę, podczas tej wielkiej narodowej próby generalnej, którą była wizyta w Polsce Jana Pawła II, że dokonuje się końcowy etap dowodzonej przez niego bitwy? Czy może fala wydarzeń okazała się wyższa, o czym mogło świadczyć niefortunne wystąpienie na Jasnej Górze w sierpniu 1980 roku?

Osobiście przypuszczam, że nie przewidział owej fali narodowego wzburzenia świadomości, że nie przewidział również tego, iż zmienia się w zasadniczym stopniu rola Kościoła, przechodząc od przywódczej do współuczestniczącej. I nie jest to zarzut,

skoro nie znam nikogo, absolutnie nikogo, kto umiałby trafnie przewidzieć następstwa tego ostatniego etapu wielkiej bitwy (podkreślam wyraźnie: bitwy, a nie całej kampanii, która trwa i trwać będzie długo). Tym silniej chciałbym podkreślić fakt, że po owym momencie wahania Prymas bardzo szybko odnalazł właściwy ton dla siebie i właściwe miejsce dla polskiego Kościoła. Ale nie wiem, czy nowa sytuacja osieroconego przez Prymasa Kościoła jest dostatecznie jasna dla tych, którzy wokół niego stali. A jest to znowu szansa ogromna: tracąc prymat wodzostwa Kościół polski zyskuje wielką szansę harmonijnego współuczestniczenia w życiu własnego narodu. Polakami zresztą rządzić bardzo trudno, ale bardzo łatwo iść wspólną drogą wraz z nimi.

W ostatnich miesiącach swego życia Prymas raz jeszcze dał świadectwo swej umiejętności łączenia stanowczości z elastycznością. W momentach kolejnych kryzysów, zwłaszcza w styczniu i marcu obecnego roku, położył na wagę umiaru i rozsądku cały swój autorytet. I ponownie odniósł zwycięstwo, szczególnie po stronie Solidarności, w której zaczęły dochodzić do głosu kierunki ekstremistyczne, a politycznie niedoświadczone. I rzecz charakterystyczna, że Prymas jednoznacznie i twardo opowiedział się za Solidarnością wiejską. To znowu doszedł do głosu misyjny charakter jego działalności, skierowany przede wszystkim do tych, którzy stanowiąc tak wielką część narodu, od stuleci zepchnięci byli na kresy narodowej egzystencji.

Zawsze drażniły mnie snobistyczne grymasy zachodnich mędrców intelektualnych, mówiących z pogardą o „polskim katolicyzmie wiejskim”. W ciągu długich lat swej działalności właśnie na ten niby konserwatywny, niby prymitywny katolicyzm nakierowane były inicjatywy Prymasa. Inicjatywy te miały na celu ożywienie religijności mas i jednocześnie ochraniały lub rekonstruowały więzi społeczne zewsząd atakowane: przez ustrój, przez migracje ze wschodu na zachód i ze wsi do miast. Na filmie „Robotnicy 80” można oglądać scenę mszy w strajkującej stoczni, kiedy to robotnicy — ławą, jak chłopcy w czasie żniw czy podczas racławickiej bitwy — kłękają, by przyjąć komunię. Ta scena, chyba materializacja jednego z największych zwycięstw Prymasa w dziedzinie narodowej świadomości, powinna stać się memento dla ubogich duchem lewicujących intelektualistów z krajów, w których nie trzeba walczyć o prawo dla własnego sumienia. I jest ona jednocześnie ogromną lekcją pokory dla wszystkich tych, którzy z takich czy innych przyczyn chcieliby się — jak przywódcy komunistycznych państw — wynosić ponad „roboty”, ponad wielką społeczną powszechność, która się zmanifestowała w ubiegłym roku na naszej, polskiej ziemi.

Ograniczyłem się w tym szkicu do kilku zaledwie problemów związanych z postacią Prymasa, a także do spraw, które dotyczyły ostatnich miesięcy jego życia, miesięcy szczególnie doniosłych dla kraju, z którym związał się nierozdzielnie. Kończąc chciałbym wskazać na jeszcze jedno świadectwo siły tego człowieka, mistyka i realisty, pasterza i męża stanu. W dniu 13 maja stan jego zdrowia był krytyczny, już wcześniej zresztą wiadomo było, że nieodwracalna choroba wydała nań wyrok. W tym właśnie dniu padły strzały przed watykańską Bazyliką św. Piotra. Polska zamarła w przerażeniu, miliony nie opuszczały radia i telewizorów, oczekując na komunikat z kliniki Gemelli. A potem miliony wyszły nocą ze swych domów, by udać się do kościołów — wielkich katedr i małych wiejskich świątyń.

Nie wiemy i obawiam się, że nigdy się nie dowiemy, kto stał za zamachowcem, tego bowiem on sam nie wie — żaloszny produkt fanatyzmu, ze średniowiecza przeniesionego w naszą epokę wielkich międzynarodowych spisków. To, że zamach na Papieża nastąpił dokładnie w tym momencie, w którym choroba miała nam zabrać Prymasa może, ale nie musi być przypadkiem.

I właśnie w tym momencie wydarzyły się na naszych oczach dwa cudy, cudy na miarę naszej epoki, to znaczy dające się wyjaśnić naukowo i zarazem obalające oczywistość owych wyjaśnień. Pierwszym był fakt, że polski Papież przewyciężył śmiertelny w zasadzie postrzał, wielogodzinną operację i wszystkie możliwe pooperacyjne komplikacje. Że z owej dalekiej podróży powrócił do nas.

Ale powrót ten, o czym wówczas nie wiedzieliśmy, odbywał się bardzo powoli, w ciągu nieskończonej długich dni nieustannej uwagi całej ekipy lekarskiej. I wówczas wydarzył się drugi cud: polski Prymas powstrzymał własną śmierć, pozostał pośród nas tak długo, jak długo nie było całkowitej pewności, że jego rodak w Watykanie powróci do nas. I kiedy stało się to już pewne, kiedy po raz ostatni odbyli ze sobą telefoniczną rozmowę, Prymas odszedł od nas na zawsze.

Nie zapomnę jego ostatnich słów, które wypowiedział do swych rodaków. Nagrane na taśmie, były transmitowane podczas uroczystych nabożeństw odprawianych w całym kraju. Urywane słowa wypowiedziane z największym wysiłkiem wzywały nas, by połączyć się w modlitwie za Jana Pawła II. I dokonały raz jeszcze aktu wyjątkowego wprost dzieła narodowego zjednoczenia.

A teraz już nie ma Go pośród nas, szczupłego, wyprostowanego, skupionego i jakby w naturalny sposób wywyższonego ponad nami. Odszedł ten, który towarzyszył nam w skupieniu i rozwadze w ciągu tylu trudnych lat. Ale nie odszedł cały, pozostało w tętnie narodu bicie jego wielkiego serca. Pasterz



i mąż stanu, który — po raz pierwszy od stuleci — odchodząc nie pozostawił po sobie pustki. Oby Jego następcy w pełni zrozumieeli przesłanie, które ujawnia się, gdy spoglądamy wstecz, na drogę życia wielkiego Prymasa.

Tymoteusz KLEMPSKI

Nr 1685/81/P.

DO ŚWIADKÓW PROMOCJI DOKTORSKIEJ LAUREATA NAGRODY NOBLA CZESŁAWA MIŁOSZA

NA RECE JEGO MAGNIFICENCJI
OJCA PROF. MIECZYŚLAWA ALBERTA KRAPCA
REKTORA KATOLICKIEGO UNIwersYTETU LUBELSKIEGO

Proszę przyjąć wstępne wyjaśnienie tego niezwykłego adresu mojego listu. Może pod koniec okaże się ono zrozumiałe.

Nie śmiem *a priori* zwracać się do Uczestników, to bowiem z góry zakłada stany duchowe, o które jest niezwykle trudno, gdy mamy przed sobą Osobowość człowieka, który przebija się przez „rodzinną Europę” od dębów ponarskich aż po kalifornijski krasnobór dziewczęcego lasu sekwoi i... dalej, w głąb bezdennych wód oceanów życia. A może i dalej, i głębiej — gdy „wody sięgają po szyję i nie ma nigdzie oparcia” (Ps 79).

Samotny Nawigator, posługujący się jedynie łupinką własnej osobowości, walczy z potopami wieków, których wody nakładają się na cały jego żywot, aż „od krzyku i męki ochryplę gardło i osłabły oczy” (Ps 79).

Ale nie było to inaczej możliwe, by przebić się przez dzieje współczesnej Ojczyzny europejskiej. Była ona szczególnie hojna w udręki dla swych synów — *sapere auresis*...

Wpisać się w jej dzieje od korzeni chłopięcego życia, mieć świadomość więzi biologiczno-historyczno-kulturalnej, czuć na sobie obciążenie natury, cywilizacji i kultury, sakralizować misterium przyrody, kochać ją i poddawać się jej prawom a jednocześnie... nie ulegać im bez niemego dialogu, zachować wewnętrzną wolność, by w skorupce swego bytu pozostać Osobą wolną — to pasja życia, która zmusza do wojowania o własne i społeczne prawa.

Może to jeszcze nie w pełni dojrzała, ale już wyczuwana ironia myśli Psalmisty o człowieku — „*profunditas est homo et cor eius abyssus*...” (Ps 63) — podsycała tę pasję, by przejść przez dzieje darowanego sobie przez Stwórcę bytu i życia bez uszczerbku dla wolności osobowej, choćby wypadło ponieść rany i skłócić się z całym dziedzictwem Europy.

Może niekiedy niepokoić czytelnika książka „Rodzina Europa” ta nadzędność myślenia, ten oskarżycielski ton, ale trzeba przyznać, że wyposażenie Europejczyka w XX wieku było tragiczne. Pozwalało być na pogrzebie wszystkich niemal filozofii XIX wieku, przebijając się przez mgławice pozostałych po nich oparów, podrywających się przewrotów i ustrojów politycznych, z których każdy następny był coraz bardziej tragiczny, okrutny, krwawy, aż doszło do absurdów totalistycznych, które patrzyły na człowieka jako na najgroźniejszego wroga państwa i władzy.

W takich odmetach Dantęjskiej *selva selvagia* poranna zorzą mogły być serdeczne boje ucznia szkolnego, oscylującego między prefektem „Chomiciem” a nauczycielem łaciny, panem Rożkiem.

Ostatecznie na powierzchni dalszej nawigacji przez życie pozostał ksiądz Chomici, który zaimponował uczniowi tym, że „straszliwy i niezłomny pozostał ze swoimi parafiami w morzu czerwonym nowego doświadczenia” (s. 77) i trwa do dziś w nieludzkiej ziemi, dzieląc udręki człowieka.

Unosił się nad Laureatem — człowiekiem o naturze na wskroś religijnej — „Kościół Katolicki [który] imponował swoją olbrzymią budowlą...” i jego historia.

Pod kopułą tej budowli niezmordowany Nawigator przez „rodzinną Europę” będzie przebijał się wytrwale ku idealnej wizji Człowieka wolnego.

Docierając dziś zda się do jakiegoś kresu, może o sobie powiedzieć, że uratował siebie. Ponoślił wprawdzie klęski, ulegał złudzeniom, padał ich ofiarą jak prawdziwy wygnaniec, syn Ewy, ale zawsze rychło wycyfował się ze złudy — w przekonaniu, że jednak ma inne zadanie życiowe. Zresztą był zawsze świadom męki wdychającej natury, o której święty Paweł w liście do Rzymian tak wymownie pisze (Rz 8,18 n.).

W tej samotnej wędrówce przez dzieje niesie siebie, może niekiedy pokalczony, ale zawsze — jako obraz Człowieka XX wieku, który doświadczył wiele i nie chce zostać niewolnikiem ani techniki myślowej szkół filozoficznych, ani mnóstwa programów społecznych, ani więziennej architektury, ani też tupetu władców coraz to okrutniejszych.

Może jest On jakimś „krzykiem o północy”, jakimś hejnałem ostatniej godziny — najważniejszym zadaniem jego męki jest ratowanie wolności Człowieka. Pragnie twórczości literackiej postawić — w swym piśmiennictwie — ten prototyp zadania.

Wspierany przez kolumny świata chrześcijańskiego, czuje „ciepło, ludzką obecność Boga” (s. 64) i Głóściciela Miłości: „Syn, a obok niego Matka, Matka odwieczna, zawsze bolejąca nad cierpieniem swego dziecka, Opiekunka, Orędowniczka”.

„[...] katolicyzm jest — dla Czesława Miłosza — najbardziej antropocentryczną z religii i niejako przez nadmiar boskiego człowieczeństwa opiera się unicestwiającyemu poszczególnego człowieka naukom ścisłym, paradoksalnie więc mniej jest narazony niż inne wyznania na rozkładający wpływ nauki i techniki. Nawet Ziemia i Niebo, Zstąpienie i Wniebowstąpienie mają w nim właściwości stosunków nie pomiędzy światami, ale ludzkimi postaciami” (s. 65).

„W katolicyzmie jest bezpieczniej...” — mówił.

W wysiłku samotnej nawigacji przez dzieje człowiek zwany Czesławem Miłoszem podtrzymywany jest tą wizją Boga Wcielonego, która jest w każdym ratowanym z niewoli człowieku.

Takim widzę Laureata Nagrody Nobla i nowego Doktora Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego. Życzę Mu, aby po licznych zwycięstwach uniknął i tego zagrożenia podwodnej rafy „zaklasyfikowania administracji akademickiej” i swobodnie żeglował — bez łodzi — do wybranego celu: ratowania godności i wolności Osoby, Człowieka, każdego człowieka, by „powstało nowych ludzi plemie, jakich jeszcze nie widziano” (E. Małaczewski). Może świat uwierzy, na nowo, że *profunditas est homo*, że „dla nas ludzi i dla naszego zbawienia” zstąpił na ziemię Bóg Wcielony, aby ratować człowieczeństwo...

Jak wielkiego wysiłku potrzeba, aby uchwycić tę dominantę życia jakże trudnego i jakże owocnego! Może to usprawiedliwi mój zachwały adres tego listu — „do świadków”. Życzę im, by stali się uczestnikami i trudu walki współczesnej najlepszych synów ludzkości o chrześcijańskie oblicze odkupionego przez Chrystusa Człowieka wieku XX.

Stefan Kardynał WYSZYŃSKI
Prymas Polski
Warszawa, dnia 3 maja 1981 r.

LIST PRYMASA DO ROSJAN

Pod koniec roku 1974 znany pisarz rosyjski Władimir Maksimow, redaktor kwartalnika *Kontinent*, napisał list do Prymasa z wyrazami podziwu dla Jego osoby i działalności, prosząc Go równocześnie o wypowiedź na temat stosunków polsko-rosyjskich, Rosji i narodu rosyjskiego. Prymas odpisał 14 grudnia 1974. Oto Jego odpowiedź:

STEFAN CARDINALIS WYSZYŃSKI
PRIMAS POLONIE

Warszawa, dnia 14.12.1975.
ul. Miodowa 17

Дорогой Владимир Вяльевич!

Напишите, что я обращаюсь к Вам на русском языке, хотя я уже совсем забыл говорить по-русски с детских моих лет в училище маленькой родимой деревни.

Но я думаю, что это будет для Вас выражением моего глубокого почтения к народу, который теперь находится на дороге Христа Спасителя.

Я всегда считал, что есть разница между народом и его начальством. Народ живет, но люди до нас возвращаются туда, откуда они и пришли на землю.

Вот для народа надежда, что мы все будем одно с Отцом всех народов и людей.

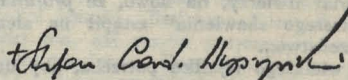
Эта надежда обозначает много для всех живущих во время труда и Креста.

"Прилет и не опоздает Тот, Кто всё объединит."

"Полыните головы, ибо приблизилось время Спасения."

/из преджелезвосточной литургии/.

К Рождеству Христову Вам, дорогой Владимир Вяльевич, и всем Вашим друзьям желаю передать: Аллилуйя, мир с Вами, аллилуйя!



Stefan Kardynał Wyszyński

Drogi Władimirze Emelianowiczu,

Proszę darować, że zwracam się do Pana w języku rosyjskim, chociaż zupełnie już zapomniałem mówić po rosyjsku od moich dziecięcych lat w szkole małej wsi rodzinnej.

Myszę jednak, że będzie to dla Pana wyrazem mojego głębokiego szacunku dla narodu, który teraz znajduje się na drodze Chrystusa Zbawiciela. Zawsze uważałem, że istnieje różnica między narodem i jego kierownictwem. Naród żyje, lecz ludzie muszą wracać tam skąd przyszli na ziemię. Oto nadzieja dla narodu, że wszyscy my zjednoczymy się z Ojcem wszystkich narodów i ludzi.

Ta nadzieja dużo znaczy dla wszystkich żyjących w czasach pracy i Krzyża.

„Przyjdzie i nie spóźni się Ten, Który wszystko zjednoczy”.

„Podnieście głowy, gdyż przybliżyło się wasze Zbawienie”.

(Z przedbożonarodzeniowej liturgii).

Z Narodzeniem Chrystusa Panu, drogi Władimirze Emelianowiczu, i wszystkim Pana przyjaciółom pragnę przekazać: Alleluja, pokój Wam, alleluja!

† Stefan Kardynał WYSZYŃSKI

Observatorium

NIEPODLEGŁOŚĆ I ROSJA

Wśród problemów, z którymi para się naród polski, dwa — ściśle ze sobą związane — pozostają od blisko czterdziestu lat najważniejsze: niepodległość państwowa oraz stosunki z naszym wschodnim sąsiadem. Narzucają się natrętnie przy wszystkich próbach wewnętrznych przemian, którym zawsze towarzyszą rosyjskie grymasy i pogroźki. Są to problemy trwałe nie tylko ze względu na nasze położenie geograficzne, ale przede wszystkim dlatego, że ich praktyczne rozwiązanie, narzucone nam po drugiej wojnie światowej, jest dla znacznej większości Polaków niezadowalające.

Brutalnym przypomnieniem związku między tymi dwoma problemami była ta część listu KC KPZS do KC PZPR z 5 czerwca bież. roku, w której mowa jest o zagrożeniu niepodległości Polski przez zachodzące w niej procesy wewnętrzne. A równocześnie wiemy doskonale, że jedyne rzeczywiste zagrożenie dla polskiej odrębności państwowej o ograniczonej choćby suwerenności stanowią właśnie ZSSR. Przypominają nam o tym, w formie ledwie zawołowanej, przywódca partii polskiej od sierpnia 1980 roku. I chociaż przypominają w złych intencjach, dla własnych samobronnych celów — nie czynią tego bezpodstawnie.

Sytuacja obecna, na którą składają się niebywałe od lat możliwości myślenia i działania Polaków, a równocześnie największe od lat czterdziestych zagrożenia — każe stawiać owe pytania na nowo: czy i jaka niepodległość jest dla Polski możliwa? jak można ukształtować nieantagonistyczne stosunki między Polską a ZSSR (lub, w wymiarze narodowym, między Polakami a Rosjanami, którzy są w ZSSR narodem rządzącym, a także innymi narodami tego państwa)?

Pytania te stawiane są zwykle retorycznie i ogólnikowo — niezależnie od tego, czy odpowiadając na nie stwierdza się, że jedyna możliwa niepodległość, to niepodległość w wiecznym przyjaznym sojuszu z ZSSR, czy też się sugeruje, iż niepodległość może być tylko absolutna a o przyjaźni z sowieckimi mordercami szkoda mówić.

Zastanówmy się więc nad konkretnymi przykładami. Czy jest niepodległa Holandia? W Polsce uzna się to pytanie za banalnie retoryczne: oczywiście, że jest niepodległa. Ale przecież Holandia należy do Wspólnoty Europejskiej, i wiele decyzji, bezpośrednio dotyczących jej obywateli, cen jakie płać za żywność, zakresu ich swobód, uprawnień, jakie im przysługują w innych krajach Wspólnoty, waluty, która jest w obiegu w ich kraju, standaryzacji urządzeń technicznych, którymi się posługują, itd., zapada w ramach instytucji ponadpaństwowych, jakimi są Komisja Europejska i Rada Europejska. Holandia jest też członkiem NATO, i jako taka jest zobowiązana w określonych okolicznościach do podjęcia działań wojskowych. Na czym więc polega niepodległość Holandii? Na czym zasadza się poczucie tej niepodległości? Chyba po prostu na tym, że po pierwsze nikt Holendrów nie zmuszał do przystępowania do Wspólnoty czy do NATO; a po drugie — że gdyby się chcieli z podjętych dobrowolnie zobowiązań wyłamać (np. odmawiając zgody na rozmieszczenie na swoim terytorium wyrzutni raketowych), to ani prezydent USA ani kanclerz RFN nie zagrozą Holandii... utratą niepodległości, albo jakimikolwiek akcjami odwetowymi.

Holandia pozostaje w unii celno-konsularnej i wielu innych bliskich powiązaniach państwowych z Belgią i Luksemburgiem, z którymi razem tworzy tzw. Beneluks. Powiązania te prowadzą do oczywistego ograniczenia suwerenności tych krajów w podejmowaniu rozmaitych decyzji. Ale kraje te są niepodległe. Dlaczego? Dlatego, że gdyby np. Luksemburczycy postanowili z Beneluksu wystąpić — Belgowie i Holendrzy złapałoby się pewnie za głowy, ale własne, nie luksemburskie.

Czy niepodległa jest Austria? Na to pytanie odpowiedź musi być ostrożniejsza. Traktat pokojowy z Austrią zabrania jej bowiem przystępowania do jakichkolwiek związków między państwowych o charakterze sojuszu wojskowego, zakazuje unii państwowej z Niemcami oraz nakłada ograniczenia na jej siły zbrojne. Poza tym jednak swoboda decydowania Austriaków o własnym losie jest zupełna; gdybyśmy zadali pytanie, czy czują się obywatelami niepodległego kraju — odpowiedzieliby jednoznacznie, że tak.

W powiązaniu z sytuacją Polski najczęściej jednak wspomina

się Finlandię. Czy Finlandia jest niepodległa? Co by właściwie znaczyło w praktyce, gdyby Polska uległa „finlandyzacji”?

W odróżnieniu od Austrii Finlandia jest neutralna, ale nie wobec ZSSR, z którym zawarła sojusz wojskowy. Zobowiązuje on armię fińską do współdziałania z sowiecką na wypadek agresji przeciwko jednemu z tych dwu krajów, chociaż tylko na terenie Finlandii (jest to więc istotna różnica w zestawieniu ze zobowiązaniami PRL w ramach Układu Warszawskiego). Liczebność i uzbrojenie armii fińskiej są uzgadniane z ZSSR. Finlandia jest zobowiązana do popierania sowieckich inicjatyw międzynarodowych (i tak np. nie tylko nie potępiła inwazji na Czechosłowację, ale udzielała jej dyplomatycznego poparcia). ZSSR posiada praktycznie prawo weta w kwestii obsadzania (na drodze wyboru!) stanowisk prezydenta i premiera Finlandii. Oczekuje się też od Finów, że nie dopuszczą do publikowania w swoim kraju tekstów itp. krytycznych wobec ZSSR. Posiadają natomiast Finowie całkowitą odrębność państwową, ich rząd nie podlega kontroli kontrolowanej z kolei przez Moskwę partii komunistycznej, obowiązuje ustrój demokracji parlamentarnej, itd. Niepodległość Finlandii jest więc rodzajem bardzo szerokiego ale zarazem przyciszzonego samorządu wewnętrznego. Zapytywani, czy ich kraj jest niepodległy, Finowie często reagują nerwicowo; i nic dziwnego: nawet przy najlepszej woli nie da się zaprzeczyć, że uzależnienie od ZSSR zostało na nich w traktacie pokojowym wymuszone.

Takie oto stosunki między ZSSR a sąsiadującym państwem stawiają nam jak optymistyczny model niektórzy publicyści. Pomijając już nieporównywalność położenia obu krajów — trudno sobie wyobrazić, aby Polacy przyjęli z zadowoleniem taki rodzaj dominacji. Amerykanin William Pfaff stwierdził niedawno w głośnym artykule, że zaletą stosunków sowiecko-fińskich jest to, że ZSSR uważa swoją granicę z Finlandią za najbezpieczniejszą ze wszystkich. To może i prawda, ale trzeba sobie zdać sprawę, że granica „niebezpieczna” — to dla ZSSR taka, za którą żyje sąsiad, nie chcący słuchać jego nakazów, nie zaś taka, zza której grozi rzekoma agresja. Jest przecież dosyć jasne, że jeszcze przez wiele lat nawet Chiny nie będą stanowiły dla ZSSR realnego zagrożenia wojskowego (czym innym natomiast jest zły przykład).

Czymże jest więc niepodległość dzisiaj, w dobie licznych międzynarodowych uzależnień? Jest pewnym zakresem możliwości wyboru, decyzji podejmowanych bez groźby i bezpośredniego przymusu (co nie znaczy, że bez konsekwencji, które mogą być bardzo przykre). Im szerszy zakres takich możliwości, tym pełniejsza niepodległość.

Jaki zakres możliwości wyboru jest dziś potrzebny narodowi polskiemu do życia bez świadomości okaleczających ograniczeń, bez poczucia stałego zewnętrznego przymusu? Taka, naszym zdaniem, powinna być teraz forma pytania o niepodległość Polski. A oto nasza najprostsza odpowiedź:

Polacy muszą otrzymać nieskrępowaną możliwość kształtowania form organizacji gospodarczej swojego kraju — oraz możliwość swobodnego wyboru (a także usuwania w drodze normalnych procedur demokratycznych) ludzi, którzy będą nad nimi sprawować władzę. Kształt gospodarki narodowej musi być określany przez skuteczność jej funkcjonowania. Swobodnie wybrani przedstawiciele społeczeństwa, swobodnie wyłonione władze, poddane stałej kontroli społecznej, będą najlepiej rozumiały, jaka linia postępowania, jakie układy, powiązania i sojusze służą polskiemu interesom państwowym. Jeżeli sojusz polsko-sowiecki jest naprawdę — jak twierdzą jego zwolennicy — układem dla Polski oczywiście korzystnym — to jedynym sposobem nadania mu trwałości i autentyczności jest oparcie go o decyzje swobodnie wybranych reprezentantów narodu polskiego.

Każde inne stawianie sprawy jest umieszczeniem wozu przed koniem. Twierdzenie, że Polska może zachować niepodległość tylko w ramach sojuszu i niezbędnej przyjaźni z ZSSR, sprowadza się do stwierdzenia, że niepodległość Polski jest w ogóle niemożliwa. Powinno być dla wszystkich jasne, tak dla przywódców ZSSR jak i dla ich krajowych sprzymierzeńców, że z takim stanowiskiem Polacy nigdy się nie pogodzą.

Co jest istotnie niewątpliwe i niepodważalne — to fakt, że lepsze stosunki polsko-sowieckie i polsko-rosyjskie leżą w naszym interesie i teraz, i na przyszłość. Na ile takie właśnie były założenia uczestników dyskusji — toczonej w maju i czerwcu na łamach warszawskiej *Kultury* — na tyle zasługują oni na sympatię. Ale jako całość dyskusja posiadała dwie kardynalne wady: prawie wszystkie wygłaszane w jej ramach wezwania (do realizmu, zrozumienia, przyjaźni, rzetelności, prawdy, itd.) były skierowane pod mylnym adresem; ponadto stanowisko „realistyczne”, reprezentowane np. przez Dominika Horodyńskiego i Aleksandra Bocheńskiego, jest tradycyjnie stanowiskiem kapitulancim. Nasi „realiści” przestrzegają ciągle, aby nie żądać za wiele — i nie żądają niczego; nie oczekiwać zbyt dużo — i nie oczekują niczego; uznają to, co w danej chwili istniejące (i naprawdę realne) za rzeczywistość jedyną i trwałą. Nie słychać było w tych głosach, ani w ich myślowym zapleczu, ani śladu świadomości, że ZSSR — nasz potężny sąsiad i przez los zesłany sojusznik — nie jest monolitem, nie jest państwem wiecznym, sam przeżywa

ogromne trudności i głębokie kryzysy. „Realiści” każą nam opierać się o opokę — nie zastanawiając się, czy aby opoka jest naprawdę niewzruszona? I nie chodzi tu o to, by liczyć na jej rozpad — ale aby zdawać sobie sprawę z naszych możliwości przetargowych.

Na czym polega wspomniana mylność adresu? Na tym po prostu, że winę za to, iż stosunki polsko-rosyjskie są niedobre, ponoszą i historycznie i aktualnie Rosjanie i ZSSR. Jeżeli stosunki te mają ulec poprawie, inicjatywa musi wyjść od strony winnej. Polacy muszą się tego domagać i o to apelować, zamiast składać gołosłowne obietnice i zapewniać, że „w Polsce nie ma liczących się społecznie tendencji antyradzieckich ani uprzedzeń antyrosyjskich”. Nie można przecież przypuścić, że ci Rosjanie, do których te słowa były skierowane, potraktują je na serio. Zrozumieją je po prostu jako retoryczną gimnastykę, w której sami celują. Polacy mają na swoim koncie wiele serwilistycznych wypowiedzi; poważni i uczciwi publicyści muszą dbać o to, aby formułować swoje myśli tak, aby się od tamtych deklaracji uwielbienia i hołdu odróżnić. Mówienie prawdy w oczy (nastroje antysowieckie i antyrosyjskie rosną w oczach!) jest lepszą taktyką, bo budzi respekt i chroni od nieporozumień.

O sojuszu powtarza się bez przerwy, ale nie mówi się o tym, do czego on Polaków zobowiązuje. Jeżeli dwaj czołowi intelektualiści katolicycy zapewniają, że „są za sojuszem” (Stanisław Stomma) i że „nikt samej idei tego sojuszu nie kwestionuje” (Marcin Król) — to musimy ich zapytać, jaki sojusz mają na myśli? Trzeba przyjąć, że ten, który obowiązuje obecnie (bo nikt nie wspominał o potrzebie jego korektury).

A jeśli tak, to niezbędne jest przypomnienie, iż ostatnim ważnym aktem, dokonanym przez PRL w ramach porozumień sojuszniczych, była inwazja Czechosłowacji w roku 1968. A również i to, że jeżeli ZSSR uzna, iż rozwój wewnętrznych sporów w Jugosławii grozi konfliktem międzynarodowym, szkodliwym dla interesów „obozu socjalistycznego”, Ludowe Wojsko Polskie będzie mogło, w ramach obowiązującego sojuszu, zostać wezwane np. do najazdu na Chorwację. Musimy sobie jasno zdawać sprawę, że w *praktyce* istniejący dziś sojusz z ZSSR czyni z nas współzandarmów Europy Środkowo-Wschodniej. Zagrożenia „obozu socjalistycznego” są wyłącznie zagrożeniami wewnętrznymi: przypominamy Berlin 1953, Węgry 1956, Czechosłowację 1968, Polskę dzisiaj...

To prawda, że sojusz ten jest w chwili obecnej sojuszem papierowym i nikt nie spodziewa się, by Ludowe Wojsko Polskie dało się użyć do stłumienia np. buntujących się Rumunów. Ale

to tylko dodatkowy powód, dla którego lepiej na temat sojuszu tyle nie gardłować: jest to i niemoralne i nierealistyczne. Nawet Stanisław Kania w przemówieniu na XI plenum KC użył ostrożnego zwrotu „sojusz obronny”. Bo tylko na taki sojusz powinniśmy się godzić.

Klucze do poprawy stosunków polsko-rosyjskich są w rękach władców Kremla. W ostatnich miesiącach zachowują się oni tak, jakby im zupełnie nie zależało na stosunkach już nie tylko przyjaznych, ale poprawnych. Ataki propagandowe, oszczerstwa, manewry wojskowe, pogrożki, uwieńczone listem do KC PZPR, który osiąga szczyt bezczelnej obłudy we fragmencie dotyczącym niepodległości „siostrzanej Polski” — dowodzą, że Rosjanom nie chodzi o zrozumienie, ale o posłuszeństwo. Nagła wizyta Susłowa, który przyjechał udzielić polskiemu Biuru Politycznemu nagany, jak gdyby nieposłusznym przedszkolakom, albo chamska wizyta Kulikowa w przeddzień pogrzebu Prymasa Wyszyńskiego, świadczą o zupełnej obojętności na nastroje i uczucia Polaków. Dlatego to do Sowietów trzeba kierować wezwania o rozsądek, trzeźwość, umiar i realizm.

Jasne, że w otwartym konflikcie z nimi Polska musi dziś przegrać — ale czy nie zapłacą za to absurdalnie wysokiej ceny? Czy nie rozkruszą się przy tym murszejące podstawy imperium? Czy perspektywa okupowania Polski nie jest gorsza od perspektywy godzenia się z jej zasadniczą innością?

Jakie są niezbędne warunki poprawnego i rokującego dobre nadzieje na przyszłość ułożenia stosunków polsko-rosyjskich? Są one dwu rodzajów, faktycznego i emocjonalnego.

Po pierwsze, należy usunąć rzeczowe, namacalne powody zażaleń. Jest ich wiele: od takich ograniczeń, jak niezgoda na przystąpienie Polski do Międzynarodowego Funduszu Walutowego (IMF), która powoduje np. ogromne i groźne w skutkach trudności w przekwalifikowaniu międzynarodowych zadłużeń Polski; poprzez dominowanie przez Rosjan stanowisk kierowniczych we wszystkich instytucjach współpracy, z RWPG na pierwszym miejscu; szarogęsienie się Armii Czerwonej w Polsce (nie ujęte już w żadne ujawnione ramy umów sojuszniczych); aż do propagandowych nagonek i zastraszania. Bez zaprzestania tego wszystkiego istotnie szkoda czasu na rozprawianie o przyjaźni, bo całe postępowanie władz ZSSR wywołuje żywiołowy antysowiectyzm. I nic nie pomogą zapewnienia, że nasza współpraca gospodarcza i wymiana handlowa z ZSSR są dla Polski bardzo korzystne. Może i tak; jest to na wielu odcinkach bardzo prawdopodobne, ale dopóki całość obrazu tonie w mrokach narzuconej tajności, nikt w poszczególne fakty nie uwierzy.

Po drugie, niezbędne jest wytworzenie sprzyjającego klimatu emocjonalnego. Nie da się tego osiągnąć bez możliwości otwartego mówienia i pisania o historii, także najnowszej, z wrześniem 1939, Katyniem i Powstaniem Warszawskim włącznie; a także o losie Polaków, zamieszkałych nadal w ZSSR. Bez prawdy o dawnych i dzisiejszych stosunkach polsko-sowieckich i bez przyznania Polakom w ZSSR praw takich, jakie przysługują mniejszościom narodowym w PRL — złego klimatu się nie zmieni.

Jeżeli ktoś stwierdzi, że są to żądania zbyt wygórowane, odpowiemy: cel, jakim jest pojednanie dwu narodów, jest godny ogromnego wysiłku. Niechże za przykład posłużą mądre i odważne słowa biskupów polskich, którzy w roku 1966 zwrócili się do Niemców o wybaczenie tych win, które mają na sumieniu Polacy. Te słowa stały się podwaliną przyszłego pojednania.

Znajdujemy się w tej chwili w krytycznym momencie stosunków polsko-sowieckich. Istnieje historyczna szansa, może największa w tym stuleciu, do otwarcia nowego rozdziału w dziejach narodów słowiańskich wschodniej Europy. Przywódcy sowieccy mądrą decyzją tolerancji, poszanowania głoszonego przez nich samych prawa narodów do samostanowienia, mogą zerwać z tradycją wrogości, ucisku i nienawiści. Natomiast decyzja ingerencji lub interwencji przekreśli chyba już na zawsze nadzieje na pojednanie.

Gruzy

I

Na początku grudnia zeszłego roku, wkrótce po trzęsieniu ziemi, wracałem późnym wieczorem do domu z kolacji z moim przyjacielem, kapitanem Mauro P. Pożegnaliśmy się w śródmieściu, po wyjściu z restauracji.

— Muszę zameldować się zaraz w dowództwie — powiedział. — Jadę do Lukanii 15 grudnia. Zastanów się nad moją propozycją. Jeżeli się zdecydujesz, zatelefonuj do mnie czternastego rano do hotelu. Ta lukańska wioska nazywa się Tora Alta.

Prosił śnieg, dość gęsty nawet, roztopiając się natychmiast na chodniku i na jezdni w warstewkę mazi. Trwało to kilka minut zaledwie, potem lunął zimny deszcz z okruciami gradu. Przystanąłem w bramie. Niebo nad Vomero rozjaśniło się jak od odbłasku łuny. Pamiętałem tę dziwną jasność nocną, w listopadzie towarzyszyła trzęsieniu ziemi i wśród uciekających podsycała panikę; ktoś krzyknął wówczas: niebo się pali!; i w tłumie podchwycono ten okrzyk.

W bramie schronili się prócz mnie dwaj abruzzyscy górale w czarnych pelerynach, jeden z kobzą, drugi z fujarką, widok zwykły w Neapolu w okresie przedświątecznym; i garbaty grajek neapolitański, z katarynką nakrytą skrawkiem brudnego płótna. Deszcz nie ustawał, przeciwnie, wzrastał się, chłuszcząc ulicę ukośnymi strugami. Kataryniarz pokręcił korbką, rozległy się dźwięki jednej z tych piosenek neapolitańskich, w których sentymentalna, łzawa lepkość przeplatana jest czkawką skocznych refrenów. I szybko ucichły, jak ucięte ręką oderwaną gwałtownie od korbki. Kobziarz szepnął coś do swego towarzysza. Szum ulewy pomieszał się z zawodzeniem piszczałki, długim, na cały dech w piersiach.

Gdy deszcz nagle ustał i chmura zasnuła czerwonawą jasność nad Vomero, wyszliśmy wszyscy z bramy. Do domu miałem, skrótem przez zaułki, niedaleko. Zbliżała się północ, w zaułkach było pusto i głucho, ani żywej duszy, pod ścianami leżały bezładnie rozprute worki ze śmieciami, między nimi przemykały się wielkie i tłuste szczury. Nie tak bywało tu niegdyś, choćby w przeszłym jeszcze roku, nadchodzące święta witano iluminacją i fajerwerkami aż do ostatnich godzin przed brzaskiem. Od dwóch tygodni o naszym mieście mówiło się i pisało w gazetach stylem oracji pogrzebowych.

II

Kapitana P. poznałem dość dawno, zetknął nas wspólny przyjaciel z Piemontu. Piemontczykiem był także Mauro, rodem z Novary. Nie wiadomo co go popchnęło do kariery oficera zawodowego. Interesował się wszystkim po trochu, z wyjątkiem tego co musiał w wojsku robić: filozofią, literaturą, sztuką; i miał przeróżne „zamiłowania uboczne”, zbierał na przykład fotografie żłobków bożonarodzeniowych w kościołach włoskich. Był w starokawalerstwie typem człowieka wykonującego swoje obowiązki zawodowe sumiennie, lecz z absolutną i lekko ironiczną obojętnością. Równie dobrze jak oficerem mógłby zapewne być urzędnikiem bankowym lub pocztowym. Wyczuwało się jednak chwilami, że nosi mundur wojskowy jak habit zakonny, że wybrał wojsko zamiast klasztoru.

Tego dnia grudniowego umówiliśmy się w kościele koło Placu Dantego, a właściwie w podziemiach kościoła, gdzie wieczorem pozwolono mu fotografować *presepe poliscenico*. Stamtąd mieliśmy iść na kolację.

„Presepizm” jest manią Neapolitańczyków, domową i publiczną, i zasługuje na włączenie do dziejów sztuki neapolitańskiej. Zresztą, w muzeum San Martino poświęcono wiele sal siedemnastowiecznym i osiemnastowiecznym żłobkom o niezwyklej piękności i pomysłowości. Święta Klara ma żłobek, wystawiany co roku w przedsionku klasztornym od pierwszych dni grudnia, który jest wspaniałym doprawdy darem jakiegoś patrycjusza neapolitańskiego z ubiegłego stulecia. Inne, mniej znaczne kościoły radzą sobie we własnym zakresie, wzbogacając z biegiem lat scenę Narodzenia coraz to nowymi elementami. Tradycja odnawiania i wzbogacania żłobków panuje również w domach prywatnych, stąd od listopada począwszy w paru zaułkach starego miasta pojawiają się dziesiątki kramików z figurynkami, chatkami, mchem, korą i podobnymi akcesoriami do *presepe a casa*.

Wyczerpujący traktat o „presepizmie” musiałby zawierać osobny rozdział o jego swoistej filozofii. Jakaż, na przykład, różnica między żłobkami wystawnymi i ubogimi! Nie tylko w sensie różnicy środków, kontrastu przepychu i skromności, lecz odmiennego wyrazu Arkadii, rozmaitych wizji mitu arkadyjskiego. *Presepe poliscenico* w kościele koło Placu Dantego był jednym z ładniejszych okazów Arkadii bukolicznej. Niezmiernie prostymi, skąpymi wręcz środkami zbudowano nad stajenką (na pierwszym planie) górską wioskę o rozczulającym naiwnej sile marzenia. Jej osią kompozycyjną był młyn wodny z obracającym się kołem, który w jakiś szczególny sposób ożywiał całą resztę obrazu: ludzi na drogach i przed domami, zwierzęta w polu, sklepiki i oberże, kobiety u studni, tancerzy na placzkach, dzieci nad strumieniem; oraz ziemię wiązał z niebem, nie błękitnym lecz różowym, usianym srebrnymi gwiazdami, ze złotą pieczęcią księżycą po środku. Tak samo jak gromada widzów, przeważnie z zaułków „dzielnicy hiszpańskiej”, najbardziej dotkniętej trzęsieniem ziemi, wzruszony był fotograf w mundurze wojskowym.

Ledwie usiedliśmy do stołu w restauracji, wyłożył mi swoją propozycję. Wioskę Tora Alta, w górnej Lukanii, trzęsienie ziemi zniszczyło w praktyce całkowicie. Postanowiono jej nie odbudowywać. Ocalałych mieszkańców ewakuowano, część rozmieszczono w hotelach okolicznych miast i nad Adriatykiem, część obozuje w namiotach i w przyczepach na równinie, w odległości pięciu kilometrów od Tora Alta. Nie wszystkie zwłoki zabitych zdołano wydobyć: mury i ściany domów grożą zawaleniem. Zrównywanie wioski z ziemią potrwa do Bożego Narodzenia. Chwilowo otoczono ją kordonem wojskowym, żeby uniemożliwić mieszkańcom z pobliskiego obozowiska odkopywanie zabitych i poszukiwanie resztek dobytku na własną rękę. Polecono mu zluzować na dziesięć dni dowódcę oddziału w Tora Alta. Czy nie wybrałbym się tam z nim na te dziesięć dni? Znajdzie się i dla mnie coś do roboty. Wspomniał już o takiej możliwości swoim przełożonym, nie miałoby nic przeciwko temu.

III

Wróciłem do domu po północy. Był to, w moim trybie życia, wciąż jeszcze okres nocnego, irracjonalnego czuwania. Starłem się siedzieć do świtu w fotelu, podrzemując od czasu do czasu, i bez przerwy szukałem książek, zdolnych do podtrzymania tej dobrowolnej bezsenności. Dwie rzeczy odkryłem podczas minionych tygodni. Że noc zdaje się potęgować groźbę trzęsienia ziemi.

I że jest to groza stawiająca człowiekowi pytania ostateczne z wyjątkową jaskrawością i mocą.

To drugie musiałem być wyczuwać niejasno już wcześniej, przed laty, pisząc opowiadanie *Wieża*. No bo jakże inaczej wytłumaczyć fakt, że jego samotny bohater, nałogowy czytelnik *Le lépreux de la Cité d'Aoste* François-Xavier de Maistre'a, ma taką właśnie biografię? „O jego przeszłości wiadano niewiele. Był z pochodzenia Sycylijczykiem i zanim przeniesiono go po pierwszej wojnie do Turynu, nauczał na Sycylii, gdzie w roku 1908, w słynnym trzęsieniu ziemi w Messynie, stracił całą bliską rodzinę, żonę i troje dzieci. Chodziły słuchy, że został przedterminowo emerytem po wywołaniu skandalu nieudaną próbą samobójczą”. Dla trądu, choroby uważanej niegdyś za „mystyczną”, szukałem kontrpunktu czy może raczej paranteli w ranie, w niemożliwej do zagojenia ranie, *terremoto*; w zatruciu albo w zakażeniu duszy człowieka, któremu ziemia zdrząła i otworzyła otchłan pod stopami. Każda z dwóch postaci *Wieży*, trędowaty z miasta Aosty i sycylijski *terremotato*, stała przed poczerniałym od starości i przeżartym zwierciadłem; każda odgadywała w nim odbicie, którego wołałaby nigdy nie zobaczyć.

Cofając się wtedy pamięcią, podczas nocnego czuwania w fotelu, do okresu obmyślenia i pisania *Wieży*, zdawałem sobie naturalnie sprawę, jakie było źródło mojej intuicji, skąd się wzięła potrzeba znalezienia takiego towarzysza dla ducha trędowatego z Aosty. W owych latach objały mi się często o uszy opowiadania o Crocem i o historyku Salveminim, w pewnym sensie antagonistach, bez wątpienia najwybitniejszych indywidualnościach we włoskim życiu umysłowym epoki faszyzmu. W roku 1883 Croce jako mały chłopiec stracił w trzęsieniu ziemi na Ischiu rodziców i siostrę. W roku 1908 Salvemini stracił w trzęsieniu ziemi w Messynie żonę i wszystkie dzieci. Ktoś, kto ich obu znał dobrze, opowiadał o „osobliwym uczuciu” (pamiętałem to określenie i następujące po nim zdanie), jakie wkradało się zawsze w dłuższe z nimi rozmowy: „Jak gdyby, niezależnie od tematu rozmowy, czasem nawet kłócąc się z tematem i nastrojem rozmowy, musiał nadejść krótki moment zupełnego zatracenia się mówiącego, identycznego zawieszenia wzroku i Crocego i Salveminiego w próżni”.

Wspomniałem o moim ówczesnym ustawicznym polowaniu na książki, zdolne podtrzymać bezsenność nocnego czuwania. Z takich lektur pozostaje na ogół bardzo mało, są jak proszki które pobudzając otępiają zarazem. A jednak, gdy teraz staram się wiernie zrelacjonować od początku do końca dzieje mojej niewydarzonej wyprawy do Lukanii (bo *Gruzy* są tylko relacją) i sięgam po książkę, która mi przed wyjazdem z Neapolu najczę-

kiej dotrzymywała towarzystwa, po *Zbrodni i karę*, znajduję w niej dwa ostro paznokciem zakreślone fragmenty. W jednym przemawia Raskolnikow: „Gdzie to ja czytałem jak pewien człowiek, skazany na śmierć, na godzinę przed straceniem mówi czy też myśli, że gdyby mu wypadło żyć gdzieś na wyznieniu, na skale, na takim wąziutkim upłazie, że tylko dwie stopy się zmieszczą — a dokoła będą przepaście, ocean, wieczny mrok, wieczna samotność i wieczna burza — i że ma tak pozostawać, stojąc na kwadratowym łokciu przestrzeni, całe życie, tysiąc lat, wieczność — to lepiej tak żyć, niżli zaraz umrzeć! Byle żyć, żyć i żyć! Jakkolwiek — byle żyć!... Jakież to prawdziwe! Boże, jakież prawdziwe! Człowiek jest podły! I podły jest ten, kto go za to zwie podłym”. W drugim Swidrygajłow: „Wieczność zawsze nam się przedstawia jako idea, której niepodobna pojąć, jako coś olbrzymiego, olbrzymiego! Ale czemuż koniecznie olbrzymiego? Proszę sobie wyobrazić, że raptem, zamiast tego wszystkiego, będzie tam jedna izdebka, coś jak wiejska łaźnia, zakopconca, a we wszystkich kątach pająki; i oto masz pan całą wieczność”.

Trzynastego grudnia rano zatelefonował Mauro. Kazano mu przyspieszyć wyjazd, gotów po mnie wstąpić wczesnym popołudniem, oczywiście jeżeli się zdecydowałem. Tak, tak, zdecydowałem się, więcej — zależało mi na tej wyprawie.

IV

Wyjechaliśmy o zmierzchu z Neapolu w ulewę, na autostradzie do Pompei a potem do Salerno wlekleśmy się w kolumnie kamionów, wozów z przyczepami, karettek sanitarnych, platform z urządzeniami budowlanymi.

— Powtórzono mi wczoraj w dowództwie, że nie uda się odkopać w Tora Alta wszystkich zabitych. Było parę nowych prób, ale mury obsuwają się na koparki. Pozostaje wykruszyć to co jeszcze stoi i zalać gruzy wapnem.

— Jak w algijskim Agadirze?

— Jak w algijskim Agadirze. I z tym jest najciężej.

W Lukanii i w Irpinii (informowało włączone radio), w górzystym rejonie trzęsienia ziemi, padał ciągle śnieg, gęsty i niekiedy z zadymkami śnieżnymi. Reporterzy radiowi donosili stamtąd o rosnącej psychozie końca świata. Gdziejegdzie pojawiały się pisane ręcznie ulotki, zapowiadające *un evento escatologico*, „wydarzenie eschatologiczne”: bliższych o nim szczegółów należało szukać w Biblii, a „przygotowywać się do niego w nieprzerwanej modlitwie”. Zaroilo się od magów, chiromantów, wróżbitów, sekciarzy. Chłopi lukańscy i irpińscy nie wiedzieli co znaczy

„wydarzenie eschatologiczne”, zażyłość z Biblią ograniczali na ogół do pobożnego dotykania jej okładki palcami lub wargami, ale słowa „koniec świata” poruszały w ich sercach znajomą strunę. W Sottomonte, lekko tylko ugodzonym przez listopadowy wstrząs, proboszcz daremnie usiłował powstrzymać pasterzy wyganiających stada owiec na wysokie płaskowzgórze nad wsią.

Łatwo było uśmiechać się, czytając o „eschatologicznym” biciu w dzwony. Trudniej zbywać uśmiechem echo, jakie wywoływało. Pasterze w Sottomonte uciekali z owcami w zasypane śniegiem góry, w potrzask który wydawał im się obietnicą ocalenia. „Nie cały świat zginie”, odpowiadali na zaklęcia powstrzymującego ich księdza, „Bóg nie pozwoli”. Znajoma ludowa struna! Różniła się tak bardzo od wzroku mędrców zawieszonych w próżni?

Za Salerno, w jednostajnej i bezwietrznej mżawce, Mauro zjechał na pierwszym zakręcie z głównego traktu. Zamierzał bocznymi drogami dobić późnym wieczorem do Eboli.

Eboli, wslawione książką *Chrystus zatrzymał się w Eboli* (bo według ludowego porzekadła nie miał odwagi posunąć się dalej, do opuszczonej przez wszystkich Lukanii), było epicentrum trzęsienia ziemi. Czyli punktem z którego rozchodzą się fale sejsmiczne, oszczędzając go w swoim niszczyielskim działaniu; okiem cyklonu, zaciągniętym bielmem ciszy. Ta martwa cisza na skraju otchłani pogrzyła miasteczko w bezruchu. Zaryglowane okiennice we wszystkich domach, wątki strużki światła sączące się ze szpar, rzadkie zapalone latarnie, prawie całkowita pustka na ulicach. Bar na placu był zamknięty. Napiliśmy się wody w studni, okrążyliśmy w milczeniu plac dla rozprostowania nóg. Milczeliśmy obaj od wyjazdu z Neapolu, poprzestając na krótkich rzeczowych odzywkach. Przeczuwałem, że będzie tak i później. Są różne rodzaje milczenia, nasze było — jak sądzę — instynktownym lękiem przed plagą dramatycznej retoryki. Ludzie nie zdają sobie sprawy jak natrętnie, w pewnych okolicznościach, obłąci ich retoryka. I jak bywa ważne, by przynajmniej starali się z niej otrząsać. W imię prostej niby a naprawdę przewrotnej reguły, że o nieuchwytną nigdy w pełni istotę rzeczy zdarza nam się przelotnie ocierać tylko na śliskim pograniczu banalności i tajemnicy.

Przed północą dobrnęliśmy mało używaną, wyboistą drogą do Muro Lucano. Tam szeroka szosa do Pescopagano znowu zatkana była kolumną ciężarówek i samochodów, ciągte korki zatrzymywały ruch, kierowcy wyskakiwali w ciemnościach z kabin, krzyczeli, świecili latarkami, wymyślali sobie nawzajem, wymachiwali rękami. Padał rzeczywiście śnieg, ale powietrze było czyste, czar-

ne niebo nacięte kwadrą księżycą, w oddali białe kaptury wzgórz. Na skrzyżowaniu szosy z podjazdem do Tora Alta stało dwóch wartowników. Jeden poprowadził nas na motocyklu do obozu wojskowego, kilkukilometrową, wznoszącą się łagodnie serpentyną. Przed wejściem do wskazanego nam namiotu przyglądaliśmy się chwilę gruzom Tora Alta, na wyższej nieco kondygnacji zbocza. Pod śniegiem robiły wrażenie porzuconych w pośpiechu kamieniołomów.

V

Przed świtem ubrałem się i po cichu wyszedłem z namiotu. Cały obóz jeszcze spał, pilnowany przez wartowników pod drewnianym okapem po tamtej stronie drogi, naprzeciw rzędu namiotów na płaskim urwisku. Ostatni odcinek drogi do wsi, nie więcej pewnie niż kilometrów, był prosty i stromy. W brudnej szarówce przedświtów gruzy zarysowywały się słabo, ledwie widoczne, ale już nie wszędzie pokryte białymi plastrami. Nocą ociepliło się nagle, gruzy szybko wchłaniają topniejący śnieg.

Zobaczyłem je wyraźnie dopiero na górze, gdzie patrole blokowały dostęp do wsi na drodze i po obu jej stronach, na ścieżkach zbocza. Jeden patrol umieszczono nawet za wsią, zamykając dojscie ze szczytu wzgórz. Obręcz dokoła wsi była szczelna.

Tora Alta liczyła około tysiąca pięćset mieszkańców. W trzęsieniu ziemi zginęło około sześćset osób, z czego odkopano niewiele ponad pięćset. Prowizoryczny cmentarz znajdował się w dole, blisko wsi, w miejscu które służyło niegdyś dzieciom do zabawy. Otoczony był powtykanymi w ziemię gałęziami, opodal ułożono stos pustych trumien na wypadek odkopania dalszych zwłok. Groby oznaczono niskimi, zbitymi z deseczek krzyżami. Na niektórych widniały — zamiast imion, nazwisk i dat — napisy *uomo non identificato*, *donna non identificata*, *bambino non identificato*. Dotyczyło to głównie części zabitych w kościele, gdzie w momencie wstrząsu odbywało się wieczorne nabożeństwo: ilość ofiar w kościele szacowano na przeszło sto, z czego odkopano niespełna siedemdziesiąt. Nie odnaleziono zwłok księdza, mówiono że ocalał i uciekł z Tora Alta. Cudem ocalała ośmioletnia dziewczynka Concetta, która podczas nabożeństwa bawiła się na schodach kościoła. Jej matkę, babkę i dwóch braci śmierć dosięgnęła w domu, ojca odkopano żywego w sześć dni po trzęsieniu ziemi. Opowiadający mi o tym wszystkim żołnierz dodał, że z ocalałych tylko czterysta osób nie zgodziło się wyjechać z Tora Alta. Dla nich urządzono na równinie

małe osiedle z przyczep; zbudowano tam również trzy baraki: szkołę połączoną z kaplicą (odprawiał w niej msze w niedziele ksiądz dojeżdżający z Muro Lucano), ambulatorium i magazyn żywnościowy.

Teraz, gdy wykluwający się świt rozgarniał resztki nocy nad gruzami, mogłem im się dokładnie i do woli przyjrzeć. W sinawym świetle miały wygląd widmowy, a jednak żył w nich jeszcze cień umarłej wsi; jak na twarzy człowieka, krótko po jego śmierci, rysy przed ostatecznym zastygnięciem i stężeniem zachowują coś z dawnego wyrazu w drobnym grymasie ust, w zmarszczone pod okiem, tak w usypisku gruzów Tora Alta trwały wciąż nikłe, niknące lecz uparte, ślady jej duszy. Niechętnie używam tego słowa, a przecież nie znajduję lepszego. Rodzaj odsłoniętej kurtyny z pokruszonego kamienia, pogruchotanych belek, tynkowego miału, obramowywał po prawej stronie nietkniętą studnię z poderwanym do góry ramieniem. W środku dominowała fasada kościoła, przez jej wybite drzwi ziało pustką, aż do kopca kamiennych brył, dachówek i żelaznych prętów, który powstał przypuszczalnie przy odgrzebywaniu zabitych; koło otworu drzwi, na ostatnim stopniu schodów, stała oparta o mur gipsowa figura świętego, postawiono ją tam chyba jako jedyną nietkniętą resztkę ołtarza i dlatego też chyba, poprzez demonstrowany cud prosząc o następne, obwieszono paciorkami i różańcami. Z lewa względnie dobrze zachowana uliczka, długa i o odgruzowanych do czysta stopniach wzwyz; domy na niej wydawały się mniej zniszczone, na jednym sterczał z okna przetrącony szylt *Vino e olio*.

Wojna oswoiła nas z widokiem zburzonych miast, miasteczek i wsi, z pustyniami gruzów, ze szkieletami domów, z cmentarzami pod kłębowiskami murów i żelastwa. Czemu więc ten obraz był tak przejmujący? Gdybym umiał to powiedzieć! Gdybym potrafił w niewielu słowach wskazać różnicę między „ludzkimi” wojnami i ciosem „znikąd”!

Z nastaniem dnia podjechały do Tora Alta koparki, spychacze, maszyny kruszące. Kontynuowano dzieło zrównywania z ziemią dzieła trzęsienia ziemi.

IV

To co widziałem było częścią obrazu gruzów; pełny miałem zobaczyć później. Po obiedzie Mauro postanowił obejrzeć z podoficerem postępy wyburzania Tora Alta; przyłączyłem się do nich. U wejścia do wsi stał półkolem na zboczu mały tłum, rozbity na grupki; stał wszędzie tam, gdzie można było ustać.

— Przychodzą tu codziennie po południu — objaśnił podoficer. — Pięć kilometrów z tego ich osiedla w przyczepach, na przełaj polami przez śnieg i błoto. Mężczyźni, kobiety, dzieci. Stoją i patrzą. O zmroku niektórzy wracają wprost do osiedla, inni wstępują po drodze na cmentarz. Nic się na to nie da poradzić. Podrzuca im się trochę drzewa wyciągniętego z gruzów, do rozpalania ognisk.

Nie próbuję nawet ich opisać, zawsze dbałem o wstydlivość słów. Powiem tyle tylko, że przenosząc wzrok z dobijanej wsi na jej pozostałych przy życiu mieszkańców, traciło się pewność, czy istotnie pozostali przy życiu. Stali nieporuszeni, okamienieni, odzywali się do siebie rzadko i jakby wyrwanymi ze ściśniętych gardeł szrępcami słów. W ich oczach była zmartwiała, zimna intensywność ostatniego spojrzenia: poza granicą cierpienia, tam gdzie rozpacz staje się obojętnością. Dzieci nie płakały, nie drżały na chłódzie i nie przebierały w błocie nóżkami, tuliły się jedynie do starszych. W końcu, gdy poszarzało, tłum drgnął w kilku miejscach, zaczęto rozpalać ogniska. Nad pełzającymi przy ziemi płomieniami pochylały się wyciągnięte ręce.

Przed zmrokiem od jednej z grupek oderwał się wysoki mężczyzna z małą dziewczynką i ruszył świeżo wydeptaną ścieżką ku cmentarzowi. Poszliśmy za nimi. Stanęli przed czterema wydzielonymi krzyżami, tuż obok ogrodzenia z gałęzi: Calabrito Rosalia, lat 79; Calabrito Maria, lat 48; Calabrito Vincenzo, lat 22; Calabrito Pietro, lat 17. Postali chwilę, po czym mężczyzna objął dziewczynkę ramieniem i powiedział głośno, niemal krzyżąc: *Andiamo, Concetta, andiamo figlia mia, Dio non c'è*. Rozchylił gałęzie ogrodzenia, pomógł dziewczynce zejść ze skarpy i znowu objął ją ramieniem. Szedł w dół szybko, dziewczynka dotrzymywała mu kroku biegiem. Straciliśmy ich z oczu za kępą drzew na skraju pola.

— Odkopano go po sześciu dniach — objaśnił podoficer — leżał na wąskim występie w murze piwnicy w winiarni, nad głęboką jamą w ziemi. Więc raczej wisi, niż leżał. Gdyby się był poruszył, spadłby w dół i prawdopodobnie spowodował swoim upadkiem obsunięcie się pękniętego muru. Sześć dni i sześć nocy. Prawie nie do wiary! Szóstego dnia ktoś usłyszał jego słaby krzyk *Salvatemi, salvatemi*. Od ulicy przebito w gruzach otwór na tyle szeroki, by można było się przeczołgać i wysunąć do występu w murze składaną drabinę metalową. Skąd miał dość sił do wywleczenia się po jej szczeblach, nie wiem. Ciągnęło się to dobrą godzinę. Zawieziono go do szpitala polowego w Pescopagano, wrócił tutaj po paru dniach. Ocalała tylko jego córeczka; bawiła się na schodach kościoła, gdy ojciec

kupował wino w winiarni. Resztę rodziny zasypało w domu. Nie odkopano ich, ten dom jest w zonie największego zagrożenia, na tamtym krańcu wsi pod samym wzgórzem. Kiedy wrócił ze szpitala, uparł się, żeby na cmentarzu postawić nieco z boku te cztery krzyże, jakby chciał mieć złudzenie grobów, albo nie tracił nadziei że uda się mimo wszystko odkopać zwłoki.

Wieczorem zjechaliliśmy do osiedla przyczepowego. Należało (twierdził Mauro) znaleźć sposób przetrzymywania w nim dzieci podczas codziennej pielgrzymki starszych do gruzów. Istniał barak szkolny, ale nic poza nim: nauczycielka zginęła, nauczyciel wybrał ewakuację nad Adriatyk. Do obiadu zajmowała się trochę dziećmi młoda dziewczyna, potem wracały do rodzin. Oczekiwano przyjazdu ochotniczej nauczycielki z Salerno zaraz po Bożym Narodzeniu, tymczasem jednak szło o to, by spędzały w baraku szkolnym popołudnia i wieczory, aż do powrotu starszych z Tora Alta. Rolę tymczasowego nauczyciela wziął na siebie sam Mauro. Wszystko tu zresztą było doraźnym łataniem i improwizacją: liczone, że po zrównaniu wsi z ziemią i zalaniu jej wapnem łatwiej będzie nakłonić do ewakuacji także mieszkańców przyczep.

Nazajutrz obudziłem się z silną gorączką. A właściwie obudził mnie Mauro, zaniepokojony moim majaczeniem przez sen. Cały dzień leżałem sam w namiocie, zasypiając, budząc się, łykając pigułki, znowu zasypiając z odgłosem szcęką maszyn i huku ruin w uszach. Obudziłem się na dobre w ciemnościach, ognik papierosa w drugim kącie namiotu oznaczał, że Mauro wrócił już z osiedla. Czułem że gorączka opadła, sięgnąłem po butelkę wody, wypilem ją do dna i też zapaliłem papierosa. Długą ciszę przerwał wreszcie Mauro.

— Przeprowadzono mi do baraku szkolnego pięciu chłopców i siedem dziewczynek, w wieku od ośmiu do dziesięciu lat. Większość rodziców zignorowała po prostu moje zarządzenie. O zwykłej godzinie zaczął się wymarsz do Tora Alta. Poszedł i Calabrito z Concettą. Zdawałem sobie naturalnie sprawę, że nie może być mowy o normalnych lekcjach. Zabrałem ze sobą *Fiabe italiane*, traf chciał, że miałem je w walizce wśród innych książek. Kilka godzin z przerwami czytałem im na głos bajki. Siedziały przy swoich stolikach jak głuchonieme, i nic w ich wyrazie twarzy nie wskazywało, że śledzą cokolwiek poza ruchem moich warg. W przerwach tłoczyły się pod drzwiami do kaplicy, przyglądając mi się z ukosa. Nie odpowiadały na pytania.

A zatem do obrazu gruzów, by stał się naprawdę pełny, trzeba było dołączyć i ten dowód zburzenia języka. I zapytać, pamiętając scenę na cmentarzu, czy okrzyk *Dio non c'è* nie był

czymś w rodzaju przedśmiertnej drgawki języka przygniecionego zwalami kamienia, niezmiernym ciężarem wiarołomnej ziemi.

VII

Gorączka podskoczyła znowu, i to gwałtownie, nie miało sensu samotne leżenie w namiocie i obarczanie mojego gospodarza dodatkowym kłopotem. Siedemnastego grudnia, wykorzystując okazję samochodową do Neapolu, pożegnałem z daleka Tora Alta. W wojskowej półciężarówce rozłożyłem się z tyłu na kocach. Liczyłem na przespanie całej drogi, zwłaszcza przy monotonnym uderzaniu kropel o brezentowy dach. Ale nie mogłem usnąć. Przeciwnie, ogarnęła mnie nadzwyczajna jasność, połączona z jakimś niepojętym, prawie euforycznym doznaniem bólu i równoczesnego odtajania. Gdybym posiadał to, co Rosjanie nazywają *słownym darem*, darem płaczu! Dlaczego Nadzieja pojawia się nagle, na mgnienie oka, gdy jest najmniej oczekiwana; dlaczego jej cień ma twarz Boga, a nie Losu; dlaczego w jej zagadkowym uśmiechu miłość przeplata się z szyderstwem i okrucieństwem; to wszystko niech zostanie sekretem. Czego usta twoje nie są zdolne wymówić tak, by w głosie twoim dźwięczała pewność, tego nie mów wcale; i módl się bezgłośnie, zamiast paplać po próżnicy. Gdzie ja to czytałem czy słyszałem?

W domu gorączkowałem dalej do Bożego Narodzenia. Nie wiele z tego okresu pamiętam. Wokół mnie podawano sobie nerwowo wiadomości o nowych wstrząsach w Neapolu i okolicach, o odżyciu strachu w mieście, o ludziach przeczekujących nocę na placach, skwerach i w ogrodach. Do świąt przygotowywano się pośpiesznie, niechętnie, w roztargnieniu i jakby z ukrytym, zabobonnym lękiem. Któregoś dnia przerzucałem *Podróż włoską* Goethego i natrafiłem na opis jego wycieczki na szczyt Wezuwiusza, na „ten piekielny szczyt, co wyrasta w środku raj”. Uciekłszy z „tego piekła”, Goethe zanotował: „Neapolitańczyk byłby na pewno całkiem innym człowiekiem, gdyby nie czuł się w pułapce między Bogiem i Szatanem”. Pod koniec XVIII stulecia „pułapka” była przekleństwem lokalnym, zwiedzianym z trwożną ciekawością przez przybyłych z innych krajów „całkiem innych ludzi”.

Dwudziestego ósmego grudnia zatelefonował Mauro. Poprzedniego dnia Tora Alta przestała definitywnie istnieć. Oznajmił to szybko, wydawał się wzburzony; i szybko dorzucił, że resztę opowie mi w Nowy Rok w Neapolu. Zanim zdążyłem go o cokolwiek zapytać, odłożył słuchawkę albo przerwano nam połączenie.

VIII

Mimo pogodnego Nowego Roku, pierwszego słonecznego dnia od dłuższego czasu, miasto było dość wyludnione. Zeszliśmy nad morze, wyglądzone i lśniące, na promenadzie nietrudno było o pustą ławkę. Po drodze myślałem o słuszności mojej starej obserwacji, że Mauro wybrał wojsko jak klasztor, jeśli za główny impuls wstąpienia do zakonu uznać pewną formę wyjścia ze świata. W jego ruchach i wyrazie twarzy, teraz po zamknięciu rozdziału Tora Alta, dostrzegało się ślady jakby poparzenia. Z jego głosu przebijało rozjątrzenie.

Opowieść była długa, chaotyczna, podniecona, pełna dywagacji, to wybiegająca naprzód to cofająca się wstecz, muszę więc zredukować ją do samych faktów; i zrobić to stylem raportu.

Swoje „lekcje” przerwał po dwóch jeszcze daremnych próbach, zresztą zaprzętały go coraz bardziej właściwe obowiązki. Kilkakrotnie konieczne było wstrzymanie wyburzania z powodu silnych zadymek śnieżnych, a ponieważ nawet one nie odstręczały ludzi z dołu od codziennego wystawiania pod gruzami, konieczne też było wzmocnienie kordonu ochronnego. Zamierzano według pierwotnego planu zalać wyrównane gruzowisko wapnem w przeddzień willi, lecz okazało się to niewykonalne. Górną część wsi, zonę największego zagrożenia, odkładano wciąż na koniec, nie bez rachuby, że niektóre przynajmniej domy zawała się same. W pierwszy dzień świąt wszystko stanęło, w drugi miało nastąpić ostatnie uderzenie. I właśnie w nocy z pierwszego na drugi dzień świąt obsunęły się trzy kondygnacyjnie zbudowane domy w górnej części wsi; i to tak doszczętnie, że tylko szyna stropowa wynurzała się ukośnie z kopca, jak jedyny nagi konar spróchniałego, podpiłowanego pnia. Dwaj żołnierze z patrolu nad wsią słyszeli, krótko przed hukiem, jakiś głośny szmer; jeden widział — lub zdawało mu się, że widział — cień przemykającego się susami psa. Od rana maszyny wspięły się do zony największego zagrożenia, wyglądało że nim zapadnie zmrok, znikną resztki Tora Alta. Ale po południu zaszło coś niespodzianego. Ktoś przyniósł wiadomość o zniknięciu ojca Concetty. Mauro zjechał natychmiast na dół, zastał dziewczynkę w przyczepie sąsiadów. Nic nie wiedziała, siedziała w kącie skulona, nie podnosząc nawet oczu na pytającego. W osiedlu przypuszczano, że Calabrito wyprawił się do swojego górskiego szałas pasterskiego po pozostawione tam jesienią rzeczy; wróci, wróci, w zimie jednak taka wyprawa musi potrwać. Następnego dnia rano, gdy wyburzanie dobiegało wreszcie kresu i koparki spychały kopiec przebity szyną stropową, znaleziono trupa Calabrito z głową roz-

trzaskaną jej zasypanym końcem. Dwudziestego ósmego grudnia odbył się pogrzeb. Tora Alta już nie istniała. Trumnę przewieziono z kaplicy osiedla na cmentarz, grób wykopano obok czterech pustych grobów z krzyżami. Postawiono i na nim taki sam krzyż zbity z deseczek: Calabrito Giuseppe, lat 53. Prosto z cmentarza ksiądz zabrał ze sobą Concettę do Muro Lucano, stamtąd miał ją odesłać do sierocińca Sióstr Urszulanek w Potenzy.

Od morza powiało chłodem. Na promenadzie wzmógł się ruch samochodów, w parku miejskim za naszymi plecami rozryczała się skrzynia muzyczna w barze na świeżym powietrzu, zza przyładka Posillipo wyłonił się statek z Ischii, nad Zamkiem wystrzeliła raca i pękła wysoko w słońcu białym rozpryskiem, sąsiednią ławkę obsiadły w oczekiwaniu na klientów kobiety zwane u nas filozoficznie *le peripatetiche*, pomiędzy ogromnymi głazami nadmorskimi snuli się chłopcy z wędkami. Było w tym coś z ostrożnej, nieśmiałej próby powrotu miasta do życia.

— Wychodząc po mszy z kaplicy w tłumie za trumną, zauważyłem w rogu pod ścianą odgradzającą kaplicę od sali szkolnej ustawiony łukiem parawan z mat. Zaintrygowało mnie to, wysunąłem się z tłumy i zajrzałem za zasłonę. Był tam żłobek zrobiony zapewne przez dzieci z osiedla. Zrobiony, to może powiedziane na wyrost. Zresztą, bo ja wiem... Spróbuj sobie wyobrazić kupkę gruzów na podłodze, w środku tekturowe pudło wypchane włosiem i pakułami, a w nim nagą i pokłutą lalkę z szeroko otwartymi oczami. Dziury w różowym plastiku były podmalowane czerwonymi jęczyczkami i wężykami, takimi jakie widuje się na krucyfikach w przydrożnych kapliczkach i w kościołach wiejskich, w starych obrazach i rzeźbach Ukrzyżowania. To wszystko. Nic więcej.

IX

W Księdze Hioba zawsze robiła na mnie najgłębsze wrażenie jego skarga w rozdziale siedemnastym, zaczynająca się od słów: „Duch mój złamany, dni moje wypaliły się, cmentarz jedynie dla mnie”. I z zakończeniem, które różnie bywa interpretowane: „Noc w dzień chcą przemienić, mówią: światło w ciemności jest blisko. Zaiste, czekać muszę na Otchłani, mój dom, w ciemności usłać sobie łożę. Do zgnilizny wołać: 'Ojcem moim jesteś', do robactwa: 'Matko i sestro moja'. Gdzież więc moja nadzieja, moją nadzieję kto będzie oglądał? Zstępuje ona do bram Otchłani i razem z nią legnę w prochu”.

Legnę z nią w prochu, czyli i ona w proch się obróci? Czy raczej leżeć będzie obok mnie wiernie, nie opuszczać mnie gdy oczekuję końca, jak nie opuszczała mnie potajemnie gdy miotalem się rozpaczając, gdy złorzeczyłem Najwyższemu, gdy krzyczałem że Go nie ma? Boskie jest w nas tylko to: siła Nadziei, którą wyraża nawet — a może tym gwałtowniej — siła rozpacz. Pisząc o niezniszczalnym twardym jądrze w człowieku, Kafka miał na myśli Nadzieję, choć brakowało mu odwagi by nazwać ją po imieniu. „Nie można żyć bez nadziei”, wołał Dostojewski; i to jest nasza boska wieczność.

Czytałem w tych dniach, wykańczając moją relację o gruzach, pośmiertny pamiętnik skazanego na dożywocie więźnia w Porto Azzurro. W jego celi siedziało trzech jeszcze skazańców. Szkoda, że nie opisał jej dokładniej! Może okazałaby się podobna do wiejskiej, zakopconej łaźni, z pajakami we wszystkich kątach? Codziennie po południu wkładał się do celi, przez okno zasłonięte koszem, promień słońca. Drżał na podłodze, stopniowo przygasał i w końcu znikał. Na tę chwilę czekali — dzień po dniu, miesiąc po miesiącu, rok po roku — „jak skazany na śmierć oczekuje chyba odpowiedzi na prośbę o łaskę”. Dalej następowało wyznanie: „Kto wie, czy wzajemny wstyd nie powściągał w nas ukrytego pragnienia, by codziennie po południu na klęczkach witać i żegnać naszego gościa. On był naszym jedynym Bogiem”.

Niech moją relację o gruzach zamkną powtórnie słowa, jakie wypowiedział Mauro: „To wszystko. Nic więcej”.

Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI

Maj 1981

Początki *

Koniec czerwca 76 spędzałam w mazurskiej gajówce nad jeziorem. Zdaje się, że było pięknie tego roku. Gajowy miał na imię Jan. Imieninowi goście oczekiwali na koncert z Opola przy otwartym telewizorze. Gdy zaczął mówić Jaroszewicz, biesiadę przerwano. Słowo „kurwa” szło z ust do ust. Powtarzano, wykrzykiwano ceny cukru, kaszy, mąki, masła. W okolicznym geesie masło zresztą pojawiało się rzadko, choć częściej niż dziś. Bandyci, sukinsyny, swołocz. Naród z torbami puszczają. Ścierwa, ścierwa. Jezusie święty, kary na nich nie ma.

Był gajowy, jego żona i matka, kilkoro wczasowiczów, wśród których o jednym wiedziało się, że jest partyjny (następnego dnia wyjechał), a o dwojgu innych, że to ślusarz z Łodzi z żoną włókniarką, paru znajomych gajowego ze wsi, chyba zamożniejszych niż inni, partyjny sołtys i partyjny księgowy z pobliskiego tartaku, z którego zapach drewna i rzeźenie mechanicznych pił wiatr przynosił aż nad nasze jezioro. Zaczęło się żałobne picie, jak to w Polsce. Na beznadzieję alkohol jest jedyny.

Nazajutrz wieczorem gajowy skrzyknął nas do telewizora. Dziadek premiera, bardzo do wnuka podobny, odwoływał wczorajsze decyzje. Popatrzyliśmy sobie z przyjaciółmi w oczy: Poznań 56? Wybrzeże 70? Ślusarz poleciał do namiotu po czystą, gajowy z kredensu wyjął resztę nalewki. Zaczęło się weselne picie, jak to w Polsce. Postawiłam na stole radio. Podczas gdy Jaroszewicz z wysiłkiem łąał o konsultacjach z klasą robotniczą, dowiedzieliśmy się z Wolnej Europy pierwszych niepełnych wieści o Ursusie i Radomiu.

Było oczywiście, że tylko skrajna rozpacz mogła pchnąć tych

* Fragment.

bezsilnych ludzi na tory i ulice, i że gorzko zapłacą władzy za jej kompromitację. Pod tę świadomość nie mogłam już pić ani jeść. Wycofałam się z Wolną Europą do swego kąta rozedrgana, równie bezsilna jak oni, jak wszyscy w tym kraju, w tym ślepych zaułku.



W lipcu też mnie nie było w Warszawie, urlopowalam na Podhalu, bez radia, które się popsulo, z oczywistym więc brakiem informacji. Na Podhalu bardzo się wszyscy cieszyli, że podwyżkę cen cofnięto. Nie pamiętam, aby ludzie wiedzieli, co działo się z tymi z Radomia i Ursusa, dzięki którym mogli się cieszyć. Ja trochę wiedziałam, ale niewiele. Ignorancja z pewnością jest warunkiem świętego spokoju.

Od dłuższego czasu — liczonego na lata, a nie na miesiące — żyłam w pogłębiającej się izolacji psychicznej, coraz bliższa stanowi, dla określenia którego termin „wewnętrzna emigracja” wydaje się najbardziej adekwatny; myślę, że znalazłabym się tam wcześniej czy później. Praca na etacie, żeby wyżyć, paru przyjaciół, książki, i dajcie mi wszyscy święty spokój: ani pisać, ani rozwijać się w tym kraju nie ma sensu, po diabła to komu na tej równi pochyłej. Gęstniało obrzydzenie do tego, co jest, niezwykłe, panoszące się, głupota i amoralność, niemota i niemoc. Wrześniowy rewizyjny proces robotników z Ursusa, mdlące w żołądku pogłoski o skatowanych; człowiek otrząsał się i wkładał głowę w książkę, biegł na spacer. W gardle kula nie dająca się przełknąć: wiedziało się przecież, że tak żyć nie podobna, że się kiedyś po prostu nie wytrzyma takiego życia jedynym życiem po nic.



W końcu września 76 przeczytałam „Apel do Społeczeństwa” Komitetu Obrony Robotników i jego pierwszy komunikat. Sie dzieliśmy jak co dzień w redakcji, Janusz Przewłocki i ja; nagle nic już nie było jak co dzień. — Wyzwanie rzucone przez mysz lwu — powiedział ktoś. — Wezwanie do odwagi rzucone przez myszy innym myszom. Nic nie zrobią, a wszyscy znajdują się w więzieniu. Dziecinnada. — No tak, Kuroń. Tu znowu Żydzi. Hm, profesor Lipiński. Andrzejewski, ten znowu zmienia skórę. Patrzenie, Rybicki. Książdz Zieja, acha, jeden książdz. Bardzo to dziwne towarzystwo.

Ale pieniądze dla robotników zaczęli zbierać wszyscy.

Blade kartki maszynopisu, n-ta kopia na niebieskawej prebitce. Wolno je było zabrać do domu pod warunkiem, że się

je przepiszę i zwróci „właścicielowi” dwa egzemplarze zamiast jednego (nazywało się to „rozmnażaniem”, ja też później zawsze żądałam takiego dowodu). Czytało się te pomięte kartki ze zwyczajnie ściśniętym sercem: wiarygodność ascetycznych informacji i suchych cyfr potwierdzonych nazwiskami wydawała się niepodważalna.

Zbieranie pieniędzy z miejsca uznałam za niewystarczające.

Spośród członków KOR-u znałam tylko z daleka — ze Związku Literatów — Jana Józefa Lipskiego. Wydawało mi się to ważne: znać. Nawet nie tyle znać, ile żebym ja sama nie była człowiekiem całkowicie nieznanym temu, do kogo pójść. Pieniądze może przynieść każdy, także agent. Ale ja chciałam wejść w środek, pomagać, orać. Jan Józef powinien być w końcu coś o mnie wiedzieć, chociaż tak dawno nic nie napisałam. A może pamiętał mnie choćby z pewnego zebrania w Związku w 68 roku: bardzo żałośnie wyglądały wtedy trzy samotne ręce podniesione przeciw jakiejś pomarcowej rezolucji. Do kogo należała trzecia, nigdy nie udało mi się stwierdzić. Dwie były nasze, Jana Józefa i moja. Jakoś nie wyszliśmy z tymi, którzy ostentacyjnie opuścili salę przed głosowaniem.

Wiedziałam wprawdzie, że szczególnie Lipskiemu trudno przyjdzie zaufać komuś z PAX-u, w którego Instytucie Wydawniczym pracowałam, i to bez najmniejszego poczucia niestosowności. Ale nie czułam się PAX-em, tylko sobą, a o tej mnie Lipski z pewnością musiał wiedzieć przynajmniej tyle, że będąc przez kilka lat członkiem Stowarzyszenia, wystąpiłam z niego w marcu 68.

W każdym razie powiedziałam Januszowi, że zatelefonuję do Lipskiego, a Janusz nie zapytał nawet, po co. Nie usłyszałam też od niego słówka przestrogi ani nic o zachowaniu rozwagi. O zachowaniu rozwagi i zdrowego rozsądku mówiło się dokoła nieustannie i nawet, a raczej przede wszystkim wtedy, kiedy „zdrowy rozsądek” oznaczał po prostu tchórzostwo.

Tego samego dnia zatelefonowałam do Jana Józefa pod podany w Komunikacie numer i zastałam go w domu, co dzisiaj wydaje mi się nieprawdopodobne. W domu, zdaje się, trochę sypia i w ciągu dnia spędza w nim mniej więcej godzinę. Zapytałam, czy nie zechciałby się ze mną spotkać, i z nieśmiałości — bo wydawało mi się, że nadużywam uprzejmości człowieka, który nie ma ani chwili czasu na postronnych ludzi z ich sprawami — dodałam, że to nic takiego, może jest zbyt zajęty, a pewno jest... Może za kilka dni, gdyby jednak znalazł czas. Na co usłyszałam, że zdaniem mojego rozmówcy trzeba nasze spotkanie zrealizować jak najszybciej.

Spotkaliśmy się nazajutrz w pałacu Staszica, w kawiarni na najwyższym piętrze. Lipski bardzo się spóźnił. Myślałam, że coś się stało, że został zaaresztowany, że wszyscy są już aresztowani; jak wielu innych, i ja przewidywałam taki koniec KOR-u i jego współpracowników. Wielkiej ochoty na więzienie nie miałam; wydawało mi się ono jednak w tej sytuacji całkiem właściwym miejscem dla uczciwych ludzi.

Lipski przecież przyszedł: pierwszy mężczyzna, na którego czekałam pokornie przez czterdzieści minut. Nie mogłam wtedy wiedzieć, że rozpoczynam właśnie długi łańcuch podobnych oczekiwań, czasami z węzłem niepokoju w gardle, niekiedy z pasją, że teraz ja się muszę spóźnić na następne spotkanie, po jakimś czasie wreszcie z rodzajem pozornego stoicyzmu. Jedną z głównych cech opozycjonistów w PRL — w każdym razie ze środowiska KOR-owskiego — jest absolutny brak punktualności, co osobiście znoszę ze straszliwym trudem. Prawda, że na każde spotkanie biegnie „demokratyczny opozycjonista” niemal zawsze z innego, na które spóźnił się albo on, albo jego rozmówca — z tegoż pewnie powodu. Prawda, że każdy wyczekuje wciąż na jakiś telefon, albo musi wytrząsać z kieszeni złotówki, aby po drodze nawydzwaniać się z automatów. Ktoś miał do niego przyjść i nie przyszedł lub wpadł spóźniony, za to z taką sprawą, dla której trzeba natychmiast jechać w przeciwny kraniec miasta. Coś się pisało, przekazywało, nie zdążyło. Wszystko to prawda, sama to znam. Ale powszechność tych spóźnień godzinnych, dwugodzinnych i dłuższych, tych wreszcie „wcale-nie-przyjść” nie całkowicie powodowana jest nadmiernym przeciążeniem pracą. W gruncie rzeczy wychowany w PRL opozycjonista w tymże PRL odczytał się szacunku dla swego, a więc i cudzego czasu. KOR-owski działacz zawsze gotów jest nie spać i nie jeść, ale zawsze też gotów jest spóźnić się z wykonaniem na obiecany termin jakiejś pracy: nie widzi więc powodu, aby ktoś inny koniecznie miał spać i jeść, a w dodatku całkiem dobrodusznie znosi na ogół zwłokę w wykonaniu pracy przez jego kolegów. Obyczaj ten nie dotyczy terminów i prac tzw. kategorii „życie lub śmierć”, których to terminów dochowuje się właśnie kosztem nie spania i nie jedzenia, nieopisanego nieraz zrywu sił i woli; gwoli sprawiedliwości: nie dotyczy też dokładnie wszystkich.

Lipski przyszedł więc po czterdziestu minutach, z właściwym sobie wdziękiem przeprosił za spóźnienie i bez wylewności schował do kieszeni kopertę z pieniędzmi, którą położyłam przed nim na stoliku. Powiedziałam bez wstępów, że jeśli mogę przydać się na coś KOR-owi, jestem do dyspozycji. Zdaje się, że rozmawialiśmy krótko; obydwójce byliśmy rzeczowi.

Dowiedziałam się, że przydać się może każdy: do zbierania funduszu na pomoc potrzebującym; do przepisywania i kolportowania materiałów KOR-u; do udziału w ekipach poszukujących w Ursusie i Radomiu kontaktów z represjonowanymi lub ich rodzinami — a brak przede wszystkim ludzi do Radomia, gdzie, w przeciwieństwie do bliskiego Ursusa, trzeba nieraz posiedzieć więcej niż jeden dzień; wreszcie do wyjazdów na radomskie procesy w charakterze obserwatorów z ramienia KOR, co — dodał uczciwie Lipski — łączy się na ogół z zatrzymywaniem takich „ciekawskich” i innymi nieprzyjemnościami w tubylczych kopenhawkach MO.

Na maszynie wtedy jeszcze zaledwie stukałam, ale postanowiłam się nauczyć, poza tym wiedziałam, że znam osoby, które zaczęły przepisywać natychmiast i z pasją. Zbieranie ofiar na fundusz pomocy było oczywistością. Jednak etatowa — i wówczas codzienna — praca w Instytucie nie pozwalała mi na podjęcie się zbierania danych o robotnikach Radomia, jeśli miałaby się łączyć z przesiadywaniem tam dłużej niż dzień. Byłam wprawdzie przeświadczona, że Instytut uzna za konieczne mnie zwolnić, ale nie chciałam, aby się to stało z powodu nieusprawiedliwionych nieobecności. Pozostawały procesy; jeden dzień w tygodniu miałam wolny, nazywało się to „dzień twórczy”. Nim mogłam żonglować zależnie od potrzeby.

Tak zgłosiłam się jako ochotnik na radomskie procesy. Lipski zanotował mój telefon, siwy kosmyk opadł mu na czoło, kiedy wpisywał go nie do notesu, tylko na jakiś mikroskopijny karteluszek, długi i z trudem wydłubywany przedtem z rozkopywanej przez niego torby z paskiem na ramię. Takich mniejszych i większych karteluszków zawsze miał pełną tę torbę, kieszenie i portfel, ale o tym jeszcze wtedy nie wiedziałam. Ten pierwszy karteluszek zdziwił mnie, więc mi pozostał w pamięci. Pożegnaliśmy się.



Kilka dni później zadzwonił telefon, nieznanym mi bas przedstawił się jako Wojciech Arkuszewski, sprawdziwszy przedtem, czy ja to ja, i podał dzień wyjazdu do Radomia, szósta rano, samochód miał przyjechać pod dom. Musiała to być jeszcze pierwsza dekada października, ale żadnej złotej jesieni: zimno, siąpiący deszcz. Pamiętam, że do torby włożyłam oprócz szczoneczki do zębów ciepłą czerwoną chustę-szal; musiało mi się wydawać, że policja wpuszcza do cel w szalach. Było całkiem mroczno, kiedy o umówionej porze wyszłam w wietrzny, wilgotny chłód. Bardzo punktualnie (!) zajechał duży Fiat, w nim kie-

rowca, którego nazwiska nie znam do dziś, i Arkuszewski, rozpoznawalny po efektownym basie.

Dowiedziałam się, że jadę na rozprawę Zofii Sadowskiej, sprzątaczkę; stała z wolnej stopy jako matka kilkorga małych dzieci, najmłodsze miało chyba ze dwa lata. Odpowiadała oczywiście za chuligaństwo w dniu 25 czerwca; za to samo przebywał już od paru miesięcy w więzieniu jej mąż, tokarz. Rozprawa zaczęła się wczoraj, co z obecnymi na niej obserwatorami, Arkuszewski jeszcze nie wiedział, poprzedni zostali jak zwykle przez policję zatrzymani, niektórzy zakuci w kajdanki, Ludwika Dorna (wówczas jeszcze studenta) bito pałkami w pięty. Przenocowali w komendzie.

Za rondem Marszałkowska - Aleje Jerozolimskie zatrzymaliśmy się; tu wysiadł Arkuszewski, którego rola cicerone na tym się, widać, tego dnia kończyła, za to do samochodu wskoczył żwawo ktoś oczekujący na chodniku. Wnętrze Fiata wypełniło się po brzegi czyjąś żywiołową obecnością, kaszlem, schrypniętym głosem poniżej basowego, ciepłem i hałaśliwą bezpośredniością. Był to Kuroń.

Musiałam go zapewne oglądać wtedy i odbierać „fragmentami”, kawałek po kawałku; dotyczyło to zarówno jego cech fizycznych, jak psychicznych. Siedziałam obok kierowcy, a Kuroń z tyłu (wierząc się i kręcąc), mogłam go więc widzieć tylko wykręcając szyję, co nie było wygodne; musiałam stwierdzić, że w cieplej czapie i kurtce wygląda na zawadiackiego szofera z małym zabawnym nosem; że zdjawszy czapkę odsłonił łysiejącą głowę; że mimo tej łysiny powierzchowność ma zadziwiająco młodzieńczą, a nawet chłopięcą; musiałam zauważyć jego ciemne i wesołe oczy o spojrzeniu bardzo bystrym, bardzo żywym, jego uśmiech pełen zębów, szeroki, zaraźliwy, serdeczny; na pewno już wtedy głuchłam od siły jego głosu, gromkiego śmiechu, przerażających ataków kaszlu. Ale na te pierwsze wrażenia i obrazy nałożyły mi się już wszystkie inne, czteroletnia bliska współpraca i zażyłość.

Byłoby zabiegiem sztucznym rozdzielanie pana Kuronia z tamtej pierwszej godziny od Jacka, ojca chrzestnego, jak się go trafnie, choć żartobliwie określa; bez którego nie wyobrażam sobie dziś po prostu (a któż z nas mógłby to sobie wyobrazić!) dalszego życia i pracy w grupie KOR-owskich środowisk; za którym się przepada, i przed którym się ucieka, ponieważ jego namiętna pasja życia i działania jest równie zaraźliwa i niezbędna, co czasem nie do zniesienia; który nie umie i nie chce oszczędzać sił fizycznych własnych ani cudzych; który z tą samą bezpośredniością jest w stanie każdego dotknąć i głęboko obrazić (wtedy

zawsze z prawdziwą rozpaczą przeprasza, aby to samo zrobić znów przy najbliższej okazji), co ująć i rozczulić; który w ferworze (a Jacek nie w ferworze to Jacek ciężko chory) tak samo bezceremonialnie potraktuje panią Anielę Steinsbergową, jak studentkę z SKS; który usiłując przepchnąć w dyskusjach swój pogląd na rzecz, krzyczy, szaleje, przerywa innym, nie pozwala nikomu dojść do głosu (wystarczy, że odezwie się swoim) lub wypowiedzieć się innym (wtrącając swoje niemożliwe „jeśli można...”) — i nagle gotów jest przyjąć bez gniewu i dąsów zdanie przeciwne, jeśli go przekonało lub jeśli jest wyrazem poglądów upartej większości; który na najbardziej rozhukanych i tłumnych imieninach potrafi zagnać do kąta obecnych wśród gości członków Komisji Redakcyjnej i wymusić na nich tam i natychmiast nadzwyczajne zebranie; który uczy się angielskiego robiąc jednocześnie „pompki”, pozerając śniadanie, przyjmując nieustanne telefony; który każdą kwestię sporną i budzącą czyjeś wątpliwości może każdej chwili z nadzwyczajną cierpliwością przedstawiać i tłumaczyć dziesięć i setny raz; który wyskakując na parodniowe urlopy w ciągu roku codziennie dzwoni do Warszawy z pytaniem, co się dzieje; który wtrąca się apodyktycznie w środek każdej rozmowy osób trzecich; niegrzeczny, źle wychowany, brutalny, a jednocześnie wrażliwy, czuły i serdeczny; mówiący z pełnymi ustami i przynoszący dziewczynom kwiaty na „służbowe” spotkania; terrorysta psychiczny i demokratą doskonały, żarłok, ochlapus, gaduła, sto papierosów i dziesięć szklanek nie herbaty, ale esencji dzienniej, ciągnący karawanę wielbłąd o niepoliczonych garbach.

Nim dojechałam do Radomia, ufałam mu i czułam, że się przy nim nie boję; a więc przedtem musiałam się bać. Byłam taka zielona! A przecież bez zahamowań i zawstydzenia własną naiwnością potrafiłam wypytywać go o wszystko, co tylko przychodziło mi na myśl i dawało się wypowiedzieć w słowach.

Żeby zadawać rzeczowe pytania, trzeba mieć w danej kwestii przynajmniej podstawowe rozeznanie. Ja nie miałam go w najmniejszym stopniu. Nie wiedziałam, ani jakie są moje prawa — te przyznane mi przez PRL — ani jakie prawa przyznane zostały Służbie Bezpieczeństwa i MO, a jakie — prawem bezprawia — biorą sobie oni sami, co mam więc znosić jako formalny przepis, na co się nie godzić. Nie wiedziałam, co to przesłuchanie, zatrzymanie, rewizja; jakie powinny towarzyszyć temu formalności; nie znałam przepisu, który pozwala mi odmawiać odpowiedzi na pytania policji stawiane nawet najbardziej formalnie. Nade wszystko nie wiedziałam, jaka mam być, jaka mam się stać, aby sprostać wszystkim opatom, w jakich mogę się znaleźć.

Stan mojej niewiedzy i dezorientacji przedstawiam niewłaści-

wie. Określenie najbardziej mu odpowiadające powinno brzmieć: nie wiedziałam, czego nie wiem. Kuroń musiał błyskawicznie dostrzec, że jestem analfaberką. Ani mnie wyśmiał, ani zlekceważył. Pogodnie, życzliwie, językiem niezwykle zrozumiałym zaczął uczyć mnie abecadła i składania liter.

Na moją korzyść może świadczyć zapewne fakt, że analfabetyzmu nie próbowałam ostonić żadnymi pozorami, i że miałam zdecydowaną wolę szybko nauczyć się czytać i pisać. Jestem pewna, że to zauważył, bo Kuroń bywa znakomitym psychologiem, jeśli tylko ma czas zatrzymać się przez chwilę nad konkretnym człowiekiem. Ale z podobnie logiczną, obrazową i sugestywną metodą wykładu dla rozpoczynającego nauki od zera — nigdy się nie spotkałam. Dla mnie Jacek Kuroń pozostanie na zawsze ojcem chrzestnym — bynajmniej nie przez żartobliwe kojarzenie go z wszechmocnym Corleone, ojcem mafii; pozostanie nim dla mnie w pierwotnym sensie tego słowa. On trzymał rękę na moim ramieniu, kiedy rozpoczynałam swój nowy los, całkiem nieznanymi.

Wchodząc w kolizję z interesami totalitarnej władzy i mając tego świadomość, człowiek obawia się może najbardziej siebie samego; wie na pewno, że władza będzie się mściła, a nie wie jeszcze, jaką odpornością na akty zemsty z jej strony rozporządza on sam.

Że zostaną skreślona z listy pisarzy, których się wydaje, znawia, o których się w ogóle wspomina, tego byłam świadoma, jak również tego, że taką swoją śmierć cywilną zniosę bez dziecinnych łez rozgorzyczenia. Usunięcie z pracy i pozostanie wobec tego bez środków do życia brałam również naturalnie pod uwagę; jednak na książeczce PKO miałam wówczas aż kilkanaście tysięcy złotych i na koncie w banku około 300 dolarów z zagranicznych tłumaczeń, a niektórzy z przepatrywanych w myślach znajomych mogli mi pewnie pomóc w uzyskaniu bylejakiej pracy. Możliwość ugrzęźnięcia w więzieniu boleśnie rwała w wyobraźni, ale o tym po prostu nie warto było myśleć, to już było jak możliwość ciężkiej choroby, przypadłość losowa: wobec takiego wypadku trzeba się umieć nie tylko zachować, trzeba w ogóle umieć z tym istnieć, a tego człowiek uczy się pewnie *post factum* — jeżeli już musi.

Ale obrażona władza powierzająca zemstę policji — czy może gorzej: policjantom, komendom MO, poszczególnym kapralom, szeregowcom, czasem wreszcie najrozmaitszym mętom w mundurach i bez — to problem całkowicie inny.

Tu wszystko (j a k i e wszystko?) może się zdarzyć — a ja? Jak się w t e d y powinnam zachowywać? Jak rozmawiać —

jeśli w ogóle powinnam? O czym mówić mi wolno, a o czym nie? Co jest właściwe, dopuszczalne, słuszne? Czy na to są recepty? Jaki człowiek ma być, kiedy jest już w rękach policji — i czy ja takim człowiekiem być potrafię?

W ten sposób nie formułowałam pytań zadawanych Kurońowi, usiłując tylko nazwać słowami swój nieokreślony strach, rodzaj ciemności za progiem, który postanowiłam przekroczyć, niewyobrażalność doświadczeń, które podejmowałam się przejść. Jeśli to mało wiarygodne, żałuję; jest jednak prawdą i tylko prawdą fakt, że podczas kiedy Kuroń mówił do mnie, wyjaśniał, odpowiadał i opowiadał, podczas gdy huczał mi nad uchem jak wielki trzmiel — rozluźniał się spinający mnie lęk, rzędły nieczytelne ciemności, doświadczenia, jakie mogły mnie czekać, dawały się przewidzieć i skonkretyzować, a nabierając określonych kształtów traciły demoniczność.

To wówczas właśnie, ze zrozumieniem wychodząc ku jakimś moim kolejnym pomrukom i półpytaniom, Kuroń powiedział *en passant*, że w zetknięciu z policją człowiek — jak zawsze — powinien pozostawać sobą. To znaczy: nie narzucać sobie, broń Boże, żadnej sztucznej postawy, pozy, maski. To znaczy: nie udawać nikogo innego; nie wysilać się na obcy sobie sposób bycia. Byłoby to tylko dodatkowym i groźnym obciążeniem psychicznym, gorsetem, który w pewnym momencie musi „puścić”. Człowiek załamuje się o wiele trudniej, kiedy postępuje i zachowuje się zgodnie ze swym temperamentem, usposobieniem, cechami charakteru: z własną osobowością.

— I — powiedział Kuroń — nie kłamać. Odmawiać udziału w „rozmowie” z policją na konkretne tematy, to nie znaczy kłamać. Kiedy człowiek zaczyna kłamać, zasypie się prędzej czy później. Musi zrobić błąd. A zresztą po co kłamać?

Mówił to wszystko we właściwy mu sposób, żywo, prosto, precyzyjnie (gdyby tak pisał!), i pamiętam ulgę, jaka mnie ogarnęła, i to, że się poczułam rozwiązana z wewnętrznych zasupłań i napięć. Zrozumiałam nagle w całej sobie, że to nie inna, o b c a mi o s o b a spotka się przecież z nieznanymi okolicznościami, nie ktoś nieznanymi mnie ma być na przykład przesłuchiwany, zatrzymywany, traktowany w niewiadomy sposób, poddawany jakimś ewentualnym przymusom i naciskom — tylko właśnie ja, człowiek, jakim jestem. Odkryłam zjawisko niełatwe do nazwania: że owe ciemności, których zdawałam się od paru dni dotykać czołem, brały się w największej mierze z niewłaściwych irracjonalnych przeświadczeń, iż policja, w której rękach prędzej czy później się znajdę, będzie miała do czynienia z kimś, kogo nie znamy obie, policja i ja; i że tej właśnie obcej osoby, pojęcia

nie mam, ile wartej — tak dotkliwie się obawiałam.

Krótko mówiąc, dzięki Jackowi Kuroniowi oswoiłam strach; myślę, że to bardzo istotne. Byłam przecież poza tym pewna, że postępuję słusznie, uczciwie, zgodnie z mym głębokim instynktem, z właściwym mi rozeznanie dobra i zła. Więc bardzo byłam uzbrojona. Rzadko człowiek dostępuje tego szczęścia, aby tak jasno widzieć wszystkie racje rozumu i serca po jednej stronie. Reszta pozostawała sprawą między mną a mną.



Wydaje mi się sprawiedliwe i znaczące wspomnieć pewien szczegół, pozornie oderwany od naszej z Jackiem rozmowy w samochodzie dojeżdżającym właśnie do Radomia. Przez cały czas raczej milczący kierowca, zachowujący jak gdyby dystans wobec spraw, o których była mowa, także tej, która zadecydowała o naszym wspólnym znalezieniu się w trójkę w jego samochodzie na radomskiej szosie, powiedział nagle:

— Słucham tego wszystkiego i myślę: jacy wy dziś jesteście szczęśliwi. I jacy bezpieczni.

Był od nas starszy o dobrych parę lat. W Polsce mogło to znaczyć tylko jedno: że lata kwitającego stalinizmu musiał przeżyć od początku do końca jako człowiek dorosły.

To również zapisałam w pamięci.

Anka KOWALSKA

Na Wyspie

I

— Skoczyć?

Skąd znowu? Nigdy w życiu na żaden skok się nie zdobyła, czemu by więc akurat dziś, z tego akurat brzegu? Zsunąć się, tak, ponieważ istnieje przyciąganie. Ziemia ciągnie i woda, bliźniacze elementy. Zsunąć się łatwo, po prostu przestaje się człowiek opierać. Od dawna przestała opierać się choćby swoim napadom sensowności. Sen, woda, czas... Przywykła bez oporu zsuwać się w mijanie.

Rzeka zalała nabrzeża, podeszła pod same schodki, trąca o kamień, liże go, próbuje. Szybko to się dzieje, zaledwie wczoraj, nie dalej niż wczoraj o tej samej porze mogła być przysiąść na tej oto ławce, o parę kroków stąd i tylko wilgoć, ziab, mżąca mgła przepędziły ją szybciej niż zwykle. No i ten jakiś blondyn. Niby nie narzucający się, nie podrywający, ale czy musiał dosiadać się obok, gdy druga, trzecia ławka, parę metrów dalej, były puste? Dopaliła papierosa, żeby bez demonstracji, cisnęła niedopałek do wody, która już zbliżyła się tak, że nogi trzeba było trzymać pod ławką bo moczyło się buty i wyszła po schodkach na górę, zła.

Już wczoraj ławki były puste, ani żywego ducha nad rzeką, właśnie przez to podejście wody, resztkowy już tylko przesmyk pod murem by do nich dojść jako tako suchą nogą. Więc ani zakochanych, ani teatru. Uczniowie szkoły dramatycznej tuż obok, z nabrzeża, lubili tutaj powtarzać zadane im role, na pamięć już, albo jeszcze z tekstem w ręku. Odgadywała, siedząc cicho, kto Romeo, kto Julieta, a kto Cauchon i krzyczy na biedną Darczanke. W tę ostatnią usiłowała się od paru popołudni wcielić chuda i brzydka dziewczuszka i nawet dla lepszego efektu zgoliła sobie gło-

* Fragment powieści.

wę na glacie, do gołej skóry. Wyglądała jak... No, jak Zugang lagrowy. Albo jak adeptka Kriszny. Bo nie bardzo jak Joanna d'Arc. Tekst nie wchodził do nieprzyzwyczajonej białej czaszki, wciąż zerkała do maszynopisu, aż raz kolega, ów Cauchon właśnie, wyrwał jej w złości kartki, podał i cisnął do wody. Rzuciła się na niego z wrzaskiem, z piąstkami, wcale nie jak święta. Ale teatr!

Mieli też inne, mniej klasyczne repertuary i sportem było odgadywać co znaczy ich gestykulacja, postawa, jakie przyswajają sobie konflikty. Lubiła ich, lubiła i swoją rolę nieproszonego, także próbnego, ale przecież widza. Czuła, że jej obecność z daleka, na pierwszej z brzegu ławce, gdy oni trzymali się arkad mostu, stałej dekoracji, wcale ich nie krępuje, lecz przeciwnie, dopinguje, że nienatrzętna jej wierność pochlebia im. Skoro chcieli być aktorami, znaczyło to, że trzeba im publiki. Nigdy zresztą żadne z nich nie zbliżyło się do jej ławki, próbną scenę od próbnej widowni dzieliła niewidzialna rampa.

Gdzież się podziewają, biedacy, od paru dni, dokąd przenieśli gorączkowe powtórki? Na jakies podwórce? Na Wyspie pełno przestronnych, kamiennych dekoracji po drugiej stronie ciężkich bram. Na jakis placyk? Do kafejki? To nie to samo. Wróć, była pewna, zawsze wracali. Niech tylko rzeka wróci do przytomności. Lepszego miejsca nie znajdują, pod samą szkołą. Ona także powróci na swoją ławkę, dziś nieosiągalną, która teraz ledwo wystaje drewnianym oparciem nad powierzchnię wody. Na ile mogło przybrać, od wczoraj? Na metr? Chyba z metr. Ależ rwie!

Wtem schodki rozsunęły się wszcz, zapadając równocześnie w dół, jak przy zmianie dekoracji. Zakręciło jej się w głowie. Czyżby Sekwana podmyła Wyspę do reszty, skruszyła kable mostów, porwała ją i unosi?

Wyciągnęła ręce do przodu ruchem kogoś, kto zaraz skoczy z chwiejnej trampoliny, a przecież chciała sięgnąć do poręczy z boku, żeby się przytrzymać, albo żeby uchwycić się pierścienia, jednego z tych, którymi były wybite podmurowania nabrzeża na intencję kryp czy łodzi, gdyby jakies zachciało się tu przybić. Już raczej tylko rytmiczna ozdoba, czarne obręcze na szarym kamieniu, bo któż teraz tutaj do brzegu przybija?

Atak? Może jednak zwykłe zakłócenie równowagi, bez konsekwencji. To przez ów ruch robaczkowy wodnego węża, przślizgującego się *perpetuum mobile* pod arkadami mostów w tempie powodziowym, w tempie znarowionego ekspresu bez maszynisty. Ale to wczoraj, przedwczoraj, porównanie do węża pasowało rzecze. Półki trzymała się łóżyska. Dziś pękła na węzu skóra, rozlały mu się trzewia, pulsują, tętnią, śliska, szara krew, żywiołowa nieforemność.

Złudzenia optyczne przyprawiają o zawrót głowy. Ta niby głębia tutaj, o krok, o stopień niżej, wcale głębia nie jest, jest zalewem. Sądząc chociażby po ławce. Gdyby chcieć teraz do niej dojść, zanurzyłby się człowiek najwyżej po kolana, no, po pas. I co to za woda? Zimne pomyje, popłuczyny po wszystkim co się trafiło po drodze, od zjednoczonych źródeł. Szczury w tym raczej, nie ryby. Jak skakać do czegoś takiego?

Tym niemniej, skoro zmierzch zapada i ponieważ akurat zapada zmierzch, rzeka przestawia się na swoje nocne życie. Zmienia skórę. Stoi się wyjściowo, wieczorowo, co błyszczący to jej pasuje, latarnie właśnie wszystkie naraz zapalone, ostry klips księżycy i długi, nieprzerwany sznur fałszywych rubinów, fałszywych bursztynów, sunące mostem samochodowe światła. No i niebo, spód, materia lśniąca, jedwabna, jasna, bo dziś ani chmur ani mgły. Utopione w tym niebie nabrzeżne platany, wierzchołki w dół, na łeb na szyję, zawrotnie. Wszystko marszczone, fałdujące się, plisowane, przegładające się w sobie i odbijane. Stąd pozór głębi, nawet tutaj, na samym rąbku gdzie płytko i stąd zawrót głowy.

Głęboki wdech. Wydech. Zaraz minie.

— Na miłość Boską! Co pani robi? — krzyknął jej ktoś nad uchem i złapał ją za kołnierz.

Idiotyczne! Może się trochę kiwnęła do przodu, ale sen musiałby dłużej trwać niż ta marna sekunda, zresztą trzeba by naprawdę bardzo chcieć, żeby stąd wpaść do wody, bez popchnięcia. A i to o żadnym topieniu się mowy nie ma. Nabiłaby sobie guza i przemoczyła płaszcz.

Wczorajszy blondyn! Stał o dwa schodki wyżej, miał przerażoną minę i wcale nie popuszczał jej kołnierza.

A więc znowu to ją napadło. Po sporym, jednak, antrakcie. Lekarz już zacierał ręce, nowy zestaw prosków, który dla niej wymyślił, wydawał się nareszcie skuteczny. Pewno rozpracowywał teraz po godzinach przyjęć kolejną, wykoncypowaną przez siebie terapię, czemu działa, na podstawie jakich chemiobiologicznych powiązań, bodźców, inhibicji. Bo to było od lat celowanie na chybił trafił, eksperymentalne. No i masz!

Pomiędzy moment, gdy szukała ręką poręczy, a moment gdy poczuła się złapana, znowu zdążył się wsunąć cały osobny płat czasu, jeden z owych wtrętów do jawy, na których polegała rzadka jej choroba. Jak do tej pory, lepiej się na tym znali poeci niż lekarze. Że też akurat do niej musiało się coś takiego przyplątać!

Ale co za szkoda! Bo ów sen więcej niż sen, ta wkładka do życiorysu, bardziej był pasjonujący, bardziej rzeczywisty od stania na schodkach i gapienia się w wodę. No i od blondyna. Nie wiedziała, czy epileptycy lubią swoje ataki i co się wtedy z nimi, w ich środku, w ich głowach naprawdę dzieje. Co do niej, wcale

nie była taka pewna, czy pragnie zostać całkowicie uleczona, choć to jej bardzo komplikowało życie. Zawsze musiała brać pod uwagę, że na środku jezdni, że przy pracy, gdziekolwiek, bez żadnego uprzedzenia, opuści swoje ciało, przestanie nim kierować i znajdzie się w innym, gdzie indziej, kiedy indziej, ale całą sobą, wszystkimi zmysłami, pełną ich świadomością, więc nadal we własnym, ale jakby zdublowanym, zapasowym ciele. Na moment, czy na dłużej, tego też nie sposób było przewidzieć. No, usnie. Jak zając, w pół skoku.

To tak, jakby się miało do dyspozycji dwa samochody i ni stąd ni z owąd, cyrkowo, karkołomnie, na pełnym biegu, puszczało się jedną, chwyciła za drugą kierownicę i jechało całkiem inną drogą. Zawsze więc jeden wóz pozbawiony byłby kierowcy i toczył się samą siłą rozpędu. Właśnie. Rozpęd wszystko ratował. W jej wypadku. Sam automatyzm ruchów. Nie padała tak nagle na ziemię, potrafiła czasem powracać do siebie gdzieś daleko od miejsca, w którym siebie pozostawiła, znaczy więc, że jeśli akurat szła, to szła dalej, w trochę zwolnionym, trochę lunatycznym tempie, a jeśli stała, na przykład w pracy, no to lepiej było wyjąć z ręki brzytwę czy nożyczki, nigdy nie wiadomo. Było to jednak mniej rzucające się w oczy niż jakieś zwykłe zaślabnięcie czy omdlenie i nieraz klientka z namydloną czy najeżoną rurkami głową nawet nie spostrzegła, że coś dziwnego dzieje się z jej fryzjerką. Mała przerwa. Jakby ktoś odwołał ją do telefonu.

Szkoda. Tym razem bardzo to było udane. Nic z groźnych czasami apokalips. Pamiętała każdy szczegół. Normalne przeżycia często zaraz się zacierały, normalne sny często nie pozostawiały śladu, narkoleptyczne sny na jawie pozostawiały jej po sobie wszystko, widoki, dźwięki, smaki, zapachy. Dotyki. Gdy coś jadła, znaczy gdy wydawało jej się (wydawało się jej?) że je, prawie to potem musiała trawić. Gdy coś dzwigała, bolał ją potem krzyż. Tyle, że logiki tych paralelnych wydarzeń nie zawsze mogła odtworzyć, a coś dopiero ująć słowami. Ale nie, jak w normalnych marzeniach sennych bywa, przez ich paradoksalność, tylko jakby przez brak pełnego wtajemniczenia.

Z dużą niechęcią wprowadzała w te swoje dodatkowe światy lekarza. To było trudne, właściwie beznadziejne. Cóż on mógł z tego zrozumieć, jakie wyciągać wnioski? Wszystko i tak było przetłumaczone. Musieliby mieć nie tylko wspólny język, dosłownie i w przenośni, lecz nawet wspólne lektury, te najważniejsze, elementarne. W ogóle być z tej samej sprawy i żyć na podobnych papierach.

Nalegał, owszem, zwłaszcza na samym początku, wymuszał zeznania, zabawiając się we Freuda. Na szczęście dość szybko poszedł raczej tropem materii, wulgarnej jej przemiany i odtąd nie jakieś

tam wstrząs z dzieciństwa, lecz to ten, to inny z jej gruczołów posądzał o wariactwo, o zboczenie i próbuje to znormalizować coraz to innym zestawem chemikalii. Uleczyć? Nie tylko. Przyczynić się od strony praktycznej raczej niż od teoretycznej do skatologowania, rozszyfrowania identyczności kapryśnej kuzynki epilepsji.

Rażonych padaczką, pieniących się, odgryzających sobie języki już się prawie nie spotyka. Są na to terapie. Narkoleptyków zawsze było mniej, a może mniej rzucali się w oczy. Bardziej zróżnicowane, bardziej indywidualne były u nich objawy. Lekarz z Wyspy wyraźnie brał za zrządzenie losu, że taki niecodzienny „wypadek” wpadł mu w ręce i do kartoteki.

Pasja zawodowa, z pewnością. To był dobry lekarz, lekarz z powołania. Niedodyplomowany, ponieważ żona zmusiła go za wcześnie, by zaczął zarabiać na jej futra i biżuterie, więc głównie z grypmi i wątrokami toczył boje, ale gdy trafiło się coś poważnego, nie opuszczał swojego chorego aż do śmierci, a gdy musiał już wydać go w ręce specjalistów, asystował przy operacjach, przekładał na ludzki język rezultaty analiz i gdy już nie mógł na ciele, podtrzymywał na duchu.

W jej wypadku z pewnością wchodziła w rachubę ciekawość i ambicja zawodowa, ale głównie pasja badawcza, stłamszona przez życie. Specjalistów w tej materii wielu nie było, nawet w Paryżu. Gdyby tak udało mu się całkiem samemu, chałupniczą metodą, wypracować na niej skuteczną kurację, wysledzić jakiego zaburzenia funkcjonalnego rzadka ta choroba jest skutkiem, cóż za perspektywa, jaki rewanż! Lepiej niż dyplomy, konkursy, specjalizacje: okrycie! Trudzą się nad tym całe zespoły za granicą, mają na ten cel dotacje, przeekwipowane laboratoria, zjeżdżają się na kolokwia, na kongresy, i nic. A tu nagle on, skromny internista z Wyspy, grypowy omnibus, sam! I z najniższego, choć lukratywnego schodka przeskok na szczyty kariery. No, a czemu by nie Nobel?

Zależało mu na niej tak, że właściwie to on powinien by jej płacić za konsultacje, a nie ona jemu. Zresztą nie zawsze przyjmował honorarium, podejrzewała, że gdyby nie strach przed żoną, od dawna leczyłby ją za darmo. Ile razy, zniechęcona, wymykała mu się na dłużej, wytelefonowywał ją, albo wpadał rankiem z walizką w rękę, między jedną a drugą wizytą, niby że mu po drodze. Rozglądając się pewno na boki, czy akurat małżonka nie kroczy ulicą.

Od progu wyciągał stetoskop, mierzył jej ciśnienie, notował. Miała u niego osobną teczkę z obserwacjami. Marzeniem jego było móc asystować przy jej zapadnięciach w sen, podglądać co się

wtedy z nią dzieje, liczyć puls, podnosić powieki, podstuchiwać serce. Parę razy mu to się udało. Była jego życiową szansą, jego prywatnym królikiem doświadczalnym.

Parę dni temu uradowała go, przyznając, że jakby się uspokoiła, że odkał bierze nowy zestaw proszków, nie miała ataku. I nagle, wczoraj: ponowa! Między wyciągnięciem ręki i okrzykiem: co pani robi! — zmieścił się jeszcze jeden równoległy świat.

Na Wyspie. Stała, tak samo stała, ale nie na schodkach schodzących ku rzece, tylko w otwartym oknie obszernego salonu. Było jej zimno. Przybyła tu z daleka, utrzęsona podróżą po wybojach dróg. Bolały ją nogi wtłoczone w ciasnawę, pożyczone pantofle. Na korkach. Pod oknem płynęła tak samo Sekwana, też wezbrana powodnią, ale przybrana w inne brzegi. Patrzyła na nią pod innym kątem, z bardziej wysoka. Myślała: głupio, że okno otwarte, może należałoby je przymknąć, ucieka przezeń muzyka i przepada. Nikogo nie obchodziły jej dźwięki. Uliczni przekupnie pokrzykiwali, podśpiewywali, coś tam zachwalając, turkotały wozy, stukały kopyta koni. Czy nikomu spośród słuchających koncertu za jej plecami ten gwar nie przeszkadza? A temu, który gra? Więc zamknąć to okno? Ale była tu obca, nieproszona, nieprzewidziany gość, niezręcznie tak się rządzić. No i okno ogromne, pałacowe. Gdyby zaczęła z nim się szarpać, wynikłby jeden zgrzyt, jeden hałas więcej.

Zawołać kogoś ze służby? Jakim tytułem?

Ciepło także wyciekało, parując. Też szkoda. Trzęsły nią dreszcze. Za jej obnażonymi plecami zaduch był salonowy, domieszka potu spod nie tak bardzo domytych, wyperfumowanych pach, z niedopranych żakietów i sukien. Fajkowy dym. Lulki pałą. Pełno gości. Nie wszyscy przerwali rozmowy, a więc pod muzyką przemycane szepty, ptasi trzepot wachlarzy. Ktoś barbarzyńsko zastukał bucikiem do taktu. Spostrzegł się, może trącony czymś łokciem, spiorunowany czymś okiem. Przystał.

Nie patrzyła, ale wiedziała, że panie mają jak ona dekolty, nisko zsunięte rękawy, szumiące spódnice do ziemi. Loki angiezy, śliskie, przypiekane rurkami. Więc jeszcze i ten leciutki swąd palonej sierści, zwierzęcy. Jak w kuźni. Albo jak u niej w pracy. Na szyjach mineralny poślizg kolisty, różańcowych pereł. Medaliony na mięsistych wstążkach z aksamitu. Koronkowe chusteczki mięte w rękę.

Dostała się tutaj spóźniona, w samym środku koncertu, służba wpuściła ją po ceregielach i pertraktacjach. Na palcach podeszła do okna. Nikt na nią nie zwrócił uwagi. Ale zaraz będzie musiała to im obwieścić. Złą nowinę. Od czego zacznie? I kiedy? Gdy nareszcie zamilknie klawikord. Wtedy odwróci się od okna, o, wtedy właśnie przymknie okno jak potrafi, nawet jeśli niezręcz-

nie i ze zgrzytem. Pokryją to grzeczne oklaski. I podejdzie do klawikordu. Stanie przy kłaniającym się muzyku. W ten sposób z punktu ściągnie na siebie ich uwagę. Obejdzie się bez krzyku.

Tymczasem słuchała koncertu, melodii trochę smętnej a trochę tanecznej, ludowo-salonowej, jakby chorowitej, rozpalanej napadami gorączki, to znów dygocącej z zimna. W palcach miała rąbek wstążki, którą miała opasaną szyję. Na niej medalion z miniaturą w środku i puklem jego włosów. Tego, o którym myśli z raną w sercu i w którego imieniu zaraz zabierze głos. Jest jego emisariuszką.

Wstążka czarna, oczywiście atłasowa, mięsista. Lepka. Suknia biała. Atłasowe pantofelki, białe. Uwierają, jak i gorset, zbyt mocno, zbyt pospiesznie przed przyjściem tu sznurowany. I tak ledwo się udało dopiąć pożyczoną suknię. Byle nie pękł jakiś szew. Byle się nie wywrócić na środku salonu przez te korki, do których nie jest przyzwyczajona. A także: co powiedzą na widok jej ostrzyżonej głowy? Na głacę? Trzeba było sobie także skądś pożyczyć perukę z angielkami.

To głupstwo. To są detale. Nieważne, jak ubrana, jak wygląda, na kogo wygląda. Powie, co ma powiedzieć, spełni misję i powróci do swoich. Tam, nie tutaj jej miejsce.

Koncert dłużył jej się, niewczesny, a może także im, wielu musiała słuchać go z grzeczności. Bliższe już wydawały jej się odgłosy uliczne, zza granicy okna, wpychające się po plebejsku do arystokratycznego salonu barwne melopee, buczenie kryp, mijających się na rzece, jakieś z daleka okrzyki, groźne, tłum ciągnący mostem, czegoś się domagający. I nagle, na to wszystko, dzwony. Nieszpory? Pogrzeb raczej. Na nieszpory czy śluby inaczej się dzwoni. Klawikord za jej plecami ignorował te wtręty dźwiękowe, kaprysił, nawracał do porzuconych po drodze motywów, splatał z nich nowe wiązanki, nowe akordy, zwalniał, przyspieszał, milkł, jakby dla zacerpnięcia oddechu.

W czasie jednej z takich pauz ktoś niewtajemniczony muzycznie zaklaskał z niewczesną gorliwością, myśląc że to finał. Zaraz ucichł, skonfudowany. Ktoś wytarł sobie siarczyście nos, wzwyżczajony do tabakiery. Parę odchrząknął. Pozaziębiają się przez to otwarte okno. Ktoś zaniósł się kaszlem.

Kto tak kaszle? Ojciec? Ojciec! Tak, to jest jego kaszel! Znajomy, nieraz nasłuchiwany trwożnie, jego kaszel palacza.

Ojciec tutaj? Teraz?

Opanowała się. Mogłaby, ale nie będzie się oglądać. Ojca tu nie ma. Nie może tu go być. Ani tutaj, ani nigdzie, ojca już być nie może.

A jednak... To przecież on kaszle...

Muzyk przestał wreszcie wahać się i przebierać, może trochę tymi dzwonami zdopingowany, natchniony, a trochę krzykami z mostu. Począł zewnętrznie z wewnętrznym, zebrał wszystkie tony i cisnąc pedały do deski, spadł na klawisze z całym rozmachem od łokcia, zagrzmiał. Chyba finał?

Nareszcie. Zaraz kolej na nią. Odwróci się od okna. Podejdzie do klawikordu. I zobaczy ojca. Jeżeli to on.

Nagle atlasowa wstążka stała się kołnierzem płaszcza, okno schodkami nad rzeką, zaś za nią żaden obszerny salon, żaden koncert, żaden ojciec czy jego duch, lecz wczorajszy blondyn z ławki, czerwony na twarzy i wrzeszczący jej prosto do ucha.

Jak tu nie żałować? Taka niekorzystna zmiana...

Wyszarpnęła mu się gwałtownie, tak że teraz dopiero mogła była wpaść do wody, jego za sobą pociągając. Do czego się wtrąca? Znowu jej przeszkodził i znów ją zirytował.

— Myślałem, że... Proszę mi wybaczyć, ale...

Plótł byle co, nad miarę speszony. I nagle, przez to właśnie zdała sobie sprawę, że oto zmienił język. Jak zawodowy tłumacz. Bo tamten pierwszy jego krzyk, odruchowy, wyrwał mu się w innej mowie, zapewne ojczystej. A teraz struga Francuza. Jak to brzmiało? Ależ tak:

— Na miłość Boską, co pani robi?

Czyli rodak. Jeszcze tego brakowało! Jak to dobrze, że nie zdążyła otworzyć ust, bo i jej mogłoby się wyrwać coś dekonspirowanego. I na nic tyloletnia mistyfikacja, więcej: transfiguracja. Na jawie od dawna przestało to jej grozić, ale ze snami nigdy nie wiadomo. We śnie, jak pod wpływem emocji albo pod narkozą, powraca się do automatyzmu pierwszej mowy. Albo jak przy wylewie krwi do mózgu. Języki później nabyte zalewane są przez przybierające potopy, ale ten jeden, macierzysta wysepka, najdłuższej wystaje ponad powierzchnią szczątkowego bełkotu, zupełnie jakby był zamagazynowany na wyższym poziomie, zabezpieczony specjalną służą.

Owszem, lekarz domyślał się jej prawdziwego pochodzenia, ale była pewne, że nikomu tego nie zdradzi. Dla niego zresztą nie było to ważne. Nikt poza nim, chyba nikt, bo i szef, tak życzliwy, tak rozumiejący jej komplikacje chorobowe i we wszystkim idący jej na rękę, uwierzył raz na zawsze, że ona ma akcent prowincjonalny. To usprawiedliwiało chropawość jej r i egzotyczność niektórych sformułowań. Dla Paryżan z dziada pradziada, takich jak on, prowincja jest egzotyka. Upilnowała się do tej pory i teraz też, chwala Bogu za to, przed owym blondynem, choć tak brutalnie, za kołnierz, wyciągnął ją ze świata, w którym wszystko działa się po polsku i po polsku jej się wszystko przeżywało.

Za to jemu wypsnęło się. Ale speszony! Niech myśli, że ona tego nie dosłyszała, że nie połapała się w niczym. Nie będzie się z nim wdawać w żadne konszachty.

Więc, poprawiając na sobie płaszcz z obrażoną godnością, na szczęście nie wyrwał jej z mięsem guzika, odpowiedziała mu najczystsza możliwie francuszczyzną, ton zaś przybrała salonowy i akcent tak spiczasty, jakby to działa się wciąż na cyplu Wyspy, w otwartym oknie pałacu Lambert, a nie tutaj, na schodkach, na poziomie przybranej rzeki:

— Bardzo dziękuję. Rzeczywiście, miałam lekki zawrót głowy. Ale niepokój pana był zbyt czyny...

I razem wyszli na górę. Jednak razem. Jak umówiona para. Dzwony naprawdę dzwoniły na pogrzeb, naprawdę ktoś grał Szopena, pewno radio i na most naprawdę wchodziły pierwsze transparenty jakiejś manifestacji, skandując dyktowane przez tubę slogan.

Zofia ROMANOWICZOWA

LESŁAW JUREWICZ

„ZBRODNIA CZY POCZĄTEK
WOJNY DOMOWEJ”

Rok 1943 i następne. AK, NSZ, PRL - GL.
Narodowe Siły Zbrojne usiłują zniszczyć tyranię w zarodku.
Walki bratobójcze. Sowiecka interwencja zbrojna.
Ostatnie oblawy: rok 1956.

Pierwsza książka o wojnie domowej z komunizmem w Polsce
w latach 1943-1952)

Cena egzemplarza wraz z przesyłką — \$ US 12,00.

Do nabycia u autora:

Lesław Jurewicz
528 West 111th Street, New York N.Y. 10025, U.S.A.

Wiersze

Ryszard KRYNICKI

NOWY DZIEŃ

Spółdzielnia Inwalidów Dwudziestolecia PRL
czeka na nowy lokal, wieje wiatr,
chrzęści piach holocenu, wypadają włosy.
Twoje bezrobotne ty
mija rosnącą w oczach kolejkę przed kioskiem.
Zmiętoszona gazeta
z wypłowiłym już zdjęciem nowego przywódcy
podrywa się do lotu i wpada pod koła
karetki pogotowia. Otwórz,
otwórz telegram z różową wstążeczką,
może pomógł kobalt.
Gdy odprowadzisz dziecko do przedszkola
w powojennym baraku, zobaczysz jak co dzień
czuwającego na murze strażnika,
który oka nie spuszcza

z tego, co dzieje się po drugiej stronie.

IX, 80

CZEGO SIĘ BOISZ?

Polsko Polsko, czemu ty,
z której ust nie schodzi siła
tak bardzo się boisz,
tak bardzo boisz się słów,
ze konfiskujesz słowniki?

XII, 79

JEŻELI JESZCZE ŻYJESZ?

Jeżeli jeszcze żyjesz, kto
naigrawa się z twojej bezbronnej nagości?
Kto ciebie nienawidzi,
kto tak się ciebie boi, że kazał cię wystać
w przepelnionym transporcie
do państwowej papierni? Może już
prześwitują twoje białe kości
przez partyjne broszury, twoje żywe prochy
strzepuje ktoś z kołnierzy widmowych dzienników?
Wolna, bez ojczyzny, wróciłaś do kraju,
w którym ty także masz prawo do pracy
ale tylko fizycznej — robotnico słowa,
więźniu polityczny.

1978

NIECH JUŻ TAK POZOSTANĄ

Niech już tak pozostaną, zapomniane,
wiersze na cześć Stalina, wielkiego
mordercy.
Nie z niewiary w poezję:
ze współczucia dla błędu,
choćbyśmy nie mieli go popełnić sami,
z lęku przed trwoźnymi,
gotowymi na wszystko ludzkimi słowami,
których już ludzka ręka nie wymaże.

1979

KTÓRY WALCZYŁEŚ

Który walczyłeś
będziesz zbierał owoce
klęski lub zwycięstwa.

Żywy czy umarły.

Który byłeś zabity
doczekasz, że morderca
skorzysta zechce z prawa łaski.

*Niewinny,
z wyroku sprzedajnego sądu
doczekasz się utaskawienia.*

*Który byłeś wyklęty,
pozostaniesz wyklęty.*

1978

Ryszard KRYNICKI

Marek BATEROWICZ

PIOSENKA Z POCIĄGU

*Wracam do ciebie powoli,
ziemio pod siódmym księżycem,
choć wiem, że śniegiem zmroziś
i pętlą rzuconą na szyję —*

*Przywykły do jej ciężaru,
zapomnę wkrótce o niej,
kiedy uściskę w żalu
małej córeczki dłonie.*

*I stanie się jasnym śmiechem
to, co zastygło w mroku,
w błękitnych oczach wszędzie
pachnący słońcem krokus.*

*Dokoła skrzypi śniegiem
i gwiazda już rozkwita,
długim białym szeregiem
nadchodzi wielka cisza.*

Porto - Lizbona, 5. XII. 1979

Archiwum polityczne**Klasowa struktura Europy
Wschodniej**

Powstanie „Solidarności” ma, obok szeregu specyficznych właściwości, aspekty walki klasowej. Jest to starcie klasy robotniczej z klasą która obecnie rządzi w krajach gdzie kapitał i bogactwa naturalne zostały upaństwowione. Klasa ta została po raz pierwszy opisana w książce Milovana Đilasa „Nowa klasa”, opublikowanej w 1957 roku. Đilas tworzył swoje teorie na podstawie obserwacji stosunków jugosłowiańskich, lecz jego analiza stosuje się również do innych państw wschodnioeuropejskich, a przede wszystkim do obecnego Związku Sowieckiego.

Pojęcie klasy społecznej sugeruje kategorie ludzi, których łączą wspólne interesy w zakresie produkcji i podziału dochodu społecznego. Klasa nie jest zjawiskiem instytucjonalnym, lecz koncepcją socjologiczną, która ułatwia zrozumienie rzeczywistości społecznej. Konkretni ludzie mogą nie mieć świadomości swoich klasowych interesów, a czasami nawet działać wbrew tym interesom. Zrozumienie tych interesów ułatwia interpretację ruchów masowych oraz interpretację historii.

Gdy przed niespełna 65 laty w Rosji carskiej jako sztubak w średniej szkole w przededniu rewolucji próbowałem, podobnie jak szereg moich rówieśników i kolegów, czytać Plechanowa i Kautskiego, uderzyło mnie szczególnie twierdzenie, że klasy panujące mają zdolność narzucania klasom eksploatowanym swego sposobu myślenia. Oznaczało to, że klasa panująca nie tylko zagarniała istotną część produktu społecznego, lecz jednocześnie usiłowała duchowo ujarzmić klasę robotniczą.

Przed rewolucją rosyjską w środowiskach warstw uprzywilejowanych samo rozważanie antagonizmów klasowych było bardzo niepopularne. Młodzieniec, który zaczynał mówić o podziale klasowym społeczeństwa, był uważany za niebezpiecznego wywro-

towca. Po rewolucji grupy, które doszły do władzy w krajach Europy Wschodniej ogłosiły zniesienie eksploatacji klasowej. Twierdzenie, że nadal istnieje podział na klasy uprzywilejowane i upośledzone stało się nieprzyzwoitością. Dżilas, dawny aktywny komunista i były współpracownik Tito, typowany na jego następcę, doszedł na zasadzie swego doświadczenia do przekonania, że aby zrozumieć społeczeństwa krajów komunistycznych, trzeba przeanalizować ich strukturę klasową. Stosuje się to zarówno do Związku Sowieckiego jak i do Polski.

Geneza

W Rosji Sowieckiej nowa klasa zaczęła się formować, kiedy w 1921 roku, po zakończeniu wojny domowej i zawieszeniu broni z Polską, na porządek dzienny wysunął się problem kadr, tzn. problem wyboru odpowiednich ludzi do tych zespołów, które miały stanowić aparat władzy na całym ogromnym terenie dawnego imperium carów. Na samym szczycie tego aparatu siedzieli wybitni intelektualiści partyjni, lecz chodziło przede wszystkim o zmontowanie szczelnej pośrodków, tzn. terytorialnych i branżowych organizacji partyjnych. Zadanie to powierzono Generalnemu Sekretariatowi Partii, na czele którego postawiono w 1922 roku Józefa Stalina. Ludzie, którzy stali na czele partii nie mieli wysokiej opinii o zdolnościach intelektualnych Stalina, lecz uważali go za dobrego organizatora. Stalin starał się obsadzać różne kluczowe stanowiska ludźmi, którzy w ten lub inny sposób byli od niego zależni. Ich poparcie ułatwiło mu później przeprowadzenie rozgrywek zarówno z partyjnymi intelektualistami (Trocki, Zinowiew, Bucharin, Preobrażenski itd.) jak i ze starymi bolszewikami (Tomski, Rykow, Piatakow, itd.).

Ta nowa warstwa, która wyłoniła się z zamieszek wojny domowej i późniejszej organizatorskiej aktywności Stalina, nabrała szczególnego znaczenia, gdy przyjęto program „budowania socjalizmu w jednym kraju”, tzn. tworzenia przemysłu ciężkiego bez współudziału czynników zagranicznych. Lata uprzemysłowienia bez udziału kapitału zagranicznego były okresem znacznego obniżenia stopy życiowej prawie wszystkich grup ludności. W niektórych częściach kraju panował głód spowodowany forsowną kolektywizacją rolnictwa. Gwałtowna kolektywizacja w początkach lat trzydziestych nie była podyktowana, jak niektórzy sądzą, względami doktrynalnymi, lecz dążeniem centralnego rządu do kontroli nad dystrybucją żywności, której chłopcy nie chcieli dostarczać do miast po cenach centralnie zarządzonych. Przymusowa kolektywizacja pociągnęła za sobą przede wszystkim ogromny spa-

dek produkcji hodowlanej, lecz rząd zdobył możliwość kierowania dystrybucją zmniejszonej ilości płodów rolnych oraz wyżywienia armii, wzrastającej ludności miast, a także ludności obozów pracy przymusowej.

W tym okresie ogólnego obniżenia poziomu bytowania warstwa administratorów, dyrektorów oraz partyjnych propagandzistów miała o wiele lepsze warunki życia niż inne grupy ludności. Stalin uznawał te przywileje za rzecz naturalną. W 1931 roku wygłosił swoje sławne przemówienie, w którym odgrodził się od egalitarnych ideałów głoszonych w pierwszych latach rewolucji. Ideały te — wolność, równość i braterstwo — zostały odziedziczone po Wielkiej Rewolucji Francuskiej, która była przeciw rewolucją burżuazyjną i stanowiła wyraz mentalności drobno-mieszczańskiej. Człowiek, który kieruje nowoczesną fabryką lub dowodzi wielką jednostką wojskową, musi być zwolniony od trosk związanych z kupowaniem produktów, przyrządzaniem jedzenia lub czyszczeniem butów.

To rozumowanie leżało u podstaw nowego systemu cen i płac, który został wprowadzony w pierwszej połowie lat trzydziestych. Michał Tomskij (Jefremow), stary działacz robotniczy i były więzień carski, który jako prezes Centralnego Zarządu Związków Zawodowych był zwolennikiem wyrównywania dochodów, został usunięty ze swego stanowiska. Skończył samobójstwem w 1936 roku, żeby uniknąć aresztowania podczas akcji likwidowania starych bolszewików.

Proces dyferencjacji wynagrodzeń i dochodów objął również wojsko. W drugiej połowie lat trzydziestych przywrócono dawne stopnie oficerskie i generalskie. Związek Sowiecki miał być odtąd społeczeństwem opartym na hierarchii i dyscyplinie.

Sowiecki Termidor

Należę do pokolenia, które miało szczególną możliwość obserwowania tych grup społecznych, które rządziły Rosją. W roku rewolucji październikowej byłem studentem Uniwersytetu Moskiewskiego, studiującym prawo i nauki społeczne. Miałem więc okazję widzieć jak na tę rewolucję reagowały sfery intelektualne.

Powszechnie studiowano wówczas dzieje Wielkiej Rewolucji Francuskiej, widząc w niej model, pozwalający przewidzieć bieg wypadków. Za momenty przełomowe uważano egzekucję Robespiera (9 Termidora — 27 lipca 1794) oraz rozwiązanie Konwentu, które nastąpiło wkrótce potem (1795). Dyskutowano więc nad tym, kiedy przyjdzie rosyjski Termidor. Zastanawiano się również, kto okaże się rosyjskim Napoleonem. Już w kilka

miesiący po rewolucji lutowej elementy konserwatywne typowały do tej roli gen. Kornikowa, potem, po wojnie domowej, mówiono o późniejszych marszałkach Tuchaczewskim i Blucherze jako kandydatach do odegrania roli Napoleona.

Pomiędzy wzięciem Bastylii (1789) a Termidorem upłynęło pięć lat. Gdy w pięć lat po rewolucji październikowej okazało się, że Lenin i partia mocno siedzą w siodle, zaczęto powoli zapominać o rozważaniach na temat sowieckiego Termidora. Było więc dla mnie czymś bardzo interesującym, gdy w latach trzydziestych, jako młody docent wileński objazający się po uniwersytetach zachodnich, natrafiłem na artykuł Trockiego, którego tezą było, że w Związku Sowieckim Termidor już się dokonał. Według tej tezy „czystki”, które się wówczas odbywały, stanowiły Termidor rewolucji rosyjskiej.

Termidor sowiecki był niezmiernie krwawą operacją. Pewne cyfry zostały ujawnione przez Chruszczowa na XX Zjeździe Socjalistycznej Partii Komunistycznej. Według jego oświadczenia spośród 139 członków i kandydatów wybranych do Komitetu Centralnego na XVII Kongresie Partii w 1934 roku, 98 (70 %) zostało potem wyeliminowanych, przeważnie fizycznie.

Jednocześnie odbywał się na ogromną skalę proces oczyszczania armii sowieckiej z kadr dowódczych, które ukształtowały się podczas wojny domowej 1918-1921 i które były przepojone lojalnością wobec pewnych haseł oraz idei, a nie wobec Stalina osobiście. Czystki w drugiej połowie lat trzydziestych usunęły trzech marszałków spośród pięciu, 13 spośród 15 dowódców armii, 57 spośród 85 dowódców korpusów, 220 spośród 406 dowódców brygad. Aresztowana została ogromna ilość oficerów niższych stopni¹. Według obliczeń japońskiego wywiadu, podanych w głośnej książce Leonarda Szapiro o dziejach partii komunistycznej, fizycznie zlikwidowano około 90 % generałów, 80 % pułkowników oraz około 30.000 oficerów w stopniach poniżej pułkownika². Dyskretna operacja mordowania oficerów Armii Czerwonej była nadzorowana przez Jeżowa i Berię. Można sobie łatwo wyobrazić, że gdy w 1940 roku Beria nadzorował operacje mordowania polskich oficerów skoncentrowanych w Kozielsku, Starobielsku i Ostaszkowie, stosował tutaj doświadczenie nabyte przy analogicznych operacjach w stosunku do oficerów Armii Czerwonej.

Stalin popierał dążenie do dobrobytu materialnego tej ogromnej kadry wykonawczej, która wytworzyła się pod kontrolą Ge-

1. Hugh Seton-Watson, *From Lenin to Khrushchev*, Praeger, 1960, str. 170.

2. Leonard Shapiro, *The Communist Party of the Soviet Union*, Vintage Book, 1960, str. 420.

neralnego Sekretariatu Partii, lecz jednocześnie ustanowił dla członków tej wybranej warstwy system bardzo surowej odpowiedzialności, przy którym za każde uchybienie, zawinione czy niezawinione, płaciło się głową. Podczas kilku lat, które spędziłem w więzieniach moskiewskich oraz w łagrach na Dalekiej Północy, spotkałem sporo przedstawicieli tej warstwy: inżynierów na odpowiedzialnych stanowiskach, dyrektorów fabryk, naczelników wydziałów z centralnych ministerstw, pracowników instytutów badawczych. Szczególnie kształcący był dziesięcioletni pobyt w więzieniach na Łubiance i w Butyrkach w 1940-1941 roku. Moi towarzysze niedoli opowiadali mi sporo o wysokim poziomie ich stopy życiowej przed uwięzieniem. Opowiadali też o okolicznościach, które doprowadziły ich do więzienia: niedociągnięcia w wykonaniu planów produkcyjnych, donosy, intrygi, trudności związane ze zdobyciem niezbędnych materiałów i środków produkcji i konieczność robienia różnych nielegalnych operacji, by te materiały zdobyć. Dyrektor techniczny wielkiego zakładu budowy samochodów opowiadał mi, że obliczył, iż w latach trzydziestych przeciętny okres trwania na stanowiskach dyrektorskich wynosił mniej więcej 4 lata. W ciągu tego czteroletniego okresu zwykle musiało stać się coś, co doprowadzało do piwnic NKWD. Lecz z reguły ludzie ci nie żałowali lat spędzonych na kluczowych stanowiskach. Upajała ich świadomość zakresu danej im władzy oraz poczucie, że brali aktywny udział w tworzeniu rzeczy wielkich, że budowali nowoczesny przemysł dla przyszłej Rosji. Rodziła się duma z przynależności do warstwy rządzącej oraz wiara w jej historyczną rolę.

Z tych opowiadań odniosłem wrażenie, że na wyższym i średnim szczeblu był to aparat wolny od korupcji w sensie różnego rodzaju nadużyć dla własnego bogacenia się. Były natomiast duże nadużycia jeśli chodzi o fałszowanie wyników ilościowych lub różne nielegalne sposoby zdobywania materiałów, niezbędnych dla wykonania wyznaczonych przez plan zadań.

W więzieniach zetknąłem się z dwoma wyższymi wojskowymi w randze dowódców dywizji. Zrobili na mnie pierwszorzędne wrażenie ludzi zdolnych do samodzielnej oceny sytuacji międzynarodowej i wewnętrznej. Przypuszczam, że w okresie stalinowskiego Termidora zdolność do samodzielnego myślenia była jedną z cech prowadzących do ostatecznej eliminacji danego osobnika.

Rozwój post-stalinowski

Śmierć Stalina oraz przyście Chruszczowa wniosły poczucie

osobistego bezpieczeństwa do życia ludzi należących do tej uprzywilejowanej warstwy. Skończyły się ciągle areszty i śledztwa. Chruszczow, chociaż należał do posłusznych wykonawców rozkazów Stalina, nie był jednak typowym przedstawicielem tej nowej klasy. Chruszczow wierzył w komunizm i zapowiadał, że mniej więcej koło roku 1980 zacznie się okres przejściowy pomiędzy socjalizmem a komunizmem a wzrost produkcji będzie taki, że szereg dóbr pierwszej potrzeby stanie się dostępny dla wszystkich obywateli bez żadnej opłaty.

Niektóre pomysły Chruszczowa stanowiły niebezpieczeństwo dla klasy uprzywilejowanej. Zapowiedział on np. akcję zmierzającą do zmniejszenia rozpiętości dochodów pomiędzy różnymi grupami społeczeństwa sowieckiego. Jego reforma systemu oświaty miała narzucić dzieciom warstwy uprzywilejowanej dwuletni staż pracy w charakterze robotników fizycznych przed pójściem na wyższe studia. Rewolucja pałacowa, która usunęła Chruszczowa i wyniosła na szczyty Breżniewa, leżała w interesach tej warstwy. Breżniew może być uznany za jej typowego przedstawiciela. Luksusowe prywatne samochody oraz zamiejskie luksusowe wille stały się symbolem statusu oraz przynależności do warstwy dzisiejszych władców Związku Sowieckiego.

W lutym 1980 roku *Der Spiegel* opublikował serię artykułów o charakterze i trybie życia klasy społecznej, która rządzi Związkiem Sowieckim³. Współautorem tych artykułów był Michał Voslenski, sowiecki historyk, który odegrał poważną rolę w sowieckiej administracji okupacyjnej w Niemczech po drugiej wojnie światowej i miał w wojsku sowieckim stopień generalski (cztery gwiazdki). W połowie lat siedemdziesiątych udało się mu w sposób nie wzbudzający sensacji przenieść się do Austrii; potem został pracownikiem Max-Planck Institut w Starnbergu. Voslenski charakteryzuje Związek Sowiecki jako społeczeństwo klasowe, opisuje styl życia warstw rządzących i próby zamaskowania klasowego charakteru tego społeczeństwa. Szczególnie dużo uwagi poświęca on opisowi oficjalnego rejestru ludzi, którzy są kwalifikowani do objęcia kluczowych stanowisk w różnych dziedzinach życia sowieckiego. Rejestr ten nazywa się *nomenklaturą* i w pewnym stopniu przypomina rejestry szlachty (*dworianstwa*), które istniały za czasów carów. Zaliczenie do nomenklatury otwiera drogę do wyższych kluczowych stanowisk oraz do materialnych przywilejów przyznawanych członkom rządzącej elity. Legitymacja partyjna ułatwia pięcie się do nomenklatury, chociaż zdarza się w pewnych, raczej wyjątkowych wy-

3. *Der Spiegel* nr 7-9, 1980.

padkach, że ludzie nie należący do partii trafiają do spisów nomenklatury. *Der Spiegel* oblicza, że rejestr nomenklatury zawiera około 250.000 nazwisk, a więc obejmuje około 0,1 % ludności Związku Sowieckiego.

Obecnie jesteśmy świadkami kształtowania się drugiego pokolenia nomenklatury. Ludzie należący do szczytów obecnie rządzącej warstwy usiłują w miarę możliwości zabezpieczyć karierę swych dzieci i wprowadzić je możliwie szybko do nomenklatury. We wrześniu 1980 *Der Spiegel* ogłosił artykuł poświęcony temu drugiemu pokoleniu⁴. Rodziny Breżniewa, Kosygina, Chruszczowa, Mikojana, Gromyki, Ceausescu, Bieruta, Gomułki i Gierka zostały uwzględnione w tym przeglądzie. Syn Breżniewa Jurij jest wiceministrem Spraw Zagranicznych, a więc zastępcą Gromyki. Lubi się on podobno w wielkopańskich gestach, przypominając pod tym względem przedstawicieli wyższych warstw rządzących Rosją w XIX wieku. Widziano go, jak w nocnym lokalu paryskim dawał kelnerowi 100 dolarów jako napiwek⁵. Komunistyczny dyktator Korei Kim Il-Sung wyznaczył podobno własnego syna jako swego następcę, usiłując w ten sposób stworzyć coś w rodzaju dziedzicznej monarchii głoszącej ideologię komunistyczną.

Sumując materiały zawarte w przeglądzie podanym w *Der Spiegel* można powiedzieć, że większość dzieci wschodnioeuropejskich przywódców uczyła się obcych języków, przeszła przez wyższe studia oraz podróżowała po zachodniej Europie. Trudno w tej chwili przewidzieć, jak to zetknięcie się z Zachodem może wpłynąć na postawę polityczną nadchodzącego pokolenia władców Związku Sowieckiego, jeżeli uda mu się dojść do władzy.

Próba analizy

Rozważania powyższe odnoszą się przede wszystkim do klasowej struktury, która wytworzyła w Związku Sowieckim klasę rządzącą. Ma ona charakter nadrzędny w stosunku do tych warstw i grup społecznych, które sprawują władzę w krajach satelickich i których polityka powinna być zharmonizowana z celami Związku Sowieckiego.

Próba przeanalizowania tej nowej klasy w kategoriach terminologii marksowskiej została podjęta przez Jacka Kuronia i Karola Modzelewskiego ze szczególnym odniesieniem do stosunków

4. „Die grosse Veterswirtschaft”, *Der Spiegel* nr 32, 1980.

5. *Der Spiegel* nr 32, 1980.

polskich, w „Liście otwartym do Partii”⁶ z 1968 roku. W liście tym jego autorzy porównują model struktury społeczeństwa w ustroju kapitalistycznym oraz w tym ustroju, który charakteryzuje obecnie kraje zwane socjalistycznymi. W ustroju kapitalistycznym tytułem do zagarnięcia przez klasy posiadające poważnej części dochodu narodowego było *prawo własności*. W krajach socjalistycznych po zniesieniu własności prywatnej na środki masowej produkcji o podziale produktu społecznego decyduje grupa, która ma w swoich rękach *władzę*, tzn. środki przymusu. Nasuwa się kwestia porównania dawnej klasy kapitalistycznej z tą klasą społeczną, która obecnie panuje w Europie Wschodniej, a która składa się z dwóch zasadniczych części: biurokracji i technokracji.

Rola historyczna klasy kapitalistycznej polegała przede wszystkim na tym, że akumulowała kapitały, które były podstawowym czynnikiem postępu gospodarczego i technicznego. Dziś akumulacja jest w bardzo dużym stopniu funkcją czynnika publicznego, nawet w krajach o systemie mieszanym. Nowa klasa nie jest czynnikiem akumulującym z własnych dochodów, lecz jest czynnikiem podejmującym decyzje o stopie akumulacji i w ten sposób ma możliwość poważnego ograniczenia stopy życiowej klasy robotniczej, lub wręcz jej obniżenia.

Kapitalista decydował o produkcji, lecz ponosił również ryzyko tej decyzji. Za czasów Stalina dygnitarze, którzy byli odpowiedzialni za błędy, płacili za to głowami. Dziś ci dygnitarze zachowują swoje wille i swoje samochody.

Za czasów kapitalistycznych czynnikiem ograniczającym stopę eksploatacji pracy była zależność produkcji od stanu popytu na rynku. Gdy robotnik musiał ograniczać swoje zakupy, było to jednym z czynników powodujących kryzys na rynku. Kapitalista dążył do obniżenia płac roboczych, lecz jego własne interesy wymagały, aby ten proces nie wyszedł poza pewne granice. Dziś funkcjonowanie produkcji nie zależy od rynku. Istotny jest rozkaz z góry.

Kuroń i Modzelewski kilkakrotnie stawiają pytanie, jaki jest społeczno-gospodarczy ideał obecnej klasy rządzącej. Odpowiedź jest nieco zaskakująca: produkcja dla samej produkcji⁷. Ta pozornie paradoksalna odpowiedź staje się zrozumiała, gdy uwzględnimy specyficzny charakter sowieckiej metody gospodarowania. Cechą tej metody jest nastawienie na optymalizację ilościowych

wyników w dziedzinach priorytetowych, tzn. przeważnie w zakresie produkcji dla celów militarnych i inwestycji w przemyśle ciężkim. Ta metoda zakłada mobilizację wszystkich dostępnych czynników produkcji. Kwestia wydajności, tzn. kosztów materiałowych i ludzkich, jest uznawana za problem istotny, lecz w sumie drugorzędny. Przy budowie huty Katowice milicja zatrzymywała samochody ciężarowe wiozące dokądkolwiek bądź materiały budowlane i kierowała je na plac budowy huty, gdzie je zwalano bez ładu i składu, wprowadzając w ten sposób chaos do pracy szeregu innych przedsiębiorstw.

Cechą podstawową metody zachodniej jest pytanie, jak w każdym poszczególnym wypadku układa się optymalna z punktu widzenia zysku kombinacja czynników produkcji oraz jak osiągnąć optymalne dopasowanie się poszczególnych działów w ramach całości gospodarki społecznej. Obydwa systemy gospodarzenia mają swoje zalety i wady. System zachodni, oparty na automatyzmie rynkowym, połączonym z monopolistyczną pozycją związków zawodowych na rynku pracy, rodzi okresy recesji oraz rzesze bezrobotnych. Lecz ponieważ gospodarka kapitalistyczna nastawiona jest na maksymalne wykorzystanie każdego czynnika produkcji, daje to, w warunkach ciągłego postępu technologicznego, taki poziom produktu społecznego, który umożliwia zaspokojenie elementarnych potrzeb bezrobotnych. Rodzi jednak bolesny kryzys moralny i psychologiczny.

W modelu sowieckim nastawienie na wyniki ilościowe oraz priorytet dla produkcji służącej tworzeniu siły militarnej rodzi potworne marnotrawstwo oraz tworzenie się tzw. wąskich gardeł. Gospodarka wojenna rujnuje produkcję dóbr konsumpcyjnych oraz rodzi nacisk na stopę życiową szerokich mas, która jest spychana o wiele poniżej poziomu zachodniego.

Jeżeli chodzi o Polskę, istnieje rozpowszechnione przekonanie, że różne projekty reform, które by mogły zmienić ten stan rzeczy nie naruszając struktury politycznej rozbijają się o opór różnych klik w ramach warstwy rządzącej, które boją się o swoją uprzywilejowaną pozycję. Istnieje poważna szkoła myślenia, która głosi, że warunkiem osiągnięcia wyższego poziomu produkcji jest demokratyzacja systemu politycznego. Przykładem mogą być książki Włodzimierza Brusa. „Solidarność” jest żywiołowym ruchem klasy robotniczej, która przyłącza się do tego punktu widzenia.

Powiew historii

Analiza struktury klasowej nie daje jeszcze wystarczającej

6. Jacek Kuroń i Karol Modzelewski, *List Otwarty do Partii*, Biblioteka „Kultury”, 1968. Niemieckie wydanie pt. *Monopolsozialismus*, Hamburg 1969.

7. *Ibidem*, str. 26, 39.

charakterystyki społeczeństwa. Każde społeczeństwo jest produktem historii; korzenie dzisiejszego Związku Sowieckiego tkwią nie tylko w dziejach Imperium Rosyjskiego, lecz również w dziejach carstwa moskiewskiego, chociaż genetyczny związek niełatwo uzasadnić. Pierwowzorem tej klasy biurokracji, o której pisze Kuroń, była warstwa, którą nazywano *szużytye ludi*. Stanowiła ona kadre wykonawczą polityki carów już za Iwana III, który po zdobyciu Nowgorodu rozpoczął politykę masowych deportacji na Wschód ludności podbitych terenów, niszcząc w ten sposób kulturę i bogactwa Rusi północno-zachodniej. Deportacje te stały się z czasem stałą cechą rosyjskich podbojów; przeprowadzenie tych deportacji wymagało kadry wykonawców zdolnych do zorganizowanego działania. Stalin rozwinął tę metodę na ogromną skalę, deportując setki tysięcy ludzi z krajów bałtyckich, Polski, Krymu i Kaukazu.

Liczebność i rola warstwy wykonawczej ogromnie wzrosły za czasów Piotra I, kiedy też wielu cudzoziemców zostało do niej dopuszczonych. Po śmierci Piotra I warstwa ta faktycznie Rosją rządziła. Dwóch cesarzy (Piotr III oraz Paweł I) zostało zamordowanych, gdy się okazało, że z takich lub innych względów nie byli wygodni dla pewnych wpływowych elementów w ramach tej warstwy. Lecz aparat władzy funkcjonował nadal, chociaż zamordowanie Piotra III przyczyniło się do groźnego powstania kozaków i chłopów pod wodzą Pugaczowa.

Zdobywanie i eksploatacja nowych terenów stwarzało wiele dodatkowych intratnych stanowisk dla ludzi rządzącej warstwy. Za czasów Katarzyny odbywała się ostateczna pacyfikacja Ukrainy i organizowanie administracji tych ogromnych, żyznych obszarów. Rozbiory Polski oraz konfiskaty majątków były także źródłem zysków. W XIX wieku przyszła pacyfikacja Kaukazu oraz zagarnięcie Buchar, Chiwy i Sachalina. Różne rosyjskie poczynania w stosunku do Mandżurii i Korei zrodziły wojnę japońską w 1904 roku.

Carowie płacili swoim *szużytym ludziom* nadaniami ziemi razem z zamieszkałymi tam pańszczyźnianymi chłopami. Katarzyna II zwolniła potomków tej warstwy od obowiązku służby państwowej. W XIX stuleciu jednak była to warstwa rządząca Rosją. Gogol oraz Sałtykow-Szczedrin opisali w formie karykaturalnej styl życia oraz obyczaje średnich i niższych szczebli tej warstwy; lecz warstwa ta stanowiła pomimo wszystko kręgosłup i kościć pacierzowy, na których trzymał się aparat państwowości rosyjskiej.

Dramatycznym błędem liberałów, którzy utworzyli rząd rosyjski po abdykacji Mikołaja II było, że dopuścili do kompletnego rozpadu tej struktury, na której od Piotra I opierała się admi-

nistracja ogromnych obszarów imperium. Z ulic miast rosyjskich zniknęła policja. Żandarmi na stacjach kolejowych szybko przebrali się w cywilne ubrania. Dopiero Stalin w okresie rosyjskiego Termidora strukturę tę odbudował.

Odbudowany został również żywiołowy pęd do ciągłych podbojów. Rewolucja zmieniła również światopoglądowe oblicze warstw rządzących („ideologiczna nadbudowa”). Zamiast *prawosławije, samodierzawije i narodnost'* wysunięto „komunizm i dyktaturę proletariatu”. Andriej Amalrik, który napisał szeroko znaną książkę „Czy Rosja dotrwa do 1984?”⁸ i który twierdził, że proces rozkładu Imperium Sowieckiego jest w toku, wysunął również kontrowersyjną tezę, że porewolucyjna szata ideologiczna opóźnia nieco ten rozkład. Problem ten jest zbyt obszerny, aby mógł być dyskutowany w ramach tego artykułu.

Londyński *Encounter* zamieścił niedawno wywiad z Leszkiem Kołakowskim⁹, który powiedział, że rządy komunistyczne w Związku Sowieckim oparte są na zakłamaniu, szczególnie gdy chodzi o ideologiczne oblicze władców Związku Sowieckiego. Można dodać, że ideologiczne oblicze carskiej Rosji było również przeniknięte kłamstwem, szczególnie gdy chodzi o prawosławie i stosunek do chrześcijaństwa. Piotr I zlikwidował Patriarchat a zarządzanie sprawami Cerkwi oddał w ręce cywilnej i wojskowej kadry wykonawczej. Przyczyniło się to niewątpliwie do obniżenia autorytetu Cerkwi prawosławnej wśród ludności Rosji. Gdy w 1915 roku wielu ludzi w okolic mego dzieciństwa, tzn. Litwy i Inflant, znalazło się w Rosji Centralnej, dziwił ich ten brak szacunku miejscowej ludności dla duchowieństwa prawosławnego; odbijał on bardzo od autorytetu, którym cieszyli się na Litwie i Łotwie księża katolicy oraz pastorowie luterkańscy. Dopiero rewolucja lutowa w 1917 roku otworzyła na krótki okres drogę do moralnego odrodzenia Cerkwi prawosławnej¹⁰.

Hasło dyktatury proletariatu jest w ustach dzisiejszych władców Kremla kłamstwem, bo właśnie dzisiejsza polityka sowiecka poprzez cenzurę i zagłuszanie radia zmierza do tego, aby klasę robotniczą w granicach ZSSR oraz w państwach satelickich utrzymać w stanie nieświadomości tego, co się dzieje na świecie. Dążeniem ruchów robotniczych jest przygotowanie klasy robotniczej do wzięcia odpowiedzialności za kierowanie życiem społeczeństw i narodów. Klasowa struktura krajów wschodnioeuropejskich sta-

8. Andrei Amalrik, *Will the Soviet Union survive until 1984?* The Penguin Press, 1970.

9. *Encounter* nr 1, 1981.

10. Patrz Włodzimierz Bączkowski, *Towards an Understanding of Russia*, Jeruzalem 1947.

nowi wyraźną przeszkodę na tej drodze. Kuroń i Modzelewski w rozważanym powyżej otwartym liście do Partii piszą: „O losach rewolucji rozstrzyga walka dwóch podstawowych klas społecznych: klasy robotniczej i biurokracji¹¹”.

Stanisław SWIANIEWICZ

Kwiecień 1981.

11. *List otwarty do Partii*, str. 59; jeśli chodzi o biurokrację, Stefan Kisielewski w *Der Spiegel* z dnia 27 kwietnia 1981 oszacowuje siłę liczącą tej nowej klasy (biurokracji i technokracji) w Polsce na 300 tysięcy, co oczywiście nie wyklucza, że poważna część może się wyłamywać z tego, co jej dyktuje wąsko rozumiany klasowy interes warstwy uprzywilejowanej.

Korespondencja z Rzymu

Po zamachu na Papieża

Znak krzyża, wyciśnięty na herbie papieskim, stał się 13 maja bież. roku rzeczywistością pontyfikatu Jana Pawła II. Kilkunastu papieży było w ciągu dziejów więźniami, wygnańcami i ofiarami otrucia. Gelazy II tuż po wyborze został pobity do krwi i niemal uduszony przez adwersarza z klanu stronników innego kardynała. Było to osiem wieków temu. Jan Paweł II, ofiara przemocy i terroryzmu, przeciwko którym tylokrotnie występował, znalazł się jeszcze bliżej tych, którzy cierpią i na własnej skórze doświadczają gwałtu. Czyż zamach w samym sercu chrześcijaństwa nie stanowi dramatycznego znaku naszych burzliwych czasów? 6 maja, a więc zaledwie tydzień przed strzałami na Placu św. Piotra, odbierając ślubowania rekrutów Gwardii Szwajcarskiej powiedział: „Módlmy się by przemoc i fanatyzm nie wkroczyły w obręb Watykanu... gotowość oddania życia, jeśli zasłaby konieczność, może stać się realna także w waszej służbie”. Komendant tej gwardii, pułkownik Pfyffer von Altishofen, nazajutrz po zamachu powiedział w rozmowie prywatnej: „Możemy zapobiec zamachom w obrębie murów watykańskich, w samym Pałacu Apostolskim. Na Placu św. Piotra jesteśmy bezsilni. Należałoby rozlokować wśród tłumów jednego tajnego agenta na cztery metry kwadratowe.” Nie mogłaby wykonać tego zadania ani Gwardia Szwajcarska, ani watykańska służba porządkowa (*vigilanti*).

Czy Ali Agca, egzaltowany ekstremista „wyszkolony psycholo-

gicznie i wojskowo do akcji terrorystycznej”, działał samopas, czy też był pionkiem manipulowanym przez nieznaną centralę wywrotową? Miejmy nadzieję, że to się wyjaśni.

Co dalej? Papież szczęśliwie ocalał i po trzech tygodniach wrócił z kliniki do Watykanu. Konsternacja jednak nie minęła i konsekwencje zamachu stanowią wciąż przedmiot rozmów i narad w biurach Kurii Rzymskiej. Kardynał Baum, były abp Waszyngtonu, prefekt Kongregacji dla Wychowania Katolickiego, oświadczył w kilka dni po zamachu, że Jan Paweł II nie zmieni swego stylu pasterskiego i „pójdzie tam, gdzie jest jego owczarnia”. Wiele osób, zwłaszcza w polskich środowiskach, twierdzi, że nic się nie zmieni. Nie podzielam tego optymistycznego poglądu. Nie znaczy to oczywiście, że Papież zrezygnuje z bezpośredniej styczności z wiernymi. Nie wyreknie się na pewno kontaktów z tłumami zarówno w Rzymie, jak i w odwiedzanych krajach. Środki zapobiegawcze będą wzmożone, co jednak nie zapewni całkowitego bezpieczeństwa. Papieża nie można umieścić w szklanej kulo odpornej klatce. Publiczne audyencje na placu św. Piotra być może będą zniesione. W auli audiencyjnej i w ogóle w zamkniętej przestrzeni można skuteczniej zapewnić bezpieczeństwo osobiste. Przyszłe programy wizytacji i podróży papieskich będą inaczej organizowane i prawdopodobnie zredukowane, również ze względu na konieczność oszczędzania sił Papieża. Nadużywał ich bowiem — zdaniem kompetentnych czynników watykańskich — „spalał się”. Podróże będą kontynuowane, ale nie w dotychczasowym „morderczym” rytmie. Można przewidywać, że styl Papieża, który przestał być hieratyczny, przełamał normy protokołu, stał się niewymuszony i zhumanizowany — ulegnie modyfikacji. Formalnej wprawdzie, nie wpływającej na istotę jego misji, ale forma nie jest w tym przypadku obojętna. Może to stanowić najbardziej gorzki owoc absurdu zamachu przeciwko człowiekowi, który działał w pośpiechu, bo wy-czuwał „znaki czasu”. Autorytet Papieża, również w wymiarze polityczno-międzynarodowym, jeszcze bardziej wzrośnie. Także Kościoły niekatolickie i nawet niechrześcijańskie, o czym świadczą ich reakcje na zamach, poczuły się bliższe Rzymu. Konsekwencje zamachu mogą jednak wykorzystać ci, którzy od pewnego już czasu twierdzą — w harmonii z optyką kurialną — że należy bronić pewnych historycznie ustalonych form „sakralności instytucji” papieża. Uległa ona bowiem według nich pewnej „korozji” i „trywializacji” na skutek przemożnie działających elementów spektakularnych. „Tłumy włoskie i w ogóle zachodnie nie reagują tak jak tłumy polskie, dla których Kościół stanowi zwornik jedności narodowej” — twierdzi znany watykanista B. Lai. A kardynał Pellegrini, b. abp Turynu, kontestował w kwietniu br. w głównym wywiadzie atmosferę „festynu ludowego” w czasie audyencji publicznych, nie licującą z powagą „instytucji” i trudną treścią wystąpień Papieża. Kto ma rację, czy obrońcy „sakralności instytucji”, czy zwolennicy zerwania z anachronicznymi formami w imię humanizacji tej instytucji? Czas pokaże.

Po śmierci Prymasa Polski

Biografie i publikowane już wspomnienia nie oddają i nie są w stanie oddać pełnego profilu i dzieła zmarłego Prymasa Polski. Nawet obszerny życiorys, zamieszczony na łamach *L'Osservatore Romano*, pominął dwie jego historyczne zasługi: walkę o doprowadzenie do normalizacji i scalenie z polskim obszarem państwowym administracji kościelnej na Ziemiach Zachodnich, oraz sprawę pojednania polsko-niemieckiego. Ks. infułat F. Mączyński, rektor Papieskiego Polskiego Instytutu Kościelnego w Rzymie, jego najbliższy powiernik i kolega od wczesnych lat seminaryjnych we Włocławku (1918 r.), wyznał, że „trudno ująć sylwetkę duchowego przywódcy narodu”. Cóż dopiero piszącemu tę korespondencję. Wiele czasu na pewno upłynie, zanim zostaną ujawnione różne nieznane epizody z jego życia oraz okoliczności i motywy podejmowanych przez niego decyzji. Do takich epizodów można zaliczyć np. pewne szczegóły odnoszące się do pierwszej podróży Ks. Prymasa do Rzymu w 1951 roku. Było to po zawarciu porozumienia z rządem w kwietniu 1950 roku, gestu, który nie wywołał początkowo entuzjazmu Piusa XII i był niemal powszechnie krytykowany w środowiskach katolickich na Zachodzie. Ks. Prymas oczekiwał na wskazania papieskie. Nie otrzymał ich. Zwierzył się wtedy: „Będziemy musieli sami prowadzić dalej nasze dzieło”. Wziął na siebie cały ciężar odpowiedzialności — dodał ks. Mączyński. Porozumienie to było w następnych latach wielokrotnie łamane przez władze państwowe, mimo że ks. Prymas stale zabiegał o *modus vivendi* z rządem. W 1957 roku przyjechał powtórnie do Rzymu, m.in. dla odebrania kapelusza kardynalskiego. Złożył wizytę Papieżowi w towarzystwie uwolnionego z więzienia stalinowskiego arcybiskupa poznańskiego Baraniaka i biskupa Klepacza, który stał na czele episkopatu w ciągu trzech lat internowania Prymasa. Podkreślił tym gestem wyraźnie jedność episkopatu i ciągłość linii pasterskiej i narodowej. Cekał na przyjęcie przez pięć dni. Pius XII znalazł wtedy czas na przyjęcie rzymskich strażaków — przypominają watykańscy pamiętający dobrze te trudne lata. Prymas był wielkoduszny, nie uskarżał się publicznie na doznawane przykrości i przebaczał tym, którzy wyrządzili mu krzywdę. Przebaczał wrogom Kościoła i „postępowym katolikom”, także tym wszystkim, którzy może w najlepszej woli — ale bez należytego rozpoznania elementów sytuacyjnych — wkraczali na teren delikatnych stosunków Kościół-Państwo, tak jak emisariusze katolicy wysłani w latach 60-tych do Rzymu z ramienia kół rządowych. W licznych sprawach, w których kontestowano tu i ówdzie jego decyzje, czas wykazywał, że miał rację i dowodził jego nadzwyczajnej intuicji. Był twardy i wymagający dla innych. Miał do tego prawo, na co zwrócił uwagę ks. rektor Mączyński, „był bowiem twardy i wymagający wobec siebie”. Można *nota*

bene doskonale wyobrazić sobie skutki typu czechosłowacko-węgierskiego, gdyby nie był tak „twardy i wymagający”. Był bardzo nieufny wobec prasy zachodniej, zarzucając jej powierzchowne, uproszczone i zniekształcone widzenie polskiej rzeczywistości, a zwłaszcza misji Kościoła. Z licznych z nim spotkań w Rzymie w latach 70-tych pamiętam wypowiedzi krytyczne pod adresem „sytych” i „wygodnych”, którzy „patrzą na nas przez krzywe zwierciadło”, zgodnie z własnymi interesami i preferencjami. Uderzało mnie zawsze jego poczucie odpowiedzialności i zarazem realizmu w ocenie tego, „co można już uczynić, a z czym trzeba poczekać”. Zachowałem z tych rozmów cenny zapis służący mi jako podstawa do właściwego ustawiania rzymskich korespondencji. Sądzę, że pewne poruszane sprawy (nie wszystko nadaje się do ujawnienia) mogą nie tylko rzucić dodatkowe światło na jego profil duchowy i polityczny, ale również przyczynić się do lepszego wykorzystania pozostawionej przez niego spuścizny.

Oto zarys zapisu z rozmowy z Prymasem Polski w dn. 24 maja 1975 roku:

1. Inicjatywa *Kultury* w sprawie rekoncylacji polsko-rosyjskiej. Nie wprawia Go w kłopot: „już i tak mam ich dosyć”. „Sołżenicyn jest człowiekiem wolnym — jeśli jest przekonany, że nadeszła chwila, by zwrócić się do Polaków z prośbą o przebaczenie win (m.in. zbrodni katyńskiej) i pojednanie, ma prawo to uczynić”. Episkopat przedłożył kilkanaście memoriałów rządowi — jeden z nich dotyczył położenia Polaków w Rosji. Na żaden z tych memoriałów nie było odpowiedzi. Potwierdza informację, że kierownictwo partii było bardzo niezadowolone z powodu opublikowania w *Kulturze* kazania ks. Jana Zieji z 17 września 1974 roku (w rocznicę sowieckiego najazdu na Polskę). Sugerowane inicjatywy dotyczące stosunków z Litwą, Białorusią i Ukrainą: należy wystrzegać się gestów spektakularnych, nie można narażać na szwank spraw zasadniczych... Prasa emigracyjna, zwłaszcza *Kultura*, powinna natomiast „mówić głośno” o losie Polaków w ZSSR, o tragicznej sytuacji wierzących; członkowie partii, nawet na wysokich stanowiskach, są zainteresowani tą sprawą.

2. Problem „trzeciego koszyka” (wolne krążenie idei i informacji) przed konferencją paneuropejską w Helsinkach.

Krytykuje krótkowzroczność polityków zachodnich, gotowych poświęcić istotne wartości dla doraźnych interesów handlowych. Zachodzi niebezpieczeństwo, że za pozorne i drugorzędne koncesje sowieckie Zachód „nas sprzeda i klamka zapadnie”.

3. Sytuacja w kraju.

„Nie wystarczy utyskiwać, wydobywać tylko ciemne strony”. Nie należy lekceważyć pozytywnych stron oddziaływania Kościoła na życie społeczno-gospodarcze i zawodowe. Trzeba w wolnej

prasie informować i przeciwstawiać się postępującej alienacji, dezintegracji społecznej, pustce ideologicznej w jaką partia wypycha młodzież, działając na rozluźnianie więzów moralnych: „jeśli nie pójdzie do Kościoła, to nie znaczy wcale że partia ją zyska”. Ludzie „czekają nie tyle na rejestr znanych im braków i nieprawości, ile na program reform... my nawet z ambony nie możemy wszystkiego powiedzieć, a nasze teksty są cenzurowane nieraz w całości”.

4. Marksści i katolicy.

Linia podziału nie przebiega dziś pomiędzy komunistami czy marksistami i Kościołem, lecz pomiędzy demokratami-katolikami, prawdziwymi socjalistami i aparatczykami służącymi obcej racji stanu. Wielu byłych komunistów, zwłaszcza rozczarowanych marksistów ze środowisk inteligencji, zbliża się coraz bardziej do Kościoła. Cytuje z dawnych lat Kołakowskiego, a z późniejszych Słonimskiego.

5. Watykańska *Ostpolitik*.

Papieżowi chodzi o utrzymanie otwartych kanałów, „trzeba mu w tym pomóc, ale nie za każdą cenę... trzeba Papieżowi otwierać oczy”. Wypowiada się bardzo krytycznie o nominacjach biskupów w Czechosłowacji i na Węgrzech, gdzie wielu nominatów uważa się za „zdrajców sprawy narodowej; jeśli mają być takie nominacje, lepiej żeby ich w ogóle nie było”¹.

Jako mąż stanu był na czele Kościoła niezastąpiony, zwłaszcza w ostatnich niebezpiecznych konfliktach. Następca przejmie trudne dziedzictwo. „Niezastąpioność” Prymasa jest jednak o tyle względna, o ile solidność struktur kościelnych oraz spójność episkopatu i kleru, która zdała egzamin historyczny, dają gwarancję, że brak wielkiego stratega nie będzie zbyt dotkliwie odczuwany. Autorytet kardynała Wyszyńskiego był tak wysoki, że nie wymagał bezpośredniej poręki Watykanu. Jego następcę będzie wspierała osobiste zaufanie Papieża i stosunki dyplomatyczne ze Stolicą Apostolską, do których nawiązania dojdzie zapewne w niedługim czasie.

Dominik MORAWSKI

Pisane 4 czerwca 1981 r.

P.S. Do mojej korespondencji w numerze czerwcowym *Kultury* (str. 69, wiersz 29 od góry) zakradł się przykry błąd; wydrukowano: „partii komunistycznej, n a której opiera się z taką mocą”. Naturalnie winno być: „partii komunistycznej, k t ó r e j opiera się z taką mocą”.

D. M.

1. Postać kardynała Wyszyńskiego wymaga, zwłaszcza w skali międzynarodowej, pełnej oceny. Kardynał Garrone, wspominając, że ks. Prymas w czasie Soboru Vaticano II stronił od biskupów francuskich, samokrytycznie przyznał: „Dużo czasu upłynęło, zanim potrafiliśmy zrozumieć jego postawę i oddać mu dziś należny, pośmiertny hołd”.

Kraj

Teoria i polska jedyność

Czy rosnąca aktywność partyjnych „struktur poziomych”, nacisk na wewnętrzną demokratyzację partii, możliwość swobodnych i tajnych wyborów delegatów na nadzwyczajny zjazd PZPR w lipcu, a wreszcie perspektywa radykalnej zmiany nie tylko składu osobowego kierownictwa partii, ale i całego modelu „demokratyzmu centralistycznego” — czy te powiązane ze sobą procesy grożą interwencją sowiecką? Oto pytanie, które w oczach zachodnich komentatorów wydarzeń w Polsce przesłania od pewnego czasu wszystkie inne, dotyczące Solidarności, niezależnego ruchu zawodowego rolników indywidualnych, nowych organizacji młodzieżowych, nawet sytuacji gospodarczej.

Pytanie to jest na Zachodzie (sądząc z prasy) zadawane o wiele częściej, niż w Polsce — ale nie jest ono wymysłem cudzoziemców. Jeszcze w lutym tego roku Jan Józef Lipski w *Biuletynie Informacyjnym* przestrzegał przed demokratyzowaniem się partii, bo to grozi katastrofą. W kwietniu powtórzył to samo ostrzeżenie Leszek Kołakowski w londyńskim *Times*'ie, argumentując, że Sowietci nie mogliby „strawić zdemokratyzowania się polskiej partii, ponieważ znaczyłoby to, że tracą narzędzie kontroli”. Kołakowski twierdzi dalej (i nie bezpodstawnie, bo w środowiskach „opozycyjnych” w Warszawie słyszymy podobne opinie), że „rzecz paradoksalna, ludzie którzy dążą do stopniowego rozmywania instytucji totalitarnych w Polsce nie chcą rozpadu partii rządzącej i upadku aparatu władzy. To bowiem nieuchronnie sprowadziłoby sowieckie czołgi na ulice polskich miast” (*The Times* z 21 kwietnia 1981). (Wymieniam te dwa głosy jako charakterystyczne; poniższe uwagi nie są jednak polemiką czy rozprawą z Lipskim i Kołakowskim, lecz rozważaniami na temat określonego stanowiska, które *nota bene* niezbyt moim

zdaniem pasuje do innych poglądów Kołakowskiego, autora wielu znakomitych analiz ideologiczno-politycznych).

Odlóżmy chwilowo na bok kwestię, czy istotnie demokratyzacja partii musi nieuchronnie wywołać interwencję. Zadajmy inne pytanie: czy mają sens apele do członków partii, aby się od demokratyzacji powstrzymali? Jestem przekonany, że są one i bezcelowe i niesłuszne. Żadne wezwania nie powstrzymają żywiołowego ruchu „struktur poziomych”. Nie jest to ruch zaprogramowany z zewnątrz (choć można było przewidzieć jego powstanie i przyszły historyk wyczyta takie prognozy w niezależnych publikacjach z lat 1977-1980). Spontaniczność i naturalność czynią go mało podatnym na wyrozumowane perswazje. Z czego się zrodził? Ogólnie biorąc z dwu impulsów: psychologiczno-moralnego i politycznego.

Te trzy miliony Polaków, które należały i należą do PZPR, mogły przez lata chować głowę w piasek dopóty, dopóki w otwartym życiu publicznym, a zwłaszcza w ich miejscach pracy, niewiele się działo. A to, co się działo, było sztuczne i bezsensowne. Od lata 1980 członek partii, której kierownictwo ma na swoim zbiorowym sumieniu zrujnowanie gospodarki narodowej (nie mówiąc o innych przewinach) musi, jeżeli chce siebie uważać za człowieka względnie przyzwoitego, aktywnie odcinać się od tradycji samowładzy kierownictwa, od biernego posłuszeństwa nakazom z góry. Od dawna zdawano sobie sprawę, nikt się temu nie ośmielał zaprzeczać w prywatnych rozmowach, że partyjna „góra” kłamie i zmusza do kłamstwa, ogłupia, łamie prawo, gnębi i siewietyzuje naród, posłusznie słucha nakazów Kremla. Ale na to, tłumaczyli sobie i innym partyjni, nic zasadniczo poradzić nie można — bo to sfera geopolityki. Wyższa Konieczność (wedle celnego sformułowania Stefana Nowaka), która pozwalała tolerować szmacenie się i jednocześnie zachowywać cudownym sposobem poczucie własnej godności. Nie myśmy to wymyślili, powiadano, nie na nasze siły to zmieniać. Jednakże kiedy ujawniono publicznie zwykłe kradzieże i pospolite oszustwa — to już stała się sprawa osobistej uczciwości, nie wielkiej polityki. Tego na konto „narzuconego systemu” nie można było zapisać. A równocześnie Solidarność pokazała wielomilionową dłońią figę Wyższej Konieczności. I teraz nawet ludzie, którzy przymykali oczy na fakt, że należą do partii pełniące funkcję dozorcę własnego narodu — nie chcą się pogodzić z myślą, że mają być członkami partii złodziejskiej (dlatego „rozliczeniowy” aspekt zachodzących przemian jest tak ważny). I jeżeli większość z nich nie decyduje się — co zrozumiałe — wykreślić sporego kawałka własnej przeszłości i przyznać się do fatalnego błędu, muszą tę przeszłość

odrobić. Jest to zdrowy i cenny odruch, a tłumienie go jest nierozsądne i szkodliwe dla ładu społecznego.

Impuls polityczny jest prostszy: jeżeli Solidarność może (i wolno jej) — dlaczego nie my? Czy, należąc do „przewodniej siły”, mamy pozostać stadem ogłupianych baranów? Zwłaszcza, że w ciągu ostatniego roku kierownictwo partii, sparaliżowane widmem katastrofy i wewnętrznymi walkami, przestało już nawet wydawać dyspozycje „ustawiające” masy. Było to, w zestawieniu z aktywnością polityczną członków Solidarności i innych samorządnych organizacji, upokarzające i frustrujące.

Jednakże bezcelowość i moralno-społeczna szkodliwość wezwań o powstrzymanie się od demokratyzowania partii nie są jedyne argumentami przeciwko wygłaszaniu takich apeli. Wizja partii niezreformowanej, albo kierowanej przez zwolenników tradycyjnego, autokratycznego modelu władzy, albo też nadal rozdzielanej przez frakcyjne walki, partii istniejącej obok i przeciw Solidarności i innych samorządnych organizacji społecznych — to wizja dwuwładzy w Polsce. Dwuwładzy, która nie może być koegzystencją pokojową. Konserwatywna, albo współ-sparaliżowana, partia i wyzwolone społeczeństwo toczyłyby ze sobą nieustanną, wielofrontową walkę, podobną do tej, z którą mieliśmy do czynienia od września do końca marca. Taki stan rzeczy groziłby co parę tygodni nową Bydgoszczą i nowym strajkiem powszechnym.

Można sobie teoretycznie wyobrażać taki podział władzy w państwie, że sprawy wojskowe, policyjne i polityka zagraniczna należą do kompetencji partii, a reszta do kompetencji samorządnych społeczeństwa; ale w systemie państwowej własności przemysłu, dystrybucji, transportu, środków łączności itd., jest to praktycznie nie do przeprowadzenia. Zwłaszcza, że przecież ci sami ludzie (członkowie partii, trzy miliony) musieliby w takim układzie dzielić siebie na dwie części: partyjną i społeczną.

Ponadto — a może przede wszystkim — bez szerokiej ugody między partią i społeczeństwem i bez przestawienia się partii na nowe tory niemożliwe jest przeprowadzenie zasadniczej reformy gospodarczej. A bez reformy czeka nas katastrofa przed interwencją, nie z jej powodu.

Tak więc program partii niezreformowanej zakłada wizję Polski rozdzielanej wewnętrznymi sporami, grzęznącej w kryzysie gospodarczym i stale balansującej na krawędzi przepaści, w którą ją mogą zepchnąć prowokacja albo niecierpliwość. Jedynie odnowa partii stwarza prawdziwe szanse — chociaż tylko szanse, nie więcej — utrwalenia zdobyczy i swobód społecznych,

uzyskanych od sierpnia 1980 roku¹. Jak słusznie napisał Stefan Kurowski: „Albo 'Solidarność' przekształci swoje otoczenie społeczne, albo też dotychczasowy system narzuci nam swoje normy i cele, sparaliżuje nasze wysiłki i w końcu pochłonie 'Solidarność', przekreślając raz na zawsze nadzieję na odrodzenie” (*Tygodnik Powszechny* z 19 kwietnia 1981). Kiedy Jadwiga Staniszkis mówi o trudności utrzymania demokratycznego charakteru Solidarności w niedemokratycznym otoczeniu (warszawska *Kultura* z 22 marca 1981), wypowiada się na podstawie kilkumiesięcznego doświadczenia we współpracy z tą organizacją.

Nadmiar teoretyzowania jest dziecięcą chorobą odradzającej się polskiej myśli politycznej. Nic dziwnego: przez wiele lat intelektualści mieli prawie-monopol na niezależne myślenie o polityce. Poza nieposkromioną czasem skłonnością do wypowiadania się na piśmie (nawet wówczas, kiedy zdrowy rozsądek nakazywałby robić swoje i nie rozgłaszać, co się robi), mają oni — mamy, nie będą się wypierał przynależności — profesjonalną skłonność do snucia teoretycznych rozważań. U niektórych dochodzi do tego niechęć lub nieumiejętność rezygnacji z dawnych kategorii myślenia, wyczonych za młodu — chociaż rzeczywistość już do nich nie przystaje, jeżeli kiedykolwiek przystawała. I jeszcze jeden czynnik: myślenie teoretyczne daje poczucie bezpieczeństwa, złudzenie panowania (choćby umysłowego) nad chaotycznym i żywiołowym kłębem zdarzeń i procesów; pozwala brać pod uwagę to tylko, co zakładamy sobie w naszych umysłach. I im bardziej rzeczywistość wyłamuje się z naszych teoretycznych schematów — tym usilniej staramy się, nieświadomie, bronić przed jej zalewem, trzymając się kurczowo „bezpiecznych” bo wdrożonych formuł.

Skutek jest banalny: myśli się w kategoriach tradycyjnych i nie dostrzega, że wokół nas powstają rzeczy jakościowo zupełnie nowe. Można na przykład opisywać NSZZ Solidarność używając tych samych pojęć, w których opisywało się, w Polsce

1. Warto zauważyć, że „struktury poziomowe” i opanowana przez nie partia mogą realizować wizje rzetelnych i otwartych rozmów polsko-sowieckich. Nie z opartej na dobrych chęciach i wydumanych założeniach pozycji katolickich (czy innych) intelektualistopolityków, ale z pozycji władzy, która ma oparcie w masach, przynajmniej partyjnych, z pozycji władzy zinstytucjonalizowanej, rozporządzającej aparatem wykonawczym. Jeżeli te setki stron papieru, zapisane przez zwolenników różnych rodzajów „realizmu”, „trzeźwego porozumienia” czy „finlandyzacji” mają jakikolwiek sens — to praktycznym urzeczywistnieniem tych myśli i ciągów może być w naszej sytuacji tylko dialog między wyczułoną na postawy i aspiracje społeczeństwa polskiego partią — a kierownictwem KPZS. Wszystko inne, niezależnie od intencji projektodawców, to pożywka dla roboty rozbijacko-agentalnej.

i gdzie indziej, związki zawodowe. (Usiłował to robić przed paru miesiącami prof. Jan Szczepański). Ale cóż to daje? Parodię. W tak wyjątkowej, nigdy przedtem nie bywałej, jedynej w swoim rodzaju sytuacji, jaką mamy od paru lat w Polsce — wszystkie zjawiska społeczne i polityczne posiadają charakter odmienny, niż dawniej. Większość z nich trzeba opisywać w nowych kategoriach. To trudne i wymaga dużego wysiłku — ale konieczne, jeżeli myśl ma odzwierciedlać rzeczywistość.

Najprostszym i najdotkliwszym skutkiem teoretyzowania jest ujmowanie społecznej rzeczywistości jako zespołu tendencji, instytucji, klas, układów itp. bytów ogólnych i abstrakcyjnych. To, że owe byty składają się naprawdę z konkretnych ludzi — przecieka przez palce. Stąd właśnie m.in. zaskoczenie wyłonieniem się w partii ruchu odnowy. Ale przecież, powtórzmy, owa partia, której samodzielne ruchy społeczne miały stopniowo odbierać władzę — to nie było ciało astralne, istniejące w osobnej sferze rzeczywistości. To byli i są ludzie, których codziennie spotykamy na ulicy i, co ważniejsze, w miejscach pracy. I o ile można teoretycznie „ustawić” klasę czy partię — to ludzie ustawiają się sami. Często na przekór naszym przewidywaniom².

Wróćmy teraz do odłożonego pytania: czy demokratyzacja partii *musi* doprowadzić do interwencji? Odpowiedź twierdząca może być rozumiana na dwa sposoby: 1) Sowietci muszą wówczas interweniować, bo będzie jasne, że zmiany w Polsce stały się nieodwracalne; 2) Sowietci muszą wówczas interweniować, bo partia zdemokratyzowana jest dla nich nie do przyjęcia z przyczyn zarówno ideologicznych (odejście od zasady „centralizmu demokratycznego”) jak i politycznych (kierownictwo przestaje być dyspozycyjne, traci się kontrolę nad wojskiem i policją).

Chcemy, aby zmiany w Polsce *były* nieodwracalne, aby nie powtórzyła się, w znacznie ostrzejszej formie, sytuacja z roku 1956. Zapewnienie takiej nieodwracalności warte jest największego ryzyka: inaczej cały dotychczasowy wysiłek na nic. Więc

2. Które bywają błędne po prostu także z braku informacji. Muszę tu odwołać wypowiedziane w nrze 1/2 tegorocznej *Kultury* posądzenie, jakoby Andrzej Werblan przygotowywał się do odegrania roli polskiego Vasila Bilaka. Jego wystąpienia po rezygnacji z Biura Politycznego KC PZPR przeczą takiej hipotezie (opartej na jego dawnej reputacji). Sądzę natomiast, że dość popularny, zwłaszcza za granicą, błąd przypisywania Stefanowi Olszowskiemu skłonności liberalnych płynął nie tyle z braku wiadomości, co z założenia, że ten człowiek ma w ogóle jakieś stałe poglądy. Przebieg jego kariery (łącznie z legendarnym protegowaniem klubu Doświadczenie i Przyszłość na pierwszym etapie jego działalności) wskazuje, że Olszowski po prostu dąży do władzy, a metody i poglądy są mu obojętne. Teraz popiera Grunwald...

jeżeli nieodwracalność przemian grozi interwencją — trudno, kto nie ryzykuje, ten nic nie ma.

Drugiemu rozumieniu tezy o demokratyzacji i interwencji warto się przyjrzeć dokładniej. Jest to wariant innych, podobnych też głoszonych od sierpnia 1980 roku: że ani PZPR ani jej mocodawcy *nie mogą* się zgodzić na niezależne związki zawodowe; że *nie mogą* się zgodzić na rozbięcie ruchu młodzieżowego; że *nie mogą* się zgodzić na istnienie związku zawodowego rolników indywidualnych.

Wywody o prawdopodobieństwie lub nawet nieuchronności interwencji sowieckiej w Polsce są z reguły oparte na przesłankach natury teoretycznej. Zakłada się mianowicie, że ZSSR bezwzględnie wymaga zachowania określonych form ustrojowych, takich jak monopol władzy partyjnej, podporządkowanie jej związków zawodowych, jedność i hierarchiczna struktura partii, itd. Na drugim miejscu wymienia się niezbędne reguły polityczno-wojskowe: pozostanie w pakcie warszawskim, utrzymanie linii komunikacyjnych do NRD, itd. Słabością takiej argumentacji, ujawnioną przez fakt przełamania w Polsce już paru „nieprzekraczalnych” barier, jest sztywność formuł. Np. zasadę niezbędności pozostania PRL w pakcie warszawskim można uznać za naprawdę obowiązującą tylko wtedy, kiedy się ją traktuje fasadowo; jest dość jasne, że już dzisiaj Sowieci nie mogą liczyć na Ludowe Wojsko Polskie w razie wywołania przez nich jakiegokolwiek awantury w Europie albo poza nią. (Ta fasadowość jest jednak ogromnie ważna: jawny rozpad imperium, nawet dokonany drogą pokojową i z zachowaniem poprawnych stosunków na wzór Finlandii, byłby dla ZSSR groźniejszy niż rozpad rzeczywisty, ale ukrywany, bowiem jedność ruchu komunistycznego i nieodwracalność rewolucyjnego procesu historycznego są dogmatami, na których opiera się legitymizm władzy komunistycznej. Dlatego gadanie o „finlandyzacji” jest tylko gadaniem).

Jednakże rozumowanie teoretyczne i schematyczne ma również swoje zalety: prawdopodobnie naśladuje sposób myślenia przywódców ZSSR. Wszystko wskazuje na to, że są oni jeszcze znacznie bardziej oderwani od dziejących się zdarzeń, jeszcze bardziej przyzwyczajeni do operowania abstrakcyjnymi formułami, niż owi intelektualiści, których powyżej złośliwie scharakteryzowałem. Ich schematy myślowe nie muszą się pokrywać ze sloganami, którymi od lat operują; trudno wszakże przypuścić, aby były do nich całkiem niepodobne. I jeżeli widzą oni wydarzenia w Polsce w rutynowych kategoriach podważania roli partii, aktywizacji sił antysocjalistycznych, imperialistycznych wpływów i spisków, syjonistycznych podszeptów, resztek burżuazyjnej ideologii, itd. — to istnieje poważne niebezpieczeństwo, że zareagują

na te wydarzenia sposobem także tradycyjnym i dobrze dla siebie zrozumiałym, to jest przemocą. Jeżeli, inaczej mówiąc, uznają to, co się w Polsce w ciągu ostatniego roku stało, za jedno wielkie odchylenie od normy — to reakcja chirurgiczna jest prawdopodobna. Pamiętajmy, że operowanie wyuczonymi kategoriami i etykietkami jest łatwiejsze i o wiele mniej męczące, niż wczuwanie się w nowość. Możemy mieć tylko nadzieję, że i do ich świadomości dotarła owa niebywałość, *jedyność* tego, co w naszym kraju zachodzi. Wyjątkowość, domagająca się nietypowej reakcji.

Trzeba jednak zakładać, że wypadki w Polsce są dla starców na Kremlu trudniejsze do zrozumienia a nawet opisanie, niż dla zachodnich obserwatorów, bardziej otrząskanych za swobodnymi i spontanicznymi procesami społecznymi i politycznymi. Łatwo się też domyślać, że stopień poinformowania o rzeczywistym przebiegu i skali wydarzeń w Polsce nie jest w Biurze Politycznym KC KPZS zbyt wysoki. Działa tam ten sam system, który działał przez lata w Polsce: członkowie władz najwyższych słyszą w zasadzie tylko to, co ich informatorzy uważają za dogodnie dla siebie. I tutaj również kryje się niebezpieczeństwo; bilans ewentualnych strat i zysków, przeprowadzany na Kremlu, może być oparty na błędnych danych wyjściowych.

Twierdzenie, że interwencja *musi* nastąpić, jest wynikiem myślowego schematyzmu. Twierdzenie, że nastąpić *nie może*, jest nieprzekonujące z innych powodów. Po pierwsze wywodząc, że koszty polityczne i gospodarcze interwencji byłyby zbyt wysokie, pomija się właśnie względy doktrynalne, które np. kazały Sowiecom zaprzepaścić szanse korzystnej współpracy z Japonią w imię kurczowego trzymania się paru wysp Kurylskich. Po drugie zakłada się, że Kreml posiada pełne i dokładne rozeznanie w sytuacji; jeżeli to prawda — dlaczego zachowali bierność rok czy dwa lata temu? Po trzecie wyklucza się możliwość prowokacji (takiej, jaka omal się nie powiodła na przełomie marca i kwietnia). Po czwarte, i może najważniejsze, sąd, że interwencja jest wykluczona czyni ją bardziej prawdopodobną — bo ułatwia prowokację, a koszt ewentualnej agresji obniża, skoro ani Polacy ani Zachód nie będą na taką możliwość przygotowani.

Ostatecznie jednak wszystkie hipotezy na temat stopnia prawdopodobieństwa interwencji oraz okoliczności, które ją mogą czy muszą wywołać są tylko domysłami. Istota sprawy polega bowiem na tym, że kierownictwo KPZS musi wybierać między dwiema niedobrymi ewentualnościami: kosztowną interwencją i kosztownym powstrzymaniem się od niej. Nikt zaś dokładnie nie wie, jak widzą przywódcy Kremla sytuację we własnym kraju; na ile rozumieją wydarzenia w Polsce; jakimi metodami obliczają kosztą i bezpośrednie korzyści interwencji. A skoro najteżsi za-

chodni rzeczoznawcy w sprawach sowieckich różnią się diametralnie co do tego, czy interwencja przyspieszyłaby czy też opóźniła rozpad ZSSR — to jest co się Sowietom na dłuższą metę bardziej opłaca — łatwo się domyśleć, że i sami Rosjanie mają trudności z podjęciem decyzji. I zapadnie ona na podstawie hipotezy, co dla ZSSR mniej szkodliwe.

Ponieważ zaś rachunek zysków i strat będzie przy tej decyzji odgrywał jakąś rolę (choć może mniejszą, niż znużenie, wynikłe z wieku kremlofskich decydentów) — należy dążyć do tego, aby koszt interwencji jawiły się przed ZSSR jako maksymalnie wysokie.

I nie prowokując ani nie dając się sprowokować — robić swoje. Bez złudzenia bezpieczeństwa, ale też bez przesadnych obaw przed świętymi krowami komunistycznej doktryny. Dlatego też kompromisy, o ile pozwalają na zachowanie dotychczasowych osiągnięć, są w zasadzie każdorazowo lepsze od ryzyka totalnej konfrontacji albo ostrego zaognienia na linii społeczeństwo - władza. Zresztą kompromis z reguły sprzyja na dłuższą metę silniejszemu, a nie powinno już być wątpliwości, kto dziś w wewnętrznej rozgrywce w Polsce jest silniejszy. Czas działa na korzyść ruchów odnowy. Pozwala im okrzepnąć (i, w wypadku katastrofy, zostawić bogatszą spuściznę); przyzwyczajają wszystkich zainteresowanych do nowej, niebywałej sytuacji. Im więcej ludzi, przede wszystkim polityków, zrozumie wyjątkowość polskich przemian — tym mniejsza szansa błędów, wynikających ze schematycznych reakcji. Oto nigdy jeszcze w kraju uprzemysłowionym nie doszło do szybkiej i demokratyzującej zmiany struktury władzy, spowodowanej przez masowy ruch pracowniczy. Nigdy dotychczas masy, sięgające skutecznie po wpływ na losy własne i swojego państwa, nie okazały tyle umiaru, rozsądku, patriotyzmu. I nigdy partia komunistyczna nie ujawniła tyle potencji do odnowy.

Wielka w tym zasługa przywódców i doradców, którzy kierowali się nie teoriami, doktrynami i planami — ale bystrą obserwacją, wyczuciem, rozumną świadomością celów i środków. Ludzi, którzy mieli otwarte oczy na błyskawiczne zmiany i uczyli się szybko. Młodość przywódców Solidarności, widziana w tym świetle, nie jest przypadkiem: oni tę jedność naszej sytuacji widzą najlepiej, bo sami są jej częścią i sami ją tworzą, wolni od urazów i stereotypów myślowych, które taką sprawiają trudność wielu ludziom starszych pokoleń.

Nie chciałbym zostać odczytany jako chwalcą postawy pragmatycznej. Elastyczność, zdolność do kompromisu, rozsądek, umiar — wszystkie te cechy są godne aprobaty jedynie wówczas, gdy idą w parze z nieustanną pamięcią o podstawowych ideałach

i wartościach. Kiedy służą do osiągnięcia nie byle jakiej ugody, spokoju, porozumienia i sukcesu — ale do postąpienia naprzód w stronę ostatecznych celów. Kiedy, innymi słowy, są zręcznością polityczną nie lawirantstwem.

Nie chciałbym również zostać odczytany jako zdeklarowany optymista. To, co napisałem o przyszłości nie jest wyrazem wiary, że wszystko będzie dobrze. Jest wyrazem przekonania, że trzeba iść naprzód, bo lepszej drogi nie ma. Interwencja nastąpić może równie dobrze dlatego, że nas będą widzieli jako słabych, jak i dlatego, że się wydamy zbyt zuchwali.

SOCJUSZ

5 maja 1981

...I co dalej?

Obecną sytuację gospodarczą kraju określić można bardzo krótko i bardzo jednoznacznie: totalna klęska. Być może jest to właściwością ustrojów totalitarnych, że ich konsekwencje są totalne: zwycięstwa ale bardziej jeszcze klęski. W naszym konkretnym wypadku ta katastrofa jest dla wielu korzystna, nie chciałbym mefistofelizować, ale nie zdziwiłbym się, gdyby wyszły na jaw motory działające na rzecz rozsypki, takie ukryte pogłębiarki ekonomiczne.

W tej sytuacji trzeba się pilnie zastanawiać nad sposobami wyjścia z impasu, trzeba ze wszech sił — a to znaczy zbiorowo, społecznie — przeciwdziałać klęsce, bowiem wraz z kompromitacją ekonomiczną nawarzoną przez kolejne ekipy rządzące nastąpi kompromitacja tych sił, które przeciwko temu gigantycznemu nonsensowi wystąpiły. To znaczy — Solidarności. To znaczy w pełniejszej konsekwencji — całego naszego narodu.

Polacy chcieliby być kochani. To nic, że częstują na lewo i na prawo, a zwłaszcza najbliższych sąsiadów, kuksańcami złości lub pogardy, sami — jak piękne kobiety — pragnęłyby rozkwitać w ciepłe wzniosłych uczuć. Niestety w sytuacjach międzynarodowych seks przestaje funkcjonować, a podobnie wzniosłe i bezinteresowne uczucia. Będziemy się cieszyć przyjaźnią i szacunkiem innych tylko wówczas, gdy poza wzniosłymi hasłami

będziemy mieć dla nich do zaoferowania dobry interes. Na razie do zaoferowania mamy jedynie wzniosłość.

To nie jest cynizm, a raczej to jest nie mój cynizm, ale cynizm psychologii zbiorowości. Zbyt mnie los własnego kraju i społeczeństwa obchodzi, abym miał mu oszczędzać bolesnych prawd. Na nieświadomości nic dobrego ani pięknego nie wyrasta. Nieświadomość to wcale nie jest gówno, w sensie nawozu bardzo pożyteczne, nieświadomość przypomina ową przemysłową polucję, która zatruwa wszystko dookoła. Trzeba mówić zawsze i wszędzie całą prawdę i nic poza prawdą. To tylko chorem na raka nie mówi się, na co są chorzy, ale Polacy nie są wcale chorzy na raka. Są właśnie cholernie zdrowi, choć jednocześnie i przepici, i politycznie skacowani.

W sytuacji totalnej katastrofy gospodarczej trzeba na gwałt naprawiać i uruchamiać wszystko co zepsute. Nie mam konkretnych propozycji, bowiem różnię się od 99 % mych ziomeków i doceniam swą niekompetencję. Interesuje mnie plan ogólniejszy: naprawy społeczeństwa. I w tej dziedzinie miałbym do przedstawienia kilka spostrzeżeń. A przy okazji chciałbym zwrócić uwagę, że kiedy przed kilku laty ostrzegałem w *Kulturze* przed ewentualnymi następstwami korupcji, stanowiącej podstawowy „oreź” ekipy Gierka - Jaroszewicza, to się najwyraźniej zagalopowałem. Rzeczywistość wykazała, że społeczeństwo samo potrafiło się wobec owej korupcji zbuntować (zwłaszcza, że jak wszystko w marksizmie, nie była ona dawkowana sprawiedliwie). Na swoje usprawiedliwienie mam jedno, co już raz na tych łamach napisałem: tego co się stało w sierpniu i po sierpniu nikt, absolutnie NIKT NIE PRZEWIDZIAŁ. Jeden z działaczy KOR'u powiedział niedawno: „Jak to dobrze, że mnie SB przytknęło w sierpniu, kiedy się wybierałem na Wybrzeże tłumaczyć robotnikom, że na tak wielką manifestację jest jeszcze za wcześnie! Dzięki „siłom porządkowym” nie zahamowałem procesu tamtego wielkiego przełomu, zresztą pewnie nie zdołałbym, ale w każdym razie sam się nie skompromitowałem”.

Niemniej elementy korupcji funkcjonują w wielu komórkach społeczeństwa, a ponadto pojawiły się nowe objawy, może jeszcze nie schorzeń, ale niepokojących zmian w organizmie.

Problemem wedle mnie podstawowym jest reedukacja społeczeństwa. Powie mi ktoś na to: Ejże, mędrku, dopiero co mędrkowałeś o zniewoleniu społeczeństwa wielką małą stabilizacją, a tymczasem ono pokazało w sposób zdumiewająco powszechny zdrowy rdzeń swej psychiki, a teraz bierzesz się do jakiejś reedukacji? Niby kogo? Co ci się jeszcze nie podoba?

Otóż chodzi mi o społeczną aktywność, ale nie tę można by rzecz zbrojną, która się ujawniła w potężnym zrywie Wybrzeża

w sierpniu, a całego, naprawdę CAŁEGO społeczeństwa podczas strajku ostrzegawczego po Bydgoszczy. Chodzi mi o aktywność pokojową, codzienną, aktywność w sprawach pomniejszych i niekoniecznie wzniosłych, ale ważnych z punktu widzenia poprawności działania całego organizmu.

Proszę pamiętać, że ustrój w którym przyszło nam żyć, pomimo jego ogromnych przemian po kolejnych wywrotkach skompromitowanych ekip, miał w całym tym okresie wiele cech jednakowych. Do nich niewątpliwie należała pasywność i społeczne zobojętnienie, które nam podawano łyżeczką i wstrzykiwano pręmcą końską strzykawką. Niedawno oglądałem maleńki filmik, jeden z tej wielkiej rodziny polskiego krótkiego metrażu, który nie przypadł do gustu Łukasiewiczowi i jego doradcom (tzw. bandzie Łukaszkii). „Próba mikrofonu” Marcela Łozińskiego pokazywała usiłowania młodego brodacza, prowadzącego węzeł radiofoniczny w dużej fabryce, przeprowadzenia wywiadu-ankiety z pracownikami: czy czują się współgospodarzami zakładu? Łatwo wyobrazić sobie co z tego wynikło, a reakcje dyrekcji były klasycznym przykładem tego, czym się karało krnąbrnych, którzy nie chcą się leczyć z aktywności.

Ideologiczny zakalec podawany jako strawa duchowa, wszystkoizm instytucjonalizmu, który „wyręcza” obywatela zawsze i wszędzie, amputowanie wszelkich wyłamujących się z przyjętego schematu inicjatywy, leki zapobiegawcze i doskonale urządzone prewentoria przeciwmyślowe, to wszystko przyniosło mizerne bo mizerne, ale jednak plony. Jesteśmy cholernie wypyskowani w krytykowaniu, w besserwiserstwie, ale tam gdzie się nasza codzienna działalność rozwija, charakteryzuje nas niespożyte lenistwo umysłowe i psychiczne. Przywykliśmy do pewnych mechanizmów, a może nawet polubiliśmy je. Jesteśmy zresztą niepoprawnie sentymentalni. Zawsze krytykowaliśmy królów, że dążą do narzucenia nam *absolutum dominium*, ale kochaliśmy naszego lokalnego magnata, który i ugościł od święta i „panem bratem” zwał, choćby i wiechcie nam z cholew wyzierały. I dziś krytykujemy królów i królików, ale właściwie w pełni godząc się na koślawe funkcjonowanie naszego własnego biura, warsztatu, stanowiska pracy, naszej administracji blokowej i szkolnictwa. Jest nam wygodnie, że wielki mechanizm instytucjonalny raz po raz wyręcza nas w podejmowaniu decyzji i w angażowaniu odrobiny dodatkowego wysiłku.

Nieco trudno przychodzi mi wytłumaczyć jaśniej o jaki typ aktywności mi chodzi. Na pewno bowiem nie o ten, który wyraża się deklamatorstwem i pewnym siebie besserwiserstwem tych, którzy z tupetem gardlują na wszelkie tematy, podejmują

się uzdrawiania wszystkiego. Uważam, że istnieje w naszym społeczeństwie absolutna niewspółmierność w zakresie problemów, które rozwiązujemy słownie, a maciupinką przestrzenią indywidualnych decyzji, których najczęściej boimy się podejmować na własną odpowiedzialność. Wzywałbym mych rodaków do tego, by mniej przemawiali, a więcej się zastanawiali, mniej krytykowali ogólnie i niekompetentnie, a więcej proponowali w drobnych, konkretnych problemach. Musi się ustabilizować relację pomiędzy wielkim narodowym *katharsis*, a wycinkową sytuacją, w której tkwimy osobiście. Bowiem coraz częściej słyszy się wielkie słowa i mocne słowa, ale w naszej codzienności idziemy obok tych słów, a za to skutecznie dawno ustalonym torem.

Reedukacja społeczna, to także zrozumienie, że teraz poważnie przybliżyliśmy się do tego, by myśleć „nasze” nie tylko o klatce schodowej w zamieszkiwanym przez nas bloku, ale także o przedsiębiorstwie czy instytucie, gdzie jesteśmy zatrudnieni. Troska o naprawę Rzeczypospolitej powinna się zaczynać zaraz za progiem naszych mieszkań.

I uważam, że do tej reedukacyjnej „pracy od podstaw” potrzebne jest nam niezbędnie szybsze dojrzewanie. Najskuteczniej może ustrój marksistowski w swym zadaniu społecznego ubezwłasnowolnienia obywateli działał dotychczas — jak to się ślicznie mówi w nowo-mowie — „na odcinku młodzieżowym”. Natrętne forsowanie młodzieżowości (muzyka młodzieżowa, literatura młodzieżowa, moda młodzieżowa, kultura młodzieżowa, brygada młodzieżowa z młodzieżową awangardą polityczną na czele) odniosło pewien dramatyczny skutek: obserwuję w Polsce coraz powolniejsze dojrzewanie kolejnych pokoleń. Może jest to proces ogólnościwiatowy — brak mi materiału porównawczego — ale u nas jest on faktem.

Przed wojną byli wojewodowie liczący niewiele ponad trzydzieści lat, podobnie profesorowie i dyplomaci. Obecnie o facecie dobijającym czterdziestki mówi się „kolego”, co ma dowodzić naszej łaskawej wyższości i nadziei, że ów młodszy „kolega” wciąż jeszcze dobrze się zapowiada. Szybki awans jest hamowany dwukierunkowo: odgórnie i odśrodkowo. Dziesiątki podłysiałych i przytyłych dobrze zapowiadających się młodzianków około czterdziestki chodzi w jeansach, sweterkach, koszulkach polo lub „Safari”, stylizuje się na wieczną młodziankowatość. Ja sam uwielbiam teksasowe portki, bo są wygodne i nieobowiązujące, ale naciągając je na swe pośladki mam pełną świadomość własnego wieku i miejsca w społeczeństwie. Za poklepujące „panie kolego” lub niestrawne wręcz „panie Mundziu” lałbym po mordzie, nie zważając na płęć.

To bardzo zabawne, gdy się obserwuje w telewizji spotkania przedstawicieli „przewodniej siły narodu” z przedstawicielami narodu — czyli Solidarnościowcami. Ci pierwsi, niezależnie od rzeczywistego wieku, są programowo podtatusiali: za grubi ale w koszulach z krawatami, podbródkowaci ale w marynarkach, są nagminnie ogoleni i ostrzyżeni, chyba że przerostami uwłosienia maskują jego niedostatki. Ci z Solidarności brodaci i kudłaci, a przynajmniej po wałęsowsku wąsaci, noszą jeansy lub sztruksy, golfy i sweterki. Krawat i marynarka są wyklęte, dopuszczalna najwyżej wiatrówka. Jedni są podtatusiało-dostojni ideowo, drudzy chłopięco-młodzieżowi stylowo. I dopiero wówczas ogarnia zdumienie, kiedy z ust tych niepoprawnych młodzianków płyną zaczynają bardzo dojrzałe sformułowania.

Ja doskonale rozumiem ową stylizację po stronie Solidarności: to stylistyka która sama przez się wypowiada się opozycyjnie wobec senilności wierchuszki kremłowskiej i innych „bratnich” wierchuszek. A w tym wszystkim Kania o wyglądzie proboszcza na wakacjach i Jaruzelski jako zapóźniony kleryk. Proszę zważyć, że ja tych obu panów nie krytykuję za wygląd i jeszcze nie za postępek, że ja tylko komentuję optyczną dziwaczność polskiej bezkrwawej rewolucji, od dawna bowiem przestałem wierzyć w wygląd, a nawet w słowa. Gierek miał doskonałą „aparycję” i mówił o wiele lepiej niż Kania z Jaruzelskim razem wzięci i co z tego wyszło...?

Ten wtęret stylistyczny umieściłem tu jako ornament. Ale o tyle potrzebny, że w jakiś sposób odbija w krzywym zwierciadle młodzieżową niedojrzałość sporej części naszego społeczeństwa. A najgorszym chyba owocem owej niedojrzałości „manipulowanej” jest tzw. działacz. Znamy go aż za dobrze: jedynymi jego kwalifikacjami było wyszczekanie i posłuszeństwo. Wyszczekanie zresztą specyficzne, nie służące do walczenia o coś, ale najwyżej przeciwko komuś. Eufemizmy stały się ostatnio ogromnie modne w oficjalnej mowie-trawie. Dawniej wszyscy mówili: „ONI” i doskonale wiadomo było o kogo chodzi. Dziś mówi się nam: „oni” (obce siły, nieodpowiedzialne elementy, odłamy) i z grubsza można się domyślać o kogo tu chodzi, ale wrodzony takt nabyty po sierpniu każe władzuchnie być niezwykle dyskretną.

Otóż model-działacz uprawiał zawsze dobrze utemperowane wielosłowie i pustosłowie, a ponieważ to były jego jedyne kwalifikacje, więc i nadawał się do działania „na każdym odcinku”. Pisano na ten temat wiele, i ja też pisałem, więc go tu nie rozwijam, ale pragnąłbym zwrócić uwagę na fakt, że działacze zaczynają się raz po raz pojawiać także w szeregach Solidarności. I nie mam na myśli wyłącznie tych, którzy zostali specjalnie

skierowani „na ten trudny odcinek”. Nie wątpię, że jest ich wielu, ale nie demonizowałbym zjawiska (co dość często pojawia się w „nocnych rodaków rozmowach”). Ci infiltrowani prędzej czy później się sypną i nie wierzę, by ze swymi zgrzebnymi kwalifikacjami mogli zagrozić milionom Polaków.

O wiele większy niepokój budzi we mnie wcale niemała rzesza działaczy z przekonania, którzy w Solidarności znaleźli pole do wyżycia się i... wykazania przed sobą samymi. Przed tym co zaraz napiszę muszę zaprezentować własne wyznanie: nie tylko jestem członkiem Solidarności, ale się z nią utożsamiam, co jest prostą konsekwencją faktu, że utożsamiam się z narodem Polaków, a pomiędzy tym narodem a Solidarnością stawiam znak równania. Jest to jedyne nie tylko na skalę polską, ale ogólnoswiatową zjawisko zjednoczenia jakiegoś społeczeństwa, zjednoczenia działającego i pionowo i poziomo. Jest to — wcale nie nadużywam słów — wielka szansa dla ludzkości, jako dla zbioru społeczeństw i narodów. I tej szansy przegrać nie można.

A jednak są w Solidarności zjawiska głęboko niepokojące. Przede wszystkim ów wewnętrzny zajadły jazgot na szczytach, to kotłowanie się ludzi żądnych władzy i ludzi żądnych działania dla działania, małych i dużych fanatyków i egocentryków, tłoczących się pospołu z najświetlejszymi spośród nas. Nie! Nie ma pod słońcem społeczeństwa idealnego. Czy tu, czy na antypodach zawsze wielkie ruchy społeczne pozwalają wypływać na powierzchnię ludziom o najtęższych gardłach, najskuteczniejszych łokciach i braku jakichkolwiek zasad. A także takim, którzy przekonani o swej doskonałości i swych działaczowych charyzmatkach uważają, że mają do spełnienia misję. Więcej pokory — panowie, więcej dojrzałości — przyjaciele!

W obecnej chwili, kiedy panuje pozorny spokój i przeprowadzane są rozmaite manewry psychologiczne na przedpolach wielkiego milczącego frontu, chodzi o rzecz niesłychanie ważną: o zachowanie pełnej równowagi, o to, by pod żadnym pozorem nie dać się sprowokować. Twierdzę, że obecna sytuacja jest w pewnym sensie trudniejsza niż minione kolejne okresy konfrontacji. W tamtych o jednolitości działania decydował wielki stress narodowy. Obecnie na niekorzyść jednorodności ruchu i jednomyślności społecznej działają wstydlive ale dokuczliwe bodźce codziennych kłopotów. Można istnieć i działać zbiorowo w momencie jakiejś fali głodu, dezorganizacji, odcięcia źródeł energii (prądu, gazu, wody), o wiele trudniej ową zbiorową aktywność utrzymać w momencie wydłużających się kolejek do sklepów, ogólnej małej niemożności, tysiąca codziennych rodzinnych kłopotów.

PZPR robi teraz w stronę Solidarności gesty zginania ręki w łokciu, pukania się w czoło, grania na nosie. A kuku: chcieliście podwyżek — no to je macie. I co za te pieniądze możecie dostać? To fakt, że trzeba było raczej w pierwszym rządzie negocjować natychmiastową restytucję i rehabilitację gospodarki polskiej niż kilkaset dodatkowych złotych lub wolne soboty, ale Solidarność musi także działać dla ludzi, to znaczy dawać im widoczne zdobycze: właśnie podwyżki i właśnie pewne ulgi w pracy. Ale teraz, kiedy rozciągnęła się nad naszym krajem milcząca zastoja „90 spokojnych dni” Jaruzelskiego, które *nota bene* wcale nie są spokojne, tylko przeobrażają się z dnia na dzień w coraz żałośniejszą drogę krzyżową rodzin polskich, trzeba utrzymać wysoki ton, trzeba utrzymać ową tak nagle, niespodziewanie i powszechnie zadzierzgniętą społeczną jedność. Trzeba wpręgać ludzi w reedukacyjną działalność „pracy organicznej”, to znaczy w maleńką, komórkową pracę naprawy Rzeczypospolitej. To właśnie na tym poligonie wykruszają się z szeregów krzykacze modelu „działacz”, bowiem oni właśnie nie są przystosowani do „pracy od podstaw”, zresztą do jakiegokolwiek pracy, a jedynie do wielkich słów.

Zagrozenie po tej stronie barykady — to znaczy po stronie narodu — to nasz przysłowiowy słomiany zapał. W codziennych kłopotach przyswędzić skrzydła łatwo najgorliwsi. I dlatego na pytanie: co dalej? mam tylko jedną jedyną i podstawową odpowiedź: utrzymać za wszelką cenę wysoki ton, a choćby nawet drogą propagandowych chwytów: rocznic — jak dopiero co hucznie obchodzony po zmokłym i razowym 1 Maja słoneczny i tłumny 3 Maj, jak ewentualne przeniesienie zwłok Sikorskiego do kraju, budowy jakichś kolejnych pomników, szczególnie uroczyste msze itd. I równocześnie zakasać rękawy do naprawiania nie na szczeblu ogólnopolskiej reformy gospodarczej, ale na szczeblu swych własnych, autentycznych, uczciwie wobec własnego sumienia weryfikowanych kompetencji.

Zróbmy bowiem krótki bilans: co mamy do stracenia, a co do zyskania, a także zastanówmy się przez chwilę, jakie istnieją na najbliższy okres zagrożenia.

Do stracenia mamy — rzecz ujmując najkrócej — wszystko. To znaczy ten stopień swobód które wywalczyliśmy w samym sercu demoludów i wbrew nim, tworząc oazę wolności od Berlina po Władywostok i od Archangielska po Tiranę. Nigdy nie dość politycznej tautologii: ten margines swobód, który w kolejnych mniej czy lepiej udanych etapach społecznych wstrząsów wyrwaliśmy z gardła PZPR'owi to naprawdę coś, co zdumiewa i zachwyca. Co nie oznacza, że już zdobyliśmy wszystko co się nam należy i czego żądamy i żądać będziemy. Ale co nie ozna-

cza również, że te zdobycze mamy traktować po macoszemu, tak jak na co dzień po macoszemu traktujemy naszą, naprawdę naszą wspólną własność: autobusy i trolejbusy, tramwaje i EKD (te nasze strupieszale koniki i pojazdy), nasze klatki schodowe, skwery, urządzenia sanitarne i wystroje świetlic. Słomiany zapał Polaków przejawiał się zawsze tym, że z zapałem coś budowali, coś tworzyli, ale stworzywszy natychmiast zakładali ręce i nie kwapili się z codzienną higieną i okresową naprawą.

Nic do czego nie przykładamy ręki nie trwa niezmiennie: wszystko, absolutnie wszystko ulega psuciu się, niszczeniu, dewastacji. Zrujnowaliśmy w okresie powojennym tysiące domów i nawet całe miasta, nie przykładając ręki do dziury w dachu i naderwanej rynny. Nasze wywalczone z takim wysiłkiem, poświęceniem i zachwycającą jednomyślnością swobody też nam zaczęła zaciekać i grzybieć, jeśli ich nie będziemy pielęgnować na co dzień.

Myśmy w naszej historii mieli trzy „bezkrwawe rewolucje”, każdą inną: tę z okresu wielkiej reformy Sejmu Czteroletniego i Konstytucji 3 Maja, która poszła wniwecz wskutek zdecydowanych działań dwu naczelnych żandarmów Europy: Rosji i Prus*, zakłamaną „bezkrawą rewolucję” po wkroczeniu wojsk sowieckich do Polski w 1944 roku — zakłamaną podwójnie, bowiem *de facto* nie była to żadna rewolucja tylko narzucenie udźwężonemu okupacji narodowi reakcyjnego reżymu marksistowskiego, a po drugie — ponieważ obficie spłynęła krwią mordowanych masowo bojowników wolności i przypadkowych ofiar.

Twierdzę, że ta trzecia i jak dotychczas najbardziej autentyczna (to znaczy przynosząca rezultaty), bezkrwawa rewolucja polega na zupełnie nowej sytuacji: poddania samozwańczej grupy rządzącej szerokiej kontroli społecznej. Czy taka sytuacja na dłuższą metę jest możliwa do utrzymania? Nie, i to dla dwóch przyczyn, bowiem nikogo nie satysfakcjonuje, ani podporządkowanych owej kontroli, ani tych, którzy kontrolują strupa, którego wciąż jeszcze z rany zerwać nie można. Ale niezależnie od długości okresu, w którym sytuacja taka może i powinna trwać, jest ona niezwykle wprost zdobyczą, stwarzającą nowe perspektywy „miękkiego lądowania” od dyktatury do demokracji. Pierwszą jaskółką owego miękkiego lądowania były Hiszpania i Portugalia, w których udało się przejść gładko do demokracji, nie pozwalając komunistom na zastąpienie dawnej dyktatury nową. Tyle, że w obu tych krajach wciąż jeszcze odczuwa się

* Ostatnio panuje w PRL posucha na kawały. Jeden z nielicznych i nie nadmiernie wesołych, to odpowiedź na pytanie: czy mogą obecnie nastąpić kolejne rozbiory? Odpowiedź: nie! bo Austria się nie zgadza.

silne wewnętrzne wrzenie i brak im tego ogromnego consensusu, który od ubiegłorocznego sierpnia jednoczy Polaków. Zresztą myśmy jeszcze całego procesu „miękkiego lądowania” nie przeszli, jesteśmy ciągle w trakcie, a lądowisko otaczają zewsząd szczelne tłumy obserwatorów, u których trudno doszukiwać się sympatii i zrozumienia.

Walka Solidarności o sprawiedliwość jest dla nas sprawą pierwszorzędną wagi. Musi zaś być ona powszechną. Nie ma sprawiedliwości ograniczonej, bowiem — jakby powiedział Stalin — sprawiedliwość jest niepodzielna. Więc dotyczy także tego ogromnego problemu, w jaki sposób udźwężonemu 36 milionom zapewnić już nie luksusowe, ale przynajmniej znośne bytowanie. Bo sprawiedliwość to nie tylko ujmowanie bogatszym, czyli proponowane przez wszystkie socjalizmy równanie w dół, ale przede wszystkim dodawanie biedniejszym. Czyli równanie w górę. To powinno być naczelnym hasłem Solidarności: równajmy w górę w dziedzinie praw obywatelskich, swobód politycznych i... warunków bytowania.

Nie jestem zwolennikiem represji i polowań na czarownice. Ciekawe zresztą, że ostatnio (na kolejnych plenach i zebraniach partyjnych) nie Solidarność domaga się surowego karania winnych obecnym spustoszeniem naszego stanu gospodarczego, ale żądni krwi są do niedawna gorący poplecznicy, oklaskiwacze i jednomyślnicy z PZPR. Jest mi głęboko obojętne czy będzie się karać sędow ojców chrzestnych Gierka i Jaroszewicza i pomniejszych ojczulków-żłodziejaszek. Zresztą jakich tu szukać limitów karalności: czyż pierwszy na ławie oskarżonych nie powinien zasiąść spasiony *old-play-boy* PZPR'u Cyrankiewicz?

Ale nie jestem zwolennikiem represji i nawet dziwi mnie furia społeczeństwa wobec tych, którzy mają dache i samochody, bo dom i samochód to jest coś, co się w cywilizowanym społeczeństwie należy każdemu za jego uczciwą pracę. Proponowałbym w rezultacie większą społeczną troskę o rozpoczęcie równania w górę, a nie poszukiwanie wybrańców dotychczasowego losu, nadających się do ściągania w dół. Żłodziejstwo winno być karane, zwłaszcza u nas, gdzie jest zjawiskiem nagminnym. Ale niech będzie represją stała, represją prawa wobec tych, którzy je łamią, a nie okresowym świętem narodowym Polaków.

Nie muszę chyba składać oświadczeń, że nie jestem zwolennikiem marksizmu, a nawet że nie jestem zwolennikiem socjalizmu w ogóle. To chyba jasno wynika z tego co piszę. Ale równocześnie raz jeszcze powracam do sprawy, którą poruszyłem przed laty w artykule „Akcja K” — nie wolno nam wylewać dziecka z kąpielą, po 35-leciu rządów marksistów powinniśmy ocalić te wszystkie wartości, które one wniosły. Żałosne biado-

lenia przywódców „przodującej siły narodu”, że jednak mają jakieś zasługi świadczą jedynie o tym, jak bardzo brak tym ludziom perspektyw i oceny właściwych kryteriów. Oczywiście: ten cały socjalizm w jego moskiewskiej edycji wniósł pewną ilość wartości, które powinny być trwałe. Nie są to konieczne „zdobycze budownictwa socjalistycznego”, bo ono jest wyjątkowo marne i niewarte trudu podpierania go drągami. Wartości, które wniósł w naszą polską rzeczywistość, leżą w sferze niewymiernej, w sferze poczucia równouprawnienia (które nie było realizowane, ale o którym się oficjalnie deklamowało bez przerwy), w sferze socjalnych urządzeń, w sferze zasad oświatowych. Nawet jeżeli poszczególne realizacje były, jak wszystko w tym ustroju, sprapane, same zasady warte są ochrony i kultuwowania.

A teraz jeszcze chwilę uwagi należy poświęcić najgroźniejszym przeszkodom na drodze realizowania modelu polskiej bezkrwawej rewolucji. Są więc oczywiście dwa podstawowe zespoły owych zagrożeń: zewnętrzne i wewnętrzne.

Zacznijmy od pierwszych: groźby interwencji ZSSR i nieustannego mieszania się w nasze sprawy dwóch panów H. — tego z Berlina i tego z Pragi. Ci ostatni niewiele znaczą, ich bezcelne wrzaski i pogrożki wynikają z potężnego strachu: sami siedzą, jak do lata ubiegłego roku Gierek, na mrowisku niechęci, gniewu, pogardy. Tyle że Gierek w swej przerażającej głupocie nic o tym nie wiedział, a oni wiedzą, więc mobilizują swe bezpieki, milicje i armie, przeciwko nam i przeciwko własnej potencjalnej Solidarności.

Sprawa poważna to Kreml z jego ekipą żelaznych starców. I tak od siebie powiem, że im nawet współczuję, bowiem znaleźli się w sytuacji pata: nie mają ruchu, bo wkroczyć, to znaczy rozpocząć na nowo zimną wojnę, która ma dwie alternatywy: albo nie przerodzi się w wojnę gorącą i wtedy musi być ekonomicznie przez ZSSR przegrana, albo przerodzi — a wtedy mogą się i Chińczycy uaktywnić, no i w ogóle nie wiadomo czy dziś jeszcze istniejąca przewaga militarna może dać Rosjanom pewność sukcesu. A nie wkroczyć, to znaczy pozostawić chorobę Solidarności nieleczoną (jest to bowiem choroba, którą można leczyć jedynie chirurgicznie). I to znaczy jeszcze: ryzykować, że przetrzuty społeczny bunt i rewolucyjny sprzeciw wobec dyktatury samozwańczych reprezentantów proletariatu przekroczy granice PRL.

Stwierdzając powyższe wyrażam głębokie przekonanie, że na wschodniej flance mamy do czynienia z „sojusznikiem” bardzo inteligentnym i zaprawionym w wielorakich metodach skutecznego działania. Co to zresztą znaczy: wkroczyć? Kiedy Zachód potrzasał szabelką (i trzeba Reaganowi przyznać — skutecznie)

oraz snuł prorocтва: wkroczą — nie wkroczą, Ruscy wkroczyli *de facto*. Było ich wszędzie po całej Polsce do licha i trochę. Stacjonowali, wcale się z tym nie kryjąc, po rozmaitych Wólkach, laskach i pagórkach. Mieszkali w namiotach, a z tubylcami handlowali konserwami *made in Poland*, które wymieniali za bimber. Teraz jakby się ich trochę przerzedziło, ale nadal jest ich pełno, nie tylko w dotychczasowych głównych obszarach dyslokacji (legnickie, szczecińskie, koszalińskie itd.), ale i w nowych „obozach przejściowych”.

Tylko co innego — wkroczyć, a co innego — zrobić porządek. Błędy dotychczasowych zrywów: węgierskiego i czeskiego polegały na tym samym co zrywy naszego narodu w 1956 i 1970 — na wychodzeniu na ulicę, na stwarzaniu awantury umożliwiającej prowokację, kończącą się nieuchronnie „przyjacielską pomocą”. I jeszcze jednego potrzeba tu czynnika — czynnika klik partyjnych gotowych na wszystko (tu dochodzimy do zagrożeń wewnętrznych).

Proszę pamiętać, że w Polsce od sierpnia spadło z wyżyn nomenklatury mnóstwo bonzów: najwyższych, średnich i malutkich, ale w sumie tworzą oni wcale pokaźną gromadkę „pokrzywdzonych”, ludzi, którzy jak przed niemal 200 laty Targowiczanie, skłonni są w imię własnych interesów sprzedać całą resztę narodu. Potencjalni Targowiczanie polskiej bezkrwawej rewolucji są w moim przekonaniu zagrożeniem dotychczasowych zdobyczy najgroźniejszym.

I na tym tle istnieje realna szansa współpracy Solidarności z PZPR'em: należy podeprzeć partię, a w szczególności tę jej — wcale liczebną! — część, która się opowiedziała za odnową. Partia jest dziś przeraźliwie słaba i fakt ten wcale nie jest tak bardzo pocieszający, jakby się to mogło na pierwszy rzut oka wydawać. Jeśli wciąż jeszcze owa partia jest nam: Polakom w kraju potrzebna, to tylko na tyle, by potrafiła się sama ze swymi własnymi strupami rozprawić.

Zjazd Partii będzie wielkim próbierzem umiejętności politycznych Kani oraz konsolidacji tych, którzy teraz powinni przejąć odpowiedzialność za tę mizerną roślinkę. Mają oni bardzo trudne zadanie: ich poprzędnicy skompromitowali ową „siłę przewodnią” tak doszczętnie, że przejmują teraz nie organizację polityczną, ale masę upadłościową. Społeczeństwo rozumie lepiej niż to się komukolwiek wydaje, że mimo wszystkich kompromitacji PZPR ma właściwie tylko jeden atut: utrzymania sytuacji w ogólnych ramach porządku i uniemożliwienie tym samym „braterskiej pomocy”.

Starcy kremlowscy obserwują nas bacznie i z nieukrywanym niesmakiem. Breżniewowi nawet wymknęło się nieopatrznie

stwierdzenie, że trzeba PRL'owi pomóc „odwrócić bieg wypadków”. Jak na przywódcę „kraju zwycięskiej rewolucji” ujawnił w tych słowach cały bezmiar wsteczności tego, co reprezentuje. A wydawać by się mogło, że chociażby z uwagi na wiek, powinien być zrozumieć fakt, że historii zawrócić się nie da. Ani pałką, ani czołgami, ani jazgotem swych praskich czy berlińskich ekspozytur.

Nie chcemy konfrontacji z nikim. Chcemy uczciwych warunków bytowania i czystego powietrza w płucach narodu. I zbyt wiele wciągnęliśmy go w ciągu ostatnich miesięcy, byśmy się mieli biernie zgadzać na zawracanie biegu historii. I to świetnie punktują rozklejone po trosze wszędzie plakaciki Solidarności: Nie ma odwrotu!

Zygmunt OLSZTYŃSKI

Praworządność i bezprawie

Pod pojęciem „praworządność” rozumie się zazwyczaj przestrzeganie prawa przez organy władzy. Jednakże na użytek tych uwag takie znaczenie owego terminu będzie niewystarczające, spróbuję zatem sprecyzować interesujący nas temat.

Obecność problemów praworządności na forum publicznym w PRL jest rezultatem wysunięcia przez „Solidarność” postulatów dotyczących przestrzegania prawa przez władze oraz karania wszystkich, którzy popełnili przestępstwa, bez względu na to, jakie stanowisko zajmowali bądź zajmują. Dla rzesz związkowców żądania związane z praworządnością łączą się ze zbrodniami popełnianymi w ubiegłych latach przez MO i SB, ochroną tychże przez organy prokuratury oraz ukrywaniem przed społeczeństwem odpowiedzialnych za brutalne tłumienie robotniczych protestów. Drugi „koszyk” postulatów tego typu dotyczy pociągnięcia do odpowiedzialności karnej przedstawicieli władzy winnych nadużyć i złodziejstwa (*nota bene* podobne żądania pojawiają się w wielu rezolucjach tzw. „dołów” partyjnych). W dyplomatycznym języku pertraktacji z władzami zagadnienia te określa się właśnie mianem „praworządności”, natomiast w języku potocznym i w języku propagandy (plakaty, ulotki) pojawia się słowo „bezprawie”, bardziej dosadne i — jak sądzę — trafniej ukazujące istotę

problemu niż pojęcie „praworządność” w swym akademickim, przytoczonym na wstępie znaczeniu. Bezprawie w PRL to nie tylko łamanie prawa przez władze, lecz także jego stanowienie (nielegalne — poprzez sprzeczność z konstytucją i innymi ustawami — akty prawne), interpretacja przepisów prawa, dyspozycyjni wobec UB prokuratorzy, fingowane procesy sądowe i szereg innych zagadnień, o których tu jeszcze powiemy.

Zanim jednak zajmę się pewnymi przejawami niepraworządności, bo o niej tu głównie będzie mowa, chciałbym wskazać na ścisłą — według mnie — zależność między artykułowaniem przez „Solidarność” żądań przestrzegania prawa a przyjmowaniem przez władze określonej taktyki wymierzonej w związki.

Postulatu praworządności zabrakło w Sierpniu i brak ów procentuje ujemnie do dziś, czego najbardziej dramatycznym przykładem były wydarzenia w Bydgoszczy. Dlaczego jednak w 21 postulatach gdańskich zabrakło tego tak ważnego, jakim jest praworządność (gwoli ścisłości: istniał on w formie niejako rudymen tarnej i dotyczył nierepresjonowania za poglądy polityczne)? Otóż postulaty te były formułowane w oparciu o głosy wszystkich strajkujących załóg, kierowane do MKS-u w Stoczni. W Sierpniu strajkowały setki tysięcy ludzi, lecz tylko dla niewielkiego procentu strajkujących zagadnienia praworządności były jednym z naczelných problemów. Byli to głównie ludzie już w ubiegłych latach narażeni na bezprawne szykany policyjne, z powodu swej działalności na rzecz wolnych związków zawodowych czy powiązań z niezależnymi ugrupowaniami. Represje wobec opozycjonistów były w skali społecznej problemem mniejszej rangi, dotyczyły bowiem kilkuset czy kilku tysięcy ludzi, podczas gdy krach ekonomiczny, cenzura i przede wszystkim wolne związki zawodowe były sprawami milionów. Więcej zapewne osób wiedziało z lektury prasy niecenzurowanej o brutalności policji, dyspozycyjnych prokuratorach i sędziach, nie zmienia to jednak faktu, że ścisły zakaz informowania przez środki masowego przekazu o tych zagadnieniach przyczynił się do powszechnej niewiedzy społeczeństwa o rozmiarach bezprawia w PRL. W Sierpniu gra szła zresztą o większą stawkę i w efekcie doprowadziła do bezprecedensowych zmian strukturalnych systemu.

Porównując Sierpień '80 z Październikiem '56 łatwo można dostrzec, jak różnice w sytuacjach społecznych odmiennie kształtowały oburzenie ludności; w latach 50-tych każdy obywatel był świadom zbrodni wszechwładnego i wszechobecnego stalinowskiego aparatu bezpieczeństwa; oczywiście lata 70-te przedstawiały się pod tym względem zgoła odmiennie.

Warto zwrócić uwagę, jak kształtowała się bezpośrednio po Sierpniu prasowa krytyka „minionego okresu”. Otóż krytykować można było niemal wszystko: zarządzanie gospodarką, politykę kulturalną, dyskryminację wierzących, cenzurę, usuniętych prominentów partyjno-rządowych, niszczenie środowiska naturalnego. Tylko o policji i jej działalności było całkiem cicho. 7 października fetowano święto MO i SB. Tu trzeba oddać sprawiedliwość Jadwidze Mieczkowskiej z „Wolnej Europy”, która chyba jako pierwsza zauważyła, że na fali „odnowy” „zapomniano” jakoś o resorcie MSW i jego działalności w ostatnich latach.

Sprawy tej nie podjęła również „Solidarność” w pierwszych miesiącach swego funkcjonowania. Pierwszy wstrząs przyszedł dopiero po ujawnieniu osławionej instrukcji Prokuratury Generalnej o metodach zwalczania „działalności antysocjalistycznej”. Można było sobie wówczas uświadomić, że władza, której Sierpień wytrącił tak wiele atutów z ręki, trzyma w zanadru tego tuza jakim jest rozbudowany aparat policyjny i przygotowuje się do zagrania nim w odpowiednim momencie. Trzeba pamiętać, że w okresie wrzesień-listopad władze bardzo umiarkowanie posługiwały się policją dla kontrolowania działań „Solidarność”. Przypominam sobie październikowe i listopadowe objazdy Wałęsy po kraju, w czasie których spotykał się ze społeczeństwem. Były przypadki, gdy agenci UB uszkadzali urządzenia nagłośniające (było tak np. w Krakowie i w Nowym Targu). Ludzie, przez lata nawykli do starannie reżyserowanych masówek, narzekali wówczas na... organizatorów, nie zdając sobie sprawy, że może to być robota bezpieki.

Nie będę przypominał szczegółów zakończenia konfliktu wywołanego ujawnieniem wspomnianego dokumentu prokuratury. „Solidarność” „odpuściła” sprawę, władze zwolniły aresztowanych. Przy tej jednak okazji przypomniał o sobie prokurator generalny — Lucjan Czubiński, jedna z najbardziej odrażających postaci na publicznej scenie PRL. W pierwszym szeregu stanęła też prokurator Bardonowa, wsławiona gorliwością w zwalczaniu niezależnych działaczy społecznych. Napięcie wywołane ujawnieniem „instrukcji Czubińskiego” spowodowało pojawienie się w atakach partyjnej propagandy nowego terminu — „elementy anarchizujące” który potem często występował w filipikach towarzyszy z najwyższych władz.

Odczekawszy, aż opadną fale wzburzenia wywołane przypomnianą powyżej aferą, władze podjęły bardziej radykalne kroki wymierzone głównie w lokalnych działaczy „Solidarność”. Od zimy stopniowo zaczęły narastać przypadki policyjnych represji. Gama ich była zresztą bardzo szeroka: od zatrzymań, rewizji i konfiskowania materiałów związkowych, poprzez włamania do

lokali „Solidarność”, dokonywane przez „nieznanych sprawców”, kończąc na brutalnych pobiciach i bestialskich morderstwach, których sprawców też można się tylko domyślać, bowiem w żadnym wypadku winni nie zostali wykryci. Posunięcia te miały na celu eliminowanie „niewygodnych” dla władzy działaczy, poprzez ich zastraszanie czy — w najbardziej skrajnych przypadkach — fizyczną likwidację. Sądzę jednak, że akcje te, bez wątpienia inspirowane odgórnie, były także — z jednej strony — swego rodzaju testem dla „Solidarność”, z drugiej zaś — zmierzały do wygrania różnic w kierownictwie związku dotyczących taktyki wobec władz. I jeśli nawet lokalne ogniwa związku protestowały przeciwko policyjnym szykanom, brak było należytej reakcji ze strony KKP „Solidarność”.

Godne przypomnienia są jeszcze dwa fakty. W styczniu skierowano do prokuratora generalnego list poruszający sprawę 26 przypadków śmierci lub ciężkich uszkodzeń ciała, spowodowanych — jak wskazują poważne poszlaki, bądź niezbite dowody — przez funkcjonariuszy MO i SB. Pismo to, podpisane przez rodziny ofiar, doczekało się osobliwej odpowiedzi dopiero po niemal trzech miesiącach a jak ta odpowiedź wyglądała — przypomnę za chwilę. Te drastyczne przypadki bezprawia ujawniono już wcześniej, dzięki ofiarnej pracy Biura Interwencyjnego KSS „KOR”.

Drugim zaś wartym przypomnienia faktem jest znamieny komunikat prasowy, ogłoszony bezpośrednio po zakończeniu strajku powszechnego w województwie bielskim a informujący o śledztwie przeciwko KPN i — co było swoistym novum — przeciw KSS „KOR”. Można było antycypować to posunięcie już w listopadzie, po ujawnieniu „instrukcji Czubińskiego”. Sądzę ponadto, że ówczesna taktyka Kościoła ułatwiła władzom podjęcie decyzji o tym kroku.

Uważne słuchanie wystąpień naczelnych towarzyszy na VII plenum KC PZPR, tudzież kolejność w jakiej przemawiali (Grabski — jeden z architektów twardego kursu — jako pierwszy), mogły pomóc w przewidywaniu dalszej taktyki władz. Kania „zaklepał” niejako linię zapowiedzianą przez Grabskiego, anonując „wyrzwanie antysocjalistycznego żądła” (bardziej to subtelna metafora niż sławetne Cyrankiewicza „obcinanie rąk”, ale — w obecnej sytuacji — równie złowroga). Zresztą jeszcze przed plenum w kilku publicznych wypowiedziach Olszowski wyraźnie sugerował taki właśnie kurs partii.

Ciekawe jednak jest to, że w społeczeństwie znacznie większy rezonans niż VII plenum wywołało objęcie stanowiska premiera przez Jaruzelskiego. Znaczącą rolę odegrały tu celowo rozpuszczane plotki, jakoby Jaruzelski w Sierpniu protestował

przeciw planom użycia wojska, lub nawet przebywał w areszcie domowym. Nie myślano jakoś o tym, że jak na razie to w PRL premiera wyznacza Biuro Polityczne a linię tego ostatniego nakreślił wyraźnie na plenum Grabski. Mit Jaruzelskiego funkcjonował jednak długo i aby wreszcie przysnął trzeba było jeszcze wielu dramatycznych wydarzeń.

Strajk w Radomiu wyraźnie uzmysłowił wielkie znaczenie spraw praworządności. Trudno się dziwić, że właśnie w Radomiu tak radykalnie wysuwano postulaty rozliczenia winnych wydarzeń z Czerwca; mieszkańcy tego miasta przez kilka miesięcy 1976 roku żyli w atmosferze policyjnego terroru. Stołki lokalnych dygnitarzy zajmowali tam cały czas ci sami ludzie, oczyszczani zresztą z zarzutów bodajże w grudniu ubiegłego roku w ordynarnej spreparowanym programie telewizyjnym przez złą sławę redaktora — Samitowskiego. Gdy strajk w Radomiu sięgał punktu kulminacyjnego, lokalna rozgłośnia radiowa w Bydgoszcy nadała audycję o łamaniu prawa przez aparat bezpieczeństwa w ostatnim dziesięcioleciu. Zareagowała na tę audycję prokuratura, wszczynając postępowanie przeciwko... autorom programu. Był to tylko jeden z sygnałów ostrzegawczych, niestety nie odczytany właściwie przez „Solidarność”. Oto w momencie, gdy sprawy praworządności i — jak sądzę — uzależnione od nich metody postępowania władz wobec związków stanęły „na ostrzu noża”, alarmujących sygnałów było więcej. Właśnie wówczas doczekaliśmy się odpowiedzi na wspomniany wyżej list dotyczący 26 zbrodni popełnionych przez policję. Odpowiedzi tej udzielono w najważniejszym dla manipulowania opinią społeczną środkiem przekazu — telewizji. Rzecznik Prokuratury Generalnej oświadczył, że wszystkie te sprawy były gruntownie zbadane i zarzuty wobec MO i SB są bepodstawne. Równocześnie dodał, że prokuratura jest też od tego, by strzec dobrego imienia „organów porządku” i nie będzie tolerować ich szkalowania.

Wracajmy jednak do Radomia. Zjawia się tam Grabski (no właśnie!), by oświadczyć, że sprawa odpowiedzialności lokalnych dygnitarzy za wydarzenia z Czerwca '76 została zbadana przez NIK i najwyższe władze partyjne i że zarzuty strajkujących są niesłuszne (po zakończeniu strajku radomscy kacykowie w pełnej chwale składają urzędy, by „nie być powodem społecznego napięcia”). Do Radomia przybywa Wałęsa w towarzystwie m.in. Jacka Kuronia. Przemówienia obu utrzymane są w podobnym tonie: trzeba skoncentrować się na pracy związkowej (Wałęsa) i dążyć do większej demokratyzacji, aby wydarzenia takie jak w Czerwcu nie mogły się powtórzyć (Kuroń). W rezultacie „Solidarność” „odpuszcza” sprawę, odkładając dyskusję o problemach praworządności na później.

Uważam zatem, że w Radomiu zapalono władzy zielone światło do stosowania przeciw „Solidarności” policyjnych metod. Konsekwencją tego stanu rzeczy musiał być incydent taki jak w Bydgoszcy (kilka dni po zajściach A. Gwiazda oświadcza w Delhi, że „Solidarność” była gotowa zapomnieć o aktach bezprawia, nie może jednak tolerować fizycznej przemocy wobec członków związku).

W tej sytuacji nie dziwi wcale wybór miejsca ataku; właśnie Bydgoszcz była areną najostrzejszego wówczas konfliktu społeczeństwa z władzą (strajk okupacyjny w siedzibie ZSL). Nie dziwi także wybór ofiar, a zwłaszcza pobicie Rulewskiego, którego „portret psychologiczny” musiał być dokładnie opracowany przez bezpiekę.

Warto może dodać, że niejako na drugim, mniej dramatycznym froncie, aktywność policji znacznie wzrosła właśnie w okresie bezpośrednio poprzedzającym wypadki w Bydgoszcy. Nasiliły się akcje przeciw działalności informacyjnej i propagandowej prowadzonej przez „Solidarność”. Przytoczę tu charakterystyczny przypadek, jeden z wielu podobnych. 18 marca w siedzibie „Solidarności” w WSS „Społem” w Tarnowie złożył wizytę oficer SB, który zażądał zaprzestania akcji informacyjnej, a zwłaszcza wydawania druków, plakatów i ulotek. W nocy „nieznani sprawcy” zniszczyli gablotę informacyjną „Solidarności” w budynku spółdzielni. Przykłady tego typu dowodzą, że w tym dramatycznym okresie władze podjęły równocześnie akcję przeciw tym działaniom „Solidarności”, których celem było przeciwstawienie się coraz mniej przebiegającym w środkach (zwłaszcza w telewizji) manipulacjom propagandowym. W gazetach pojawiły się też komunikaty prokuratury, że do czasu opracowania ustawy o cenzurze obowiązuje dekret z 1946 roku... zatem drukowanie czegokolwiek poza cenzurą jest działaniem nielegalnym.

Chcę teraz zwrócić uwagę na jeden aspekt postawy „Solidarności” po wypadkach bydgoskich. Chodzi mi mianowicie o bardzo pochopnie przyjętą tezę, że Bydgoszcz była prowokacją wymierzoną w rząd generała Jaruzelskiego. Prowadziło to niejednokrotnie do żenujących niemal sposobów akcentowania tej reakcji (plakaty: „Generale! Honor i Ojczyzna czekają!” lub: „Generale! Wobec sił bezprawia wspólnie tworzymy front społecznej samoobrony”). Godzi się przypomnieć, że w okresie konfliktu bydgoskiego, kiedy kraj stał rzeczywiście na krawędzi katastrofy, Jaruzelskiego — owego „symbolu ładu i porządku” po prostu jakby nie było! Był za to, i to w samym ognisku konfliktu, przedstawiciel tegoż rządu, wobec którego wypadki bydgoskie były jakoby prowokacją. Mam na myśli wicepremiera Macha, obecnego w Bydgoszcy w momencie ataku na związkow-

ców. Jaruzelski pojawił się dopiero na forum sejmowym, by dziękować policji, mówić o działalności antysocjalistycznej (prowadzonej według niego głównie za pomocą prasy związkowej, plakatów i ulotek) i przeforsować uchwałę antystrajkową. Uzasadniona wydaje się zatem teza, że karta „Jaruzelski” i jego „90 dni spokoju” były bluffem ze strony władz i miały tylko ułatwić wprowadzenie do rozgrywki aparatu policji. Słabą stroną tej tezy jest jej nieweryfikowalność, nieunikniona jednak w warunkach tajnego trybu podejmowania decyzji na partyjnych szczytach. Manewr z Jaruzelskim doprowadził więc w konsekwencji do próby wytrącenia „Solidarności” z ręki tej najsilniejszej broni, jaką są właśnie strajki. Natomiast najsilniejszą bronią władzy jest aparat bezpieczeństwa.

Nie zamierzam tutaj oceniać postawy delegacji „Solidarności” w czasie rozmów z komisją rządową pod wodzą Rakowskiego, kreowanego obecnie przez propagandę na polityka rzeczywiście zatroskanego o dobro narodu. (Warto może przypomnieć „Fryzury Mieczysława Rakowskiego” pióra L. Tyrmanda, publikowane niegdyś w *Kulturze*; tekst pokazujący wyjątkowy konformizm obecnego wicepremiera). Ocena taka została zresztą dokonana wewnątrz samej „Solidarności”, która jest do tego najbardziej właściwym forum. Oczywiście policyjne ataki na związkowców miał w intencji władz doprowadzić także (a może przede wszystkim?) do konfliktów w łonie KKP. Wszelako kontrowersje i różnice zdań to cena, jaką „Solidarność” musi płacić za demokratyczne zasady funkcjonowania związku. Jedno jest wszakże pewne: strajk generalny nie leżał w interesie społeczeństwa. I warto też przypomnieć, że sam Wałęsa uświadomił sobie wagę postulatów przestrzegania przez władze prawa; dowodem na to jego odpowiedź na napastliwe wystąpienie Rakowskiego.

Z jedną tezą chciałbym tu jednak polemizować. Otóż zupełnie nie zgadzam się z twierdzeniem, że zaatakowanie przez związek aparatu policyjnego oznacza koniec „Solidarności”, bowiem spowodowałoby generalną ofensywę władz („Postulat 'nieprovokowania władz' jest zawsze narzędziem w rękach władz, nigdy samoobronnym choćby narzędziem w rękach podwładnych” — trafnie zauważył w swoim „Dzienniku” G. Herling-Grudziński). Zależność jest według mnie zupełnie odwrotna: stałe podnoszenie przez „Solidarność” postulatów praworządności wiąże władzom ręce i przynosi w efekcie większe prawdopodobieństwo bezpiecznego działania związku. „Solidarność” prowadzi bowiem z władzą specyficzną grę i wcale nie jest tak, że postawienie określonego postulatów pociąga za sobą tylko dwie ewentualności: albo władze go zrealizują albo dojdzie do konfliktu. Formułowanie żądań do punktu wyjścia do rozmów, których wynikiem będzie

kompromis; zatem treść postulatów winna być określana przez przyjęte cele. I tak należy domagać się ujawnienia i ukarania winnych pobicia w Bydgoszczy. Winni ci — jak można się domyślać — nie zostaną wykryci, ale stałe podnoszenie tego postulatów gwarantuje, że władze nie zdecydują się więcej na użycie podobnych metod.

Sytuację podobnej „gry” obserwujemy w wypadku więzionych za przekonania. Stałe obecny postulat przywrócenia im wolności, chociaż nie spowodował ich uwolnienia, powstrzymuje władze przed urzędzeniem procesu, którego rezultat — jak wiadomo — byłby już ustalony *ex ante*. Ostatnio rozeszły się nawet pogłoski, związane z odroczeniem rozprawy, że władze poszukują jakiegoś wyjścia kompromisowego.

„Solidarność” musi zatem prowadzić z władzą pertraktacje, oparte na owym schemacie „gry” gdy akcentowanie wielu postulatów niejako z założenia nie ma doprowadzić do ich realizacji, lecz ma spowodować inne rezultaty, nie zgłoszone *expressis verbis*. Tak więc stałe żądania przestrzegania prawa przez władze i karania wszystkich przestępców uniemożliwią stosowanie wobec „Solidarności” tych samych policyjnych metod, którymi od kilku lat nęka się działacze demokratycznych ugrupowań. I nie- zwykle ważnym elementem w tej grze „Solidarności” z władzą jest czuwanie, by kontrpartner związku nie wyjął nagle z zanzardza kastetu.

Sądzę, że można wskazać określone granice „realizowalności” postulatów związanych z praworządnością. I tak nie zostaną ukarani funkcjonariusze policji i UB winni brutalnego łamania prawa. Opinię tę można odnieść do przestępstw popełnionych przy tłumieniu protestów robotników w 1970 i 1976 roku, do spraw przedstawionych we wspomnianym liście ze stycznia br. do Prokuratury Generalnej czy wszelkich aktów fizycznego terroru z okresu już po Sierpniu, nie wyłączając incydentu bydgoskiego. Wynika to po prostu z tego, że w większości tych przypadków funkcjonariusze bezpieczeństwa byli tylko wykonawcami decyzji podejmowanych na najwyższych szczeblach partyjnej władzy. W innych zaś sytuacjach (zbrodnie na komendach MO i w aresztach) cały aparat dochodzeniowy i prokuratura gorliwie dbały o to, by ukryć rzeczywistych sprawców, nie istnieją zatem sposoby ustalenia winnych i oskarżenia ich.

Trudno więc oczekiwać, by ujawniono i ukarano odpowiedzialnych za maltretowanie uczestników czerwcowego protestu, bowiem pociągnęłoby to za sobą przedstawienie społeczeństwu mechanizmów decyzji podejmowanych na partyjnym Olimpie. Wieść szeptana głosi, że za metody tłumienia rozruchów czerwcowych odpowiedzialny jest przede wszystkim Kania, co jest

o tyle prawdopodobne, że w istocie kierował on wówczas z ramienia KC sprawami wewnętrznymi. Ta tajemnica otaczająca kulisy wszystkich wielkich kryzysów politycznych w PRL (1956, 1968, 1970, 1976) to nienaruszalne tabu. Przypomnijmy, że powoływano wszak komisje do badania tych wypadków (komisje pod kierownictwem Gierka czy Szydłaka), lecz rezultatów ich prac nie ogłoszono do dziś. Władza nie może przecież przyznać się do tego, że partia rządząca „w imieniu klasy robotniczej” wydawała rozkazy strzelania do robotników, ich bicia i torturowania.

Trzeba pamiętać i o tym, że ze zjawiskiem tłumienia siłą buntów społecznych łączyła się także wspomagająca policję działalność prokuratury i sądownictwa. W ostatnich latach — po powstaniu niezależnych ugrupowań społecznych — oba te organy zapisały w swej historii wiele czarnych kart. Prokuratorem kieruje do dziś Lucjan Czubiński — współnik działającego bezkarnie przez wiele lat gangu Tibora Petrysa. Zresztą przestępcze postępowanie Czubińskiego, nie sprowadzające się przecież tylko do współudziału w bandzie gangsterów, wykracza poza kwalifikacje kodeksu karnego. Uwaga ta dotyczy także wielu innych przedstawicieli najwyższych władz. Zresztą karanie prominentów winnych nadużyć nie jest wcale determinowane przestępczym charakterem ich działalności, lecz pozycją w wewnątrzpartyjnych walkach. Bezprecedensowe zarzuty o niegospodarność można by postawić wielu towarzyszom zajmującym także obecnie bardzo wysokie stołki. A co myśleć o błyskotliwym *come-back*'u Kociołka, który w Grudniu zyskał przydomek „kata Wybrzeża”? W państwie niepraworządnym, takim jak PRL, nie istnieją po prostu prawne możliwości rozliczenia dzierżycieli władzy z ich działalności.

Istnieją zatem nieprzekraczalne granice „praworządności”, których napór społeczny nie będzie w stanie przełamać. Ale — jak już starałem się wykazać — należy ciągle podnosić żądania sięgające nawet poza owe granice tabu; utrudni to władzy — zmuszonej do liczenia się z głosem społeczeństwa — sięganie do metod bezprawnych. Podobnie należy dążyć do jak najszerszego informowania społeczeństwa o rozmiarach panującego w PRL bezprawia. Tylko obywatele świadomi wszelkich nadużyć władz rozmaitego szczebla będą zdolni do obrony swych praw.

Natomiast dziedziną, w której władze bez wątplenia zezwolą na dość istotne zmiany, będzie prawo pisane. Zresztą prace w tym zakresie zostały już zapoczątkowane (ustawy o związkach zawodowych i o cenzurze, zapowiedzi zmian w kodyfikacji karnej, powołanie nowych komisji sejmowych i inne). Bez wątplenia zmiany te są korzystne dla społeczeństwa i utrudnią władzy dzia-

łania bezprawne, pamiętać jednak trzeba o względności prawa w PRL i o tym, że decydującym czynnikiem jest linia polityczna partii, a nie przepisy. A Szczypiorski w wywiadzie udzielonym „Głosowi” słusznie podkreśla, że funkcjonowanie cenzury będzie zależne przede wszystkim od klimatu politycznego, a nie od ustawy. Podobnie podporządkowanie urzędu kontroli Sejmowi, proponowane w tzw. społecznym projekcie ustawy, choć niewątpliwie bardziej korzystne dla swobody życia kulturalnego, nie jest jakimś ostatecznym gwarantem liberalizacji cenzury. Wszak Sejm był w PRL przez ponad 30 lat teatrem marionetek i partia nie będzie szczerzyć starań, by powrócić do takiej sytuacji. Inny przykład, dotyczący tym razem kodeksu postępowania karnego: proponuje się, aby decyzje o tymczasowym aresztowaniu wydawał sąd a nie prokurator. I słusznie, ale w myśl obecnie obowiązującej ustawy, aresztowanemu przysługuje prawo odwołania się do sądu od decyzji o sankcji prokuratorskiej. A sądy niemal bez wyjątku zatwierdzają decyzje prokuratora.

Przykłady tego typu można by mnożyć. Całe zresztą zagadnienie opresyjności prawa w PRL, ustaw sprzecznych z konstytucją czy kuriozalnych aktów prawnych (np. ów o uposażeniu prominentów) a przede wszystkim względności wpływu prawa na różne dziedziny życia społecznego, wymagałoby odrębnego studium, na które w tym szkicu nie mamy miejsca.

Jeżeli pisałem tutaj o rozmiarach bezprawia w PRL, to chciałbym na koniec wspomnieć o kilku przynajmniej zagadnieniach, cały czas — pomimo powszechnie deklarowanej odnowy — uparcie pomijanych milczeniem. Działalność MSW to nie tylko tłumienie w ubiegłych latach społecznych protestów, represjonowanie „opozycji demokratycznej” (cudzyśłów stąd, że zawsze uważałem ten powszechnie przyjęty termin za niezbyt szczęśliwy a Sierpień chyba w pełni potwierdził tę opinię) czy przemoc wobec związkowców z „Solidarności”. W dziesiątkach komend milicji i aresztanckich cel codziennie torturuje się zatrzymanych ludzi, winnych i niewinnych. Grozę wywołuje rozpowszechniona praktyka wymuszania obciążających zeznań za pomocą bicia (o zjawiskach tych pisał swego czasu Roman Wojciechowski w *Pulsie* i w *Biuletynie Informacyjnym*). Metody te pociągają za sobą niezwykle niebezpieczne społecznie następstwa. W wielu dzielnicach dużych miast notuje się przypadki krwawych zemst na szczególnie brutalnych policjantach. Zatrzymani, zupełnie pozbawieni wiary, że można dochodzić sprawiedliwości na drodze prawnej, po odsiedzeniu wyroku lub zwolnieniu z aresztu mszczą się na swych prześladowcach. Niejednokrotnie do więzień i aresztów trafiają ludzie akurat niewinni zarzucanych im przestępstw; zatrzymuje się ich dlatego, że kiedyś weszli w konflikt z prawem,

i torturami wymusza obciążające zeznania. Te kryminogenne metody przyczyniają się do wzrostu statystyk notujących recydywistów.

Nieludzkie warunki panujące w więzieniach to kolejny temat tabu. Zakłady penitencjarne w najmniejszym stopniu nie spełniają funkcji resocjalizacyjnej, wprost przeciwnie — przyczyniają się do jeszcze większej deprawacji więźniów i wyzwalają w nich najniższe instynkty.

Na szczególną uwagę zasługuje sprawa obozów koncentracyjnych w PRL, zupełnie nieznaną opinii publicznej. Niestety sam dysponuję niezwykle skąpych informacjami, uzyskanymi od ludzi tam więzionych; zbieżność tych relacji przekonuje mnie o ich wiarygodności. Obozy te rozmieszczono w odludnych rejonach Bieszczadów i Beskidu Niskiego, opierając się przy tym na wzorach sowieckich. Stosuje się więc metodę wyniszczającej i często bezproduktywnej pracy (np. „karczowanie” lasu górskiego przy półtorametrowej warstwie śniegu, a do tego noclegi w namiotach przy 20-stopniowym mrozie). Strażnicy więzienni rekrutują się z osobników przenoszonych tam karnie, najczęściej za przestępstwa przeciw życiu i zdrowiu więźniów, popełnione w czasie służby w „normalnych” więzieniach. Nowoprzyjęty więzień otrzymuje z reguły „na powitanie” „łomot” wykonywany przez 4 strażników, uzbrojonych w pałki metrowej długości (regulamin formalnie zabraniają używania takich pałek, *nota bene* tą samą bronią posługują się specjalne oddziały policji z Gołędzinowa). Do tego dochodzą głodowe racje żywności i urągające wszelkim zasadom higieny warunki sanitarne.

Trzeba pamiętać i o tym, że pod względem ilości więźniów na ogólną liczbę ludności, PRL przoduje wśród państw bloku sowieckiego (brak oficjalnych danych dotyczących ZSSR).

Powszechna kpina z zasad prawa w kolegiach d/s wykroczeń stała się codzienną szarżą. Skierowanie przez MO sprawy do kolegium automatycznie oznacza orzeczenie winy.

Działalność resortu MSW nie wyczerpuje bynajmniej zasięgu bezprawia w PRL. W systemie władzy scentralizowanej, w którym partia dąży do kontroli wszystkich dziedzin życia społecznego, działalność aparatu bezpieczeństwa może być wspomagana przez prokuraturę, sądy, organy administracyjne. Może ale nie musi. Już w czasach gierkowskich, gdy korupcja i demoralizacja sięgały zenitu, prokurator Śliwa ścigał morderców w milicyjnych mundurach, a cenzor Strzyżewski ujawnił przerażający zakres funkcjonowania GUKPPiW. Dziś, choć partia pozostała partią a bezpieka bezpieczną, obudziło się sumienie społeczeństwa. I wierzę

w to głęboko, że mimo wszelkich wysiłków władzy więcej będziemy mieć praw, prawdy i wolności.

Anatol Marek LIPIEC

24 kwietnia 1981 r.

P.S. Usłyszałem w „Wolnej Europie”, że Barbara Toruńczyk publicznie oświadczyła w Madrycie, jakoby „w Polsce nie było obecnie drastycznych przypadków łamania praw człowieka”. Z mojego artykułu łatwo wywnioskować, że jestem nieco odmiennego zdania. Teza B. Toruńczyk niepokoi mnie tym bardziej, że została wypowiedziana na Zachodzie, gdzie nawet drobne naruszenie praw obywatelskich może być — i jest — piętnowane przez opinię publiczną, co skrupulatnie wykorzystuje propaganda bloku sowieckiego. Nie neguję kolosalnych przemian jakie dokonały się w PRL, także w zakresie praw człowieka, podobnie bezspornym faktem jest różnica w tej dziedzinie pomiędzy Polską a np. ZSSR. Nie oznacza to jednak wcale, że PRL miałyby być wzorem w realizowaniu wolności obywatelskich a taką opinię mógłby wysnuć niezorientowany zachodni odbiorca twierdzenia B. Toruńczyk. Proponuję terminy w rodzaju „prawa człowieka” pozostawić frazeologii polityków, a za to jak najrzetelniej opisywać rzeczywistą sytuację w Polsce. Zresztą osobiście jestem zwolennikiem twierdzenia S. Kisielewskiego, że trudno mówić o przestępcaniu praw człowieka tam, gdzie ich po prostu nie ma. Przepraszam, mała poprawka: mamy już jedno prawo obywatelskie: — do zrzeczenia się, ale wywalczone naprawdę z wielkim trudem.

A. M. L.

Wzory przeszłości

Albo: Gdyby Krzak był Grabskim,
a Kisiel — Kwiatkowskim.

W błędnym kole reformy gospodarczej

W kraju istnieje już ponad 10 projektów reformy gospodarczej. Nie wszystkie zostały opublikowane i są dostępne. Do projektów dołączają liczne przyczynki naukowców i publicystów,

zajmujących w dyskusji własne stanowiska. Istna inflacja i „wieża Babel”! Używany język pojęciowy jest tak zawikłany i tak wiele ogólników przy słusznych nawet postulatach zawierają te projekty, że czytelnikowi trudno wyłuskać z nich dokładną treść zaleceń¹.

Z informacji, które piszący te słowa zdołał pozyskać wynika, że wszystkie projekty żądają większego pola dla sił wolnego rynku i większej samodzielności przedsiębiorstw. Chodzi jednak nie o wolny rynek w naszym pojęciu zachodnim, ale o „rynek socjalistyczny”. Pod tym pojęciem rozumie się pobudzenie inicjatywy produkcyjnej i handlowej, częściowe wprowadzenie wolnej gry podaży i popytu oraz rozluźnienie hierarchicznego aparatu planowania i zarządzania gospodarką, a więc decentralizację gospodarki. Oficjalne projekty zasadniczo nic nie chcą zmienić w zasadach własności i w polityce pieniężnej, co dla funkcjonowania wolnego rynku, również rynku „socjalistycznego”, jest sprawą zasadniczą. Nowy model polskiej gospodarki ma leżeć gdzieś między Węgry i Jugosławią, ale — w opinii oficjalnych komentatorów — ma być całkiem inny, dostosowany do specyficznych polskich warunków.

Jaka jest wartość praktyczna wszystkich tych projektów? Prywatny zespół naukowców krajowych pod przewodnictwem prof. Janusza Goślickiego zadał sobie trud analizy porównawczej pięciu najważniejszych. Oto wniosek końcowy opracowania opublikowanego w warszawskim tygodniku *Życie i Nowoczesność* nr 565 z 14 maja 1981 pod wiele mówiącym tytułem „Wyjść z ogólników!”²:

„Oceniane i porównywalne propozycje reformy — piszą autorzy analizy — opracowane zostały w sposób tak ogólny, że można je nazwać raczej koncepcjami (podkreślenie moje) niż założeniami lub projektami umożliwiającymi przystąpienie do projektowania mechanizmów. Przyjmowano „ciche” założenie, że działać będzie rynek o cechach konkurencyjnych, co jest założeniem niepoprawnym i stawia całość koncepcji mechanizmowych pod znakiem zapytania”.

1. Autor tego artykułu mógł zdobyć i dokładnie przestudiować projekt Komisji do Spraw Reformy Gospodarczej, opublikowany przez *Trybunę Ludu*, Warszawa, styczeń 1981, „Program Rządu”, *Polityka* nr 37 z 13. 11. 1980, oraz opracowania Konwersatorium „Doświadczenie i Przyszłość”: raport drugi „Jak z tego wyjść?”, Biblioteka *Kultury* tom 319 Paryż 1980 i raport trzeci — patrz *Kultura* nr 5/404, 1981. Z innymi projektami mógł się zapoznać tylko na podstawie artykułów prasowych.

2. Analiza ta nie bierze pod uwagę projektów Konwersatorium „Doświadczenie i Przyszłość”, ale i te — choć zawierają wartościowe sugestie — nie są programem polityki gospodarczej.

„Żaden z projektów — czytamy dalej — nie pokusił się o przedstawienie społecznych kosztów reformy (np. tendencji inflacyjnych, środków zaradczych, zwolnień nieefektywnej siły roboczej i kosztów przeniesienia ludzi do nowych miejsc pracy, ich przekwalifikowania zawodowego), a z drugiej strony — oczekiwanych efektów ekonomicznych i roli reformy w przewyższaniu trudności gospodarczych”.

Trudno o bardziej pesymistyczny obraz. Czas biegnie, a liczne projekty reformy są stale jeszcze koncepcjami ideologicznymi, materiałem do dyskusji, a nie zwartym i jasnym programem polityki gospodarczej. Zadaniem polityki gospodarczej jest opracowanie środków i metod działania, przy których zastosowaniu można osiągnąć postawione sobie cele. Celem tym, chyba dziś bezspornym, jest możliwie szybkie wydobywanie kraju z katastrofy. Aby to osiągnąć, trzeba unikać teoretyzowania i umieć skoncentrować wysiłki na wytyczeniu praktycznych dróg i środków, jasnych nie tylko dla kierowników polityki gospodarczej ale — i przede wszystkim — dla społeczeństwa, które w ratowaniu kraju ma wziąć udział i ponosić ofiary, nieodłącznie związane z każdą reformą.

Kraj niemal od roku żyje w błędnym kole reformy gospodarczej, na pewno koniecznej, ale formułowanej jako program działań długofalowych. Znakomita większość projektodawców reformy skacze przez własny cień, upaja się sloganami „reformy systemowej” czy „kompleksowej”, „demokratycznym centralizmem” „socjalistycznym rynkiem”, „parametryzacją mechanizmów ekonomicznych” i tym podobnymi pojęciami, nie mogąc się uwolnić od schematów myślowych nabytych w szkołach wschodnioeuropejskiej ekonomii i planowania.

Zignorowane doświadczenia

Pisząc te słowa daleki jestem rzecz jasna od potępiania wszystkich kolegów ekonomistów w kraju, wśród których jest wielu ludzi o dużej wiedzy. Orientują się oni w sytuacji gospodarczej PRL na pewno lepiej niż ja i bardziej powołani są do wytyczania dróg naprawy w zgodności z tzw. „geopolityczną” sytuacją Polski i jej ustrojem, którego nie można radykalnie zmienić. Można jednak z pewnością również w ramach tego ustroju działać pragmatycznie, zwłaszcza gdy w grę wchodzi sytuacje nadzwyczajne, wymagające interwencji chirurga, a nie deliberyjących diagnostyków. Pragmatyzm jest zaprzeczeniem dogmatyzmu; buduje na analizie faktów i przyjmuje działania praktyczne za kryterium prawdy i celowości.

W tym kontekście znaleźli się w kraju młodzi ekonomiści, którzy wyjścia z kryzysu gospodarczego, w jakim znalazł się kraj po 35-ciu latach komunistycznego dogmatyzmu, szukają m.in. w doświadczeniach Polski międzywojennej. „Jak sobie radził Kwiatkowski?” — pyta Andrzej Bratkowski i odpowiada na to pytanie, podając pełny tekst Rozporządzenia Prezydenta R.P. z dnia 17 marca 1927 o wydzieleniu z administracji państwowej przedsiębiorstw państwowych, przemysłowych, handlowych i górniczych oraz ich komercjalizacji. „Co naprawdę robił Kwiatkowski w Mościcach?” — chcieliby wiedzieć Elżbieta Borek i Janusz Zaręba, referując w tygodniku *Życie i Nowoczesność* nr 565 z 14 maja 1981 rozmowy z żyjącymi jeszcze współpracownikami Kwiatkowskiego.

Powoływanie się na Eugeniusza Kwiatkowskiego, ostatniego ministra skarbu i kierownika polskiej polityki gospodarczej okresu niepodległości, jest niewątpliwie jak najbardziej na miejscu. Właśnie Kwiatkowski był typowym przedstawicielem pragmatyzmu w działalności gospodarczej. Nie z dogmatów i ideologicznych konstrukcji systemowo-organizacyjnych, ale z doświadczeń historycznych wyprowadzał konieczność poszukiwania form działania i metod zaspakajania potrzeb ludzkich. Jeszcze na krótko przed śmiercią w roku 1972 w rozmowie z Witoldem Starkiem na temat budowy Centralnego Okręgu Przemysłowego powiedział: „To nie moja zastuga. Idea zlokalizowania nowego okręgu przemysłowego w Polsce centralnej powstała w czasie lektury źródeł historycznych z XVIII wieku, ostatniego okresu Rzeczypospolitej³”.

„Żadna epoka i żadne społeczeństwo cywilizowane — pisał Kwiatkowski — nie może lekceważyć rzetelnego dorobku i doświadczeń przeszłości, choćby same wytknęły dla siebie inne, nowe, odmienne drogi rozwojowe”. I dalej — z wyraźną wskazówką dla kierowników gospodarki Polski powojennej: „Tym bardziej znajomość historii, choćby w ogólnym rzucie syntetycznym, jest ważna dla tego pokolenia, które stanęło na gruzach przeszłego dorobku i zmuszone jest do budowy nowych fundamentów i nowych zrębów własnej historii⁴”.

Ekipa rządząca Polską od 1945 roku zignorowała te wskazania. Pojawiła się nowa grupa ekonomistów z Oskarem Lange i M. Kaleckim, których poglądy do dziś dnia ciążyą nad krajową ekonomią polityczną. Do władzy przyszedł dogmatyk Hilary

3. *Warszawska Kultura* z 18. 3. 1979.

4. Eugeniusz Kwiatkowski, *Zarys dziejów gospodarczych świata*, Warszawa 1947, przedmowa pisana w grudniu 1946, str. 8-9.

Minc, główny autor „modelu” polskiej gospodarki według wzoru ZSSR i ojciec dzisiejszej katastrofy.

Przez długie lata nie interesowano się w PRL polityką gospodarczą i doświadczeniami Polski międzywojennej. Politykę tę z góry potępiono jako „obszarniczą” i rzekomo sprzeczną z interesami klasy robotniczej. Historia kraju i jego szczęśliwość zaczęły się od „Manifestu Chełmskiego” z 27 lipca 1945. Dziejopisarstwo marksistowskie końca lat czterdziestych i lat pięćdziesiątych, uprawiane przez nadwornych ekonomistów, prześcigało się w szkalowaniu i pomniejszaniu dorobku tzw. „Drugiej Rzeczypospolitej”. W latach sześćdziesiątych nastąpił pewien zwrot w kierunku większego obiektywizmu. Poczęto rozumieć olbrzymie trudności, w jakich znalazło się państwo polskie, odradzające się po wiekowej niewoli, i przyznawać pozytywne osiągnięcia, niemal zawsze jednak z podkreśleniem, że dopiero PRL wyprowadziła kraj na właściwą drogę gospodarczego rozwoju.

Jeszcze w roku 1978 profesorowie Zbigniew Landau i Jerzy Tomaszewski, badacze i autorzy wielu użytecznych nawet źródłowych prac z zakresu historii międzywojennej, zwalczali „tendencję do idealizacji obrazu gospodarki polskiej lat 1919-1939 przez młode pokolenie, które z własnych doświadczeń nie przeżyło tego okresu”. Dając gospodarce polskiej tych lat w ogólnej ocenie ujemną notę pisali dosłownie: „Dopiero objęcie w 1944 roku władzy w Polsce przez masy pracujące pozwoliło na realizację tych zadań, których nie potrafiły osiągnąć rządy klas posiadających. Reforma rolna, nacjonalizacja przemysłu, wkroczenie na drogę przemian socjalnych, a wreszcie zasadniczy zwrot w polityce zagranicznej — sojusz z ZSSR — pozwoliły na szybki i wszechstronny rozwój całego kraju. Nowy ustrój wyzwolił w pełni twórcze zdolności, patriotyzm i inicjatywę mas ludowych⁵”.

Dziś, po rzeczywistym wyzwoleniu się patriotycznych sił społecznych w wydarzeniach z sierpnia 1980 roku nikt już chyba w Polsce nie odważyłby się na tego rodzaju porównanie gospodarki PRL z Polską międzywojenną.

Jakie idee i środki działania polityki gospodarczej okresu międzywojennego można i należałoby dziś zastosować?

Odpowiedź na to pytanie jest trudna po 35-ciu latach komunizmu na ziemiach polskich, z różnych powodów i punktów widzenia. Przebywającemu od wielu lat poza granicami kraju

5. Zbigniew Landau i Jerzy Tomaszewski, „Trudna Niepodległość (rozważania o gospodarce Polski 1918-1939)”. Książka i Wiedza, 1978, praca wydana z okazji 60-lecia niepodległości, str. 151.

jest bardzo trudno dawać autorytatywnie rady lepiej zorientowanym działaczom w Polsce. Można jednak — jak sądzę — pokusić się o zarysowanie w grubych liniach i w migawkowych zdjęciach niektórych idei, środków działania i metod w Polsce lat 1919-1939 w kilku podstawowych działach gospodarki, w konfrontacji z ideami i środkami działania PRL, pozostawiając reformatorom krajowym wyciągnięcie z tej konfrontacji właściwych wniosków.

Problematyka uprzemysłowienia w aspekcie historycznym

Jest wielkim kłamstwem komunistycznej historiografii PRL, że idea uprzemysłowienia Polski podjęta została dopiero po drugiej wojnie, a twierdzeniem wątpliwej wartości, że zrealizowana została właściwie przez dekret z 3 stycznia 1946 o upaństwowieniu przemysłu.

Uprzemysłowienie Polski uznane było już w okresie międzywojennym za kategoryczny imperatyw polskiej gospodarki. Tylko na tej drodze mogła być uzdrowiona struktura demograficzna, zwalczone jawne i ukryte bezrobocie wiejskie, podniesiony dochód społeczny, który przez 123 lata niewoli i eksploatacji kraju przez państwa zaborcze ustawił Polskę w grupie krajów biednych i zacofanych.

Wobec złego funkcjonowania po pierwszej wojnie mechanizmów wymiany kapitałów, towarów, rąk pracy i technologii, kraj chcąc nie chcąc musiał w akcji odbudowy i rozbudowy przemysłu liczyć na własne siły. Zakłady zniszczone przez wojnę dość szybko zostały odbudowane przez inicjatywę prywatną, która umiała wykorzystać powojenne kredyty inflacyjne. Później — to prawda — w rozbudowie nastąpiły pewne opóźnienia wskutek światowego kryzysu gospodarczego lat 1930-1935.

Sytuacja była w Polsce inna niż w tym samym czasie w Rosji. ZSSR dysponował obrymymi zasobami surowców i reprezentował obok USA drugi kraj gospodarczo samowystarczalny. Metoda Rosji była prosta: konieczne środki dla rosnących potrzeb inwestycyjnych zostały przymusowo wyduszone ze społeczeństwa przez mocną redukcję konsumpcji na wsi i w miastach.

Polska międzywojenna nie była samowystarczalna i nie mogła zastosować tej samej metody. Naród polski był zbyt mocno związany z kulturą europejską w ciągu wieków swej historii, aby dla nadziei szczęśliwości przyszłych pokoleń wyzbyć się w swej działalności gospodarczej zasady dobrobytu człowieka

i jak najlepszego zaspakajania jego aktualnych potrzeb. Stąd żaden rząd polski lat 1919-1939 nie uciekał się do środków przymusowej kapitalizacji. Nie wprowadziły też i nie mogły wprowadzić z tego samego względu kolektywnych form działania pod rygorystycznym nadzorem państwa, co charakteryzuje model gospodarstwa sowieckiego⁶.

Odrzucając wzory sowieckie, Polska międzywojenna podjęła akcję uprzemysłowienia według metod zachodnich. Opierano się zasadniczo na inicjatywie prywatnej, nie czyniono jednak z tej zasady żelaznej reguły. Działano praktycznie i stale pamiętano o ludziach jako podmiotach a nie przedmiotach gospodarki. Państwo nie wahało się wkraczać w dziedziny, w których inicjatywa prywatna nie była w stanie sprostać potrzebom społeczeństwa. Stąd też już w Polsce międzywojennej poczęła wytwarzać się mieszana struktura organizacyjna aparatu produkcyjnego, na pół prywatna, na pół państwowa.

Światowy kryzys lat 1930-1935 przyspieszył proces tej tzw. „etatyzacji”, zwalczanej w kołach liberalizmu gospodarczego, które jednak — wbrew temu co utrzymuje marksistowska historiografia PRL — nigdy nie miały decydującego wpływu na politykę gospodarczą okresu międzywojennego. Gdy kapitały zagraniczne poczęły w czasie kryzysu wycofywać się z kraju, państwo musiało przyjść wielu przedsiębiorstwom z pomocą finansową, lub przejmować je na własność. Upaństwowione przedsiębiorstwa nie podlegały jednak, jak w PRL przy centralnie kierowanej gospodarce, reglamentacji i dyspozycji odgórnej. Miały duży zakres samodzielności. Z reguły wydzielone były z administracji państwowej — m.in. na podstawie wspomnianego rozporządzenia z 17 marca 1927 — skomercjalizowane i prowadzone podobnie jak przedsiębiorstwa prywatne, z którymi z dobrym rezultatem współzawodniczyły.

W dalszej ewolucji te metody i środki działania państwa w kierunku uprzemysłowienia przekształciły się w świadomą politykę interwencjonizmu państwowego, którego rzecznikiem stał się Eugeniusz Kwiatkowski w latach 1935-1939, gdy powrócił do rządu i objął w nim stanowisko ministra skarbu i wicepremiera do spraw gospodarczych. Poczęły rodzić się 3-letnie plany inwestycyjne i w opracowaniu był 15-letni plan pers-

6. Porównaj Adam Rose, „Les principaux aspects de la politique industrielle”, *Pologne 1919-1939*, tom II, Neuchâtel (Szwajcaria) 1946, Editions de la Baconnière, str. 712. Jest to obszerne 3-tomowe dzieło informacyjne o Polsce międzywojennej, wydane pod auspicjami Jana Modzelewskiego, b. pośta R.P. w Szwajcarii. Piszący te słowa był z Adamem Rose współredaktorem tomu ekonomicznego i autorem dwóch syntetycznych opracowań, „La politique financière” i „La politique d'investissements”.

pektywiczny. Te plany nie miały nic wspólnego z modelem gospodarki planowej ZSSR czy PRL. Plany Kwiatkowskiego były „rozmişzczeniem celów w przestrzeni i w czasie”. Wychodziły z zasady ewolucyjnej metody polepszania struktury społeczno-gospodarczej i ekonomicznego pragmatyzmu w myśl nadrzędnych interesów państwa, co zalecał zawsze Józef Piłsudski. Plany nosiły charakter nie nakazodawczy ale orientacyjny dla obu sektorów gospodarki, państwowego i prywatnego. Motorem ich wykonywania były nie wskaźniki i nakazy, ale polityka finansowa, którą Kwiatkowski — choć utrzymywał stałość złotego — prowadził w sposób nieortodoksyjny. Dążył do przyspieszenia procesów inwestycyjnych, ale bez wywoływania inflacji i towarzyszącej jej zawsze „przymusowej oszczędności” szerokich mas społecznych, czyli tzw. „podatku inflacyjnego”. Wychodzono z założenia, że w wysiłku mobilizowania środków na cel planów inwestycyjnych nie należy przekraczać granicy, po przejściu której malejąca siła nabywczą rynku wewnętrznego automatycznie hamuje procesy inwestycyjne w następnych latach⁷.

W ramach interwencjonizmu państwowego Polska międzywojenna podjęła budowę Centralnego Okręgu Przemysłowego. Państwo, obok dołączającej do planów państwowych inicjatywy prywatnej, budowało własne zakłady przemysłowe, lub — jak na Śląsku — przejmowało zakłady od kapitału zagranicznego. W ten sposób znalazły się w rękach państwa duże zakłady przemysłu ciężkiego oraz przemysłu związanego z obroną narodową, pozwalające na ingerencję w życie gospodarczym (m.in. również na rzecz wsi) bez niszczenia jego zasadniczo wolnościowej struktury.

Polska Republika Ludowa, ignorując idee, metody i doświadczenia Polski międzywojennej, poszła w polityce uprzemysłowienia kraju całkowicie inną drogą. Wychodząc z doktrynalnego światopoglądu wyższości form kolektywnych i centralnej dyspozycji gospodarczej — upaństwowiono zakłady produkcyjne, większe i mniejsze, i zastosowano sowiecką metodę kapitalizacji przymusowej. Wysunięto program szybkiego uprzemysłowienia z zaniedbaniem wszelkich, nie tylko polskich doświadczeń historycznych. Nawiązano do rosyjskiego sloganu „prześcignięcia Ameryki”. Skutki tej polityki są dziś znane. Szczególnie w okresie Gierka (1970-1980) polityka uprzemysłowienia PRL nabrała cech gigantomanii, z zaniedbaniem elemen-

7. Moja broszura *Polityka inwestycyjna i planowanie inwestycji*, Warszawa 1939, nakładem Tygodnika *Polska Gospodarka*, z planami gospodarczymi i przestrzennymi w formie plansz opracowanych w Biurze Planowania Krajowego przy Gabinetie Ministra Skarbu. Wobec zniszczenia dokumentacji w czasie wojny jest to — jak mi się wydaje — jedyne źródło informacji o tych planach.

tarnych zasad racjonalnego planowania i użycia pomocy kapitałów obcych: olbrzymich kredytów zachodnich i technologii.

Zmarły w roku 1961 w Madrycie ekonomista Wojciech Zaleski słusznie pisał w wydanej w Londynie w roku 1975 broszurze „Dorobek gospodarczy odrodzonej Rzeczypospolitej Polskiej 1918-1939”: „Często zwolennicy szybkiego uprzemysłowienia nie spostrzegają, iż jego warunkiem jest powstanie szerokiej otoczki przedsiębiorstw małych i średnich, rozwijających w społeczeństwie zmysł gospodarczości i dostosowujących się elastycznie do właściwego celu każdego przemysłu, jakim jest pokrywanie potrzeb człowieka.

Wielkie przedsiębiorstwa są tylko koniecznym uzupełnieniem i ukoronowaniem tej podstawy upowszechnionego dobrobytu. Ich jednostronny rozwój prowadzi do napięć społecznych, zwłaszcza dziś, kiedy nie potrafiliśmy jeszcze wytworzyć form społecznego współdziałania w wielkim przemyśle, godzących koncentrację techniczną z poszanowaniem osobowości człowieka. Kładąc jednostronny nacisk na wielki przemysł, stwarzamy bowiem warunki sprzyjające powstawaniu sprzeczności między narzucanym odgórnie stylem pracy, formami organizacji społecznej i nawet kierunkami działalności gospodarczej, a rzeczywistymi aspiracjami i potrzebami ludności. Stąd właśnie powstają wielkie konflikty społeczne naszych czasów, zwane potocznie kryzysem cywilizacji technicznej”...

Doprawdy prorocze słowa dla zrozumienia dzisiejszych „napięć społecznych” w kraju.

Nawrót do wzorów przeszłości historycznej nie jest w pełni możliwy. Trudno dziś przeprowadzić reprivatyzację, choćby częściową, nawet mniejszych zakładów przemysłowych. Ale można i trzeba dokonać co najmniej szybkiej selekcji aparatu produkcyjnego w kierunku stworzenia otoczki dla przemysłu ciężkiego, a więc przestawienia się na wytwórczość dla zaspakajania elementarnych potrzeb człowieka. Przewiduje to zresztą program rządowy, ale nie widać praktycznych dróg i środków rozwiązania tego problemu. I na pewno można bez ujmy dla „socjalizmu” — jak w Polsce przedwojennej — rozwinąć tę „otoczkę” przez przywrócenie usługom, rzemiosłu prywatnemu i spółdzielczości ich wielkiej roli w życiu gospodarczym.

Dla realizacji słusznego i sformułowanego we wszystkich projektach reformy postulatu większego usamodzielnienia przedsiębiorstw upaństwowionych doświadczenia Polski międzywojennej w zakresie wydzielania tych zakładów z administracji i ich komercjalizacji — według terminologii przedwojennej — mogłyby być bardzo użyteczne. Niestety realizacja tego postulatu nie wydaje

się być możliwą, dopóki „święte krowy” komunistycznej gospodarki, jakimi są wskaźniki produkcyjne i centralne planowanie, nie pójdą pod nóż pragmatycznego reformizmu, a przynajmniej, jeśli centralne planowanie — skoro chce się je nadal utrzymać — nie będzie się odbywać przy pomocy instrumentów polityki finansowej.

Dogmatyzm i pragmatyzm w polityce agrarnej

Jak w polityce przemysłowej, podobnie w polityce rolnej idee i środki działania PRL ukształtowały się odmiennie od wyznawanych i stosowanych w Polsce międzywojennej. I tutaj nie człowiek ale dokryna polityczna wyznaczała kierunek działań. Chłop polski miał zostać uszczęśliwiony przez natychmiastową, radykalną reformę rolną i kolektywizację wsi.

Reforma rolna, sprowadzona do wąskiego pojęcia parcelacji, jest już zamkniętym rozdziałem polskiej historii. Niemniej w ogólnym kontekście historycznych doświadczeń trzeba powrócić do tego zagadnienia, gdyż w szerszym pojęciu sprawa jest daleka od zakończenia.

Reformy rolnej nie należy zawężać do akcji nadawania chłopom ziemi. W Polsce międzywojennej mówiono o przebudowie ustroju rolnego. Obok parcelacji, poważnie pomyślana reforma rolna musi obejmować również komasację, a więc scalanie rozrzuconych części gospodarstwa (likwidacja tzw. szachownicy rozproszonej i wydłużonej, czego najłatwiej dokonać równocześnie z akcją parcelacyjną). Dalej do reformy rolnej wchodzi znoszenie serwitutów i własności gromadzkiej, jakie istniały w Polsce przed wojną, i wreszcie cały szereg prac dodatkowych, ściśle związanych z powyższymi zabiegami, jak melioracje podstawowe i szczegółowe, zakładanie ksiąg gruntowych, uregulowanie spadkobrania powstałych z parcelacji lub komasacji gospodarstw dla uniknięcia ich ponownego rozczłonkowania itp.

Z zagadnieniem reformy rolnej wiążą się też liczne aspekty natury politycznej, socjalnej i gospodarczej. Myślą przewodnią reformy lat 1919-1939 było równoległe uwzględnienie wszystkich tych aspektów, a więc paralelizm celów społeczno-politycznych i gospodarczych⁸.

8. Problematyce tej piszący te słowa poświęcił studium porównawcze „Wczoraj i dziś reformy rolnej w Polsce”, wydane jako odbitka z *Pamiętnika Literackiego*, Fryburg (Szwajcaria) 1946.

W Polsce przedwojennej rozumiano dobrze, że wielka własność rolna musi ulec likwidacji, nie chciano jednak dopuścić do tego, aby społecznemu procesowi likwidacji towarzyszyło zubożenie gospodarce kraju; aby nowo utworzone gospodarstwa z punktu znalazły się w biedzie bez wyposażenia kapitałowego; aby służba folwarczna pozostała bez pracy...

O całą tę problematykę nie troszczyła się reforma rolna, przeprowadzona na przełomie 1944/1945 roku metodą rewolucyjną przez tzw. „Komitet Wyzwolenia Narodowego”. Na plan pierwszy wysunięty został cel polityczny: zniszczenie wielkiej i średniej własności, bez liczenia się z konsekwencjami natury społecznej i gospodarczej. Problem społeczny oczywiście na tej drodze nie mógł być rozwiązany, zwłaszcza, że po parcelacji przeprowadzonej w latach 1919-1939 własność ziemską powyżej 50 ha obejmowała już ledwie około 12 % użytkowników rolnych. Rozparcelowano ją — zresztą nie w pełni — tworząc wiele nowych, niezadowolonych do życia karłowatych gospodarstw.

Rozdrobnienie własności rolnej musiało prowadzić nieuchronnie do spotęgowania gospodarki drobnotowarowej i zmniejszenia podaży artykułów żywnościowych dla miast i surowców dla przemysłu. Dziś ekonomiści w kraju trzeźwiej już patrzą na te sprawy. „Wielkie gospodarstwa rolne — mówił prof. Zb. Landau w wywiadzie dla *Życia Warszawy* z 1. 4. 1979 — są bardziej nowoczesne i bardziej wydajne, więc reforma rolna z punktu widzenia gospodarczego stanowi uwstecznienie... Reforma rolna po drugiej wojnie światowej też nas bardzo wiele kosztowała, bo bardzo wiele gospodarstw wysoko wydajnych zostało uwstecznionych”...

Do tego uwstecznienia przyczyniła się w PRL nie tylko reforma rolna. Podjęto tzw. „socjalistyczną przebudowę wsi”. Hilary Minc mówił: „Jako partia marksistowska wiemy, że likwidacja kapitalistów wiejskich jako klasy możliwa jest tylko na podstawie masowego uspołdzielczenia wsi, masowego objęcia wsi zespołową gospodarką”. Forsowano więc „Samopomoc Chłopską” z zadaniem prowadzenia polityki „tanich cen”, co uderzyło właśnie w pierwszym rzędzie w gospodarcze interesy chłopów z wątpliwą korzyścią dla konsumenta miejskiego. Nie liczono się z mentalnością polskich chłopów. Kolektywizację wsi uznano po reformie rolnej — znów według słów Minca — „za jedyną drogę wyjścia z wyzysku i nędzy i drogę zasadniczej poprawy dobrobytu materialnego i poziomu kulturalnego wsi”.

Wielki atut, jakim bezpośrednio po drugiej wojnie światowej — pośród nędzy i trosk życia pod komunizmem — była stosunkowo znośna sytuacja aprowizacyjna, został fatalnie zaprzepasz-

czony. Dziś już z młodego pokolenia mało kto pamięta, że już z początku 1949 roku powstały w całym kraju trudności aprowizacyjne, szczególnie ostre jeśli chodzi o mięso i tłuszcz. Już wówczas — podobnie jak obecnie — długie ogonki gromadziły się przed jatkami i wędliniarniami, sklepami wtedy jeszcze nie całkiem „uspolecznionymi”.

Polska międzywojenna odbudowała zniszczenia w rolnictwie, większe niż po drugiej wojnie, w ciągu pierwszych 10 lat, zapewniając krajowi żywność i nadwyżki eksportowe. Dokonano tego indywidualnym wysiłkiem i zapobiegliwością chłopów i ówczesnego ziemiaństwa. PRL w ciągu 10 lat po drugiej wojnie przez radykalną reformę rolną i kolektywizację wsi rolnictwo polskie zniszczyła.

Po zaburzeniach 1956 roku musiano za czasów Gomułki w 70 % powrócić do zasady prywatnych gospodarstw wiejskich. Wieś odetchnęła i sytuacja jej poprawiła się. Ale nie na długo. Dogmatycy partyjni nie pozbyli się koncepcji kolektywizacyjnych, które jak miecz Damoklesa wisiały nad rolnictwem, hamując jego rozwój. Rolnictwo zaniedbano w polityce szybkiego uprzemysłowienia kraju i w planowaniu. Nic nie zrobiono dla uregulowania struktury własnościowej, nie podjęto zabiegów niezbędnych dla właściwej przebudowy ustroju rolnego poza parcelacją, nie zapewniono prywatnym gospodarstwom chłopskim traktorów, maszyn, narzędzi i kapitału obrotowego, nie poparto niezbędnej reorganizacji i modernizacji produkcji roślinnej i hodowlanej. Odrobienie tych błędów kosztować będzie kraj parę lat ciężkiej pracy.

Dzisiejszą sytuację polskiego rolnictwa porównać można w pewnym stopniu z przedwojenną sytuacją kryzysowych lat 1930-1935. Inne są tylko powody i symptomy kryzysu. Przed wojną był on zjawiskiem *par excellence* koniunkturalnym, dziś nosi znamiona kryzysu strukturalnego. Jak wtedy tak i dziś stosowane być muszą n a d z w y c z a j n e środki zaradcze. Polska międzywojenna poświęciła od 1930 do 1935 roku olbrzymią na ówczesne stosunki kwotę około 1,2 mld złotych na walkę ze skutkami kryzysu rolniczego. Wypracowano liczne środki i n t e r w e n c y j n e jak: zabiegi dla zahamowania spadku cen (dziś chodzi o ich podniesienie), tworzenie rezerw dla odciążenia podaży zboża, premie eksportowe, reglamentacja przywozu, akcja oddłużeniowa itp.⁹.

9. Stefan Mandecki, „Les principaux aspects de la politique agraire” i inne artykuły w *Pologne 1919-1939*, tom II, praca cytowana, gdzie tematyka ta jest obszernie omówiona.

Dziś działać trzeba innymi środkami, aczkolwiek niektóre z dawnych, jak reglamentacja importu, szybka pomoc w inwentarzu i kapitałach obrotowych, premie za wydajność, pomoc techniczno-naukowa, zabiegi oddłużeniowe — nie powinny być lekceważone.

Zasadniczo jednak środki polityki agrarnej PRL i dzisiejsza pomoc dla polskiego rolnictwa powinny upodobnić się do tych, jakie w Polsce międzywojennej stosowano w trzecim okresie polityki agrarnej, w latach 1935-1939, po wyjściu z sytuacji kryzysowej. Wówczas polityka rolna została silnie związana z ogólną polityką gospodarczą. Obok reformy struktury gospodarstw wiejskich, podniesienia ich zdolności produkcyjnej, organizacji kredytu rolnego, akcji szkolenia i doksztalcania zawodowego — podjęto realizację programu i n w e s t y c j i, zaprojektowanego nie tylko pod kątem widzenia potrzeb obronnych, lecz również w łączności z ówczesną koniecznością rozładowania bezrobocia wiejskiego i podniesienia roli wsi jako konsumenta produkcji przemysłowej.

W całym okresie Polski międzywojennej, mimo bardzo ciężkiej sytuacji wsi w czasach kryzysu światowego, rezultat pracy polskiego rolnictwa był w ogólnym bilansie gospodarki narodowej pozycją o walorach niezaprzeczalnie dodatnich. Dr Stefan Mandecki pisze: „Produkcja ogólna rolnictwa podczas 20 lat przedwojennych zwiększyła się o 31 % dzięki powiększeniu powierzchni uprawnej i intensyfikacji metod produkcyjnych. Wydajność z hektara uprawnej ziemi zwiększyła się o 27,2 % średnio między 1922 i 1938”. Cyfry produkcji zwierzęcej są jeszcze wyższe. Trudno doszukać się odpowiednich cyfr porównawczych w statystykach PRL po 35 latach powojennej gospodarki.

Po wydarzeniach sierpniowych 1980 z wielkim opóźnieniem podjęto w PRL program pomocy dla rolnictwa. W dniu 20 listopada 1980 na wniosek nowej ekipy rządowej sejm uchwalił projekt pomocy, przyrzekający podwyżkę cen skupu państwowego, nawozy i inne środki mające ożywić zamarłą inicjatywę właścicieli gospodarstw chłopskich. Chce się dopomóc rolnictwu przez politykę cen i poprzez pomoc dla przemysłu pracującego na rzecz rolnictwa, ułatwienie obrotu ziemią, etc. Po długim oporze zdecydowano się wreszcie pod presją zamierzonego strajku rolników na zmianę tzw. „samorządu rolniczego” przez dopuszczenie właściwego samorządu w postaci „Solidarności”. Dużo wody upłynie jeszcze zapewne w polskich rzekach, zanim te zamierzenia, podobne w zasadzie do metod Polski międzywojennej, skryształizują się w konkretne czyny i zaczną przynosić pożądane owoce.

Rola pieniądza

W zachodnioeuropejskich systemach gospodarczych, do których zaliczała się również Polska międzywojenna, obok polityki przemysłowej, agrarnej i handlowej główną rolę odgrywała i odgrywa do dni dzisiejszych polityka finansowa. Pod tym publicystycznym raczej i nie naukowym pojęciem rozumieć należy działalność państwa w dziedzinie budżetu, pieniądza, bankowości i kredytu. Szczególnie politykę pieniężną wielu ekonomistów uważa za podstawową dla prowadzenia i regulowania wszelkiej gospodarki.

Dla tzw. „monetarzystów” ilość pieniądza w obiegu i jego możliwa stałość (nie stopa procentowa czy płynność budżetów państwowych) jest strategicznym czynnikiem polityki koniunkturalnej czy stabilizacyjnej. Bezpośrednio przed drugą wojną światową, pod wpływem Johna Maynarda Keynesa, scenę w wielu krajach opanowali tzw. „fiskaliści”. Keynesiści-fiskaliści pragną osiągnąć „pełne zatrudnienie” i zwalczać bezrobocie przez zwiększanie wydatków państwowych. W ten sposób, kosztem deficytów budżetu państwowego (*deficit spending*), pokrywanych z reguły długami państwowymi i inflacją pieniężną, chce się niwelować brakujący na rynku popyt i osiągnąć równowagę między produkcją i konsumpcją.

Polityka *deficit spending* praktykowana jest znów od paru lat w krajach zachodnich, z tym skutkiem, że narasta wszędzie olbrzymia góra długów państwowych i nikt nie wie, kiedy i jak długi te będą spłacone. Następuje — jak często w historii gospodarczej po nieskutecznym eksperymentowaniu — nawrót do starych idei i zasad, nawoływanie do oszczędności i równowagi budżetów państwowych. Od lat siedemdziesiątych szczególnie monetarzysty z chicagoskiej szkoły Milтона Friedmana (laureata nagrody Nobla) przypuścili ostry atak na fiskalistów, wywodząc nie bez słuszności, że idee Keynesa, sformułowane w okresie kryzysu lat 1930-1935, nie są żadną „generalną teorią” po wsze czasy.

Polityka finansowa Polski lat 1919-1939 zbliżona była do teorii monetarzystów. Przywiązywano wielką wagę do stałości waluty. Uważano, zgodnie z doktryną ekonomii liberalnej, że pieniądz, jak podatek, powinien być instrumentem neutralnym. Zadaniem pieniądza jest być miernikiem wartości. Wartość pieniądza odbija się w zwierniadle cen, kształtujących się na rynkach wymiany dóbr i usług. Funkcją podatku jest przelew części dochodu społecznego na rzecz zbiorowości dla pokrycia potrzeb publicznych.

Wychodząc z tych założeń, po paru latach inflacji powojennej, w toku której marka polska dewalutowała się z dnia na dzień na skutek finansowania odbudowy kraju, licznych potrzeb państwowych i walki o granice dukiem pieniądza papierowego, zdecydowano się na radykalną reformę. Przeprowadził ją premier i minister skarbu Władysław Grabski rozporządzeniem Prezydenta R.P. z 20 stycznia 1924. Wprowadził on nowy system monetarny, zaprzestał emisji pieniądza papierowego na cele skarbowe, zreformował system podatków, zdeprecjonowaną markę polską zastąpił nową jednostką — złotym, według kursu przeliczeniowego 1,8 mln mp = 1 zł.

Nie z winy Grabskiego reforma pieniężna dokonana została późno, w bardzo niekorzystnych warunkach hiperinflacji, bez uciekania się do pomocy zagranicy, której zresztą w tym stanie gospodarki nie można było pozyskać. Sejm nie udzielił Grabskiemu potrzebnej pomocy w podatkach, co było podstawowym warunkiem powodzenia reformy. Jesienią 1925 złoty załamał się. Rozpoczęła się tzw. druga inflacja. Dopiero po przewrocie majowym 1926, w roku 1927, osiągnięto pełną stabilizację złotego, po zrównoważeniu budżetu państwowego, opanowaniu gospodarki i uzyskaniu — wówczas dopiero — częściowej pomocy zagranicznej w postaci „pożyczki stabilizacyjnej”.

Reforma pieniężna Polski międzywojennej, przeprowadzona w tych niesłychanie trudnych warunkach, była aktem wysokiego poczucia odpowiedzialności czynników rządowych za gospodarkę, a zarazem wyrazem wielkiej ofiarności i dyscypliny społecznej. Kosztowała w początkowej fazie dużo ofiar i wyrzeczeń, które jednak wkrótce obróciły się na dobro gospodarki i obywateli. Ustabilizowanie waluty otworzyło możliwość prawidłowej kalkulacji państwa i przedsiębiorstw prywatnych. Reforma umożliwiła to, co się dzisiaj nazywa rachunkiem ekonomicznym. W wolnej grze sił rynkowych ukształtowały się relacje cen i zarobków. Obraz i rozwój gospodarki można było uchwycić w niesfałszowanych cyfrach statystycznych, ustalić dokładne wskaźniki wzrostu czy spadku i koszty utrzymania. Pozwoliło to również klasie robotniczej, najbardziej cierpiącej w okresie inflacji, na zdobycie właściwej orientacji w akcji rewindykacyjnej i w walce o lepszy poziom zarobków i udział w podziale dochodu społecznego.

„Wydaje się — stwierdzają również powojenni badacze historii gospodarczej w kraju — że niezależnie od pewnych dyskutowanych założeń reformy i mimo zachwiania się złotego w drugiej połowie 1925 roku — należy ją ocenić pozytywnie¹⁰”. Przed-

10. Z. Landau i J. Tomaszewski, *Gospodarka Polski międzywojennej*, tom II (1924-1929), str. 199.

wojenny znakomity ekonomista E. Taylor pisał: „Reforma walutowa w 1924 roku była wielkim dziełem, które uratowało Polskę od nieuniknionej katastrofy nie tylko gospodarczej, lecz i politycznej i pozostawiło niewzruszone, zdrowe podstawy pod rozwój życia państwowego i ekonomicznego Polski¹¹”.

Wszystkie późniejsze rządy Polski międzywojennej utrzymywały w polityce finansowej zasadę stałości złotego polskiego, jako ustawowego środka płatniczego oraz miernika wartości w stosunkach wewnętrznych i w rozrachunkach międzynarodowych. Niewątpliwie były również pewne minusy tej polityki, głównie dla rolnictwa przez trudności eksportu zagranicznego nadwyżek produkcyjnych. Ministrom skarbu, Ignacemu Matuszewskiemu, prof. Wł. Zawadzkiemu i Eugeniuszowi Kwiatkowskiemu zarzucano, że nie zdecydowali się na dewaluację złotego, gdy USA i kraje zachodnie obniżyły wartość zewnętrzną swych walut w okresie kryzysu 1930-1935. Ale plusey polityki stabilizacyjnej przeważały nad minusami. Przedwojenny złoty polski był walutą cenioną, a co najważniejsze — był podstawą prawidłowej gospodarki, rozwoju oszczędności i inwestycji, wzrostu dochodu społecznego bez zaburzeń inflacyjnych.

W teorii sowieckiego planowania gospodarczego źródłem finansowania planów nie jest pieniądz, ale tzw. „socjalistyczna akumulacja kapitałowa”, odbywająca się na podstawie stałego wzrostu produkcji wszystkich gałęzi uspołecznionego gospodarstwa oraz wzrostu wydajności pracy. Stąd stale rosnące wskaźniki produkcyjne i apele o zwiększanie wydajności pracy, ruch „stachanowców” etc. Rozwijające się gospodarstwo, zwiększając stale zasób produkowanych dóbr oraz ich cyrkulację w ramach upaństwowionego handlu, przy jednoczesnym wyznaczaniu cen, samo w sobie wytwarzać ma środki inwestycyjne i obrotowe.

Socjalistyczna akumulacja kapitałowa w scentralizowanej gospodarce planowej i w kapitalizmie państwowym PRL odbywa się zasadniczo przez oszczędność, wytwarzaną jednak nie swobodnie, ale „planowo”, w przedsiębiorstwach uspołecznionych. Podstawową formą tej oszczędności jest podatek i dywidenda (według pojęcia kapitalizmu zachodniego) wpłacane do kasy państwowej. Pieniądz, aczkolwiek dopuszczony w rozrachunku z kasą państwową, nie jest czynnikiem rachunku ekonomicznego w przedsiębiorstwach. Jego rola jako środka płatniczego jest ograniczona wobec szeroko praktykowanego obrotu bezgotówkowego i systemu rozrachunkowego. Obieg pieniądza nie ma nadążać za obiegiem dóbr i usług. W ramach planów pięcioletnich przewiduje

11. E. Taylor, *Druga inflacja*, Poznań 1926.

się z góry antycypacyjne operacje kredytowe instytucji emisyjnej, mające przez planowe kredytowanie ułatwić zwiększenie tworzenia dóbr gospodarczych i ich obrotu.

Dla ekonomistów marksistowskich sprawa jest bardzo prosta: przez wyznaczanie w planach pięcioletnich coraz wyższych wskaźników produkcyjnych i odpowiedniego kredytowania spirala obiegu pieniądza i dóbr gospodarczych rozkręca się, obejmuje coraz większe kręgi. Ma to prowadzić do coraz wyższego standardu życia. Tzw. „anarchia wolnego rynku” zostaje wyeliminowana, wyzysk robotnika przez kapitalistyczną gospodarkę usunięty. Ceny i płace dyktowane są odgórnie przez organa administracji i planowania, które w tej drodze najlepiej realizują podział dochodu społecznego w myśl postulatów sprawiedliwości.

Wszystko to jest bardzo ładną teorią, w praktycznym jednak zastosowaniu nie gra należycie w krajach komunistycznych, a w PRL doprowadziło do katastrofy gospodarczej.

Konieczność reformy pieniężnej

Dużo racji mają ci ekonomiści, którzy w lekceważeniu roli pieniądza i fałszywej polityce finansowej, łącznie z nieodpowiednim zużyciem kredytów zachodnich, upatrują jedną z głównych przyczyn katastrofy gospodarki PRL.

Ekonomiści zdają sobie sprawę z sytuacji, ale żaden z projektów reformy gospodarczej, domagając się wyraźnie lub w sposób zakamuflowany uwzględnienia „wolnego rynku”, nie wysunął konieczności reformy pieniężnej jako podstawowego warunku funkcjonowania tego rynku i samodzielności przedsiębiorstw.

Sytuacja jest rzeczywiście paradoksalna i trudna do pojęcia dla ludzi myślących w kategoriach zachodnich.

W roku 1957 wprowadzono sztuczne pojęcie „złotego dewizowego” jako jednostki rozliczeniowej tylko dla celów planistycznych i statystycznych. Ustalone relacje były wielokrotnie zmieniane. Początkowo 1 zł dew. = 1 rublowi = 0,25 dolara = 0,222 gr złota. Obecnie — jak można się dowiedzieć z fachowej prasy w kraju — 1 dolar = 3,125 zł dew.; istnieją różne kursy podstawowe, kursy z dopłatą z krajami socjalistycznymi, kursy specjalne z krajami kapitalistycznymi, wielokrotności kursów podstawowych.

„Ta skomplikowana sytuacja kursowa, a w szczególności samo wprowadzenie „złotego dewizowego” — pisze Michał Łytko — stworzyły barierę jeśli chodzi o wycenę rzeczywistej siły

nabywczej złotego oraz możliwości rachunku ekonomicznego w handlu zagranicznym". Rozwinięty został zagmatwany system dopłat i obciążeń wyrównawczych w imporcie i eksporcie (tzw. system różnic budżetowych). Od 1 stycznia 1971 zmodyfikowano go wraz z przejściem na rozliczenia w tzw. „cenach transakcyjnych”. Zanikł bezpośredni związek między wypracowanym uzyskiem dewizowym a złotówkowymi efektami działalności; jest to sytuacja, w której „nikt nie wie, co jest opłacalne, a co się wcale nie opłaca w konkretnych warunkach”... Jak co policzyć? Po jakim kursie porównać przewidywane nakłady i zyski? Jakie ceny przyjąć za podstawę obliczeń?

„Bez wymienialności złotego — stwierdza Michał Łytko — choćby na początek ograniczonej, niemożliwe wydaje się rzeczywiste wprowadzenie rachunku ekonomicznego do naszej gospodarki, oraz związanego z tym jakościowego skoku w wydajności pracy i efektywności eksportu¹²”.

Na racjonalizację systemu walutowego PRL jako niezbędny warunek bardziej efektywnego gospodarowania od dawna zwraca uwagę szereg ekonomistów krajowych, m.in. Stanisław Polaczek¹³, ale ich sugestie są stale jeszcze głosami wołającego na puszczy.

Warto przypomnieć, że już w okresie Gomułki, w ramach powołanej w roku 1956 Rady Ekonomicznej monetarzyści, których nazywano w kraju „wartościowcami” (od teorii wartości), żądali oparcia centralnego planowania na polityce finansowej. Dążyli do przywrócenia suwerenności konsumenta, usunięcia kontroli administracyjnej w sprawach przydziału środków produkcji i oparcia planowania o mechanizm rynku. Gomułka sprzeciwił się tym projektom reformy, skorzystali z nich jednak i przyjęli je Węgrzy. Jugosławię już dawno wprowadziła wymienialność dinara, a Węgry po reformach tzw. „komunizmu gulaszowego” przygotowują się stopniowo do wprowadzenia jednolitego oficjalnego kursu forinta.

Nie pomogą żadne szeroko dziś dyskutowane w kraju projekty „reform systemowych”, zmiany w układzie stosunków między centralnymi organami władzy i administracji z jednej a przedsiębiorstwami i załogami z drugiej strony, tzw. „poprawianie struktur organizacyjnych”, usamodzielnianie przedsiębiorstw upaństwowionych, przywrócenie spółdzielczości i rzemiosłu jego poprzedniej roli w życiu gospodarczym i zaopatrzeniu rynku, jeśli

12. M. Łytko, artykuł „Wymienialność złotego — fantazja czy szansa”, w *Rynkach zagranicznych* z 26. 2. 1981.

13. Stanisław Polaczek, „Być albo nie być złotego dewizowego”, artykuł dyskusyjny w *Rynkach zagranicznych* z 21. 12. 1979, referowany też w *Polityce* nr 3 z 19. 1. 1980.

wszystkim tym strukturom organizacyjnym nie zapewni się możliwości rachunku ekonomicznego. Również plan centralny, aby mógł być w przyszłości rzeczywiście jakimś planem a nie fantazją, musi związać rachunkiem ekonomicznym swe części i fragmenty. Tylko to zapewnić może właściwą, tzw. „strategiczną” rolę planu.

Sprawy te rozumiano dobrze w Polsce międzywojennej w ramach gospodarki wolnej i później, w ostatnich latach przedwojennych, w ramach interwencjonizmu państwowego, polityki Eugeniusza Kwiatkowskiego. Doprawdy nie można zrozumieć, dlaczego w ewoluującym gospodarstwie socjalistycznym, a szczególnie w tak ciężko doświadczonym jak gospodarstwo PRL, jednocześnie z konieczną reformą cen nie może być przywrócona złotemu polskiemu jego właściwa rola miernika wartości i instrumentu rachunku ekonomicznego.

Niewątpliwie sprawa jest trudna i skomplikowana. Ale nadzwyczajne sytuacje — a w takiej znajduje się dziś kraj — wymagają nadzwyczajnych, śmiałych posunięć, bez chowania głowy w piasek i odkładania reformy pieniężnej *ad calendas Graecas*.

Gdyby Marian Krzak (obecny minister skarbu PRL) był Władysławem Grabskim... Gdyby Henryk Kisiel (wicepremier i szef planowania PRL) był Eugeniuszem Kwiatkowskim... Gdyby... Może i chcieliby dziś nimi być. Zależy to jednak, niestety, nie tylko od nich.

Janusz RAKOWSKI

Zurych, 10 czerwca 1981

Aktywizacja mniejszości ukraińskiej w Polsce

Kryzys polityczny w Polsce ujawnia żądania niezadowolonych grup społeczeństwa polskiego — robotników, chłopów, inteligencji — zmierzających do uzyskania koncesji od władz w Warszawie. Wśród domagających się zmian znajdują się Ukraińcy, najlicniejsza mniejszość narodowa w Polsce. Oficjalne statystyki nie publikują danych o składzie narodowościowym PRL, dlatego też trudno podać ścisłe dane dotyczące liczby Ukraińców w Polsce. Według szacunkowych ocen ludność ukraińska w PRL waha

się między 170.000 a 300.000, z czego dwie trzecie zamieszkują Ziemię Zachodnie, przyłączone do Polski po wojnie¹.

Analiza warszawskiej prasy ukraińskiej, a w szczególności organu Ukraińskiego Towarzystwa Społeczno-Kulturalnego, tygodnika *Nasze Słowo*² wyraźnie wskazuje, że ostatnie wydarzenia w Polsce wywarły znaczny wpływ na społeczność ukraińską. W ciągu ostatnich kilku tygodni *Nasze Słowo* poruszyło szereg zasadniczych problemów dotyczących Ukraińców a odzwierciedlających ich powszechne niezadowolenie wobec polityki Warszawy. Prasa ujawniła również rozłam w samej społeczności ukraińskiej, dzielącej się na umiarkowanych oraz tych, którzy pragną zasadniczej reorganizacji UTSK, a tym samym podstawy ukraińskiego życia w Polsce ustanowionej w 1956 roku.

Zagadnienia uważane przez Ukraińców za najistotniejsze były dyskutowane na trzech zebraniach w Komitecie Centralnym PZPR w dniach 16 i 22 października oraz 14 listopada 1980³. Uczestniczyli w nich przedstawiciele UTSK i Jerzy Klica, zastępca szefa wydziału administracyjnego KC PZPR. Omawiano podwyższenie poborów obecnych pracowników UTSK oraz zwiększenie ich liczby, zapewnienie większym oddziałom UTSK odpowiednich warunków lokalowych, umożliwienie ukraińskim zespołom folklorystycznym w Polsce działania w skali ogólnonarodowej, udział UTSK w konserwacji ukraińskich pomników kulturalnych w Polsce, szerszą popularyzację działalności UTSK w polskich środowiskach masowego przekazu, zwiększenie objętości *Kalendarza Ukraińskiego*, publikowanego corocznie przez *Nasze Słowo* oraz „zestaw problemów” związanych z nauczaniem ukraińskiego w szkołach, i sprawę cenzury⁴.

1. Vide: *Ukraiński kalendar 1963 r.*, Ukraińskie Suspilno-kulturne Towarystwo w Polsce, Warszawa 1963, str. 294; *Ukraińska radjańska encyklopedia*, tom 11, Kijów 1963, str. 370; Andrzej Kwilecki: „Mniejszości narodowe w Polsce Ludowej”, *Kultura i Społeczeństwo* nr 4/1963, str. 87; tenże: „Liczebność i rozmieszczenie grup mniejszościowych na Ziemiach Zachodnich”, *Przegląd Zachodni* nr 4/1964, str. 379-382; tenże: „National Minorities in Poland” w *Polish Round Table*, tom 11, Ossolineum, Wrocław 1969, str. 146; Jerzy Lovell: „Polska jakiej nie znamy”, Wyd. Lit., Kraków 1970, str. 38 i 73; Zbigniew T. Wierzbicki: „Awans społeczno-kulturalny ludności ukraińskiej w PRL po 1956 r.” w *Lud*, tom 58, 1974, str. 6; Paul Robert Magosci: „Ukrainians” w *Harvard Encyclopedia of American Ethnic Groups*, 1980, str. 997.

2. Pierwszy numer tygodnika *Nasze Słowo* ukazał się 15 czerwca 1956 r., a następnego dnia odbyło się zebranie konstytucyjne Ukr. Susp.-kult. Tow.; vide: Wierzbicki, *op. cit.*, str. 8-9 w *Ukraiński kalendar 1966 r.*, str. 66-69; M. Jaworski: „Desiat' rokiw isnuwannja Ukrajinskoho Suspilno-kulturnoho Towarystwa w Polsce” w *Ukraiński historyczny żurnal* nr 6/1966, str. 40-49.

3. „Zistricz w TSK PORP”, *Nasze Słowo* z 26. X. 1980, „Rozmowy w TSK PORP”, *Nasze Słowo* z 2. XI. 1980 i „Rozmowa w TSK PORP”, *Nasze Słowo* z 23. XI. 1980.

4. *Nasze Słowo* z 26. X., i 23. XI. 1980.

Po drugim spotkaniu z Klicą *Nasze Słowo* poinformowało czytelników, że „wszystkie te sprawy będą rozwiązane pozytywnie, niektóre z nich obecnie, podczas gdy inne będą przedmiotem roboczej dyskusji z odpowiednimi ministerstwami i urzędami”. Jednocześnie jednak odroczone rozpatrzenie szeregu problemów podniesionych przez Ukraińców, takich jak zmiana struktury organizacyjnej UTSK, zwiększenie subsydiów dla tej organizacji i utworzenie ukraińskiego teatru objazdowego⁵.

W dwa dni później, a więc 16 listopada, zostało drugie plenum Zarządu Głównego UTSK, mające przedyskutować wyniki rozmów z Klicą⁶. *Nasze Słowo* w pierwszym sprawozdaniu utrzymywało, że „obrady chwilami były burzliwe i polemiczne”, podkreślając, iż obracały się one wokół najbardziej zasadniczych problemów kulturalnej i wychowawczej działalności organizacji. Jak wynika ze sprawozdania, uczestnicy zebrania „wskazywali na konieczność znacznego ożywienia prac organizacji, wzbogacenie ich nowymi formami oraz rozszerzenie ich”. Sprawozdanie nie pozostawia jednak wątpliwości co do zasadniczej różnicy poglądów na temat środków, jakimi najlepiej osiągnąć te cele. *Nasze Słowo* pisze, że „jakkolwiek wysiłki uczestników dyskusji koncentrowały się głównie wokół zasadniczego celu, a mianowicie rozwinięcia prac organizacji do poziomu istniejących potrzeb, to jednak drogi do realizacji tych celów były różne. Przykładem tego mogą być propozycje niektórych mówców zwołania nadzwyczajnego kongresu organizacji”. Ten wniosek został obalony 24 głosami przeciw 3 i 4 wstrzymujących się⁷.

Znacznie wyraźniejsza charakterystyka rozbieżności w łonie UTSK ukazała się w następnym sprawozdaniu po drugim plenum, kiedy widać już było jasno, iż zasadnicza różnica, jaka dzieli umiarkowanych od radykałów dotyczy podstaw, na których opiera się organizacyjne życie Ukraińców w Polsce. Chodzi mianowicie o to, czy działalność UTSK ma się sprowadzać do spraw towarzyskich, kulturalnych i oświatowych, czy też stowarzyszenie to powinno się przekształcić w coś zbliżonego do organizacji politycznej. Istotę tej dysputy *Nasze Słowo* przedstawiło swym czytelnikom następująco:

„Dyskusja plenarna a także materiały omawiane na 7 zjeździe i zebrania aktywu wskazują na pewne tendencje w kierunku zmiany charakteru i struktury naszej organizacji... W tym stanie rzeczy stało się konieczne ponownie podkreślić i jak najjaśniej stwierdzić, jaki jest charakter naszej organizacji i jakie są jej ramy. Trzeba więc zrozumieć, że dyskusje na temat rozwoju działalności naszej organizacji mogą być prowadzone li-tylko na istniejącej platformie, której podstawą jest działalność kulturalno-oświatowa⁸”.

5. *Nasze słowo* z 23. XI. 1980.

6. „Spilnymy zusylylamy pidnosyty robotu do potribnych wysot”, *Nasze Słowo* z 23. XI. 1980.

7. *Ibidem*.

8. *Nasze Słowo* z 10. XI. 1980.

Z powyższego wynika, że radykalna grupa w UTSK ujawniła się już na 7 zjeździe, 29 czerwca 1980 roku, ale ówczesne sprawozdania prasowe — rzecz działa się przed sierpniową akcją strajkową — nie wspomniały o rozbieżnościach w tonie organizacji. Dopiero po zasadniczych zmianach, jakie nastąpiły w Polsce poglądy radykalnej grupy ukraińskiej stały się znane szerszemu ogółowi⁹.

Grupa radykalna formułowała swoje stanowisko na licznych regionalnych zebraniach aktywu UTSK w październiku 1980 roku. Pierwsze tego typu zebranie odbyło się 12 października w Olsztynie. Organizatorzy poczuli się zmuszeni do „poinformowania aktywistów o prawnych podstawach istnienia i działalności organizacji”¹⁰. To pozwala sądzić, iż przynajmniej niektórzy członkowie olsztyńskiej organizacji pragnęli rozszerzyć działalność UTSK poza prawne ramy. Potwierdza to fakt, iż w 4 dni po zebraniu w Olsztynie przywódcy UTSK spotkali się na pierwszej konferencji z przedstawicielami KC PZPR. Głównym tematem rozmów były wyniki 7 zjazdu i spotkania w Olsztynie¹¹. Inne spotkanie aktywu odbyło się 19 października w Koszalinie, gdzie według *Naszego Słowa* „przedyskutowano szeroki kompleks zagadnień związanych z działalnością organizacji, jak również problemy dotyczące ludności ukraińskiej a wychodzące poza ramy statutów, na których opiera się organizacja”¹². Trzecie spotkanie odbyło się 26 października w Jaśle — wyjaśniano na nim przez półtorej godziny polskie przepisy prawne „o stowarzyszeniach”. Na zebraniu tym padły krytyczne uwagi pod adresem rządu PRL w związku z jego postanowieniem polonizowania nazw różnych wsi ukraińskich w południowo-wschodniej Polsce¹³.

Wysiłki skrajnej grupy UTSK nie zostały na razie uwieńczone powodzeniem i grupa umiarkowana ostała się. Więcej, umocniła się dzięki poważnym koncesjom ze strony władz warszawskich, uzyskanym w trakcie konferencji z przedstawicielami KC i Ministerstwa Spraw Wewnętrznych¹⁴. Naiwnością jednak byłoby zakładać, że wszystkie problemy i rozbieżności charakteryzujące stosunki polsko-ukraińskie — spośród których wiele sięga wieki wstecz — zostały nareszcie rozwiązane. Jak bardzo duże i złożone są to problemy widać np. z reportaży amerykańskiego dziennikarza z Polski. Pisząc, iż stosunek Polaków do Niemców i Rosjan wynika z doświadczeń wojny, podkreśla on zarazem, iż „utrzymuje się szczególna nienawiść do Ukraińców, którzy zabili wielu Polaków podczas drugiej wojny światowej”. Dziennikarz

9. *Nasze Słowo* z 6, 13, 20 lipca 1980.

10. *Nasze Słowo* z 26. X. 1980 (Narada w Olsztynie).

11. *Nasze Słowo* z 26. X. 1980.

12. *Nasze Słowo* z 2. XI. 1980. (Z narady koszalińskiego aktywu USKT).

13. *Nasze Słowo* z 9. XI. 1980. (Narada w Jaśle. Odsłonięciu zmian nazw wsi ukraińskich: *Nasze Słowo* z 30. XI. 1980. art. „Pseudopatriotyzm czy historyczna niepiśmienność”).

14. *Nasze Słowo* z 30. XI. 1980.

cytuje w związku z tym zasłyszane relacje: „Wpierw do Lwowa przyszedli Rosjanie, później Niemcy, jeszcze później znowu Rosjanie, a przez cały ten czas Ukraińcy wyrzynali nas, aby sobie zapewnić większość na wypadek plebiscytu”¹⁵.

Wracając do spraw bieżących, należy raz jeszcze podkreślić, że żale Ukraińców wyszły na jaw dopiero w ramach ogólnego kryzysu w Polsce, jakkolwiek i poprzednio istniały wyraźne dane świadczące o tym, że społeczność ukraińska w Polsce uważa swój los za daleki od ideału. Z licznych dokumentów, jakie w ostatnich latach dotarły na Zachód wynika, iż Ukraińcy uskarżali się na politykę Warszawy, zmierzającą do wynarodowienia ich i asymilacji. Wyrażało się to w burzeniu cerkwi, ograniczeniach działalności kulturalnej i nauki języka ukraińskiego w szkołach oraz w zakazie powrotu na ziemię rodzinne, z których zostali przymusowo wysiedleni po wojnie. W proteście skierowanym do ONZ¹⁶ Ukrainiec Mykoła Siwickij wskazuje, że stosunek władz polskich do Ukraińców doskonale ilustruje fakt, iż UTSK, organizacja kulturalno-oświatowa, działa pod administracją MSW, a więc organów bezpieczeństwa i policji¹⁷. *Nasze Słowo* niedawno następująco określiło stanowisko społeczności ukraińskiej:

„W dniach burzliwych przemian, które przynoszą tyle nowego, zmieniającego treść i formy życia w kraju, i nasze sprawy nie mogły pozostać nietknięte. Nie jest tajemnicą, iż ogólna stagnacja, a w pewnych przypadkach przeszkody a nawet odstępstwa od norm odbyły się na zapleczu naszej organizacji. Te wyraźne ograniczenia możliwości działania spowodowały wzrost przeświadczenia o bezsilności i niesprawiedliwości społecznej”¹⁸.

Nie tylko jednak Ukraińcy, również Polacy uznali potrzebę znalezienia *modus vivendi* w stosunkach polsko-ukraińskich, co znalazło wyraz w samizdatowych wydawnictwach polskich¹⁹. O tym, że wiele jeszcze pozostaje do zrobienia w tej mierze świadczy np. wspomniana w *Naszym Słowie* anonimowa ulotka ukraińska, krążąca po Polsce. Tygodnik nie podaje ani jej autorów, ani jej treści, natomiast podczas sesji sejmu gen. Włodzimierz Oliwa wymienił tę ulotkę jako przykład niedopuszczalnego nacjonalizmu ukraińskiego²⁰. *Nasze Słowo* dostarczyło nieco bliższych informacji pisząc m.in.:

15. James Feron, „Americans visiting Polish relatives find some surprising similarities in life styles”, *New York Times* z 21. VII. 1972.

16. *Kultura* nr 11/398, listopad 1980.

17. Przykładowo: „Głos Ukraińców z Polski”, *Kultura* nr 9/1977, str. 83; Bohdan Sahajdaczny, „Przyszłość stosunków polsko-ukraińskich”, *Kultura* nr 11/1978, str. 111-122 oraz „Stanowisko Ukraińców w Polsce”, *Ukraińskie Słowo* (Paryż) z 5. X. 1980.

18. *Nasze Słowo* z 30. XI. 1980.

19. *Vide* przykładowo „Kontusz i hołubce”, artykuł napisany przez dwóch studentów, który ukazał się w piśmie studenckim *Politechnik* z 23. I. 1972, a w tłumaczeniu na język ukraiński ogłoszony został przez *Nasze Słowo* w nr. z dn. 26. III. 1972.

20. *Trybuna Ludu* z 23. XI. 1980.

„Jednakże na fali burzliwych wydarzeń ujawniły się również zamysły niektórych ludzi, pragnących owe wydarzenia skierować na wrocie tory, wzniesić wrogość między ludźmi żyjącymi obok siebie a nawet zmierzających do konfrontacji z władzami. Wśród nich nie zabrakło również wrogiemu głosu ukraińskiego w anonimowej ulotce, rozesejanej do różnych instytucji, w tym również do Zarządu Głównego UTSK i redakcji naszego tygodnika. Poseł W. Oliwa wspominał o tym w swoim przemówieniu w sejmie. Ten fakt odbił się silnym echem zarówno wśród członków naszej organizacji jak i wśród całej ludności ukraińskiej. Jakkolwiek termin „Ukraińiec”, użyty przez mówcę, odzwierciedla tylko jego pogląd, jest godne ubolewania, że został użyty w odniesieniu do anonimowej ulotki jakiegoś maniaka, co jest obecnie w różny sposób komentowane. Niezależnie od tego, jakie jest źródło owego dokumentu, niezależnie od tego, kto jest jego autorem i niezależnie od tego, kto za tym stoi, jest to w istocie akt wrogi, który zasługuje na potępienie przez każdego zdrowego człowieka²¹”.

Oświadczenie to daje wiele do myślenia, w tym i to, że ulotka jest prowokacją. W związku z tym warto przypomnieć wypadki wśród mniejszości ukraińskiej w Czechosłowacji w 1968 roku i rolę, jaką one odegrały w inwazji tego kraju przez wojska bloku sowieckiego²².

Benedykt HEYDENKORN

21. *Nasze Słowo* z 7. X. 1980 (art. „W czym interesie”).

22. *Vide*: Grey Hodnett & Peter J. Potichnyj, „The Ukraine & the Czechoslovak Crisis”, *Occasional Paper* nr 6, Dep. of Political Science, Research School of Social Sciences, Australian National University, Canberra 1970.

„ZJEDNOCZENIE PATRIOTYCZNE GRUNWALD”

Kiedy 8 marca br., w rocznicę wydarzeń 1968 roku, kilkaset osób zorganizowało na placu na Rozdrożu przy gmachu b. Ministerstwa Bezpieczeństwa manifestację „przeciwko syjonistycznej klice” (w tym samym czasie studenci i Senat akademicki na Uniwersytecie Warszawskim potępił czystkę antysemitką), wydawało się, że chodzi o wybryk pogrobowców rodzinnej czarnej sotni. Zwróciło jednak już wówczas uwagę, że obok b. wojskowych i członków ZBOWiD-u uczestniczyli w tej demonstracji również „katolicyżymowi” (Agence France Presse, *la Repubblica*). Jedno z przemówień wygłosił dr K. Studentowicz, były wybitny działacz Stronnictwa Pracy, zapraszany często do Rzymu przez włoską Chrześcijańską Demokrację wraz z przedstawicielami „neo-Znaku”, dziś PZKS-u. Nieznane wówczas nikomu „Zjednoczenie Patriotyczne Grunwald” zostało szybko zarejestrowane dzięki Stefanowi Olszowskiemu z Biura Politycznego. Zakłada ono wciąż nowe oddziały terenowe i dysponuje organem prasowym *Rzeczywistość* o nakładzie 150 tys. egzemplarzy. Publikuje w nim „głosy robotników” przeciw-

stawiające się odnowie i kwestionujące tezy przedzjazdowe jako „rewizjonistyczne”, a główny publicysta Ignacy Krasicki grozi nawet rozłamem w partii, jeśli miałyby dojść na lipcowym zjeździe do zwycięstwa zwolenników odnowy. Redaktorem naczelnym *Rzeczywistości* jest H. Tycner, notoryczny antysemita. Tygodnik jego zamieszcza w nr. 2 z 31 maja obszerną relację z zebrania dyskusyjnego zorganizowanego 28 kwietnia przez Klub Partijny Inteligencji Twórczej (*sic!*) „Warszawa '80”. Temat dyskusji: „Polska 1981: czy historyczne spotkanie komunistów i chrześcijan?”. Wystąpili „w imieniu chrześcijan”: poseł J. Zabłocki, prezes PZKS-u, dr K. Studentowicz, czołowy działacz Stronnictwa Pracy, przywódca działającej podczas okupacji „Unii”, posłowie CHSS-u W. Kętrzyński i Z. Pilecki. „W imieniu marksistów”: prezes Klubu „Warszawa '80” dr T. Jaroszewski, Ignacy Krasicki, dr W. Mysłek, redaktor naczelny *Argumentów*, prezes „Grunwaldu” B. Poręba. Wszyscy mówcy powoływali się na stanowisko Prymasa Polski. W tym samym numerze zwraca uwagę artykuł pt. „Podwójna gra”, atakujący politykę europejską rządu Republiki Federalnej Niemiec oraz polemika z „programem politycznym Jacka Kuronia” i komentarz atakujący m.in. wicepremiera Rakowskiego i prezesa Stowarzyszenia Dziennikarzy Bratowskiego. Trybunał popierającą zarówno „Grunwald” jak i Klub Partijny „Warszawa '80” jest również *Żołnierz Wolności*, znany organ przeciwników odnowy. Zjednoczenie „Grunwald” przypisuje sobie już około 100 tys. członków, przeważnie ofiar ostatnich czystek partyjnych, nostalgicznych dogmatyków i skrajnie prawicowych nacjonalistów. W zarządzie znaleźli się dawni zaśluzeni moczarowcy jak reżyser B. Poręba (prezes), aktor Filipski i osławiony Gontarz oraz dr K. Studentowicz (wiceprezes) i zbawidowiec Ciesiołkiewicz (sekretarz). W działalności tego „zjednoczenia” biorą aktywny udział przedstawiciele PZKS-u i CHSS-u. Według miarodajnych informacji z kraju „Grunwald” ma na celu z jednej strony starania o rozkładanie od wewnątrz „Solidarności”, z drugiej zaś szachowanie tych członków kierownictwa partii, którzy zajmują lojalne stanowisko wobec podpisanych z „Solidarnością” porozumień. „Jest to niewątpliwie piąta kolumna sowiecka” — brzmia opinia przedstawicieli różnych odpowiedzialnych środowisk krajowych.

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 333 — PAWEŁ ZAREMBA

HISTORIA DWUDZIESTOLECIA

(1918 - 1939)

(w 2-ch tomach)

Do druku przygotował Marek Łatyński

Tom I-szy str. 240.

Tom II-gi str. 432.

Cena I/II F. 170,00.

„Historię” można nabywać tylko w całości.

Sąsiedzi

W sowieckiej prasie

List, jaki KC KPZS wysłał 5 czerwca do KC PZPR otwiera nową fazę kryzysu polskiego. Równocześnie list ten stanowi syntezę licznych materiałów, ogłaszanych w ostatnich miesiącach w całej prasie sowieckiej w rubrykach zatytułowanych „Sytuacja w Polsce”.

Nie trzeba czytać wszystkiego, co sowieccy dziennikarze wypisują na temat Polski — wszyscy piszą to samo, bo materiały pochodzą z jednego źródła. Wystarczy zapoznać się z „uwagami pisarza”, czyli z reportażami z Warszawy pióra Feliksa Kuzniecowa, ogłoszonymi w *Literaturnoj Gazecie* z 6 i z 13 maja.

Opus F. Kuzniecowa jest z wielu powodów interesujący. Przede wszystkim dlatego, że jest najobszerniejszą wykładnią sowieckiej oceny wydarzeń w Polsce. Reportaż zajmuje w całości dziewiętnaście kolumn dwu wydań gazety, przy czym duże fragmenty wydrukowane są *petitem*, żeby się więcej zmieściło. Stanowi to nie mniej jak 60-70 stron maszynopisu. Na uwagę zasługuje też nazwisko autora — to nie bezimienny korespondent, lecz Pisarz. Dodajmy, że pisarzem może się Feliks Kuzniecowa nazywać tylko w tym sensie, że zajmuje stanowisko I sekretarza moskiewskiego oddziału Związku Pisarzy Sowieckich i sekretarza całego Związku. Poza tym jest on autorem książki „W. I. Lenin o problemach moralności” i licznych artykułów o moralnych problemach w utworach sowieckich pisarzy. Jego najślynniejszym dziełem jest donos na almanach *Metropol*, wśród autorów którego było niemało jego przyjaciół z lat młodości. Niezależnie od tego, że jego wkład nawet w sowiecką literaturę jest nieznaczny i pośredni, Feliks Kuzniecowa jest ważny jako przedstawiciel specjalnej warstwy sowieckiej *establishment'u*. Warstwa ta, składająca się z przedstawicieli zawodów „kulturalnych” — pisarzy, reżyserów filmowych, aktorów, a także współpracowników KGB i referentów członków KC i Biura Politycznego — została szczegółowo opisana w książkach Aleksandra

Zinowiewa. Portrety tych ludzi można też znaleźć we wspomnieniach Ernsta Nieizwiestnego i w ostatniej powieści Wasilija Aksjonowa „Oparzenie”.

Przywódcy sowieccy, ci, którzy podejmują decyzje, podchodzą pod osiemdziesiątkę, cierpią na rozmaite choroby i wiedzą o świecie tylko to, co im powiedzą referenci — bohaterowie Zinowiewa. Referenci ci, to w pełnym sensie tego słowa ludzie naszych czasów: u siebie na daczach chodzą w dżinsach, dawno już przerzucili się z wódki na gin-tonic, słuchają „bitelsów” i nade wszystko w świecie boją się to wszystko utracić. Wszyscy mają — jak Kuzniecowa — koło pięćdziesiątki. Z ich środowiska wyjdą przywódcy sowieccy roku dwutysięcznego. Na razie sporządzają oni na użytek aktualnych władców dokładne konspekty sytuacji międzynarodowej i wewnętrznej i piszą im listy, przemówienia i mowy.

Nawet powierzchowne porównanie reportażu Kuzniecowa i listu KC KPZS z 5 czerwca pozwala dostrzec zbieżności. Reportaże (przygotowane przez referentów niższego szczebla w poselstwie w Warszawie) stanowią ważną wykładnię listu. Swoją opis sytuacji w Polsce Feliks Kuzniecowa kończy cytatem z Breżniewa: „...polscy komuniści, polska klasa robotnicza, lud pracujący tego kraju mogą się zdać na swych przyjaciół i sojuszników: nie opuścimy w biedzie bratniej socjalistycznej Polski, nie damy jej skrzywdzić!”. Tymi samymi słowami — wziętymi z tego samego przemówienia Breżniewa na XXVI Zjeździe KPZS — kończy się list KC.

Między 6-13 maja (tj. reportażami Kuzniecowa) i 5 czerwca (tj. listem KC) miały miejsce wydarzenia, które tłumaczą eskalację sowieckich żądań. *Prawda* z 15 maja poświęciła pół strony na zdemaskowanie programu „Solidarności” i wyciągnęła z niego wniosek, że program jest nie do przyjęcia. 5 czerwca TASS nazwał zwolnienie więźniów politycznych w Polsce „nowym ustępstwem przed kontrrewolucją”. Można przypuszczać, że w drugiej połowie maja Moskwa straciła wiarę, że polscy przywódcy zdolają przeprowadzić niezbędne z jej punktu widzenia zmiany, tj. „zastosować środki”.

Feliks Kuzniecowa trzykrotnie — i obszernie — cytuje Stanisława Kanię i raz gen. Jaruzelskiego. Spośród członków Biura Politycznego PZPR, występujących w „szeregu województw” na zebraniach przedjazdowych, *Prawda* z 2 czerwca wymienia tylko S. Olszowskiego, H. Jabłońskiego i K. Barcikowskiego, nie wspomina natomiast nazwiska pierwszego sekretarza ani premiera. Za to szczegółowo zdaje sprawę z wystąpienia „członka prezydium katowickiego forum partyjnego, asystenta śląskiego Instytutu Naukowego S. Owczarza”.

W drugiej połowie maja i na początku czerwca Moskwa wytacza nowy i najcięższy zarzut: do partii polskiej wśliznęli się reformiści, rewizjoniści, krótko mówiąc — wrogowie! Reportaże Kuzniecowa noszą prowokacyjny tytuł „Bezkrwawy front”. So-

wiecka prasa z końca maja i początku czerwca coraz natarczywiej domaga się — krwi. W liście KC KPZS z 5 czerwca zarzuty pod adresem polskiego kierownictwa po raz pierwszy się konkretyzują: „Chcemy podkreślić, że we wszystkich poruszonych zagadnieniach tow. S. Kania, W. Jaruzelski i inni polscy towarzysze zgodzili się z naszym punktem widzenia. W rzeczywistości jednak wszystko pozostało bez zmian, nie wniesiono żadnych poprawek do polityki ustępstw i kompromisów”.

Reportaż F. Kuzniecowa to pierwsza próba marksistowskiej analizy wydarzeń w Polsce. Trzeba przyznać, że gdyby jakiś satyryk zechciał napisać parodię marksistowskiej analizy, nigdy by się nie ośmielił zniżyć do poziomu Kuzniecowa: nie byłoby to nawet śmieszne. Kuzniecowa może jednak przytoczyć okoliczności łagodzące. Po pierwsze w maju 1981 roku ukazała się teoretyczno-marksistowska praca jednego z czołowych sowieckich — czyli światowych — marksistów, a mianowicie „Wybrane przemówienia i artykuły” K. U. Czernienko. Czernienko dowodzi na 679 stronicach, że partia jest awangardą narodu sowieckiego. Po drugie Kuzniecowa musiał wyjaśnić, dlaczego polska klasa robotnicza występuje przeciw partii klasy robotniczej, której to przedstawicielką się mieni.

Feliks Kuzniecowa wyjaśnia to najpierw przyczynami ekonomicznymi — Polska jest „jedynym krajem w socjalistycznym świecie, w którym nadal istnieje przewaga indywidualnych, prywatnych gospodarstw rolnych, a także tysiące prywatnych przedsiębiorstw usługowych i spożywczych”. Tym niemniej dzięki socjalizmowi udało się osiągnąć „niebawale sukcesy”, tyle że po 1975 roku Polakom „przewróciło się w głowie od sukcesów” i rzucili się w awanturnictwo gospodarcze, wyrażające się przede wszystkim w zadłużeniu na Zachodzie, które osiągnęło „fantastyczną cyfrę 27 miliardów dolarów”. Doprowadziło to do zależności od Zachodu, zmierzającego do uzyskania „nie tylko ekonomicznych, ale i politycznych dywidend”.

„Zawrót głowy od sukcesów” ogarnął „pewną część klasy robotniczej”, a ściśle „najmłodsze pokolenie klasy robotniczej”, które „jest w większości pierwszym pokoleniem robotniczym, dopiero co przybyłym ze wsi do miast”. Ta „niedojrzała część klasy robotniczej” poddała się „anarcho-syndykalistycznym ideom i koncepcjom”.

Zaraza mogła ogarnąć klasę robotniczą, bo „w partii i w kraju samo pojęcie walki ideologicznej zostało zdjęte z porządku dnia”. Feliks Kuzniecowa powołuje się na „najstarszego polskiego pisarza-komunistę, członka KC PZPR Jerzego Putramenta”, który skarżył się sowieckiemu koledze na „ideową i duchową pustkę, która powstała na skutek ideologicznej bez troski i bezczynności”. Pustka, stwierdza gość z Moskwy, „wypełniła się inną treścią”.

Feliksowi Kuzniecowskiemu kategorii marksistowskie najwidoczniej jednak nie wystarczają: klasa robotnicza, anarcho-syndykalizm, prywatne gospodarstwa rolne — to nie dość. Pisarzowi

ciasno w tych ramach. Daje więc artystyczne wyjaśnienie tego, co w Polsce zaszło, pisząc: „Chwilami wydaje się, że na kraj ten i na wielu jego ludzi spadł i zawirował, zawiął wszystko wkoło jakiś polityczny smog, jakiś gęsty i zdradziecki amok”.

Jeśli przypomnimy sobie opowiadanie Stefana Zweiga pt. „Amok”, w którym opisuje on nagły atak ostrego rozstroju duchowego, który po malajsku nazywa się *amok*, w osłupieniu staniemy przed epitetami, jakich używa moskiewski autor — „gęsty, zdradziecki” atak szaleństwa? Tym niemniej myśl jego jest jasna: Polska oszalała. Kuzniecowa nalega: trzykrotnie powtarza w reportażu słowo „amok” (spodobało mu się — wynalazek literacki!) i pisze o „diabelskiej sieci”, w której znalazła się Polska.

Terminy takie potrzebne są Kuzniecowskiemu, bo jego marksistowskie objaśnienie wydarzeń brzmi jasno i prosto: z pustki, ze słabej ideologicznej roboty skorzystały biesy, aby zawiadnąć duszą „pewnej części klasy robotniczej”. „Biesy” to KOR. Jemu też Kuzniecowa poświęca najnamiętniejsze stronicę. Uprzedziwszy, że nie należy „mylić KOR-u z 'Solidarnością'”, moskiewski autor wyjaśnia: to KOR przygotował „ekstremistyczne kadry” wolnych związków zawodowych; szeregowych członków „Solidarności” da się jeszcze uratować.

Walka z „biesami” jest bardzo trudna. Feliks Kuzniecowa (nie na darmo dano mu imię „żelaznego Feliksa”) zdemaskował wszystkie tajemnice KOR-u, w tym i te, których istnienia nie podejrzewali nawet jego członkowie. Przede wszystkim moskiewski autor zapewnia, że KOR został założony „jesienią 1975 roku w Szwajcarii”. Na pytanie, dlaczego w Szwajcarii, łatwo odpowiedzieć z francuska: a dlaczego nie? Jednak F. Kuzniecowa wie dokładniej, dlaczego w Szwajcarii: to przecież ze Szwajcarii przyjechał do Rosji główny „bies” Dostojewskiego.

Pojawiwszy się w Polsce, „szwajcarskie biesy” zaczynają realizować „tajny program”, którego streszczenie moskiewski gość znalazł „na łamach prasy włoskiej”. Nie uważa oczywiście za konieczne ujawnić, na łamach jakich to gazet czy czasopism znalazł „tajny program” KOR-u. W przeciwnym wypadku ktoś mógłby go schwycić za rękę. Oznajmia więc tylko: „cytuje ze źródeł włoskich”. I cytuje, demaskując, że „biesy” na pierwszym etapie stawiają sobie za zadanie „przekształcić związek zawodowy 'Solidarność' w główną bazę KOR-u”; „sami stojąc w cieniu, zamierzają kierować działalnością NSZZ 'Solidarność' poprzez swoich tajnych agentów, którzy przeniknęli do związku”... „KOR — ujawnia Kuzniecowa — składa się z członków oficjalnych i nieoficjalnych, starannie zamaskowanych. Ci drudzy mają przenikać w szeregi związków zawodowych, do organów państwa, partii i sądownictwa... Dobrze zamaskowani członkowie KOR-u mają wejść w skład grup do specjalnych poruczeń, które będą mogły być wykorzystane w nadzwyczajnych okolicznościach, to znaczy wtedy, kiedy trzeba będzie otwarcie użyć siły — uciec się do aktów sabotażu, dywersji i akcji terrorystycznych”.

To pierwszy etap. Źródło natchnienia Kuzniecowa jest oczywiste: jest nim program Nieczajewa, wyłożony następnie w „Biesach” Dostojewskiego, oraz najmniej znane z przemówień Stalina, a mianowicie mowa z marca 1937 roku o przenikających wszędzie wrogach.

Drugi etap działalności KOR-u zaczął się, zdaniem moskiewskiego gościa, w 1981 roku. KOR musi mianowicie „stworzyć warunki, które pozwolą przejść do trzeciego etapu”. Na trzecim zaś etapie „ustanowiony zostanie ustrój podobny do tego, jaki istniał w Polsce do 1939 roku”.

Na przestrzeni dziesiątków stron przywódca pisarzy moskiewskich nazywa korowców „trockistami, anarcho-syndykalistami i lewakami” i na zakończenie twierdzi ponownie, że „celem ich jest ustanowienie w Polsce ustroju, jaki istniał w niej do 1939 roku”. Można oskarżyć Kuzniecowa o niestychną ignorancję albo o paranoję. Trudno jednak zaprzeczyć, że w tym szaleństwie jest metoda.

Poświęciłem jego reportażom tyle miejsca, bo Polska jaką w nich opisuje to Polska, jaką widzą kremlowscy wodzowie.

Kraj, który jawi się w płomiennych wizjach Kuzniecowa, może nie mieć niczego wspólnego z rzeczywistością Polską, ale właśnie o tym wyobrażonym, wymyślonym, nieistniejącym kraju deliberuje się w sowieckich gazetach i na posiedzeniach Biura Politycznego.

Kuzniecowa zapewnia, że w Polsce działa konspiracyjna kontrrewolucyjna organizacja, ściśle związana z „zachodnimi służbami specjalnymi”, otrzymująca przez radio „zakodowane rozkazy” od CIA, „paryskiego ośrodka dywersyjnego” itd. i skutecznie przekształcająca Polskę w państwo antysowieckie.

Teoria spisku jako uniwersalnego klucza, tłumaczącego historię, dawno już zastąpiła w świecie socjalistycznym wszystkie teorie historiozoficzne. Całkiem niedawno wyszło w Moskwie w kolejnym stutysięcznym nakładzie drugie wydanie „studium” N. N. Jakowlewa pt. „CIA przeciw ZSSR”. Pierwsze książki pod takimi tytułami („Spisek przeciw ZSSR”, „Spisek przeciw pokojowi”) zaczęły się pojawiać w drugiej połowie lat 30-tych. Teraz znowu są w modzie. Historyk Jakowlew dowodzi przy pomocy tych samych metod, jakimi posługuje się literat Kuzniecowa, że wszyscy sowieccy dysydenci są agentami CIA, że wszystkie książki Sołżenicyna zostały napisane w CIA itd.

Czyż trzeba się dziwić, że i to co dzieje się w Polsce tłumaczy się w Moskwie spiskiem? Spiskiem, diabelskimi wpływami, biesami...

Ze wszystkiego co się stało w Polsce najstraszniejsze dla Kuzniecowa jest to, że spiskowcy zawładnęli środkami masowego przekazu. Prasa, radio i telewizja, które zaczynają mówić prawdę, są dla Moskwy równoznaczne z przewrotem antysocjalistycz-

nym. Słowa Marksa, że świat materialny jest bazą, a świat duchowy nadbudową dawno już brzmią śmiesznie. W Związku sowieckim i we wszystkich krajach socjalistycznych bazą, podstawą jest władza partii nad „światem duchowym”, tj. nad środkami informacji.

Od dawna już trwa spór, czy sowieccy ludzie wierzą propagandzie czy nie. Dla przywódców KPZS nie ma to najmniejszego znaczenia — ważne jest, że ludzie czytają, oglądają i słuchają tego, co im się podaje. W socjalistycznym świecie jak nigdzie potwierdza się słuszność twierdzenia Marshalla McLuhana, że *medium to message*. Nie jest ważne, co podaje środek masowej informacji, ważne jest, kto nim włada.

F. Kuzniecowa ze zgrozą cytuje — po raz drugi — najstarszego polskiego pisarza-komunistę Jerzego Putramenta, skarżącego się koledze, że nie dopuszczono go do słowa na zjeździe polskich pisarzy. Ze smutkiem cytuje „przenikliwie trafną charakterystykę” złowieszczych sił, które zawładnęły środkami masowej informacji, pióra „pisarza Andrzeja Wasilewskiego”. F. Kuzniecowa opowiada się kategorycznie przeciw totalitaryzmowi — KOR-u, domaga się — pluralizmu, czyli miejsca dla „zdrowych sił” w partii i społeczeństwie polskim. Mówi o tym, że koniecznie trzeba przejść do ataku, zagrożona bowiem jest nie tylko Polska, ale i „wszystkie kraje socjalizmu”.

Dotychczas standardowym określeniem aktualnego etapu komunizmu w ZSSR było pojęcie „realnego socjalizmu”. Pisarz Kuzniecowa wzbogaca słownik języka sowieckiego o nowy termin — „realny humanizm”. Gorki, który nie wpadł na ten pomysł, sens „realnego humanizmu” oddał w słynnej formule „jeśli wróg się nie poddaje, należy go zniszczyć”.

List, który KC KPZS wystosował 5 czerwca do KC PZPR streszcza właściwie na siedmiu stronach maszynopisu to, co F. Kuzniecowa wyłożył na sześćdziesięciu. Kreml wyraża „głębokie zaniepokojenie” położeniem w Polsce, które przedstawia tak: kontrrewolucja, posługując się ekstremistycznym skrzydłem „Solidarności”, oszukuje robotników, „wciągając ich w przestępczy spisek przeciw władzy ludowej”. List podkreśla: „...przeciwnik zawładnął kontrolą środków masowej informacji i dodaje z naciskiem: „...Nie można wygrać bitwy o partię, dopóki prasa, radio i telewizja pracują nie dla PZPR, a dla jej wrogów”.

KC KPZS zażądał od polskich komunistów i ich przywódców, aby przystąpili do walki z kontrrewolucją. Zarazem uprzedził: „Czas nie czeka”. List wyznacza dokładny termin — zjazd partii, do której to daty należy skończyć z kontrrewolucją. Bo „nie można wykluczyć, że podczas zjazdu może zostać podjęta próba decydującego uderzenia w marksistowsko-leninowskie siły w partii, która może doprowadzić do ich likwidacji”.

Tekst listu został opublikowany przez paryski *Le Monde* 9 czerwca (gazeta datowana 10 czerwca). *Prawda* opublikowała

go 11 czerwca*, po tym jak plenum KC PZPR odmówiło przeprowadzenia zmian w kierownictwie polskiej partii, jakich domagała się Moskwa.

Ogłoszenie listu było pierwszą reakcją Moskwy na niepokorność Warszawy.

Adam KRUCZEK

12 czerwca 1981

* List ten został przed opublikowaniem go w prasie sowieckiej w całości odczytany w telewizji warszawskiej.

Życie religijne w ZSSR

1. W numerze 3/402 *Kultury* ukazała się nota „Mińsk Litewski”, komentująca fakt otwarcia w październiku ub. roku kościoła katolickiego w Mińsku. Komentarz ten wymaga pewnego uściślenia, które, niestety, pomniejsza nieco optymizm.

Po pierwsze jest pewną przesadą mówić o otwarciu kościoła w Mińsku. Rzeczywiście powstała tam parafia, co jest wydarzeniem niewątpliwie bardzo ważnym. Jej siedzibą jest kaplica na cmentarzu kalwaryjskim. Jednak dla celów kultu oddano na razie tylko jej prezbiterium. Resztę zajmuje tymczasowo warsztat murarski jakiegoś przedsiębiorstwa. Księdzu Adamowiczowi, który uzyskał *sprawkę* (pozwolenie) na pracę duszpasterską w Mińsku, obiecano udostępnienie wiernym całej kaplicy. Czas księdza podzielony jest na pracę w Mińsku, Krasnem i Uszy (Usza), przy czym na Mińsk wypadają w sumie trzy dni. Jest to ogromny ciężar, jak na jednego człowieka.

2. Faktem absolutnie pewnym, stwierdzonym na całej Białorusi jest to, że w czasie ostatnich Świąt Bożego Narodzenia po 6-7 urzędników z *sielsowietu*, *gorodsowietu*, rejonu, *obłasti* i Mińska (stolica „republiki”) uczestniczyło we wszystkich nabożeństwach.

3. Na Białorusi widoczne jest napięcie różnych kar i represji w stosunku do księży i wiernych. Czasem udaje się obrona przez łapówkę. Trudna sytuacja jest np. w Lidzie. Na Boże Narodzenie 1980 roku jedyny tam ksiądz miał zapalenie płuc i pasterkę odprawiał w ogrzewanej zakrystii. Była jednak transmitowana przez głośniki na kościół. Jeden z kościołów w Lidzie (popijarski) zamieniony jest na planetarium, a drugi, czynny dzięki de-

terminacji miejscowego duszpasterza, ks. Rojka, jest obecnie zagrożony. Pierwszy sekretarz *rajkomu*, Popowa, urzędująca na przeciwko kościoła, zapowiedziała jego zamknięcie i zniszczenie. Panuje tu atmosfera zastraszenia.

W kilku parafiach (Mińsku, Lidzie i innych) księża stosują zbiorowe rozgrzeszenia z powodu wielkiej liczby wiernych chcących się spowiadać. Nasuwa to jednak duże wątpliwości wobec niskiego poziomu uświadczenia religijnego.

4. Budzi się ludność katolicka w Witebsku. Już w roku 1978 ok. 200 osób podpisało podanie do władz o pozwolenie na otwarcie „domowego” kościoła, tzn. kaplicy w domu prywatnym. Ok. 300 innych osób bało się podpisać petycję, lecz po cichu popiera to żądanie. Jest ono zresztą całkowicie zgodne z obowiązującym w ZSSR prawem dotyczącym religii. Jak dotychczas jedynym skutkiem były wezwania osób, które podpisały podanie, groźby i szantaże. W Witebsku istnieją ruiny dużego kościoła katolickiego.

5. W Braślawiu, który jest siedzibą parafii katolickiej obejmującej obecnie teren szesnastu innych, zamkniętych i zniszczonych po ostatniej wojnie — od szeregu lat, w każde wakacje, przystępuje do uroczystej I Komunii św. 250-300 dzieci. Uroczystość ma charakter imponujący. Jest to zjawisko wyjątkowe, nieznanne w innych parafiach.

W Braślawiu zrodziła się przed kilkunastu laty, po dramatycznej walce w obronie miejscowego proboszcza ks. Wilczyńskiego, świadomość siły społeczności katolickiej. Władze nadal jednak nie rezygnują z bezwzględnej walki i narzucają takie lub inne ograniczenia dotyczące dzieci i młodzieży. I tak na przykład pod naciskiem i groźbami musiano zaniechać spontanicznie wprowadzonego udziału dzieci w procesji religijnej wokół kościoła i słuszenia do mszy św. chłopców w wieku szkolnym.

Według obowiązującego prawa tylko rodzice są uprawnieni do uczenia swoich dzieci katechizmu. O prowadzenie ich do kościoła rodzice przed laty staczali w Braślawiu formalne walki z nauczycielami, którzy stali przed kościołem i bronili wstępu.

6. Na Łotwie i na Litwie zdarzają się ostatnio niepokojące napady na księży, mające na celu nie rabunek, lecz pobicie i steryoryzowanie. Władze nie wykrywają sprawców. Oto niektóre tylko wypadki spośród najpoważniejszych.

Bardzo ciężko oparano środkami chemicznymi ks. Zdebkisa w dniu 1 października 1980 roku, gdy wsiadał do samochodu po nabożeństwie w kościele filialnym. W Luoké zamordowany został dn. 16 listopada 1980 roku ks. Leon Szapoka, lat 71. Powodem była odmowa dotychczasowej współpracy (donosów) z milicją.

Na ks. Władysław Zawalniuka (Łotwa) napadnięto o godz. 1-ej w nocy. Ze szpitala w Dźwińsku (grudzień 1980) przeniesiono go do *psicholnicy*, czyli szpitala psychiatrycznego, skąd jednak zdołał się w jakiś niezwykły sposób wydostać.

7. W Seminarium duchownym w Kownie kształci się w bieżącym roku szkolnym osiemdziesięciu pięciu seminarzystów, a w tej samej instytucji w Rydze jest ich zaledwie dwudziestu sześciu. Ogromnej większości kandydatów władze odmówiły pozwolenia na wstąpienie do seminarium w Rydze, skąd rekrutują się księża pracujący na Ukrainie.

W seminarium w Kownie panuje atmosfera inwigilacji i nieufności. Przy aparacie radiowym zawsze jest dyżurny i od lat, a nie od ub. roku nie wolno słuchać audycji z Warszawy.

8. Wymieniony niedawno przez „Kronikę Kościoła katolickiego na Litwie” Juliusz Sosnowski (według pisowni litewskiej Sosnaukas), który został potajemnie aresztowany w Wilnie na początku ub. roku, żyje. Skazano go na pięć lat więzienia za ożywioną działalność religijną. Uprzednio został zwolniony z wojska ze względu na zbyt słabe zdrowie. W więzieniu nie jest jednak leczony i dużo cierpi. J. Sosnowski ma zaledwie 22 lata i bardzo dobrą opinię. Jest uparty i dużo wymaga od siebie.

9. Kościół św. Ducha w Wilnie, w którym nabożeństwa odprawiane są wyłącznie po polsku, jest duszpastersko kompletnie zaniedbany. Proboszczem jest tu prawie już 90-cioletni ks. Józef Bekisz, zupełnie niedoświadczony. Jego wikariuszem jest ks. Józef Jodogajlis, Litwin, mający ponad 70 lat. W żadnym z kościołów w Wilnie nie ma tak wiekowych duszpasterzy. Jest to bardzo bolesna sprawa dla Polaków, którzy wiedzą, ilu młodych księży Polaków pracuje na parafiach czysto litewskich, skierowanych tam właśnie przez hierarchię litewską.

10. Duże skupisko polskich katolików znajduje się w Kazachstanie. Są to Polacy deportowani z Ukrainy kijowskiej po roku 1935. Według spisu ludności z 1959 Kazachstan zamieszkiwało ok. 80 tys. Polaków. Ocenia się jednak, że liczba ta była dwukrotnie wyższa, ponieważ młodych zapisuje się w księgach metrykalnych jako Rosjan. Nie ma w Kazachstanie żadnych szkół polskich. W całym Kazachstanie pracuje ok. 10 duszpasterzy katolickich różnych narodowości. Tylko jeden z nich, o. Bień, Franciszkanin, jest Polakiem. Istnieje jeden kościół katolicki, wzniesiony wspólnie przez Polaków i Niemców w Karagandzie oraz 10 kaplic i domów modlitwy. W jednym z nich zbiera się ludność wywieziona w 1935 roku spod Winnicy na Ukrainie. Prawie wszyscy z wyjątkiem dzieci mówią po polsku i noszą dawne, szlacheckie polskie nazwiska.

W Karagandzie ks. Albinas Dublauskas uzyskał pozwolenie na budowę kościoła w Makińsku, położonym między Celinogradem a Karagandą. Przez piętnaście lat trwała w tym mieście cicha praca, ożywiająca życie religijne mieszkających tu Niemców i Polaków (zbieranie się na modlitwę), prowadzona przez kilka osób całkowicie poświęconych tej sprawie. Przyniosła ona teraz widoczne wyniki.

Ks. Józef Swidnicki pracujący w Duszanbe zbudował w Kurhantiube nowy kościół o wymiarach 16 na 11 metrów. Placówkę tę objął teraz ks. Lenga z Seminarium ryskiego. W Celinogradzie „sprawkę” na pracę duszpasterską ma już ks. Babrauskas.

Na koniec coś z prasy krajowej, która też od czasu do czasu pisze o Kazachstanie. Właśnie w *Trybunie Ludu* z dnia 14-15 marca br. ukazała się korespondencja z tego kraju, p. Daniela Lulińskiego pt. „Wiosna w Kazachstanie”. Autor jest zaskoczony i wzruszony żywą sympatią Kazachów do Polski, ich zainteresowaniem kulturą polską, faktem istnienia katedry polonistyki w Ałma-Acie itp.

Autor nie wspomina jednak ani słowem o obecności Polaków w Kazachstanie.

Miło jest czytać o sympatii Kazachów do dalekiej Polski, ale bardzo smuci głuche milczenie p. Lulińskiego o dramacie Polaków w Kazachstanie, skazanych na zapomnienie i wynarodowienie.

J. MIRSKI

Kronika niemiecka

Zachodni Niemcy katolicy zebrali podczas *Weltfriedenstag* (Dzień Pokoju) 3,18 mln marek; suma została przekazana na cele *Fundacji im. Maksymiliana Kolbe*, organizującej pomoc dla polskich ofiar b. hitlerowskich obozów koncentracyjnych. ■ W Polsce przebywał dr Juergen Schilling, przedstawiciel *Czerwonego Krzyża* RFN; prowadził rozmowy w sprawie koordynacji przewozu i rozdziału darów napływających z Niemiec Zachodnich. ■ Niemiecka sekcja międzynarodowej organizacji *PAX-Christi* wysłała do Polski 20 tys. paczek żywnościowych (stan na koniec maja br.). ■ Pomoc kolońskich katolików dla archidiecezji krakowskiej: 200 ton produktów żywnościowych o wartości 700 tys. marek. ■ W sumie z całej RFN wysłano do Polski w ostatnich miesiącach 125 wagonów kolejowych z żywnością. Chodzi w tym wypadku wyłącznie o pomoc organizacji charytatywnych i osób prywatnych. Wartość produktów wysłanych do Polski jedynie przez *Czerwony Krzyż* i *Caritas* wynosi ok. 2,5 mln marek. ■ Paczki żywnościowe wysyłane z Niemiec Zachodnich do Polski są przetrzymywane przez organa NRD, które starają się utrudniać akcję pomocy zagranicznej dla Polski. Celnicy zachodni Niemcy zauważyli, że na stacji granicznej w Gerstungen wschodni Niemcy pracownicy kolejni wyjmują z pociągów jadących do Polski paczki żywnościowe i transportują je do specjalnej hali, gdzie każda przesyłka jest prześwietlana. Operacja ma podobno na celu ograniczenie napływu zachodniej „literatury wyrotowej” do Polski. ■ Władze NRD wstrzymały kolportaż niemieckojęzycznego wydania *Zycia Warszawy*. ■ Nieopublikowany w prasie krajowej meldunek *PAP-u* z Berlina Wschodniego: „Polacy przybywający służbowo do NRD spotykają

się z nieprzyjemnym traktowaniem. Mają kłopoty z wynajęciem pokoju w hotelu, robi im się dużo trudności wszędzie, gdzie legitymują się polskimi paszportami służbowymi. Nieufność wobec wszystkiego co polskie przynosi coraz większe szkody w działalności *Polskiego Ośrodka Informacji i Kultury* w Berlinie. Imprezy tej placówki są permanentnie sabotowane przez NRD, a coraz częściej zdarza się, że na wspólnie uzgodnione przedsięwzięcia ze strony NRD nie przychodzi żaden przedstawiciel. W kinach nie gra się polskich filmów, a z telewizji i radia usunięto audycje o Polsce". ■ Po spotkaniach w Szwecji działacze krakowskiego *Studenckiego Komitetu Solidarności (SKS)* a obecnie reprezentanci *Niezależnego Zrzeszenia Studentów* w Krakowie, Andrzej Mietkowski i Wojciech Sikora, uczestniczyli w licznych spotkaniach na terenie RFN. A. Mietkowski wraz z zaproszonym przez studentów niemieckich Krzysztofem Krzysztofiakiem (członek władz *NZS*) brali udział w spotkaniach ze studentami uniwersytetów w Bremie, Hamburgu i Kolonii, a także w Berlinie Zachodnim i Tybindze. Wojciech Sikora uczestniczył w studenckich spotkaniach i wiecach solidarnościowych w Bochum, Kolonii, Marburgu, Frankfurtu nad Menem, Heidelbergu i Stuttgarcie. Były to nie tylko spotkania informujące o nowym niezależnym ruchu studenckim w Polsce, ale dotyczyły również historii ruchu opozycji demokratycznej i perspektyw rozwoju sytuacji społeczno-politycznej w Polsce. Kolońskie pismo *Stadt-Revue* zamieściło wywiady z Wojciechem Sikorą i Bronisławem Wildsteinem, a wychodząca w Tybindze *Südwestpresse* artykuł Andrzeja Mietkowskiego. Od kilku miesięcy przebywają w Zachodniej Europie inni działacze *SKS* i reprezentanci *NZS* Anna Krajewska i Grzegorz Malkiewicz, aktywnie uczestnicząc w wielu spotkaniach o podobnym charakterze na terenie Niemiec Zachodnich, Francji, Szwajcarii i Belgii. ■ W ilustrowanym dodatku hamburskiego tygodnika *Die Zeit* zamieszczono opowiadanie Sławomira Mrożka pt. *Der kaiserliche Bote (Cesarski posłaniec)*. ■ Z wizyty w Polsce przebywała 31-osobowa grupa uczennic hannowerskiego *Gymnazjum im. Ricarda Huch*. Umowa o wymianie młodzieży RFN-PRL jest dotąd realizowana wyłącznie jednokierunkowo, tzn. że młodzież z Zachodnich Niemiec sporadycznie odwiedza PRL, podczas gdy Polacy, w większych grupach, są praktycznie pozbawieni możliwości wyjazdu do RFN. ■ Poczawszy od 3 lutego 1972 roku codzienna audycja młodzieżowa *Norddeutscher Rundfunk (NDR)* pod nazwą *Der Club* nadawana jest w regularnych odstępach czasu jako wspólna audycja *NDR* i *Polskiego Radia*. *Curiosum* polega na tym, że młodzi słuchacze w Polsce nie mogą się zapoznać z tymi audycjami; *Polskie Radio* nie transmituje tych programów na Polskę! ■ *Akademia Biskupstwa* w Akwizgranie urządziła sympozjum poświęcone sprawom Polski. W pierwszym dniu prof. Gotthold Rhode (Uniwersytet w Moguncji) mówił o historii Polski po drugiej wojnie światowej, drugiego dnia dr Ludwik Frendl (Monachium), przewodniczący *Polskiej Rady Narodowej* w RFN, poruszył kwestię wpływu, jaki wypadki w Polsce mogą mieć na inne kraje europejskiego Wschodu. W sympozjum wzięło udział ponad 50 osób ze sfer politycznych, gospodarczych i studenckich. ■ Ponad 2 tys. Polaków odbiera codziennie wizy RFN-owskie w warszawskim konsulacie. *Polityka*: „Ten hałaśliwy i wysoce niedyscyplinowany tłum jest w najwyższym stopniu uciążliwy. (...) Ginie zieleń, ulice Katowicka i przyległe zamieniają się w śmietnisko, a protesty mieszkańców pozostają bez echa”. Telewizja zachodnioniemiecka przeprowadziła wywiady z Polakami ubiegającymi się o wizy do RFN. Okazało się, że wielu młodych ludzi się, że znajdują w Niemczech Zachodnich pracę w okresie letnim. ■ Na *V Biennale Sztuki dla Dziecka*, które zakończyło się w Poznaniu, międzynarodowe jury przyznało *Nagrodę Literacką im. Janusza Korczaka* Michaelowi Ende z RFN za powieść fantastyczną pt. *Nie kończąca się historia*. ■ Z inicjatywy zachodniobierlińskiej *Akademii Ewangelickiej* i pod patronatem senatora d/s szkolnictwa odbyło się kolejne seminarium, poświęcone problemom nauczania w szkołach zachodniobierlińskiej historii stosunków polsko-niemieckich. Tematem tego kolejnego, piątego już seminarium były *Ruchy oporu podczas II wojny światowej w Niemczech i w Polsce*. Ze strony polskiej w seminarium uczestniczyli m.in. prof. Czesław Madajczyk i Marian Wojciechowski z Warszawy. Przybył także prof. Ger van Roon z Amsterdamu. *Trybuna Ludu* pośpieszyła zaraz z wyjaśnieniem, że „wprawdzie Berlin Zachodni nie jest stroną w tych rozmowach, ale z uwagi na silne powiązanie swego systemu oświaty z systemem RFN”... Więc po co polscy historycy przyjeżdżają do Berlina Zachodniego, czyżby tylko po honoraria, zwrot diet i kosztów podróży? ■ Niemiecki *Verlag USA* wydał zbiorową pracę W. Brusa, A. Michnika i F. Fehéra pt. *Polen* (str. 222). Książkę uzupełniają fragmenty opracowań *DiP-u* i założeń programowych *Towarzystwa Kursów Naukowych (TKN)*. ■ 71-letni ks. Stefan Ernst, opiekujący się od lat 140 grobami polskich żołnierzy w miejscowości Warburg-Dössel został obecnie odznaczony przez ambasadora PRL w RFN Jana Chylińskiego *Złotym Medalem za Ochronę Polskich Miejsc Pamięci Narodowej*. ■ Minister Nauki, Szkolnictwa Wyższego i Techniki prof. Janusz Górski i przewodniczący kuratorium *Fundacji im. A. Kruppa* Berthold Beitz podpisali w Essen umowę o założeniu wspólnego centrum badawczego nad uszlachetnianiem węgla. Centrum badawcze powstanie jako samodzielna jednostka przy *Politechnice Śląskiej*. Placówka naukowa sfinansowana zostanie wspólnie przez *Fundację im. A. Kruppa* (15 mln marek) i przez *Ministerstwo Nauki, Szkolnictwa Wyższego i Techniki PRL* (250 mln złotych). ■ Neonila Logwińska, kierowniczka polskiego internatu i sierocinca *Marianum* w Carlsbergu (Palatynat) wysłała dwie ciężarówki z żywnością do Polski. Akcję poparli finansowo niemieccy księża (także jeden ksiądz słowacki), gmina w Carlsbergu i miejscowi Polacy. Polscy duchowni w RFN nie przyłączyli się do tej jedynej w Niemczech polskiej akcji wysyłania żywności do Polski. ■ Inż. Jan A. Szponder, prezes *Stowarzyszenia Katolików Polskich w Niemczech*, redaguje i wydaje biuletyn pt. *Znak Czasu* (4130 Moers 2, Erich-Kästner-Str. 18). ■ *Więcznie wczorajszy*: Z żądaniem utrzymania decyzji w sprawie oznaczania granic nieistniejącej Rzeszy Niemieckiej na mapach i w podręcznikach szkolnych wystąpiła pod adresem stałej konferencji ministrów oświaty RFN frakcja parlamentarna *CDU/CSU* w *Bundestagu*. ■ Nakładem Wydawnictwa PPS *PRZEMIANY* w Monachium ukazała się broszura ze zbiorom krótkich opowiadań Grzegorza Dłubaka pt. *Staraj się przeżyć (Migawki z życia współczesnej Łodzi)*, str. 34. ■ *Książka i Wiedza* wydała *Historię RFN* (nakł. 9.650 egz.). Książkę napisał znany historyk i badacz problematyki niemieckiej i stosunków polsko-niemieckich, prof. Jerzy Krasuski z *Uniwersytetu Adama Mickiewicza* w Poznaniu. ■ *Evangelischer Pressedienst* donosi z Warszawy o bezprawnym zajęciu przez katolików dwóch dalszych świątyni ewangelickich (w miejscowościach Ukta i Nawidary na Mazurach). *Kościół Ewangelicki* wystąpił do *Episkopatu Polski* z ostrym protestem w tej sprawie, przypominając jednocześnie, że akty bezprawnego rekwirowania świątyni ewangelickich stanowią naruszenie porozumienia dotyczącego sprzedaży kościołów stanowiących własność gmin ewangelickich parafiom katolickim. ■ Według *Frankfurter Allgemeine Zeitung* firmy zachodnioniemieckie zawarły na *Targach Lipskich* poważne transakcje; przemysłowi hutnicemu RFN „udało się najwyraźniej przejąć zamówienia w miejsce brakujących dostaw stali i węgla kokującego z Polski”. ■ Uniwersytety w Bremie i Gdańsku uzgodniły ramowy program wymiany studentów. Odpowiednie porozumienie zostało podpisane 3 czerwca br. ■ W dniu 60-tej rocznicy urodzin prof. Andrieja Sacharowa (21 maja br.) odbyła się przed ambasadą sowiecką w Bonn demonstracja w obronie przesładowanych w Związku Socjaldemokratycznym działaczy demokratycznych. W demonstracji zorganizowanej przez redakcję niemieckiego wydania kwartalnika *Kontinent* (Cornelia Gersten-

święcone problemom nauczania w szkołach zachodniobierlińskiej historii stosunków polsko-niemieckich. Tematem tego kolejnego, piątego już seminarium były *Ruchy oporu podczas II wojny światowej w Niemczech i w Polsce*. Ze strony polskiej w seminarium uczestniczyli m.in. prof. Czesław Madajczyk i Marian Wojciechowski z Warszawy. Przybył także prof. Ger van Roon z Amsterdamu. *Trybuna Ludu* pośpieszyła zaraz z wyjaśnieniem, że „wprawdzie Berlin Zachodni nie jest stroną w tych rozmowach, ale z uwagi na silne powiązanie swego systemu oświaty z systemem RFN”... Więc po co polscy historycy przyjeżdżają do Berlina Zachodniego, czyżby tylko po honoraria, zwrot diet i kosztów podróży? ■ Niemiecki *Verlag USA* wydał zbiorową pracę W. Brusa, A. Michnika i F. Fehéra pt. *Polen* (str. 222). Książkę uzupełniają fragmenty opracowań *DiP-u* i założeń programowych *Towarzystwa Kursów Naukowych (TKN)*. ■ 71-letni ks. Stefan Ernst, opiekujący się od lat 140 grobami polskich żołnierzy w miejscowości Warburg-Dössel został obecnie odznaczony przez ambasadora PRL w RFN Jana Chylińskiego *Złotym Medalem za Ochronę Polskich Miejsc Pamięci Narodowej*. ■ Minister Nauki, Szkolnictwa Wyższego i Techniki prof. Janusz Górski i przewodniczący kuratorium *Fundacji im. A. Kruppa* Berthold Beitz podpisali w Essen umowę o założeniu wspólnego centrum badawczego nad uszlachetnianiem węgla. Centrum badawcze powstanie jako samodzielna jednostka przy *Politechnice Śląskiej*. Placówka naukowa sfinansowana zostanie wspólnie przez *Fundację im. A. Kruppa* (15 mln marek) i przez *Ministerstwo Nauki, Szkolnictwa Wyższego i Techniki PRL* (250 mln złotych). ■ Neonila Logwińska, kierowniczka polskiego internatu i sierocinca *Marianum* w Carlsbergu (Palatynat) wysłała dwie ciężarówki z żywnością do Polski. Akcję poparli finansowo niemieccy księża (także jeden ksiądz słowacki), gmina w Carlsbergu i miejscowi Polacy. Polscy duchowni w RFN nie przyłączyli się do tej jedynej w Niemczech polskiej akcji wysyłania żywności do Polski. ■ Inż. Jan A. Szponder, prezes *Stowarzyszenia Katolików Polskich w Niemczech*, redaguje i wydaje biuletyn pt. *Znak Czasu* (4130 Moers 2, Erich-Kästner-Str. 18). ■ *Więcznie wczorajszy*: Z żądaniem utrzymania decyzji w sprawie oznaczania granic nieistniejącej Rzeszy Niemieckiej na mapach i w podręcznikach szkolnych wystąpiła pod adresem stałej konferencji ministrów oświaty RFN frakcja parlamentarna *CDU/CSU* w *Bundestagu*. ■ Nakładem Wydawnictwa PPS *PRZEMIANY* w Monachium ukazała się broszura ze zbiorom krótkich opowiadań Grzegorza Dłubaka pt. *Staraj się przeżyć (Migawki z życia współczesnej Łodzi)*, str. 34. ■ *Książka i Wiedza* wydała *Historię RFN* (nakł. 9.650 egz.). Książkę napisał znany historyk i badacz problematyki niemieckiej i stosunków polsko-niemieckich, prof. Jerzy Krasuski z *Uniwersytetu Adama Mickiewicza* w Poznaniu. ■ *Evangelischer Pressedienst* donosi z Warszawy o bezprawnym zajęciu przez katolików dwóch dalszych świątyni ewangelickich (w miejscowościach Ukta i Nawidary na Mazurach). *Kościół Ewangelicki* wystąpił do *Episkopatu Polski* z ostrym protestem w tej sprawie, przypominając jednocześnie, że akty bezprawnego rekwirowania świątyni ewangelickich stanowią naruszenie porozumienia dotyczącego sprzedaży kościołów stanowiących własność gmin ewangelickich parafiom katolickim. ■ Według *Frankfurter Allgemeine Zeitung* firmy zachodnioniemieckie zawarły na *Targach Lipskich* poważne transakcje; przemysłowi hutnicemu RFN „udało się najwyraźniej przejąć zamówienia w miejsce brakujących dostaw stali i węgla kokującego z Polski”. ■ Uniwersytety w Bremie i Gdańsku uzgodniły ramowy program wymiany studentów. Odpowiednie porozumienie zostało podpisane 3 czerwca br. ■ W dniu 60-tej rocznicy urodzin prof. Andrieja Sacharowa (21 maja br.) odbyła się przed ambasadą sowiecką w Bonn demonstracja w obronie przesładowanych w Związku Socjaldemokratycznym działaczy demokratycznych. W demonstracji zorganizowanej przez redakcję niemieckiego wydania kwartalnika *Kontinent* (Cornelia Gersten-

maier i Christof Hyla) wzięli także udział Węgrzy i Polacy z prezesem Oddziału PSL w Niemczech Lucjanem Koperą na czele. Wśród demonstrantów zabrakło przedstawicieli endeckiego Związku Polskich Uchodźców i kontrowersyjnej KPN. ■ 800 wychowanków *Deutsches Gymnasium* (Niemieckiego Gimnazjum) w Łodzi spotkało się w Heidelbergu. Niemiecycy b. gimnazjaliści z polskiego miasta spotkali się po raz piąty; wielu przybyło z Południowej Afryki, USA, Kanady i Australii. Wśród prominentnych uczestników dostrzeżono m.in. Karla Hemflera, min. sprawiedliwości rządu Hesji, dr. Karla Dedeciusa, Petera Nasarskiego i prof. Georga W. Strobla. Często w całych grupach rozmawiano i śpiewano po polsku; uczestnicy akcentowali szczególnie sympatię i solidarność z narodem polskim. ■ *Grand Prix Międzynarodowego Festiwalu Filmów Krótkometrażowych* w Oberhausen otrzymały *ex aequo* dwa polskie filmy: *Tango* Zbigniewa Rybczyńskiego i *Stolarz* zmarłego niedawno reżysera Wojciecha Wiszniewskiego. Nagroda główna jury FIPRESCI przypadła filmowi *Robotnice* Ireny Kamińskiej; nagrodziły go również jury katolickie i ewangelickie. ■ We współpracy *Telewizji Polskiej* i II programu *Telewizji RFN* w Moguncji powstał trzyczęściowy serial pt. *Blizny* (*Die Narben*). Autorami scenariusza i realizatorami są Andrzej Chiczewski i Arno Rattay z telewizji zachodniemieckiej. *Blizny* to opowieść o losach Polaków i Niemców z Gdańska, a ściślej o ich biografiach w latach trzydziestych i w czasie wojny. *Blizny* miały być próbą podjęcia trudnego tematu z przeszłości stosunków polsko-niemieckich. Film znany jest już widzom zachodniemieckim i polskim. Przedsięwzięcie okazało się całkowicie chybotane; każdy dialog to zbiór wyświechtanych hasel wyjętych żywcem z reżymowych podręczników historii i innych tendencyjnych opracowań dotyczących stosunków polsko-niemieckich. Sami Niemcy są winni, że dali się jeszcze raz nabrać przez polskich propagandzistów z kinematografii. I do tego jeszcze grubo dopłacili... ■ Urządzona w Warszawie wystawa zatytułowana *Polonica Dedeciana* zrealizowana została przy finansowej pomocy bońskiego *Auswärtiges Amt* oraz *Koła Kultury w Federalnym Stowarzyszeniu Niemieckich Przemysłowców w Kolonii*. Muzeum Literatury im. Adama Mickiewicza użyczyło swoich sal. Wystawa zgromadziła wszystkie przekłady dokonane przez Karla Dedeciusa, najwybitniejszego tłumacza literatury polskiej na język niemiecki. Podczas konferencji prasowej w Warszawie Karl Dedecius oświadczył, że jako dyrektor utworzonego w ubiegłym roku *Deutsches Polen-Institut* w Darmstadtzie zamierza wspólnie ze swoimi współpracownikami wydać w oficynie *Suhrkamp* *Bibliotekę Polską*, złożoną z dzieł najwybitniejszych polskich poetów i pisarzy. Pracuje również nad antologiami polskiej poezji i prozy. W tym roku wydanie opracowana przez niego *Antologia polskiej liryki religijnej*. Dzięki przekładowi Karla Dedeciusa do czytelnika zachodniemieckiego dotarły m.in. wiersze Baczyńskiego, Różewicza, Herberta, Szymorskiej, Przybosa, aforyzmy Leca (300 tys. nakładu). A także poezje Czesława Miłosa, gdy nie był on jeszcze w RFN znany. ■ *Izba Pracy* w Bremie i *NSZZ Solidarność* z siedzibą w Gdańsku nawiązały porozumienie dotyczące wymiany doświadczeń i informacji. ■ Nakładem *Czytelnika* ukazała się *Eseistyka literacka Niemieckiej Republiki Demokratycznej* (seria *Kolekcja Literatury NRD*, str. 243). ■ We wrześniu br. ukaże się staraniem UNESCO w monachijskim wydawnictwie *Pro Sport und Kultur* międzynarodowe trzatomowe dzieło o pojęciu *wolności* w historii. Redakcja spoczywa w rękach Thilo Kocho. Jedynym polskim autorem w tym dziele jest Władysław Bartoszewski. Będzie tam ogłoszony jego zasadniczy tekst pt. *Die Freiheit und die Polen* (Wolność i Polacy). ■ Zachodniemiecki Instytut Badań Ekonomicznych (*DIW*) stwierdza w analizie opublikowanej 26 maja br., że gwałtowny wzrost inwestycji w Polsce, zapoczątkowany w 1971 roku, doprowadził w roku 1980 do spadku dochodu narodowego o 4%; 3% w przemyśle, 18% w rolnictwie i 12% w budownictwie. Z raportu wy-

nika, że import z krajów RWPG, zwłaszcza ze Związku Sowieckiego, wzrósł zaledwie o 1,5%. Import z krajów zachodnich zmniejszył się w 1980 roku o 17,5% z powodu braku dewiz. Ograniczenie inwestycji o 14% grozi utratą pracy ok. 1 milionowi robotników i urzędników. W tym roku na rynku pracy pojawi się dodatkowo 450 tys. młodych ludzi. ■ W RFN przebywała na zaproszenie Urzędu Prasy i Informacji grupa członków *Klubu Publicystów Międzynarodowych Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich* (SDP) z przewodniczącym klubu Marianem Podkowińskim na czele. Gospodarze oczywiście nie zapomnieli o zaproszeniu najbardziej antyniemiecko nastawionych publicystów. Do Bonn zjechali m.in. Daniel Luliński (*Trybuna Ludu*), Barbara Lulińska (*Telewizja*), Eugeniusz Guz i Edward Dylawski (*PAP*), Michał Hofman (*Forum*), Henryk Kawka (*Żołnierz Wolności*), Rudolf Hoffmann (*Interpress*), Julian Bartosz (*Gazeta Robotnicza*), Jadwiga Naorniakowska (*Perspektywy*) i Janusz Reiter (*Życie Warszawy*). Przedstawiciele *Tygodnika Powszechnego*, *Solidarności* i innych pism wolnych związków nie zostali do RFN zaproszeni. Za to w składzie 29-osobowej grupy reżymowych publicystów znaleźli się aż trzej wysocy funkcjonariusze *Wydziału Prasy KC PZPR*: Zbigniew Rygański, Stanisław Borek i Tadeusz Zaręba. Hr. Hagen von Lamsdorff, kierownik referatu wschodniego *Urzędu Prasy i Informacji* nie potrafił odpowiedzieć, w jaki sposób w delegacji *Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich* znaleźli się pracownicy centrali partyjnej, nie mający z dziennikarstwem nic wspólnego (pomijając ich rolę dyspozycyjną i kontrolną w dziedzinie prasy). Reżymowi publicyści zostali przyjęci przez kanclerza RFN Helmuta Schmidta (kiedy któryś z publicystów wrócił do kwestii podręczników w RFN, wyraźnie poirytowany Schmidt odpowiedział, że odnosi czasem wrażenie, iż z polskiej strony różni ludzie czeplają się byle pretekstu, aby normalizacja nie postępowała zbyt szybko), Willy Brandta i Horsta Ehmke (*SPD*), Helmuta Kohla (*CDU*) i Wolfganga Mischnicka (*FDP*). Koszta przejazdu i pobytu oraz diety pokrywała rządowa organizacja do spraw kontaktów zagranicznych *Inter Nationes*. W składzie delegacji polskiej rzucał się w oczy brak czołowego publicysty *Trybuny Ludu*, Ryszarda Wojny.

Andrzej J. CHILECKI

Kronika litewska

Literatura litewska poniosła ostatnio dotkliwie straty, zmarło bowiem dwóch najwybitniejszych tłumaczy z polskiej literatury. Juozas Kekštas, tłumacz dawniejszych wierszy Cz. Miłosa, „Testamentu” Słowackiego i innych, zmarł w Warszawie. Podczas pobytu w Argentynie opracował on obszernie i bezstronnie dział literatury polskiej dla emigracyjnej *Encyklopedii Litewskiej*. W Londynie zmarł sędziwy Neveravicius, tłumacz „Chłopów” Reymonta i Żeromskiego. Przed paru laty zmarł wybitny poeta Radauskas, urodzony w Krakowie; Litwini, wykazujący wielkie zainteresowanie twórczością Cz. Miłosa, będą teraz mieli trudności ze znalezieniem tłumacza.

Litwini w USA rozpoczęli zbiórkę 600 tysięcy dolarów, przewidzianą na 5 lat. Suma ta ma być przeznaczona na założenie katedry lituanistyki przy uniwersytecie w Chicago.

Aby uczynić „polską zarazę” mniej atrakcyjną na Litwie, ukazały się w handlu butelki Coca-Coli z nowymi naklejkami o podwyższonej cenie o 5 kopiejek „na pomoc Polsce”.

W podziemnym „nieperiodycznym” periodyku *Aušra* nr 22 znajdujemy dyskusję na temat stosunków polsko-litewskich. „Ciężący spadek 500-letniej inwazji na Litwę, to spolszczeni mieszkańcy okolic Kowna, Kiejdan, Janowa i Wileńszczyzny. Z trzema pierwszymi nie ma kłopotu. Języka polskiego używają tylko starzy ludzie, a młode pokolenie, zdając sobie sprawę ze swego bezspornie litewskiego pochodzenia, przeszło na język litewski. Gorsza sytuacja jest na Wileńszczyźnie. Tutaj przed pierwszą wojną przeważali „tutejsi”. Potem na skutek polskiej propagandy stali się oni Polakami. Po drugiej wojnie Rosjanie stworzyli rozbudowane polskie szkolnictwo itd. Przyczynili się do tego „polakomani” w łonie partii. W roku 1957 nastąpiła reakcja Litwinów i zaczęto tworzyć więcej szkół litewskich. Rosjanom chodziło o to, że wobec pokrewieństwa językowego łatwiejsi do wynarodowienia są Polacy niż Litwini. Polacy często przechodzą do rosyjskich szkół średnich, potem żenią się z Rosjankami czy Białorusinkami i się rusyfikują”. „Nie chcę spolszczonych Litwinów gwałtem nawracać, by porzucali polski czy rosyjski język i stawali się Litwinami. Mały pożytek z takich, co łatwo zmieniają język i narodowość. Chcę tym 'Polakom', noszącym nazwiska Tarvid, Janul, Mażul, Gedroic (i nie tylko im) zaproponować, by się poważnie zastanowili i zapytali swego serca, jaką drogą mają iść...”

W dziale „Polemika w sprawie stosunków litewsko-polskich” czytamy: „Skończyły się nieporozumienia narodowościowe i Litwini naraz odkryli, że tak przez nas zniechęceni i przeklinani Polacy są zacnymi, przyjaznymi ludźmi i przyjemnymi sąsiadami. Gdy mowa o stosunkach zagranicznych, to wśród narodów całego świata Polacy najbardziej się do nas garną i naszymi sprawami, zwłaszcza kulturalnymi, interesują. Obecnie w kioskach znajdujemy dużo pism zagranicznych, ale najwięcej polskich. Podobnie jest w bibliotekach. Powinniśmy obecnie przyjaźnić się z Polakami, ale Unia Lubelska powinna być pogrzebana raz na zawsze”.

Oponent powiada, że unii nie trzeba grzebać, bo jest już pogrzebana, ale może być ponownie narzucona. Przed 41 laty Polacy byli nam wrocy i występowali jak mogli przeciw Litwie. A więc do roku 1939 byli zachłannymi imperialistami, a po drugiej wojnie nagle się zmienili. Dalej autor wypomina polską agresję od 500 lat, drogą apostołską, dyplomatyczną i zbrojną...

E. ŻAGIELL

O BAŁTACH W AUSTRALII

Ukazujący się w Chicago anglojęzyczny kwartalnik *Lituanus* w numerze 26/1980 omawia obszernie sytuację Bałtów w Australii, cytując wykłady na seminarium „Baltic Studies Group” przy uniwersytecie w Adelaide.

Uzupełniając te dane wiadomościami z innych źródeł, najpierw kilka słów o krajach pochodzenia tych uchodźców.

W roku 1939 Litwa miała 2,5 mln ludności, w tym 80 % Litwinów (wśród nich również sporo Polaków zapisanych jako Litwini), Łotwa 2 mln (76 % Łotyszów) a Estonia 1,1 mln z 88 % Estończyków. Według sowieckiego spisu ludności z roku 1979, Litwa (z półmilionową niegdys Wileńszczyzną) ma już 3,4 mln ludności i nadal zachowuje 80 % Litwinów,

Łotwa ma 2,4 mln i 54 % Łotyszów a Estonia 1,4 mln i 65 % Estończyków. W krajach tych mieszka już około dwóch milionów Rosjan, Białorusinów, Ukraińców i Bałtów używających języka rosyjskiego. Łącznie z Polakami 30 % ludności używa języków słowiańskich.

Najgorsza sytuacja jest na Łotwie, gdzie Łotysze stanowili przed paru laty 54 %, a wobec stałego napływu Rosjan cyfra ta mogła spaść już do 50 %. W Rydze Łotyszów jest już tylko 40 %, i np. 66 % lekarzy nie zna języka krajowego.

Kolonizacja rosyjska miała różnorakie formy. Powrót skomunizowanych Łotyszów, którzy pozostawali w Rosji od rewolucji (i zapomnieli swego języka), gwałtowne uprzemysłowienie przy użyciu rosyjskiej siły roboczej i pozostawanie b. wojskowych rosyjskich z garnizonów, które w krajach bałtyckich obliczane są na ćwierć miliona. Ilość Łotyszów pozostała taka sama jak przed wojną, liczba Estończyków nawet się zmniejszyła, bo kilkanaście gmin przydzielono do Rosji. Obronną ręką wyszli jedynie Litwini, których ilość wzrosła o jedną trzecią. Litwinów stosunkowo najmniej wyjechało na Zachód (5 %); Łotyszów kilkanaście procent, Estończyków 7 %. Prawdopodobnie wielu Polaków jest obecnie zapisanych jako Litwini. Poza tym Litwini mieli do niedawna znaczny przyrost naturalny i prawdopodobnie wielu deportowanych zaraz po wojnie mogło powrócić z Syberii. Głównie zrusyfikowane są miasta. Jednak Litwini mają większość w administracji, zwłaszcza na prowincji i w Kownie. Niezależność tych republik jest zupełną fikcją. Najwyżej można to porównać do ograniczonej autonomii lokalnej, gdzie nawet w drobnych sprawach decyduje Moskwa.

Łotysze, którzy w wielkiej mierze przyczynili się do zwycięstwa rewolucji bolszewickiej w Rosji, teraz są bardziej antysowiecy na emigracji a bardziej antyrosyjscy w kraju (zasłyszana opinia, może niesłuszna). Jednak opór na Łotwie jest najsłabszy. W Estonii, gdzie odbierane są programy telewizyjne z Finlandii, o podobnym języku, ruch oporu jest żywszy, zarówno antysowiecki jak i antyrosyjski.

Na Litwie największe zaognienie panuje w samym Wilnie, a mniejsze na prowincji, mało dotkniętej napływem Rosjan. Litwa, jak wiemy, jest jedyną republiką, w której opór jest masowy, z wielkim udziałem duchowieństwa. Kraje bałtyckie i po inkorporacji miały wyższy standard życia niż Rosja. Podobno w ostatnich miesiącach poziom ten się wyrównuje. Kraje te są bardzo ściśle związane z całym Związkiem.

Przejdźmy z kolei do emigracji. Na Zachodzie osiedliło się około 200 tysięcy Łotyszów, 100 tysięcy Litwinów i 66 tysięcy Estończyków. Wszyscy oni mają swe centrale w USA, Litwini w oparciu o prawie milionową rzeszę Amerykanów litewskiego pochodzenia. Większość Bałtów wyjechała przez Niemcy, a połowa Estończyków przez Szwecję. Obecnie, podobnie jak Polacy, są rozproszeni po całym świecie.

W roku 1948 rozpoczęła się masowa emigracja do Australii, nie tylko Brytyjczyków, ale też wielojęzycznych „etników”. Rezerwuarem były obozy wysiedleńców w Niemczech, a pierwszeństwo mieli Bałtowie (i Karpacka Brygada z Anglii), najpierw tylko samotni mężczyźni a potem i rodziny. Polaków i innych zaczęto przyjmować o rok później. Bałtów przybyło: Łotyszów 20 tys., Litwinów 10 tys. i Estończyków 6,5 tys. W odróżnieniu od Polaków, których było kilka fal: „dipisowska”, popaździernikowa i obecna, „wiedeńska”, Bałtów była tylko jedna fala, powojenna.

Łotysze opuścili swój kraj głównie w czasie ewakuacji Rygi do Libawy, a więc z rodzinami. Przeważała inteligencja i mieszczaństwo z kraju, w którym pierwszym językiem obcym był w szkołach język angielski, toteż byli oni (podobnie jak Estończycy) najlepiej dostosowani do nowych warunków, zwłaszcza że mieli świadectwa pracy z IRO, gdzie w Niemczech byli licznie zatrudnieni w administracji obozów.

Gdy w kilka lat po ich tu przybyciu prof. J. Zubrzycki przeprowadził badania w pewnym okręgu, stwierdził, że co do zajmowanych stanowisk Bałtowie osiągnęli najwyższy status — wyższy nawet niż imigranci z Anglii. Dodajmy, że w owym czasie Łotysze i Estończycy byli jako protestanci nieco lepiej widziani niż katolicy. Litwini byli nieco gorzej przystosowani, bo nie znali języka i nie było wśród nich mieszczaństwa.

Łotysze hołdują hasłu „integracja bez asymilacji”. Wychowani w kulturze chłopskiej (inteligencja jest świeżej daty), zachowują ścisłe więzy rodzinne, co wstrzymuje wynarodowienie. Powiadają, że mało mają „domów starców”, nie żeby ich na to nie było stać, ale z braku potrzeby. Starsze pokolenie mieszka przy rodzinach i wychowuje młodzież w starych tradycjach. Bałtowie mają też poczucie swej misji; widząc, że ich narody są ruszczone, chcą zachować swą tożsamość i ciągłość kultury chociażby na emigracji, więc są twardzi, pracowici i agresywni. W życiu politycznym prawie jednogłośnie opowiedzieli się za prawicą i są oceniani jako sojusznicy w walce z komunizmem. Przed kilku laty premier Whitlam uznał inkorporację państw bałtyckich. Bałtowie podsunęli to prawicy jako atut propagandowy z takim skutkiem, że następny rząd Fräsera odwołał to uznanie, a po jakimś czasie i opozycyjna partia pracy zmieniła swe stanowisko w tej sprawie. Gdy premier Fräser udał się do Ameryki z liczną ekipą dziennikarzy, zabrał ze sobą jedyne przedstawiciela prasy obcojęzycznej — Łotysza. Na czele jednego z największych koncernów górniczych (półtora miliarda) stoi Estończyk Sir Arvi Parbo, a siecią sklepów odzieżowych kieruje Łotysz Spalvinš.

Bałtowie mają swe chóry (przeważnie siwowłose), kluby, gdzie można zobaczyć korporantów w deklach, ale urzędnik w banku, zapytany czy jest Żotysem — odpowiada „moi rodzice przybyli z Łotwy”. Litwini stanowią na ogół zasobne drobnomieszczaństwo. Przy sydneyjskiej galerii obrazów powstała fundacja imienia Šalkauskasa. Australijski senator napisał przedmowę do broszurki o Litwie. Ludzie ze wsi, gospodarzni, umieli sami budować domki i to się okazało pożyteczne i przezorne.

Estończycy, pochodzący z kraju, który już przed wojną odznaczał się ogromnym odsetkiem ludzi z wyższym wykształceniem, stanowili tu przeważnie inteligencję oraz b. wojskowych. Podobnie jak Łotysze bardzo licznie znaleźli zatrudnienie w urzędach, toteż po latach zajmują dużo stanowisk w biurokracji. Problemem drobnej rozproszonej grupy są mieszane małżeństwa. W tej dziedzinie mają doskonałą dokumentację, np. że 7 Estonek wyszło tu za Polaków, a czterech Estończyków ożeniło się z Polkami. Lecz małżeństwa z Australijkami są tak liczne, że w latach 60-tych 70 % zawieranych małżeństw było mieszanych. Stosunek do Polaków jest tradycyjnie przyjazny.

Grupa polska, ta „dipisowska” liczyła 90 % „prostych ludzi” (termin użyty przez australijskiego socjologa) a tylko 10 % inteligencji, w tym sporo b. oficerów: dopiero emigracje popaździernikowa i obecna liczyły sobie więcej ludzi wykształconych. Pierwsza, nieskora do zakładania własnych warsztatów, zabrała się do budowania sobie domów, i wobec ogromnego wzrostu cen nieruchomości w rozbudowujących się miastach z bogaciła się na tym i na następnym etapie nieraz już doszła do własnych kamienic czynszowych. Po ułatwieniach nostryfikacji dyplomów i dorobieniu młodemu pokoleniu są liczni lekarze, inżynierowie na wysokich stanowiskach. Spotyka się już „ćwierć-milionerów”.

Polacy są tu na ogół dosyć popularni, bo to braterstwo broni, pracowitość, nie przysparzanie kłopotów (Chorwaci organizujący demonstracje i bójki nie są lubiani), toteż obecnie wpuszczono ich znowu parę tysięcy (via Wiedeń). Obecnie obozy przejściowe są tu pełne Polaków i Wietnam-

czyków. Ta ostatnia fala to przeważnie młode roczniki ludzi mniej lub więcej wykształconych.

Polacy, aczkolwiek nie zanadto przyczynili się do pielęgnowania swej kultury przez duże „k”, mają jednak osiągnięcia w dziedzinie folkloru. We wszystkich miastach są liczne zespoły taneczne, grupujące młodzież, spotykającą się również poprzez harcerstwo czy szkółki sobotnie. Bezstronny socjolog stwierdza, że stosunkowo wielki odsetek polskiej młodzieży przebywa w swoim środowisku. Można zaryzykować twierdzenie, że Polacy są bardziej odporni na asymilację, lecz Bałtowie przodują w integracji.

Młode pokolenie Bałtów bardzo licznie garnie się do uniwersytetów. W polskim społeczeństwie zaczęło się to później i nie miało tak powszechnego charakteru, co jednak równoważy późniejszy napływ inteligentów. W tej klasyfikacji północnych Bałtów i Polaków Litwini zajmują miejsce pośrednie.

E. ŻAGIELL

NOWOŚCI WYDAWNICZE

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 322 — ZOFIA ROMANOWICZOWA

SKRYTKI

Nowa powieść autorki

„Baśki i Barbary”

i innych książek, które zapewniły jej wysokie miejsce
w literaturze emigracyjnej.

Str. 200.

Cena F. 55,00.

TOM 324 — HENRYK GRYNBERG

ŻYCIE CODZIENNE I ARTYSTYCZNE

Powieść

Str. 180.

Cena F. 50,00.

TOM 335 — KAZIMIERZ BRANDYS

MIESIĄCE

(1978 - 1979)

Zapisy pamiętnikarskie o charakterze osobistym na tle
wydarzeń kulturalno-politycznych.

Str. 256.

Cena F. 75,00.

Sprawy i troski

Szwedzi o Polakach i dla Polaków

Lech Wałęsa podczas swojego krótkiego pobytu w Szwecji stwierdził, że żaden inny kraj na świecie nie pomaga tak „Solidarności” jak Szwecja. Podobną opinię, aczkolwiek bez wyrazów wdzięczności, przedstawiła swego czasu *Literaturna Gazeta*. Zdaniem moskiewskiego dziennika Szwecja jest narzędziem CIA sterowanym za pośrednictwem pana Józefa Lebenbauma. Jak oni do tego doszli? Z pozoru sprawa jest prosta. J. Lebenbaum do r. 1968 był dziennikarzem w Polsce, teraz mieszka w Szwecji. Polska ma ze Szwecją umowę o ruchu bezwizowym i rokrocznie odwiedza Szwecję tysiące Polaków spragnionych nie tyle widoku szwedzkich zabytków ile widoku sprawnie funkcjonującej gospodarki. Co odważniejsi turyści wracali do kraju z książką Miłosza, Kołakowskiego czy Sołżenicyna. W sierpniu 1980 roku pan Lebenbaum był na urlopie w Izraelu. Ponieważ mieszka blisko Polski i spotyka ludzi z Polski, więc inny był dziennikarz z kraju, a obecnie dziennikarz izraelski przeprowadził z nim wywiad. Podobnych wywiadów było wiele, ale nazwisko Lebenbaum i izraelska gazeta to było właśnie to, czego potrzebowała *Literaturna Gazeta*. Tak to pan Józef Lebenbaum został szarą eminencją Szwecji, osobą sterującą zasobami światowego syjonizmu i imperializmu, zasobami przepływającymi przez Szwecję dla wsparcia polskiej kontrrewolucji. Całą tę historię można by nazwać przypadkiem psychiatrycznym. Przedstawiony przez *Literaturną Gazetę* obraz rzeczywistości jest produktem chorej wyobraźni, ale jego prezentacja wskazuje na niezłą technikę przewidywania reakcji u innych. W Szwecji nikt nie szukał pana Lebenbauma, ale sprawa wzbudziła niepokój w tutejszych kołach rządowych i opozycyjnych.

Jeszcze we wrześniu ubiegłego roku niepokojono się w Szwecji zarzutami Moskwy o mieszanu się Zachodu w wewnętrzne sprawy Polski. Opracowano tajne wytyczne rządowe w sprawie

szwedzkiego stanowiska i przywódcy szwedzkich partii politycznych zgodnie nabrali wody w usta.

Tymczasem sprawa Polski wzbudzała w społeczeństwie szwedzkim nie tylko sensację, ale i gorące sympatie. Zaczęły się partyjne zebrania i zbiórki pieniędzy niezupełnie kontrolowane przez partyjną biurokrację. Najwięcej problemów stwarzała młodzież komunistyczna, która po Czechosłowacji, Kambodży i Afganistanie przeżywa wiele problemów z własną ideologią.

Młodzi komuniści pierwsi zwrócili się o pomoc dla Polski do związków zawodowych, pierwsi też zaczęli szukać kontaktów z polskimi emigrantami i bezpośrednio z ludźmi z „Solidarności”. W tej sytuacji przywódca szwedzkich komunistów przerwał milczenie oświadczając, że on też popiera polskich robotników. Szef socjaldemokratów Olof Palme czekał z podobnym oświadczeniem do kwietnia. Wcześniej, tj. 2 lutego, wypowiedział się przywódca centrali szwedzkich związków zawodowych, Gunnar Nilsson, który na konferencji prasowej oświadczył, że kontakty z zalegalizowanym przeciw związkiem zawodowym „Solidarność” mają charakter czysto związkowy i nie powinny mieć znaczenia dla rozwoju dobrosąsiedzkich stosunków ze Związkiem Sowieckim. Przy tej okazji czytelnik otrzymał oficjalną informację, że szwedzka centrala związkowa zamierza rozwijać współpracę z „Solidarnością” na zasadzie wymiany doświadczeń oraz pomocy materialnej dla polskiego związku zawodowego. Pomoc ta miała być skoncentrowana na dostawach sprzętu poligraficznego, a koszty tej pomocy pokrywać miały zarówno szwedzkie jak i inne zachodnie związki zawodowe. W artykułach prasowych wspomniano również o wcześniejszych dostawach sprzętu poligraficznego ze Szwecji do Polski. Nie wspomniano jednak, że owe wcześniejsze dostawy to była spontaniczna inicjatywa oddolna, którą teraz pośpiesznie zaczęto centralizować i biurokratyzować. Inna część tej informacji, której znaczenia przeciętny czytelnik nie mógł samodzielnie zrozumieć, to wzmianka o przepływającej przez Szwecję pomocy innych związków zawodowych dla Polski. Tymczasem tu właśnie zaczyna się najbardziej interesujący rozdział tej historii. Pomoc finansowa i techniczna od zachodnich związków zawodowych dla „Solidarności” zaczęła płynąć od pierwszych dni sierpnia 1980 roku. W miarę upływu czasu potrzeba koordynacji tej pomocy stawała się oczywista. „Solidarność” dostawała aparaty do powielania różnych firm, często bez farby czy matryc, sprzęt dochodził do różnych oddziałów „Solidarności” w zależności od tego jakie kto miał kontakty. W tej sytuacji Lech Wałęsa wystosował w listopadzie ubiegłego roku list do Międzynarodowej Konfederacji Wolnych Związków Zawodowych w Brukseli z prośbą o koordynację tej pomocy, wskazując na szwedzkie związki zawodowe jako na instytucję, która dla strony polskiej byłaby najdogodniejszym partnerem w kontaktach z zachodnimi związkami. Konfederacja zareagowała natychmiast rozpoczynając pertraktacje w tej sprawie z szwedzką centralą związków zawodowych. W Brukseli wyobrażano sobie

również, że koordynacja pomocy dla Polski wymaga zatrudnienia Polaka znającego stosunki zachodnie i cieszącego się zaufaniem kierownictwa „Solidarności”. Wyobrażano sobie również, że taki łącznik winien mieć swoją siedzibę w Sztokholmie i na co dzień służyć poradą ludziom, którzy wzięli na siebie ciężar koordynacji pomocy wolnego świata dla polskiego związku zawodowego. Tymczasem szwedzka centrala związku przyjęła na siebie funkcję koordynatora, zakładając jednocześnie kategoryczne veto przeciw obecności jakiegokolwiek polskiego doradcy w Sztokholmie. Sam fakt, że Szwecja zaczęła występować w nowej roli otoczono głęboką tajemnicą nie podając o tym informacji ani w prasie związkowej, ani w prasie pozazwiązkowej. Szwedzka centrala oddelegowała specjalnego urzędnika do spraw organizacji pomocy dla „Solidarności”, niemałe sumy zaczęły płynąć na szwedzkie konto funduszu „Międzynarodowej solidarności ruchów robotniczych”.

Nie ulega wątpliwości, że winni jesteśmy wdzięczność szwedzkim związkowcom za podjęcie się trudnej roli pośrednika i koordynatora pomocy dla „Solidarności”. Warto również pamiętać o tym, że niemała część tej pomocy to pieniądze uzbierane wśród szwedzkich związkowców. W jakiś sposób zrozumieć można, że szwedzcy związkowcy nie chcą być kontrolowani przez polskich emigrantów, nawet jeżeli ci emigranci cieszą się zaufaniem kierownictwa „Solidarności”. Gorzej, że podejmując się gospodarzenia nie tylko własnymi pieniędzmi, nie godzą się na żadną kontrolę gospodarki tym zbiorowym funduszem. Tymczasem na dzień dzisiejszy sytuacja przedstawia się następująco:

— strona szwedzka nie umie powiedzieć jakie sumy wpłynęły od innych związków zawodowych na pomoc dla „Solidarności”,

— od kilku miesięcy toczą się dyskusje na temat kompletnego wyposażenia jednej drukarni dla „Solidarności”. Dyskusje te ograniczają się do problemów zlokalizowania tej drukarni w Polsce, wyboru właściwego budynku, doboru sprzętu. W ten sposób duże sumy, które mogły być dawno zainwestowane są od wielu miesięcy zamrożone,

— alternatywne koncepcje, np. zakupu większej ilości tańszych i mniej nowoczesnych maszyn dla lokalnych oddziałów „Solidarności” nie są w ogóle dyskutowane,

— od stycznia, kiedy Szwecja przyjęła na siebie rolę koordynatora, do maja, na cele reprezentacyjne wydano ponad 100 tys. koron zaś bezpośrednio na zakupy sprzętu dla „Solidarności” około 40 tys. koron.

Istnieje kilka powodów dla których sytuacja ta przedstawia się właśnie tak a nie inaczej. Głównym powodem jest ogromny lęk Szwedów przed Rosjanami i charakter szwedzkiej polityki neutralności. Innym powodem jest nieudolność strony polskiej w tych kontaktach. Trzecim wreszcie są nawyki działaczy beznadziejnie zbiurokratyzowanych szwedzkich związków zawodowych. Jeśli idzie o stronę polską, to wyznaczeni do rozmów ze

Szwedami reprezentanci „Solidarności”, znajdują się w szczególnie trudnej sytuacji — przyjmują pomoc i winni są wdzięczność, a ponadto niełatwo im rozpoznać złożone układy po drugiej stronie Bałtyku. Obok tych problemów występują inne — konflikty, zła organizacja i gry taktyczne w samej „Solidarności”. Nie wiem czy problemy organizacji pomocy z Zachodu kiedykolwiek były przedmiotem otwartej dyskusji w „Solidarności”. Przyjeżdżający na Zachód reprezentanci lokalnych oddziałów „Solidarności” nie wiedzą na ten temat dosłownie nic. Działający z ramienia KKP Słowik i Dymarski wydają się czasem nie posiadać dostatecznie jasnych wytycznych i instrukcji ani też dostrzegać różnicy między żywiącym dla nas bezinteresowną sympatię szarym Szwedem, a uwikłanym w skomplikowane układy reprezentantem potężnej organizacji związkowej. Bez oskarżania kogokolwiek o złą wolę warto pamiętać o różnicy między nieobowiązującą rozmową w kawiarni, a instytucjonalnymi rozmowami na szczeblu międzynarodowym. Karmieni w Szwecji przepiórkami przedstawiciele polskiej „Solidarności” muszą się nauczyć, że mimo niezręcznej sytuacji gości i ludzi przyjmujących pomoc, są również stroną, która musi czasem umieć dyktować warunki.

Osobną sprawą do dyskusji jest kwestia czy pomoc od innych związków zawodowych musi być traktowana jako sprawa wstydliva. Ze strony szwedzkiej rozumiemy, czy też chciano zrozumieć że strona polska unika jakichkolwiek kontaktów z innymi związkami zawodowymi. Taką też informację przesłano ze Szwecji do innych central związkowych. W tej sytuacji Szwecja bez mała zmonopolizowała kontakty między „Solidarnością” a związkami zawodowymi na Zachodzie.

Dla kogoś kto chociaż trochę zna historię szwedzkiej dyplomacji podwójna gra szwedzkiej centrali związkowej nie jest zaskoczeniem. Ta podwójna gra nie jest ani świadectwem złej woli ani próbą wprowadzenia kogokolwiek w błąd. Jest częścią tradycji, stanowi przejaw lokalnych dylematów i frustracji. Przedstawiciele szwedzkich związków zawodowych żywią zapewne te same sympatie dla „Solidarności” jakie spotyka się w całym społeczeństwie szwedzkim. Równocześnie podobnie jak cała szwedzka lewica boją się KOR’u, boją się polskiego Kościoła, boją się emigrantów, a przede wszystkim boją się Rosjan. Obok tych lęków stałym elementem szwedzkich postaw jest niechęć do Stanów Zjednoczonych. Szwedzi są przekonani, że Rosjanie muszą do Polski wejść i przygotowane już obozy dla uchodźców z Polski. Przy tym nastawieniu pomoc dla „Solidarności” ma raczej charakter ostrożnej demonstracji uczuć i tylko w niewielkim stopniu wspierana jest przekonaniem o praktycznej doniosłości tej pomocy. Na wszelkich spotkaniach z publicznością szwedzka centralną kwestią jest pytanie kiedy Rosjanie wejdą do Polski? Po tym pytaniu przychodzą inne, zupełnie już abstrakcyjne wobec nieprawdopodobieństwa ich aktualności; pytania

czy w tej Polsce z wolnym związkiem zawodowym będzie socjalizm czy kapitalizm, czy KOR zrzesza antykomunistów, a wreszcie czy Kościół zdobędzie w Polsce polityczną władzę? Niełatwo odpowiadać na te pytania grzeszące naiwnością nie tylko z powodu nikłej wiedzy o Polsce, ale również z powodu trudności rezygnacji z uproszczonych stereotypów politycznych, filozoficznych i moralnych.

Pacyfikacja Polski może oznaczać powrót do zimnej wojny, a zimna wojna oznacza dla Szwedów kolejną trudność zachowania neutralności wobec nazbyt narzucających się ocen moralnych. Więc najlepszą taktyką jest gra na zwłokę i hamowanie niewczesnych zapędów Polaków. Oczywiście byłoby dobrze gdyby Polacy mieli demokrację, ale Polacy są jak dzieci i zupełnie nie zdają sobie sprawy, że ich działania sprawiają również kłopot innym. Więc chętnie się tu słucha o chaosie polskiej gospodarki, o organizacyjnym bałaganie, o braku odpowiedzialności tego czy innego działacza opozycji. Takie wiadomości, prawdziwe czy nieprawdziwe, zawsze są mile widziane. Natomiast irytację wywołują „buńczuczne” wystąpienia NATO czy Stanów Zjednoczonych. Nie ulega wątpliwości, że przy nas są wszystkie sympatie Szwedów, ale lęki i frustracje są silniejsze. Dyktowane serdecznością odruchy powstrzymywane są racjonalizmem strachu. W życiu codziennym znajduje to swój wyraz w sytuacjach na poły komicznych, na poły obrzydliwych — znany dziennikarz ofiarowuje hojną ręką tysiąc koron na rzecz „Solidarności” prosząc równocześnie o dyskrecję, gdyż wiadomość ta mogłaby naruszyć jego przyjaźń z ambasadorem PRL, działacz związkowy stwierdzający, że Szwecja musi być ostrożna, bo „Rosjanie mogą nam zarzucić, że zajmujemy się polityką”. Takich momentów szczeroci jest niewiele. Zazwyczaj w niezręcznych sytuacjach pada pytanie czy Polska nie zmierza przepadkiem do kapitalizmu, czy Kościół nie opanował „Solidarności” i dlaczego Wałęsa ma aż sześćoro dzieci?

Za tą serdecznością i lękiem, a nieraz i obłądą, kryje się również trudność zrozumienia owego bardzo bliskiego Wschodu, groza, a zarazem fascynacja siłą i brutalnością hegemonia przedstawiającego się jako ojczyzna światowego proletariatu. Dramat Czechosłowacji rozumiano tu lepiej, ponieważ język czechosłowackich reformatorów pozostawał w granicach terminologii marksistowskiej. Polacy z ich papieżem, Miłozsem i Kołakowskim, a na dodatek z organizującym się w związki indywidualnym chłopstwem nie dają się ogarnąć szwedzkim umysłem.

Nie wiem czy rację miał Wałęsa twierdząc, że żaden inny kraj na świecie nie pomógł tak „Solidarności” jak Szwecja. Wiem natomiast, że Szwedzi żywią dziś dla nas ogromne sympatie jak również, że zawsze oddzielali swoje sympatie od interesów. Jeśli idzie o nas, dobrze by było abyśmy nie mylili wdzięczności za pomoc i sympatię z naiwnością. Pamiętajmy, że w Szwecji jest znacznie więcej biurokratycznego socjalizmu aniżeli można są-

dzić z faktu, że Szwecja leży na Zachodzie Europy. Zaś biurokratyczny socjalizm charakteryzuje się tym, że chociaż w rzeczywistości nie ten daje kto dzieli, to ten co dzieli daje kierując się pierwszeństwem własnych interesów.

Andrzej KORASZEWSKI

Wałęsa w Japonii

Jak wiadomo z doniesień środków masowego przekazu na Zachodzie i w Polsce (nawiasem mówiąc — bardzo nielicznych i krótkich), w dniach 10-16 maja br. bawiła z jedynogodniową wizytą w Japonii dziesięcioosobowa delegacja NSZZ „Solidarność” z L. Wałęsą na czele. Oficjalnie, delegacja polska przybyła do Japonii na zaproszenie jednej z ogólnonarodowych federacji związkowych — *Sōhyō* (japoński skrót dla Rady Generalnej Japońskich Związków Zawodowych), lecz, jak słusznie podkreślają liczne komentarze prasy japońskiej, znaczenie wizyty „wychodzi daleko poza wąski zakres interesów i spraw o charakterze czysto między-związkowym”, będąc „znamiennym i bardzo ważnym krokiem na drodze do lepszego zrozumienia oraz pogłębienia wzajemnych stosunków między obu krajami”. Bez względu na to jakie istotnie okaże się znaczenie tej wizyty, jedna rzecz już teraz nie ulega wątpliwości — to mianowicie, że wizyta ta odbiła się szerokim echem w całej Japonii; szczególnie postać i osobowość L. Wałęsy — tego „bohatera odrodzonej Polski” (przydomek jakim obdarzył Wałęsę jeden z nagłówek prasowych) — wywarła silne i trwałe wrażenie w tym kraju. Dowodem tego są liczne doniesienia i wnikliwe komentarze całej prasy japońskiej, gdzie słowa *rentai* (japońskie: „solidarność”) oraz *Waresa-gichō* (japońskie — przewodniczący Wałęsa) stały się przez tydzień stałym składnikiem licznych nagłówek.

Wizyta miała mniej więcej następujący przebieg:

— Przybycie delegacji 10 maja (o godz. 2.45 po południu japońskiego czasu) do Tokyo, gdzie na lotnisku Narita odbyło się oficjalne powitanie przez przedstawicieli *Sōhyō* — przewodniczącego Makieda oraz sekretarza generalnego Tomitsuka; zaraz po przybyciu pierwsza konferencja prasowa.

— Drugi dzień wizyty — bodajże najważniejszy z punktu widzenia politycznego — wspólna konferencja i obrady z kierownictwem *Sōhyō*, oraz po południu zorganizowane przez Stowarzyszenie Przyjaźni Polsko-Japońskiej spotkanie z członkami Izby Reprezentantów Parlamentu japońskiego oraz licznymi notablami japońskiego życia społecznego i politycznego (z udziałem aż 60-ciu posłów reprezentujących siedem różnych partii politycznych i stronnictw, oraz takich osobistości jak wiceprzewodniczący parlamentu Okada, eks-premier Miki, przewodniczący Japońskiej Partii Socjalistycznej Asokada etc.).

— Następane trzy dni wypełnione podróżami do Kyōto, Osaka i Nagasaki, w czym, między innymi, zwiedzenie fabryki słynnego koncernu elektronicznego Matsushita Denki oraz wytwórni drukarskiej słynnego (i bodajże najpoczytniejszego) dziennika *Asahi Shinbun* — liczne spotkania z robotnikami oraz przedstawicielami życia społecznego we wszystkich zwiedzanych rejonach.

— 15 maja powrót do Tokyo oraz spotkanie z dziennikarzami w Klubie Związku Dziennikarzy Japońskich (Nippon Kisha Kurabu).

— 16 maja — ostatni i jedyny „wolny od oficjalnego programu” dzień pobytu w Japonii; Lech Wałęsa (sam) zwiedza do południa słynny Uniwersytet Sophia (*Jōchi Daigaku* — jedyny swego rodzaju uniwersytet „katolicki” w Japonii).

— W późnych godzinach popołudniowych ostatnie spotkanie z przedstawicielami *Sōhyō* oraz ogłoszenie „wspólnego komunikatu”; potem odlot do kraju z Narita.

Warto zwrócić uwagę czytelników na pewne aspekty natury społeczno-politycznej wizyty „Solidarności” w Japonii, związane bezpośrednio z ustunkowaniem się delegacji polskiej do gospodarzy ich wizyty — kierownictwa *Sōhyō*. Jak wspomniałem na wstępie, 11 maja odbyła się wspólna konferencja *Sōhyō* i „Solidarności”, a według sprawozdania z obrad umieszczonego w *Asahi Shinbun* (w artykule pt. „Pan Wałęsa — poparcie dla *Sōhyō*?”), głównymi punktami obrad wysuniętymi przez *Sōhyō* były:

- Współpraca w walce o rozbrojenie i likwidację broni nuklearnej;
- Szukanie „drogi pośredniej” w ramach międzynarodowego ruchu robotniczego;
- Zajęcie wspólnej platformy w sprawie walki o prawa robotników na zbliżającej się konferencji MOP w czerwcu br.

W odpowiedzi na takie postulaty wysunięte przez *Sōhyō*, delegacja polska całkiem słusznie zajęła stanowisko wymijające (szczególnie odnośnie punktu numer 3), tłumacząc że „z braku odpowiedniego przygotowania delegacji raczej trudno zająć wspólne stanowisko odnośnie punktów o charakterze politycznym”.

Jakie więc było moje zdziwienie i wręcz niedowierzanie po przeczytaniu sprawozdania o „wspólnym komunikacie” ogłoszonym i podpisanym w ostatnim dniu wizyty (*Asahi Shinbun*, 17. 5, „Wspólny komunikat *Sōhyō* - Solidarność — celem zbliżenia między obu narodami”). W komunikacie tym „wyraża się nadzieję, że wizyta 'Solidarności' przyczyni się do pogłębienia dalszego rozwoju stosunków między obu krajami, oraz do szerszej współpracy między związkami *Sōhyō* i 'Solidarność'. Wyrażono również „determinację wspólnej walki o prawa robotników w oparciu o MOP”. I tu właśnie następuje oświadczenie Wałęsy na które prasa japońska zwraca szczególną uwagę. Cytuję dosłownie:

„Dobrze zdajemy sobie sprawę z tego, że prawa robotników japońskich, szczególnie prawo do strajku, nie są w pełni przestrzegane (zaznaczając jednak, że użycie tego prawa powinno być zawsze tylko bronią ostateczną)”. Dalej Wałęsa wyraził „pełne poparcie i solidarność „Solidarności” dla federacji *Sōhyō* w jej walce o prawa dla robotników japońskich”. Z kolei kierownictwo *Sōhyō* wyraziło swą „wdzięczność Wałęsie za przyrzeczenie pełnego poparcia *Sōhyō* na forum konferencji MOP w czerwcu”. Żeby umożliwić nie zorientowanym czytelnikom pełne zrozumienie wagi tych wypowiedzi Wałęsy pozwolę tu sobie na małą dygresję dla wyjaśnienia na zaproszenie kogo właściwie delegacja polska przybyła do Japonii. Otóż związki zawodowe w Japonii, w odróżnieniu od sytuacji w większości państw wysoko-uprzemysłowionych Zachodu, nie tworzą struktur zrzeszających robotników w sposób „horyzontalny”, tzn. według podziału na zawody itp., lecz operują w formie „wertikalnej”, tzn. w oparciu o poszczególne firmy/koncerny (tzw. *enterprise unions*). Jest prawdą, że na „wyższym szczeblu” istnieją dziesiątki związków „ogólnonarodowych”, zrzeszających robotników (lecz w bardzo luźny sposób) według zróżnicowania przemysłowo-zawodowego. Dalej, na szczeblu „najwyższym” istnieją trzy główne federacje związkowe, zrzeszające (znów w bardzo luźny sposób) poszczególne związki „ogólnonarodowe”. Podkreślam jednak raz jeszcze, że związki „ogólnonarodowe”

stanowią tylko bardzo luźne zrzeszenia, nie mające prawie żadnego wpływu na negocjacje z pracodawcami — w praktyce więc głównym i właściwie jedynym rzecznikiem robotników w bezpośrednich negocjacjach są związki „przedsiębiorstw”, i one to zrzeszają absolutną większość siły roboczej Japonii. Rola związków ogólnonarodowych jest więc znikoma, a rola federacji związkowych — jako rzeczników robotników — prawie żadna. Właściwa funkcja federacji związkowych polega na ich roli „politycznego ramienia” partii politycznych z którymi są związane. Federacja *Sōhyō* powstała w roku 1950 w oparciu o Japońską Partię Socjalistyczną, której programem politycznym jest „zlikwidowanie” kapitału japońskiego, czyli istniejącego porządku rzeczy w Japonii, w oparciu o zasady marksistowskiej filozofii ekonomicznej. Celem zaś *Sōhyō* jest nic innego jak polityczna agitacja wśród robotników na rzecz JPS. Wracając teraz do oświadczenia Wałęsy o „braku praw robotników japońskich”, trzeba stwierdzić, że może ono być wytłumaczone tylko i wyłącznie brakiem dostatecznej wiedzy o istniejącym stanie rzeczy w Japonii. Nie tylko istnieje w Japonii w pełni zagwarantowane prawo do strajku, ale jest ono bardzo często i w efektywny sposób wykorzystywane. To że w Japonii nie dochodzi do dramatycznych eskalacji strajkowych, tak jak w innych krajach Zachodu, przypisać należy większemu równouprawnieniu robotników japońskich w stosunku do *management*'u, niż to ma miejsce w większości krajów zachodnich (np. brak podziału na *blue* i *white collars*, brak dyskryminacji socjalnej — np. wspólne stołówki itp.). Nie jest rzeczą przypadkową, że ostatnio coraz więcej specjalistów do spraw stosunków przemysłowych skupia swą uwagę na studiowaniu stosunków *labour-management* w Japonii.

Związek *Sōhyō*, na którego zaproszenie delegacja „Solidarności” przybyła do Japonii, nigdy nie miał i nie ma większego oparcia wśród robotników japońskich, tak jak JPS nie ma poparcia w społeczeństwie japońskim. W świetle tych wyjaśnień łatwiej teraz zrozumieć konsternację wywołaną aż takim „poparciem” „Solidarności” dla *Sōhyō* (bo nie chodzi tu już tylko o zdawkową grzeczność wobec gospodarza). Można jednak zrozumieć także znaczenie, jakie *Sōhyō* przywiązuje do takiego „wspólnego oświadczenia”; innymi słowy, łatwiej zrozumieć kto komu jest potrzebny.

Sądząc z obecnego tonu środków masowego przekazu po „wspólnym komunikacie”, nastąpiła pewna konsternacja, jeżeli nie wręcz oziębienie, w ocenach wizyty „Solidarności”. Chciałbym na zakończenie podkreślić, że moje uwagi nie powinny być odczytane jako rodzaj krytyki wobec „Solidarności”, lecz jako w miarę możliwości obiektywne refleksje nad tym co zaszło.

Uważam, że Japonia jest tym właśnie krajem, który może się jeszcze okazać szczególnie pomocny Polsce na drodze odnowy; w tym sensie wizyta Wałęsy powinna być, i mam nadzieję, że odegrała poważną rolę. Trzeba jednak pamiętać, że Japonia to nie tylko *Sōhyō*.

J. MONDRY

27 maja 1981

Studenci polscy wychodzą w świat

W dniach 4-8 czerwca br. delegacja polskiego Niezależnego Zrzeszenia Studentów uczestniczyła w Międzynarodowej Konferencji Studentów w Pa-

ryżu, zorganizowanej z inicjatywy francuskiego związku studenckiego *U.N.E.F. Indépendante et Démocratique*. Jej celem było w pierwszym rzędzie rozważenie możliwości i celowości powołania nowej, międzynarodowej unii studenckiej, opartej na dwóch podstawowych zasadach: niezależności i demokracji. Miałyby ona być alternatywą wobec jedynej istniejącej obecnie unii o charakterze międzynarodowym, a mianowicie *Union Internationale des Etudiants* (U.I.E.)

U.I.E. powstała w 1946 roku na I-szym Światowym Kongresie Studentów w Pradze, i do dziś tam ma swoją siedzibę. W pierwszych latach działalności organizacja ta zrzeszała sporą liczbę związków, lecz w końcu lat sześćdziesiątych rozpoczął się okres masowego wycofywania reprezentacji studentów zachodnioeuropejskich. Głównym powodem była zdecydowana dominacja krajów bloku komunistycznego, a co za tym idzie niemożność uzgodnienia stanowisk w sprawach fundamentalnych — jak np. rezolucji, potępiającej najeżdż Związku Sowieckiego na Czechosłowację w 1968 roku. Cała działalność pozostaje w sferze reklamowo-propagandowej. Organ U.I.E. *World Student News* jest kolejnym przykładem „agitki”, będącej jedną z form realizacji planów politycznych Moskwy.

W konferencji „paryskiej” wzięło udział blisko 60 delegacji z 35 krajów. Po czterodniowych obradach znakomita większość uznała potrzebę stworzenia nowej unii o charakterze ogólnoswiatowym. Na miejsce przyszłego kongresu założycielskiego zaproponowano Warszawę. Jest to wynik ogromnej popularności i sympatii w stosunku do Niezależnego Zrzeszenia Studentów, odczuwalnej na każdym kroku. Każde wystąpienie Jarka Guzega (przewodniczący NSZ) kończyły owacje i skandowanie: „NZZ! NZZ! NZZ!”.

Ustalono dwa alternatywne terminy przyszłego kongresu: koniec listopada br. lub luty 1982. Szczegółowymi przygotowaniem zajmie się specjalnie w tym celu powołany tymczasowy sekretariat w skład którego weszli przedstawiciele związków studenckich z Francji, Iraku, Peru, Polski, Senegalu i USA. Organizatorzy ze strony francuskiej (U.N.E.F.I.D.) zobowiązali się powołać w najbliższym czasie pismo w kilkujęzycznej wersji, mające być platformą do dyskusji na temat kształtu i profilu przyszłej „międzynarodówki”. We wrześniu tymczasowy sekretariat spotka się w Paryżu, gdzie ma przeanalizować nadesłane do tego czasu materiały, dotyczące tworzącego się związku.

Na tym samym kongresie podjęto szereg innych decyzji o charakterze międzynarodowym — m.in. powołano centrum dokumentacji (C.E.P.I.), mające prowadzić dokumentację i badania dotyczące problemów środowisk studenckich na całym świecie, a opracowane dane publikować w specjalnym biuletynie.

Uchwalono również rezolucję pod nazwą „Karta Studentów” (*Charter of the Students*), określającą ogólnie kierunki działań poszczególnych studenckich organizacji na przyszłość, w tym reformowanie systemu szkolnictwa i obrona praw człowieka na świecie. *Charter of the Students* ma stanowić podstawę działań przyszłej międzynarodówki.

Kończąc chciałbym zauważyć, że liczna polska delegacja prezentowała chyba niewystarczającą znajomość obecnych prądów i podziałów w międzynarodowym ruchu studenckim. Jest to zrozumiałe jeśli weźmie się pod uwagę specyficzną sytuację Niezależnego Zrzeszenia Studentów, ale powinno to być również wskazówką na przyszłość — aby uczestniczyć w strukturach międzynarodowych konieczna jest znajomość nie tylko własnego podwórka.

Andrzej MIETKOWSKI

Preliminarz budżetowy rządu RP na wygnaniu

BUDŻET WYDATKÓW I DOCHODÓW PAŃSTWOWYCH na okres od 1 stycznia do 31 grudnia 1981 roku

Dziennik Ustaw Rzeczypospolitej Polskiej Nr 1, Londyn, 6 marca 1981, zamieszcza preliminarz wydatków i dochodów Rządu RP na wygnaniu na rok 1981. Tekst ten podajemy w całości.

rocznie
£ p.

Dział A. Urząd Prezydenta Rzeczypospolitej

1. Prezydent Rzeczypospolitej	800.00
2. Fundusz dyspozycyjny	240.00
3. Kancelaria Cywilna	1.600.00
4. Wydatki kancelaryjne i pocztowe	500.00
5. Telefony	160.00
6. Podróże Prezydenta Rzeczypospolitej	100.00
	<hr/>
	3.400.00

Dział B. Rada Narodowa R.P.

1. Zwrot wydatków przewodniczącego	300.00
2. Częściowy zwrot wydatków członków zamiejscowych	200.00
3. Wynajęcie sali	200.00
4. Wydatki kancelaryjne i pocztowe	100.00
5. Sprawozdania Rady Narodowej R.P.	200.00
6. Oddziały Rady Narodowej R.P.	500.00
	<hr/>
	1.500.00

Dział C. Najwyższa Izba Kontroli

1. Zwrot wydatków N.I.K.	50.00
2. Wydatki kancelaryjne i pocztowe	50.00
	<hr/>
	100.00

Dział D. Rada Ministrów

1. Zwrot wydatków Prezesa Rady Ministrów	750.00
2. Fundusz dyspozycyjny	180.00
3. Zwrot wydatków ministrów i podsekretarzy stanu	1.200.00
4. Dyrektor Biura Rady Ministrów	500.00
5. Biuro Rady Ministrów	1.500.00

6. Biuro Ministerstwa Skarbu	1.200.00
7. Biuro Ministerstwa Spraw Wojskowych	600.00
8. Ubezpieczenie pracowników	—
9. Wydatki kancelaryjne, pocztowe, telefon	1.500.00
10. Opłaty bankowe	20.00
11. Wydatki reprezentacyjne Rady Ministrów	600.00
12. Nieprzewidziane	300.00
	<hr/>
	8.350.00

Dział E. Zewnętrzna akcja niepodległościowa

1. Zwrot wydatków Ministra Spraw Zagranicznych	480.00
2. Centrala Ministerstwa Spraw Zagranicznych:	
a) Sekretarz Generalny	360.00
b) Biuro	720.00
3. Kontakty międzynarodowe	240.00
4. Działalność międzynarodowa: stali referenci spraw so- wiewickich, niemieckich, ukraińskich i innych	300.00
5. Placówki zagraniczne, dotacje, konferencje	2.500.00
6. Wydawnictwa w języku angielskim:	
a) biuletyn informacyjny	400.00
b) <i>Polish Affairs</i> i inne wydawnictwa	1.000.00
7. Wydatki kancelaryjne i pocztowe	900.00
8. Telefon	200.00
9. Prenumerata czasopism	150.00
10. Nieprzewidziane wydatki	200.00
11. Podróże i łączność	800.00
	<hr/>
	8.250.00

*Dział F. Wewnętrzna akcja niepodległościowa**Ministerstwo Spraw Krajowych:*

§ 1. Działalność i subwencje	3.300.00
------------------------------------	----------

Ministerstwo Spraw Emigracji:

2. Konferencje polityczne, udział w Zjazdach	600.00
3. Utrzymanie łączności z działaczami emigracyjnymi	200.00
4. Podróże informacyjne członków Rządu	400.00
5. Zwrot wydatków delegatów Rządu	400.00
6. Doraźna akcja społeczna	100.00

Ministerstwo Informacji:

§ 7. Wydawnictwa w języku polskim	220.00
a) PAT	—
b) „Rzeczpospolita”	1.000.00
redakcja i administracja	200.00
druk	2.600.00
kolportaż	1.200.00
c) inne wydawnictwa	400.00

Ministerstwo Kultury i Oświaty:

8. Wydział Oświaty i Kultury	200.00
9. Subwencje na cele kulturalno-oświatowe	600.00
10. Kongres Kultury i Nauki Polskiej (przygotowanie)	100.00

11.520.00

Dział G. Utrzymanie gmachu przy 43, Eaton Place

§ 1. Wydatki osobowe:	
a) administrator gmachu	360.00
b) sprzątanie	1.200.00
§ 2. Obciążenia stałe	
a) podatek miejski	4.800.00
b) renta gruntowa	130.00
c) ubezpieczenie gmachu i windy	1.200.00
d) inspekcja i konserwacja windy	400.00
e) woda	600.00
§ 3. Stałe wydatki rzeczowe:	
a) elektryczność	800.00
b) gaz	1.500.00
c) mycie okien	90.00
d) środki czystości i wydatki domowe	300.00
§ 4. Zakup inwentarza i naprawa	400.00
§ 5. Honorarium adwokatów	200.00
§ 6. Remont domu	4.500.00
	<hr/>
	16.480.00

BUDŻET PAŃSTWOWY NA ROK 1981

Wydatki

Dział A. Urząd Prezydenta Rzeczypospolitej	3.400.00
Dział B. Rada Narodowa R.P.	1.500.00
Dział C. Najwyższa Izba Kontroli	100.00
Dział D. Rada Ministrów	8.350.00
Dział E. Zewnętrzna akcja niepodległościowa	8.250.00
Dział F. Wewnętrzna akcja niepodległościowa	11.520.00
Dział G. Utrzymanie gmachu przy 43, Eaton Place	16.480.00

Wpłaty

1. Wpłaty Skarbu Narodowego	33.000.00
2. Wpływy z wydawnictw	1.500.00
3. Inne wpływy i zwroty budżetowe	5.000.00
4. Z funduszu rezerwowego	8.500.00
5. Specjalna zbiórka na odnowienie siedziby Prezydenta i Rządu	1.600.00
	<hr/>
	49.600.00

Kronika kulturalna

Dzieje rymopisa czasu swego

Pierwszy mój wiersz, który być może dał się być nazwać wierszem, napisałem mając lat czternaście. Było to tłumaczenie sonetu Charles'a Baudelaire'a; po polsku był to też sonet, wzorowany chyba — a nie wiem czy bardzo świadomie — na Sonetach Krymskich Mickiewicza. Pokazałem ten przekład kilku kolegom szkolnym, nie miałem odwagi dać go mojej francuzicy, a już do głowy mi nie przyszło posłać go do jakiejś redakcji. Tekst zaginął podczas wojny.

Także pod wpływem symbolistów francuskich oraz niewątpliwie pod wpływem Kornela Ujejskiego były wiersze, którymi debiutowałem w moim roku maturalnym 1935/36 drukiem. Dotyczy to zwłaszcza cyklu chopinowskiego; numer czasopisma przyszedł w czasie maturalnego egzaminu pisemnego z francuskiego, dyrektor — matematyk — miał akurat dyżur i siedząc na katedrze, zasłonił się całą zadrukowaną płachtą, tak że ściągali chodzili swobodnie.

Jakieś podobne rzeczy pisałem w czasie niewoli niemieckiej i one się częściowo uratowały. W 1945 roku Związek Literatów Polskich w Krakowie zorganizował mi debiutancki wieczór autor-ski. Przeczytałem wówczas następujący sonet:

P A J Ą K

*Snom palce wypadły i wiszą ponad postaniem,
a grzbiet im się łukiem garbu szeroko ku górze wygina;
pachnie uwiędłym i sianem. Chwieje się pajęczyna
i pająk rozpoczął w przestrzeni odmawiać swe grzybobranie.
Miasto zamarło w próżni. Księżyc martwy puginał*

*odcina cienie od cieni i stawia ścianę przy ścianie.
Twardo się biel prostokątów w milczące ulice stania,
jak połamana gwiazdami, ukośnie leżąca drabina.*

*Pająk wyszedł na łowy. Stąpienie w kamieniach szeleści
i dzieci w jeziorach okien opadają bezdomne;
Cieniem kotów w popłochu serce oczy im pieści
i tłoczy krew aż na księżyc. Dłonie rosną. W ogromnym
chłdzie czują głos trąbek. Tupot już dudni. Powieściom
pająk z metalu łoskot stali przypomni.*

Obóz w Grossborn. Zima 1944/45

Recenzję o tym wieczorze (pierwszą o mnie w moim życiu) napisała Helena Wielowieyska w *Dzienniku Polskim*. Określiła mnie jako kontynuatora tradycji symbolizmu, co podówczas nie stanowiło jeszcze zagrożenia politycznego.

Ale wrychle zaczęły się kłopoty. Peperowska spółdzielnia wydawnicza *Książka* zaczęła w roku 1947 wydawać serię poetyckich tomików debiutanckich, zaniósłem więc maszynopis do Macieja Żurowskiego, redaktora tej imprezy. W miarę upływu czasu zaczął się coraz bardziej wybrzydzać, ale jednak z umowy się nie wycofał — chyba dlatego, że miałem poparcie Juliana Przybosia, który wygłosił był wstęp do mego wieczoru autorskiego w Krakowie i któremu, co mnie po dzień dzisiejszy niezmiernie dziwi, wiersze moje, tak niezgodne z jego własnym programem, podobają się — może z tej przyczyny, że był wielbicielem Baudelaire'a. W końcu tomik — równoległe i jednocześnie niemal z drugim, wydanym w *Czytelniku* — wyszedł, mocno obciążony, przy czym kryteria cięć szły w kierunku usuwania utworów bardziej „formalistycznych”. Był rok 1949, Żurowski zaczął się bać.

Tomik zatytułowany został *Sonata*; wiersz tytułowy zaczyna się tak:

*Trudno mi, jeśli mam umysł ciągle gotowy
na przyjęcie sonaty mozartowskiej, uszczelnić
w sobie wiek dwudziesty, tak jak się zamyka
puszkę konserw rybnych. Fala dźwięków
zbliża do siebie stulecia swoją prawdziwością
i każe wzruszać się gałązką jaśminu,
podobnie jak wzruszali się nią brabiowie
przed rewolucją francuską i synowie kupców przed epoką
współczesnych morderców. Temat muzyczny urzeka mnie,
jakby w ciągu ostatnich dwudziestu lat
nikogo w Europie nie zamordowano.*

Kończył się zaś ten poemacik w ten sposób:

*Każdy z nas — w dniach próby —
chwałił księżyc wschodzący nad lasem,
jezioro pełne błysków słonecznych,
obraz Rembrandta.
Łączył nas ten sam sposób budowania zdań,
wyrażania miłości i nienawiści,
potrzeba zaspakajania pragnienia i głodu,
konieczność śmierci:
a jednak dla wielu z nas nie ma wytłumaczenia.
Ta świadomość pozwala mi codziennie słuchać muzyki*
[Mozarta.]

1948

Kiedy dzisiaj to czytam i przepisuję, zastanawia mnie ten przypadek edytorski niepomierne. Zgoda, wiersz jest, jak to tego podówczas żądano, „komunikatywny”, choć z innych powodów, niż to tego żądano podówczas: przyczyną czytelności był zamiar retoryczny. Osobliwe to zresztą: utwór znalazł się w tomie ze względu na swą relatywną przystępność, nie zaś ze względu na treść — był przecież opowiedzeniem się po stronie sztuki, nie polityki, czego mi niektórzy krytycy, już nasłuchujący zbliżającego się socrealizmu, nie omieszkali wytknąć.

Ale i wydawca, i krytyka, i, co najważniejsza, cenzura przeczyli coś, czego by cenzor dzisiejszy, szkolony filologicznie i nie tylko, nie przepuścił, mianowicie zdanie: „jakby w ciągu ostatnich dwudziestu lat/nikogo w Europie nie zamordowano”. I dla autora, i dla jego różnorodnych, zawodowych i niezawodowych czytelników, było oczywiste, że chodzi o morderstwa hitlerowskie. Udało się widać wypchnąć skutecznie ze świadomości, że w owym okresie były także i morderstwa stalinowskie. W mojej więc retoryce część rzeczywistości została w relacji autor — czytelnik, a może i w relacji szerszej i bardziej zawitej, wyłączona. Nastąpiło to, jak sądzę, dla wszelkich członów tej relacji w sposób niepostrzeżony; ale pół prawdy to również i zakrycie drugiej połowy prawdy, to pół kłamstwa i te pół kłamstwa zaczęło wydrążyć to, co w połowie prawdy było prawdą.

Innymi słowy, retoryka, świadomie czy nieświadomie skazona, musiała wewnętrznym niejako ruchem kazić się coraz bardziej. W literaturze różnie się to u różnych przejawiało. U mnie następny stopień tej schodzącej drabiny nazwałbym najchętniej deklaracją; i jeżeli retoryka u mnie wykazywała wobec symbo-

listycznych praktyk, młodzieńczych i spontanicznych, dobitne zużycie języka, jego słownictwa i form, to deklaracja proces ten jeszcze pogłębiła.

Jak szybko to następuje (mówiąc: szybko, mam na myśli bardzo prymitywnie szybki przebieg w czasie), świadczy okoliczność, że przykład takiej płaskiej deklaracji mogę zaczerpnąć z wiersza, napisanego w tym samym 1948 roku, co „Sonata” („O duchu praw nowych”):

*I tak biegacz nigdy nie dotrze do celu,
Bowień krajobraz będzie się zmieniać,
Ze skał wytryśnie woda,
Z pustyni wystrzelą palmy i wybuchną drzewa figowe,
A wzrok jego stawać się będzie z godziny na godzinę
Spokojniejszy: wyzbędzie się lęku (...)*

Że myśl tu zawarta jest banałem, to banał. Rzecz w tym jeszcze, że to źle napisany *locus communis*, gdyż wywód jest niezborny. Niby z jakiej to racji biegacz nie będzie mógł dotrzeć do celu, bo krajobraz (w czasie biegu) się zmienia? Żadnego tu wynikania nie ma: biegacz bowiem może bez trudności dotrzeć do celu w zmieniającym się krajobrazie. Mniejsza już o strzelające palmy i wybuchające drzewa. Groźne natomiast jest stwierdzenie, że biegacz wyzbędzie się lęku: napisane ono zostało w czasie, kiedy lęk w społeczeństwie narastał, zaś autor o tym nie wiedział (nie mógł wiedzieć, lub nie chciał wiedzieć, lub wreszcie nie mógł się dowiedzieć, bo wiedzieć nie chciał — to wszystko jedno dla analityka tekstu).

Na tym przykładzie staje się już widoczne, że o ile w retoryce „bezinteresownej” udawało mi się jeszcze zachować poprawność literacką, to w retoryce interesownej, deklaratywnej, dyscyplina pisarska zawiodła, a raczej po prostu jej nie było. Może była niepotrzebna? A może stanowiłaby przeszkodę? W moim przypadku — nie wiem, jak inni to u siebie widzą — po retoryce i deklaracji nastąpiła krótka być może, ale gwałtowna faza niezwyklejszej grafomanii.

Rok 1951 (urywek):

*I nie bój się, że nocą
Burza kwiaty zerwie.
Jesienią dojrzeją owoce
Dla ciebie.*

(„Jabłoń”)

Bzdura. Jak nie będzie kwiatów, to nie będzie i owoców.

Rok 1952 (urywek):

*Szczęśliwy, kto dla ludzi pełniąc służbę,
Po życia kres nabitą dzierży broń
I burzą myśli każdą wita burzę,
I gromem gotów wraży rozbić grom.*

(„Martynowski”)

Nikt mi nie wyjaśni, dlaczego należy burzą myśli witać każdą burzę (jaką? atmosferyczną? jakąś inną?), a nie dokonywać pośród burz selekcji? I dlaczego ma to stanowić szczęście? A kto mi na przykład wytłumaczy, jak to można grom rozbić gromem? — Brednie to niesłychane i właśnie dobitnie grafomańskie. Co gorsza, w wierszu tym (a także i w innych, i nie tylko moich) widoczne jest zjawisko bardzo znamienne dla grafomanii socrealistycznej: słownictwo militarne; zapaskudzało ono nie tylko wierszydła, ale i sposób myślenia, wywodzi się zaś — i tu koło się poniekąd zamyka — z niedobrej rewolucyjnej retoryki; powiadam: niedobrej, bo istnieje i dobra.

Należy się wyjaśnienie, co rozumiem przez grafomaństwo. Potocznie gramofaństwo znaczy nibyartystyczną pisaninę, uprawianą przez kogoś pozbawionego daru; czującego nieprzewartą chęć pisania wedle zastanych reguł formalnych (np. rytm i rym); powielania doznań, przekształconych już uprzednio w formę przez innych; używania werbalizacji bez napinania przestrzeni międzysłownej; ozdabiania wreszcie tekstu floskułami znanymi i uznanymi. Nagromadzenie tych wszystkich cech i właściwości nie pozwala na produkcję prawdziwie artystyczną, ponieważ — posłużę się tu sformułowaniem Edwarda Balcerzana — uniemożliwione zostaje napięcie między strukturą znaku a jego tworzywem: struktura zostaje zredukowana do tworzywa.

Takie grafomaństwo jest dobrze znane i znajduje się o stopień poniżej kiczu. Pytanie wszakże, jakie trzeba postawić, brzmi: jak popaść może w grafomanię ktoś nie pozbawiony daru, kto już wykazał, że potrafi wywołać owo napięcie między strukturą a tworzywem? Powiedzmy: dzieje się tak nierządno na skutek lenistwa i bezmyślnej rutyny, ale ten przypadek na wiele się tu nie zda i z natury jest nieciekawy, poza tym nie jest to zjawisko wynikające z zewnętrznych przymusów. Mój własny przypadek, który staram się sobie samemu wyjaśnić, jest zapewne innego rodzaju, a takiego mianowicie:

Uznałem prymat polityki — i to polityki szczególnego rodzaju, o szczególnej teorii i bardzo szczególnych regułach gry —

nad wszystkimi innymi przejawami życia: urzeczywistnianiu celów politycznych komunizmu takiego, jaki był w edycji stalinowskiej, należało podporządkować wobec tego również i twórczość artystyczną. Ówże prymat polityki — czyli prymat nie wartości, lecz pożądaných sytuacji — spłaszcał wszystko to, co samo z siebie wartością by być mogło. Jeśli przyjmę za słuszny pogląd, że moja twórczość poetycka wywodzi się z tradycji symbolizmu, to mogę sobie powiedzieć, że uznanie prymatu polityki uniemożliwiało mi stopniowo coraz bardziej „produkcję” symboli, co-
kolwiek przez symbol będziemy rozumieć.

Do tego dochodzi jeszcze jedno, a mianowicie stosunek do utopii. Wiele pisano o tym, w czym utopia jest dobra i jakie potrzeby serca i umysłu zaspakaja; a również, w czym jest zła i jak może serce i umysł zdeprawować. Istnieje ponadto pewne nastawienie wobec utopii — zacieśniająco: utopii politycznej — polegające na tym, że utopista jest przeświadczony, iż, jako że posiadał środki przymusu, utopię realizuje, przekształca rzeczywistość tak, jak mu to utopijna fantazja dyktuje, przy czym posiadanie środków przymusu przyjmuje jako już dokonane przekształcenie. Wynik jest ten, że rzeczywistości rozpoznać ani ocenić już nie potrafi. W przypadku działalności artystycznej powiedziałbym: lekceważona zewnętrzność mści się, wyjąławiając wewnątrz artysty, jego wyobrażnię, jego wrażliwość (także i językową, albo czysto malarską i czysto muzyczną itp.); a mści się jeszcze, pozbawiając rygorów i samokontroli.

Pisarz stosuje inne środki przymusu niż polityk i wobec czegoś innego niż polityk. Jego środkiem przymusu jest werbalizacja, stosuje ją zaś wobec idei lub obrazu spodziewając się, że narzuci tak obraz lub ideę odbiorcy, fascynując go, urzekając. Ale tu czeka zasadzka, albowiem: uznanie prymatu polityki wywołuje nieprzewidziane i trudne do opanowania stany emocjonalne, inaczej kliwość; polityka jest w istocie kliwym rodzajem działalności ludzkiej i nie przeczą temu bynajmniej brutalność i okrucieństwo, jako że istnieje, uczy nas tego doświadczenie, kliwa brutalność i kliwe okrucieństwo, a także i kliwa podłość; przy czym wszystkie te kliwości dlatego są kliwośćiami, że udają to, czym nie są — szlachetność, podniosłość, nadzieję.

Uznanie prymatu polityki wynikało — jest to przynajmniej mój *casus* — z fascynacji kliwością, przy czym zdaję sobie dzisiaj sprawę z tego, iż rzecz jest nieco zawikłana: kliwość jest jakąś tam prawdziwą potrzebą ludzką i na to nie ma rady; zaspakajając ją nie jest w zasadzie rzeczą zdrożną i można to robić bez szkody, pisując teksty do tang. Otóż tekstów do tang na moje nieszczęście nie pisywałem; traktowałem kliwość poważnie (może nawet

i jako środek przymusu) i zacząłem gwałtownie wytracać energię moralną na równi pochyłej symbol — retoryka — deklaracja — kliwa grafomania. I teraz podam subiektywną definicję tej swoistej grafomanii, której urokom uległem i której rzemiosła sam się dopracowałem (co widać w tekstach i nigdzie indziej niż w tekstach). Grafomania kliwa czyli polityczna pojawiła się u mnie (we mnie?) wówczas, kiedy urzeczzenie polityką zdegradowało symbol do emblematu, któremu należało się kłaniać i którym należało się wzruszać; rzecz w tym, że symbol, jeśli ma być symbolem, posiada mocny (choć niejednoznaczny) związek z rzeczywistością wewnętrzną lub zewnętrzną, emblemat natomiast, żeby być emblematem (a zawsze jest jednoznaczny), związków tych nie potrzebuje. Z emblematem jest trochę tak, jak z instytucją (nie przypadkowo instytucje posługują się emblematami), czyli z sednem polityki: instytucja, żeby być instytucją, odniesienia do rzeczywistości tak naprawdę nie wymaga; emblemat jest jej wszelako użyteczny. W kliwej grafomanii wszystko staje się emblematem, nawet zielona gałązka i (zwłaszcza!) konwencjonalne poruszenie serca.

Dopracowanie się tego grafomańskiego rzemiosła i poddanie się urokom gadania emblematami zrodziło szczególnego rodzaju spustoszenie. Polegało ono na zatrąceniu ja lirycznego (bohatera lirycznego, subiektu lirycznego — różnie to nazywają). Emblemat, ponieważ zadawała się samym sobą, istnieje sam w sobie i sam dla siebie, odżegnywuje się od dystansu wobec rzeczywistości (ponieważ sam jest jedyną rzeczywistością); dystans ten jednakże jest konieczny, przynajmniej dla twórczości artystycznej, uzyskiwany zaś zostaje przez owo ja liryczne, które jest dla poety podstawą jego aktorstwa, umożliwia mu grę artystyczną i wszelką grę antropologiczną w ogóle; bez niego znika napięcie pomiędzy strukturą a tworzywem: na tym właśnie polega wymiar katastrofy i spustoszenia. Mówiąc żartem: poezja bez ja lirycznego jest emblematem emblematu.

Utrata mego ja poetyckiego trwała raczej krótko; nie wiedziałem zresztą o tym, że była to utrata takiego właśnie rodzaju; teoretyczną czy quasi-teoretyczną konstrukcję tego zjawiska podejmuję dopiero dzisiaj, a dlatego dopiero dzisiaj, że trzeba było paru niedospanych nocy, aby do tego dojść. Więc trwała ta utrata może trzydzieści sześć miesięcy — krócej, dłużej, wszystko jedno. Dość wcześnie wszakże wyczuwałem, że coś jest nie w porządku, choć zrazu nie wiedziałem co, a raczej: wiedziałem, że to „nie w porządku” jest następstwem opcji na rzecz określonej poetyki i że ta określona poetyka (nazwijmy ją: socrealizm) ma coś wspólnego z polityką, nie wiedziałem tylko jeszcze w jaki sposób ma coś wspólnego. Starałem się z tej kleistej mazi wy-

dobyc, zrazu nieporadnie, przez zmianę tematyki. Potem okazało się, że zmiana tematyki z „publicznej” na „prywatną” niewiele daje, że mimo tej zmiany i kleistość, i maź nie ustępują. I, jak to zwykle w takich wypadkach bywa, dałem się ponieść wściekłości, co wprawdzie nie zwróciło mi niegdyśjszej „władzy nad symbolem”, ale pozwoliło mi na wzięcie rozbratu z emblematem. Podniosłem się do pierwszego szczebla mego schodzenia w dół, do retoryki; ale nie była to już, jak wpierw, retoryka patetyczna — była zaprawiona satyrą, groteską, ironią. Wtedy to, w połowie mniej więcej roku 1953 powstał wiersz o zakłamaniu (który cytowałem w *Kulturze* kilka miesięcy temu) nieco później, w nawiązaniu do Heinego, cykl sarkastycznych wierszyków, wymierzonych częściowo (w intencji przynajmniej) przeciwko sobie samemu („Szukając gwiazdy/Zgubiłem grzebień./Ach, cóż powiedzą/Mi na to w niebie? (...) Ach, sprzedam lustro/I sprzedam siebie,/Byleby znaleźć/Zgubiony grzebień”). — Tak mniej więcej wydobywałem się z mazi i kleistości, w latach 1953-1955. Co później się działo, nie jest już tematem niniejszych rozważań; sądzę, że to robota dla krytyków: pokazać, co jestem wart, co mi się udało, a co nie; nie moje to piwo — zresztą nie starałem się własnego pisarstwa wartościować, chodziło mi przede wszystkim o rozpoznanie mechanizmów, które mnie doprowadziły do mazi i kleistości.

Nietrudno zapewne domyślić się, że ten mój artykuł jest odpowiedzią na głosy Bierezina, Herlinga-Grudzińskiego i Sulika. Powiadają oni, że jest rzeczą konieczną, aby tzw. ex-owie próbowali dokonać analizy swojej przygody z komunizmem (stalinizmem, socrealizmem itp.*). Herling-Grudziński powołał się na

* Herling-Grudziński mówił o szkieletach w szafie; ja mówiłem (w artykule pt. „Łatwizna”), że szkieletów już nie ma, bo zostały dawno temu usunięte, są tylko brudy (gdzie ich nie ma?); różnicy między szkieletem a brudem mój polemista w kolejnym „Dzienniku pisanym nocą” nie zaakceptował, a także nie wystarczyła mu moja propozycja, aby przeanalizować bohaterów lirycznych i narratorów w opublikowanych tekstach literackich; rozumiem to tak, że szkiełko i oko go nie zaspakajają; trudno, ja wypowiadam się za szkiełkiem i okiem, i tylko za szkiełkiem i okiem, odrzucam serce i wątrobę, bo to i krew, i żółć może zalać, co mąci jasność obrazu. Innymi słowy: Herling-Grudziński twierdzi, że problem stalinizmu nie został przez pisarzy, którzy mu czasowo ulegli, publicznie przewycięzony, że upiory przeszłości nie zostały pokonane; ja twierdzę — i taki był sens mego artykułu — że zostały pokonane; być może sposób w jaki zostały pokonane, nie odpowiada Herlingowi-Grudzińskiemu; mnie natomiast odpowiada, za to sposób, jaki zdaje się proponować mój polemista, z kolei mnie nie odpowiada, ponieważ jest poznawczo pusty: publikowanie wyników introspekcji za pomocą pisaniny w pierwszej osobie, to wręcz niebezpieczna

opublikowaną w latach pięćdziesiątych książkę zbiorową „Bóg, który zbankrutował”; książka ta według niego jest przykładem takiej analizy.

Dla mnie nie jest przykładem, ponieważ nie ma tam analizy. Są tam wylewności i wywnętrzania się, ekstrawertywne żale i intrawertywne skargi, sporo tam retoryki i deklaracji o deklaracjach; niemało wreszcie minoderii. Jeśli by ktoś postarał się znaleźć wspólny mianownik dla tego różnorodnego przecież zbioru fabulacji, to może by wymyślił taką oto formułę: „Przystępowałem do ruchu komunistycznego w dobrej wierze, ufając programowi, dialektyce i historiozofii, głoszącej racje słabych i poniżonych; pełne to było szlachetnego patosu, ale szlachetność ta była głoszona w złej wierze i tak oszukano mnie, co bynajmniej nie świadczy przeciwko mojej subiektywnej szlachetności, ponieważ to ona pozwoliła mi w ostatecznym rachunku odejść”. Perypetie każdego z autorów były oczywiście za każdym razem różne, a i barwne także, tak że zaspakajało to ich „Lust am Fabulieren”, ale ten wspólny mianownik pozostaje przy krytycznej ocenie w mocy: „Gzeczny Maciuś, chciał być jesse gzeniejszy, ale bzydka pajtja zlobila mu kuku”. Być może kryją się za tym dramatyczne doświadczenia, nie śmiem wątpić, i nawet jest w tym jakaś mała prawda, ale: małe prawdy leżą na dłoni i szkoda dla nich znamienitych piór. — Nie. Tym bardziej nie, że książka ta zdaje się świadczyć o tym, iż jej autorzy nadal uznają — w chwili pisania przynajmniej — prymat polityki nad resztą życia i z pozycji tego uznania potępiają ruch polityczny, który ten prymat urzeczywistnia ponad wszelką miarę i własną potrzebę. — Nie.

Jeszcze z innego powodu „Bóg, który zbankrutował” nie jest dla mnie ani wzorcem, ani przykładem. Przykładem nie jest ze względu na egocentryczny sposób traktowania problemu; wzorcem być nie może ze względu na zupełnie odmienne warunki, w jakich w Polsce intelektualiści dokonywali akcesu do partii, do komunizmu, do marksizmu jako systemu filozoficznego, do ideologii jako zbioru pragmatycznych uogólnień (partia, komunizm, marksizm i ideologia polityczna to cztery różne rzeczy;

zabawa, wplątać się można w samoukudę, jeśli nie w coś gorszego, bo kontrola zawodzi. Zostaje jeszcze relacja, bez psychologicznej babraniny — co się udało Woroszyłskiemu w książce „Powrót do kraju”, choć właściwie nie tyle przez relację jako relację, co przez przeciwstawienie sobie dwóch odmiennych narratorów.

Po przeczytaniu na nowo tego przypisu muszę dodać, że jest dla mnie bardzo istotny, gdyż precyzuje sens tego, co nazwałbym „sporem o metodę” — w takich wypadkach zazwyczaj nie o samą tylko metodę chodzi.

dlatego motywacje akcesu bywały różne, jako że i mieszać te cztery rzeczy przydarzało się, i to w rozmaitych proporcjach). Dochodzą jeszcze trzy elementy. Pierwszy: przed wojną i po wojnie, przed i po kataklizmie hitlerowskim — nie zapominajmy, że Armia Czerwona przepędziła z Polski hitlerowców i ktokolwiek przepędził hitlerowców, był w powszechnym mniemaniu co najmniej od hitlerowców lepszy, diabeł nie wydawał się tak straszny, jak go malowano — później dopiero zrozumiano, że jest o wiele straszniejszy. Drugi: „w gwiazdę Francji”, czyli snobizm; bo to i Aragon, i Eluard, i Rolland (już wtedy nie żyjący), i Anatol France (też nie żyjący), i Picasso, i Leger (obaj żywi jeszcze); jeżeli oni, to dlaczego my nie i oto napędzany paliwem francuskiego *esprit* instynkt stadny zyskał na siłach. Trzeci: geografia; intelektualiści zachodni (autorzy owego „Boga itd.”) podejmowali swoje decyzje i optowali zarówno za jak i przeciw, czy też najpierw za a potem przeciw poza zasięgiem władzy sowieckiej, co stanowi zasadniczą różnicę — ryzyko w jedną jak i w drugą stronę było mniejsze, a i poparzone palce łatwiej było leczyć. Nie. Metoda „Boga itd.” nie dla mnie. Poza tym: z książki tej niczego się nie dowiedziałem; jest to dokument sentymentalny o nikłej zawartości poznawczej. Wolę już pewną lodowatość myśli aniżeli ciepełko krowiej obory, żeby cytować Tomasza Manna. Rozpętane emocje? — Nie.

Powtarzam: ażeby coś wiedzieć, ażeby czegokolwiek się dowiedzieć, trzeba mówić o uchwytynych faktach. Jeśli chodzi o literaturę, to faktami dla mnie są teksty i nic poza tekstami, i nic poza tekstami omawianego okresu, i te teksty trzeba analizować; chyba jednak u każdego pisarza osobno — na razie, potem można będzie dalej przemyśliwać. Czy robi to sam autor tych tekstów, czy obiektywny badacz, to nie takie istotne. Bo przecież: Tadeusz Borowski nie żyje i o sobie nie opowie. Ale są jego teksty, którymi badacze powinni się zająć, przede wszystkim lingwiści; „prześwietlenie” kolejnych faz degrengolady językowej w prozie Borowskiego powie nam więcej o tamtym czasie i o podejmowanych decyzjach autora, aniżeli kliwa opowieść o jego tragedii, choćby ją spoza grobu dyktował.

Wiem, że po tej próbie znajdę się znów pod obstrzałem. Powiedzą: gdzie są motywacje twojej opcji *za*? Jeśli odpowiem: szlachetne uniesienia — sam siebie wyśmieję, choć wiem, że byłem młody i szlachetności zapewne we mnie kołatały; jeśli odpowiem: zgoda na niezbędne reformy społeczne — nikt temu nie będzie przeczył, ani ja sam sobie, ale skąd tedy partyjna gorliwość; jeśli odpowiem: przekonanie o słuszności materializmu filozoficznego — potwierdzą to, szukałem ładu myślowego

i znalazłem go w engelsizmie, gdzie wszystko było jasne, nawet fizyka poplanckowska (Conforth, ten mnie zaklął w capa).

Sedno wszelako tych motywów było, śmiem sądzić, natury pisarskiej; to znaczy: wygody piśmienniczej. Do momentu opcji byłem niezdecydowany, ciągnęło mnie i w stronę klasycznych reguł (a dzisiaj nie wiem, co znaczy „klasycyzm”), i w stronę awangardowych eksperymentów (a dzisiaj nie wiem, co znaczy „eksperyment”). I jedno, i drugie było świetnym punktem wyjścia dla grafomaństwa nabytego, czyli podporządkowanej i przyporządkowanej polityce rutyny, ktoś poza mną ustalał normy, wedle których pisarstwo moje mogło (miało) być pozapisarsko użyteczne; w układzie zamkniętym bowiem być użytecznym, znaleźć swoje miejsce, jest nietrudno; pisarzowi starcza, aby swój język i styl przystosował — tak było u mnie i ze mną — do retoryki i deklaracji. Wtedy już łatwo było dać się nabrać na engelsowstwo i jego derywaty.

Tyle więc. Gadanie o czym innym uważam za szarlatanerię. Trzeba badać język; język wszystko powie.



Matury z francuskiego pisać już nigdy nie będę. Dyrektor matematyk, którego potem hitlerowcy zamordowali, nie zaślani się drukowaną płachtą, aby ściągali mogły chodzić. Czas ściągaczek dla mnie minął. Czy minął czas sonetów? — Nie wiem; spróbuję wrócić:

PAJĄK (2)

*Sny znikły: bezpalce. Jawy złe przetamianie
Gładko jak sinusoida falamy się w ranek przegina;
Zapach białych płomieni łamie się w pajęczynach
I pająk spada. Gdzie spada? Pająk spada w otchłanie.*

*Miasto tętni w stłoczeniu. Kto uroki odczynia?
Kto cienie miesza na ścianach? Kto wypisuje na ścianie
Mane tekel bez fares? Kto pokaleczył zdanie?
Kto ustawił pionowo metal na drżących drabinach?*

*Pająk puchnie w obronie; pająk bucha po mieście;
Osaczony przez dzieci, przytomny i nieprzytomny.
I chrzęści mu cień chityny, drżą powłókniate mięśnie*

*W grzybobraniu słonecznym. Pająk stał się bezdomny,
Świszcze mu upał w oczach. Miasto? Miasto się trzęsie:
Miasto bez fares. Mane tekel?*

— Zapomnij.

Witold WIRPSZA

Berlin, w czerwcu 1980 — data napisania wiersza.

Próba remanentu

I

Już od dłuższego czasu zwracano mi uwagę na fakt, że jestem „zbyt dobry” — w tym znaczeniu, oczywiście, że tylko chwale. Może to i racja. Ale w sytuacji, w jakiej znajdowała się dotąd nasza kultura — literatura zaś w szczególności — ważniejszym wydawało mi się zwracanie uwagi na osiągnięcia, niż na strony słabsze. Może dlatego, że osiągnięć tych w końcu nie było tak wiele, wolałem się koncentrować na tym, co mogło stać się jakimś punktem odniesienia pozytywnego w ponurym chaosie rozdeptywanych i miażdżonych systemów wartości, osobowości twórczych i okaleczonych utworów. Wśród nieprzeniknionych ciemności każde światełko budzi w człowieku nadzieję i sprawia, że zaczyna biec w jego stronę, upatrując w tym biegu szansę wydobycia się na wolność. Tyle tytułem (samo)usprawiedliwienia.

A teraz *ad rem*.

Kultura polska znalazła się w stanie śmiertelnego zagrożenia. Jeśli zaś uznać, że wyrazem samoświadomości kultury jest proza literacka — a są po temu liczne przesłanki — to obraz dezintegracji tej świadomości musi napawać przerażeniem. Zastanówmy się bowiem: jaki utwór współczesnej prozy polskiej obroni się w zderzeniu z literaturą światową (w tym także — z literaturą rosyjską, przede wszystkim niezależną)? Wydano ostatnio — pod cenzurą i poza jej zasięgiem — sporo ton zadrukowanego papieru. W tym utwory K. Brandysa, J. Andrzejewskiego. T. Konwickiego, J. Andermana — pisałem zresztą o nich, znajdując (wedle zasady przedstawionej wyżej) ich zalety. O wadach

nie pisałem. I rzeczywiście: są to książki przez czytelnika polskiego — dużo rzadziej obcego — czytane. Ale co można czytać, mając do wyboru „Losy” Bratnego i „Miazgę” Andrzejewskiego lub „Głupią sprawę” Dobrowolskiego i „Widziane z góry” Stalińskiego-Kisielewskiego? Wiadomo: to, co wydaje się bardziej prawdziwe, bliższe codziennemu rozpoznaniu rzeczywistości. W gruncie rzeczy jednak reakcja czytelnicza na owe „lepsze” dzieła też nie jest najlepsza. Wypadałoby się zatem zastanowić nad tym, czego naprawdę brak polskiej literaturze, w którym miejscu następuje załamanie, niedowład, pęknięcie czy tylko przejściowy paraliż.

II

Chorobą podstawową prozy polskiej jest brak wizji. Jest to literatura przyszpilona przez sytuację w jakiej powstaje, przez tę sytuację całkowicie zdeterminowana. Brak podstawowy: wzniesienia się ponad świat, w którym się jest zanurzonym, odbicia się, rozbudowania i rozbudzenia w sobie — bo ja wiem czego? — pychy, nienawiści, pokory czy miłości? Nic z tego tu nie ma. Język jakim mówi do nas proza polska jest językiem martwym, sparaliżowanym, jest językiem bezbarwnym. Może czasami coś się w nim budzi, coś ożywa: we fragmentach „Małej apokalipsy”, we fragmentach powieści Białoszewskiego, M. Nowakowskiego czy J. Andermana. Ale tylko we fragmentach, tylko w nieśmiałyach urywkach.

Brak tej prozie jędrności i miąższu, i — przede wszystkim — rozleglejszej perspektywy. Co zaś oznacza postulat rozleglejszej perspektywy? Otóż to. Pisanie o Polsce (bo ten typ literatury mam tutaj na myśli) współczesnej jest niemożliwe serio bez rzutu w przyszłość, bez oderwania się od doraźności. Niekoniecznie w opisie realiów (próba Konwickiego, chyba zresztą najbardziej doniosła), lecz na pewno w sferze duchowej niezależności autora, narratora. W sferze jego autoświadomości kulturowej. Żyjemy w świecie nieustannie się zmieniającym, w którym Polska i jej sprawy egzystują gdzieś na marginesie (poza, oczywiście, wyjątkowymi sytuacjami). Ale to przecież nie determinuje możliwości kultury narodowej. Właśnie bowiem w sferze kultury możliwe jest przekroczenie granic prowincjonalizmu. To nie znaczy, że trzeba zacząć pisać powieści o współczesnej Afryce. Ale to znaczy, że pisarz polski musi wiedzieć coś o świecie, w którym przyszło mu żyć. Inaczej jego życie przemieni się w wegetację, zaś jego utwory w przypisy, w niepojęte dla współczesnego człowieka, zaszyfrowane zapiski.

Bohaterowie naszej prozy nie widzą dalej czubka własnego nosa, a i tego często nie dostrzegają. I jeżeli gdzieś rzeczywiście udało się wyhodować człowieka uproszczonego, to przede wszystkim na kartach polskiej prozy współczesnej — nie w dzisiejszej Polsce, która jest jednak inna, mimo, iż zdominowana przez system redukujący wartości humanistyczne do politycznych instytucji.

Cóż znaczy to określenie — człowiek uproszczony? To człowiek zniewolony przez „politykę”, przez „ideologię”, człowiek bez reszty podporządkowany systemowi — w dodatku w prowincjonalnym wydaniu tego systemu. To człowiek bez marzeń o sobie samym, o swej wielkości, ale to jednocześnie człowiek nieświadomy swego losu i swego ludzkiego wymiaru. Opisując jego przypadkowe ruchy — czy to z perspektywy obserwatora, czy uczestnika — pisarz polski, niestety, utożsamia się z tym obiektem manipulacji wszechwładnego bezsensu. Pisarz ten nie potrafi stworzyć swemu bohaterowi świata, w którym ów bohater — świadomie lub nie — zdołałby osiągnąć wymiar ludzki, uniwersalny, nie zredukowany do „bycia Polakiem”. To nie znaczy, że ma tym Polakiem nie być, ale niech to nie będzie jedyny wymiar jego egzystencji, bo wówczas przestaje być człowiekiem i przemienia się w instytucję dławiącą możliwość normalnego życia. Niech powieść nie stanowi w naszej literaturze próby pisania podręcznika socjologii, gdyż — po pierwsze: nigdy dobrym podręcznikiem socjologii nie będzie; po drugie: skazuje się w ten sposób na doraźność. A przede wszystkim: niech przeżycia bohatera będą jego własnymi przeżyciami, a nie ilustracją czy symbolem „polskiego losu” czy „polskiej sytuacji”. Trzeba wreszcie zrozumieć, że ten „polski los” czy „polska sytuacja” zależą od ludzi i są przez tych ludzi tworzone: to jest temat.

III

Nasza literatura staje się hermetyczna przez coraz silniejsze zakorzenienie się we własnej mitologii: w chochołach, weselach, polonezach itp. Pisarz polski jest na ogół człowiekiem czytany, ale po pierwsze — bardzo jednostronnie, po drugie — zbyt mało jest odporny na działanie gotowych wzorców. Można oczywiście, jak J. Kott, badać potem przeróżne „wpływy” Mickiewicza na Konwickiego, śledzić obecność stałych „motywów” i przekształcanie „symboli” w naszej literaturze, ale przecież naprawdę żywa literatura polega na — czasem bolesnym, budzącym wściekłość czy nawet upokorzenie — przekraczaniu swych ograniczeń, rozszarpianiu gotowych formuł, parodiowaniu ich, dekompozycji. Jeśli

tego nie robi, staje się martwa, statyczna. I coraz bardziej nieczytelna bez odwołania się do swego historyczno-literackiego kontekstu.

I jeśli w tle „Ferdynand” wprawne oko badacza dostrzeże kontury „Pana Tadeusza”, to, oczywiście, ma to pewne znaczenie, lecz nie odwołanie się do „Pana Tadeusza” decyduje o nośności intelektualnej powieści Gombrowicza. Tymczasem coraz częściej nasza proza buduje system nieczytelnych dla wielu odwołań do historii, do literatury. Tworzy się zespół sygnałów, które dla „wiedzącego” czytelnika stanowią istotę tekstu, dla niewiedzącego zaś ich niedostrzeżenie często powoduje nieczytelność tej literatury. Proza polska nie potrafi przełożyć własnego kodu historyczno-kulturowego na obraz współczesny. Nie mówię bowiem o konieczności rezygnacji ze specyficznego doświadczenia naszej kultury, ale myślę, że trzeba je uczynić czytelnym — w tym celu trzeba zrezygnować z tak częstych u nas napomknięć i aluzji, należy zaś (jak choćby Konwicki w „Kompleksie polskim”) posłużyć się obrazem, zbudować sytuację, w której te odniesienia staną się czytelne.

Nie piszę tego wszystkiego w trosce o czytelnika francuskiego czy amerykańskiego. Piszę to z myślą o nas samych: musimy wciąż na nowo odwarzać własną historię, na nowo odczytywać wyniesione z niej doświadczenia, a nie wyłącznie odwoływać się do interpretacji już gotowych i na niewzruszonych zasadach funkcjonujących mitów. Mity, aby naprawdę funkcjonowały, trzeba ożywiać, wprowadzać w kontekst współczesności, wkomponowywać w nasze obecne życie. Tymczasem nasza literatura jest niewolnicą ustalonych raz na zawsze formuł. A to oznacza, że jest niewolnicą sytuacji, że widoczny jest w niej niedowład wartości. Jeśli je przywołuje, to językiem Ezopa. I nie tylko dlatego, że ograniczona została przez cenzurę. Dlatego również, że wstydy się „deklamacji”.

Ta „wstydlivość uczuć” powoduje zarazem skrzepnięcie wyobraźni, paraliż wizji. Próba nadrobienia tych braków przez narracyjne „chwyty” czy konstrukcyjne pomysły jest zespołem ruchów pozornych. Żeby pozwalać sobie na podobne gry formalne, trzeba mówić poprawnie i wprost od siebie. Ten wysmakowany Gombrowicz będący dziś bożyszczem młodych pisarzy polskich umiał napisać „Opętanych”, powieść tzw. trywialną. Dobry malarz — niezależnie od kierunku jaki reprezentuje — musi umieć poprawnie rysować „z natury”. Chyba, że jest — co się zdarza, ale do reguł nie należy — od początku „zdeformowany”. Jedno jest pewne: literatura polska musi się nauczyć swobodnie mówić — pełnymi zdaniem i „od siebie”. Od tego zależy jej dalszy byt. Zasklepienie się w gotowych mitach oznacza pozostanie w

skansenie — skansen zaś nie jest środowiskiem naturalnym, jest konstrukcją sztuczną, nieprawdziwą, mimo, iż z elementów prawdziwych zbudowaną. Życie w skansenie jest niemożliwe bez korzystania z pomocy z zewnątrz. Dziś skansen nie może być samowystarczalny, wkomponowany jest bowiem w świat o wiele odeń bogatszy i tylko w tym świecie, a nie sam w sobie, coś znaczy. Na tym właśnie zestawieniu oparta jest interesująca „Konopielka” Redlińskiego. Ale „Konopielka” to powieść „otwarcia regionalnego”. Mnie interesuje możliwość podobnego „otwarcia” polskiej współczesności.

IV

Brak warsztatu jest kolejną wadą polskiej prozy współczesnej. Jest to proza, w której konkret pozostaje sprawą drugoplanową. Przez to proza ta wyjałowiona jest z kolorytu czasu. Chodzi mi tu przede wszystkim o uchwycenie takich realiów, jak moda, wygląd ulicy, opis szczegółów: wspaniałym pokazem takich umiejętności w naszej literaturze jest choćby „Lalka” Prusa — powieść ta wręcz imponuje, jest demonstracją tego typu warsztatu pisarskiego, którego dziś wyraźnie brakuje. Zaś brak tego warsztatu świadczy o swoistym wyobcowaniu literatury z życia społecznego, przy czym interesujący jest fakt, że bardziej to uderza w naszej prozie, aniżeli w poezji. Istnieje co prawda pewien substytut owych realiów: proza polska, nastawiona ostatnio silnie na obserwację języka, notuje i utrwala jego współczesne brzmienie. Lecz jest to tylko częściowa rekompensata.

Ta sytuacja literatury jest chyba refleksem sprawy ogólniejszej i nie stanowi chyba tylko jej „winy”. Nie istnieje po prostu w żadnej dziedzinie opis realiów powojennej rzeczywistości polskiej — nie może i nie potrafi się z tym uporać ani socjologia, ani ekonomia, ani wreszcie — i to jest zjawisko najgroźniejsze — historia współczesna. Mijają dziesięciolecia, a społeczeństwo nie ma możliwości uporządkowania własnych doświadczeń. Takie społeczeństwo, pozbawione wiedzy o sobie samym, obrabowane z możliwości dokonania syntezy, skazane jest na vegetację. W prozie to widać najwyraźniej — jest to gałąź literatury wegetująca, żywiąca się strzępami zdarzeń, „fragmentami większej całości”, o której ogólnym obrazie nie ma pojęcia, a jeśli nawet ma, to nie potrafi zdać z niego sprawy.

Niezmiernie rzadko zdarza się bohaterowi naszej prozy rozbicie zakupów, odnoszenie rzeczy do pralni, załatwianie czegoś w urzędzie, nie mówiąc już o jeździe do pracy — a przecież te właśnie sprawy decydowały, przynajmniej do niedawna, o atmosferze życia. Nadto najczęściej są to bohaterowie wykorzeni

z tradycji, choćby rodzinnej — ich matki, ojcowie, dziadowie to postaci ukryte przed czytelnikiem. Nie wszędzie tak się dzieje — wystarczy wymienić „Miazgę” Andrzejewskiego, „Wariacje pocztowe” Brandysa czy „Paroksyzm” Łozińskiego — ale wyjątki nie czynią reguły, są tu zresztą tylko sygnałami określającymi możliwości. Bohater tej prozy jest zatem przeważnie zawieszony w społeczno-historycznej próżni. W miejsce zaś owych relacji społeczno-historycznych pojawia się, jak to zauważył niedawno Błóński, polityczne „lepiszcze” (w wypadku prób ambitniejszych) lub ideologiczny klajster (w wypadku literatury usługowej).

Literatura ta sprawia przez to wrażenie pospiesznie czynionych szkiców, notatek do utworów, które dopiero mają powstać. Dzieje się tak oto, że w polskiej literaturze mamy pewną ilość powieści ważnych, lecz niezwykle rzadko są to powieści dobre. Nazwałbym to najchętniej „paradoksem 'Przedwiośnia'”: tutaj po raz pierwszy tak ostro zjawisko to wystąpiło. Waga tej powieści w historii naszej literatury i kultury mierzona jest zgoła innymi niż artystyczne wartościami. Ten wspaniały zarys utworu nie napisanego jest rachunkiem aktualnego stanu społecznej, narodowej świadomości — i stąd właśnie tak wielkie jego znaczenie, iż jest rachunkiem trafnym. Natomiast — przy wielu świetnych fragmentach — powieść ta jest literacko „puszczona”, niedomknięta, znać w niej pośpiech, niecierpliwość artysty. W miarę przybliżania się ku dniom dzisiejszym ten sposób pisania staje się stałym elementem naszej literatury. Przy czym charakterystyczne, że mniej to widoczne na emigracji, gdzie okoliczności pozwalają pisarzowi zachować dystans: stąd i ważne i dobre utwory J. Mackiewicza, Miłosza („Dolina Issy”), Gombrowicza, Herlinga-Grudzińskiego, Vincenza, także ostatnie — choć nie w tej klasie jednak — Grynberga, przedtem zaś Hłaski. To proza relacjonująca narodowe doświadczenia, zarazem jednak zwracająca uwagę na zagadnienia formy. Tyle tylko, że — siłą rzeczy — nie mogąca ogarnąć polskiej współczesności, zdarzeń żywej, dziejącej się historii. Natomiast w opisie realiów sobie znanych, widzianych obecnie z dystansu, jest niedoścignionym wzorcem dla prozy krajowej. Często jednak, co widać, autorzy nie zawierzają wyłącznie pamięci i sięgają do dokumentów, źródeł historycznych, ówczesnej prasy itd. To jest właśnie problem warsztatowy: zdawanie sobie sprawy z faktu, że nie tylko pamięć i własne odczucia, lecz również żmudna praca dokumentacyjna stanowią o możliwości wypowiedzenia prawdy o epoce.

Tej pracy w krajowej prozie nie widać. Autorzy zawierzają pamięci, zawężając tym samym perspektywę do własnego, niezwykle nasyconego emocjami punktu widzenia. Otrzy-

ujemy zatem książki, które na ogół nie są w stanie ogarnąć większej panoramy społecznej, zamykają przestrzeń utworu w jednym środowisku, zawieszając bohaterów w próżni.

V

Do tego wszystkiego dodać trzeba swoistą niekompetencję krytyki literackiej. Nie mówię tu o krytyce wobec władz usługowej, ograniczającej się do ideologicznej interpretacji utworu. Nie mówię też o krytyce „akademickiej”, ostatnio zdominowanej przez „strukturalną” szkołę analizy i ograniczającej się do rozbioru utworów na czynniki pierwsze. Mówię natomiast o krytyce, która ma być pomostem między utworem a jego potencjalnymi czytelnikami.

Takiej krytyki po prostu nie ma. Czytając recenzje i omówienia książek wiem z grubsza, czy utwór w interpretacji danego krytyka jest „słuszny”, czy „niesłuszny”. Wiem także, z jakich elementów jest zbudowany, czasami dowiaduję się czegoś o zastosowanej technice pisarskiej. Nie wiem natomiast niemal nigdy, czy krytyk uważa książkę za złą, czy za dobrą, czy mu się podobała, czy nie. Tego rodzaju wartościowanie po prostu przestało istnieć.

Wynika to przede wszystkim z nieobecności wizji naszej literatury, z braku syntezy pisarskiego dorobku lat ostatnich. Dominuje krytyka recenzencka — od utworu do utworu — która każdą omawianą książkę traktuje osobno, izoluje ją z całości życia literackiego.

Krzysztof ZAWRAT

Uwagi o sytuacji książki emigracyjnej

W teorii sytuacja książki emigracyjnej powinna być dobra. Nie tylko Miłosz, ale i kilku innych pisarzy emigracyjnych wybija się na pierwszy plan powojennej literatury polskiej i prawdopodobnie lepiej oprze się próbie czasu od licznych wielkości krajowych. Gdy w końcowym rozdziale moich „Szkiców o lite-

raturze emigracyjnej" nazwałam ją literaturą nadziei, nie przypuszczałam, że tak szybko znajdzie to konkretne potwierdzenie. Jest sprawą niezmiernie wagi, że ku Emigracji kierują się obecnie oczy Kraju a młodzi pisarze wysoko sobie cenią nie tylko przedruki, ale nawet drobne wzmianki o ich utworach.

Mimo tej dobrej koniunktury, na rynku (?) wydawniczym emigracyjnym dzieje się źle. Zawaliły się *Wiadomości* i „Oficyna Poetów”, nekrologi w *Dzienniku Polskim* są widomym znakiem kurczenia się *hard core* czytelników i prenumeratorów. Przedruki z samizdatów i coraz żywsza współpraca pisarzy krajowych wpływa dobrze na poziom np. *Tygodnia Polskiego*, ale równocześnie ogranicza pole działania niedobitków ze Związku Pisarzy. Czytelnicy emigracyjni są wyraźnie zdeorientowani. Wysokie ceny prenumerat pism i książek działają prohibicyjnie. Kwitnie *black-lending* — wypożyczanie z rąk do rąk bez pośrednictwa bibliotek i z unikaniem zakupu książek (z wyjątkami, o których niżej).

Wydawców emigracyjnych jest formalnie sporo, ale zdecydowana większość opiera się na subsydiach lub pokrywaniu kosztów druku przez autorów lub ich przyjaciół. Mogłabym to potwierdzić przykładami, ale powstrzymuję się od tej formy „działalności na szkodę kultury polskiej”, gdyż tak (sic!) określono niewinną wzmiankę na ten, jak się okazuje, drażliwy temat. Te sposoby finansowania wydawnictw: 1) ograniczają możliwości druku tekstów nie wchodzących w zakres działalności „sponsoringu”; 2) sprawiają, że ukazują się stosunkowo wiele tekstów, które nazywam „wydawnictwami prywatnymi” o bardzo nierównej wartości. O wydaniu ich decydują często sentymenty rodzinne albo dbałość o przekazanie potomności swego dorobku. Najlepiej wygląda sytuacja na odcinku pamiętników, bo każdy niemal jest na swój sposób wartościowy jako materiał dla przyszłych historyków. Trwałą wartość mają też teksty pozaczasowe np. przekłady klasyków.

O honorariach autorskich lepiej nie mówić. Żyć z pióra można tylko w warunkach tego, co Alicja Iwańska określa jako dwutorowość, tj. przy łączeniu twórczości własnej z zajęciem zarobkowym. Ale to był los wielu wybitnych pisarzy z T. S. Eliotem na czele. Miłoszowi nie zaszkodziła profesura!

Kolportaż wygląda fatalnie. Jest jednak kilka placówek księgarskich wywiązujących się wzorowo z zamówień, zwłaszcza w zakresie nowości ogłaszanych lub omawianych w pismach emigracyjnych i nielicznych niestety katalogach. W czasie pracy w Bibliotece Polskiej w Londynie mogłam obserwować wpływ recenzji a nawet najdrobniejszych wzmianek, zwłaszcza polemicznych, na żądania czytelników. Obecnie, jak mi donoszą, potwierdziło się to w odniesieniu do Miłosza. Mówi się jednak, że wydawnictwa Instytutu Literackiego są zbyt mało reklamowane. Brak ogłoszeń w *Dzienniku Polskim*, *Srodzie Literackiej*, *Tygodniu*.

Subskrypcje są bronią obosieczną. Cytowany przez p. Jurkszus-Tomaszewską przykład udanej subskrypcji na wiersze Wierzyńskiego bynajmniej mnie nie przekonuje, bo wiem ile setek godzin pracy włożył ambitny poeta w pisanie do przyjaciół i zjednywanie subskrybentów. To był odosobniony wypadek. Akcja subskrypcyjna „Veritasu”, po dobrym starcie, załamała się w latach złej koniunktury. Serie Polskiej Fundacji Kulturalnej „grają” lepiej dzięki dbałości o recenzje i stałe przypomnianie w ogłoszeniach. Książki PFK są przy tym stosunkowo tanie. Przedruki subskrypcjom przemawiają „wpadki” — tak np. przepały wpłaty na zapowiadany przez śp. Stanisława Lema słownik pisarzy współczesnych (emigracyjnych). Subskrypcje wymagają ogłoszeń, ulotek itp. — nie wydaje mi się, by były opłacalne.

O powodzeniu książek decyduje ich jakość i aktualność. *Exemplum*: „Kurier z Warszawy” Jana Nowaka (temat), Miłosz (Nobel), do niedawna Papież (ale ponoć nie idzie już teraz każde wydawnictwo o Janie Pawle II). Wiele wartościowych książek przechodzi niestety bokiem (Vincenz, Wat). Przedruki czasopism krajowych, zwłaszcza *Zapisu*, cieszą się powodzeniem, choć mówi się już dziś, że są spóźnione w stosunku do szalonego tempa wydarzeń. Nadążają za nim raczej pisma (*Kultura*, *Tydzień Polski*, podobno *Nowy Dziennik* nowojorski; brak rozeznania sytuacji krajowej przyspieszył kłeskę *Wiadomości*). Opowiadam się raczej za antologiami tekstów z krajowych samizdatów — przewiduję zresztą, że będzie ich mniej, bo już teraz widzę nazwiska „trędowatych” w *Polityce* a nawet *Miesięczniku Literackim*, nie mówiąc o *Twórczości*. Przewiduję zwiększenie poczytności wydawnictw krajowych. Obecnie nawala ich kolportaż, są minimalnie ogłaszane (drobne ogłoszenia w *Dzienniku Polskim*, katalogi „Orbisu”) — i są nieproporcjonalnie do wartości złotego drogie.

W Kluby Książki nie wierzę. Trzeba mieć oparcie typu *Readers' Digest*.

Wieczory autorskie pomagają w sprzedaży książek.

Powieści odcinkowe są czytane, ale widać brak nowych tekstów, bo np. *Dziennik Polski* wrócił do przedruków klasyków.

Fundacje nie mają wpływu na ruch wydawniczy. Działa jedynie Fundacja Lanckorońskich, finansująca poza wydawnictwami własnymi wydanie dokumentów AK, esejów Wieniewskiego i wielu innych. Stosunkowo dobre rezultaty dają wydawnictwa oparte o własne organizacje, np. koła pułkowe, rodzaje broni albo konkretne wydarzenia (np. zjazdy).

Czy istnieje cenzura na emigracji? Formalnie *nie*, a w praktyce *tak*. Zmniejszyła się co prawda ilość tabu, ale dotąd wiszą w powietrzu echa ataków na Józefa Mackiewicza, Jerzego Kościńskiego. Nietykalny jest nadal „polski Londyn” i jego grzechy śmiertelne.

Sądząc z rozmów z „krajowcami”, omówienia książek emigracyjnych nadawane są zbyt skąpo. Odnosi się to zarówno do BBC jak i do RWE.

Przekłady książek autorów polskich są potrzebne i pożądane.

Poczytność pisarzy współczesnych, zarówno krajowych jak i emigracyjnych, jest w wysokim stopniu zależna od ilości egzemplarzy łatwo dostępnych (w księgarniach i bibliotekach). Bardzo pomaga możliwość przejrzenia książki przed jej ewentualnym zakupieniem. To była jedna z atrakcji Kiermaszów Kazimierza Vincenza. Na terenie Londynu podobną akcję prowadził zmarły w ub. roku inż. Krynicki w kiosku „Ogniska Polskiego”. Parafie rozprawdzają sporo książek, zwłaszcza o tematyce papieskiej.

Od piszących kobiet szary czytelnik oczekuje beletrystyki. Ale właśnie tego typu książki są szczególnie źle reklamowane i rozprawdzane. W prasie rzadko zdarzają się wywiady z pisarzami obu płci. Rozmowa Pietrkiewicza z Panufnikiem wywołała zainteresowanie twórczością tego pierwszego. Jego książki angielskie (z doskonałym „Inner Circle” włącznie) są czytelnikom nieznane (jeden egzemplarz archiwalny w Bibliotece Polskiej!), to samo książka o Mariawitach, która w wersji polskiej byłaby sensacją. Wieczory autorskie Romanowiczowej, Anny Frajllich, Iwańskiej obudziły zainteresowanie tymi autorkami.

Dezyderat dodatkowy: w okresie budzenia się żywszego zainteresowania literaturą emigracyjną w Kraju potrzebne są przedruki książek wyczerpanych. Większość *best-seller'ów* emigracyjnych to książki wyczerpane: Bobkowski, Chciuk, nawet Hłasko nie istnieją na półkach księgarskich.

Maria DANILEWICZ ZIELIŃSKA

21. II. 1981

KS. PROF. JÓZEF TISCHNER

POLSKI KSZTAŁT DIALOGU

Jeden z najwybitniejszych polskich filozofów współczesnych omawia historię polskiej konfrontacji chrześcijaństwa i marksizmu, dialogu, w którym wyboru dokonywał naród — nie filozofowie...

Cena egzemplarza F. 30,00, £ 3.00, \$ 7,00, DM 15,00.

Zamówienia oraz wpłaty na fundusz wydawniczy prosimy kierować na adres:

Edition SPOTKANIA

64, Av. Jean-Moulin lub
75014 Paris.

SPOTKANIA

15, Broxholm Rd.
London SE27

Wołanie na puszczy

Entuzjazm i niemożność czyli młyn polski

Warszawa, 22 maja 1981.

Dynamika wydarzeń polskich fascynuje i wciąga, niemożność ruszenia z miejsca pewnych spraw podstawowych, dotyczących ustroju (systemu, jak się u nas mówi z ostrożnością) niepokoje i zasmuca. Krążymy wciąż między entuzjazmem a obawami: Gombrowicz napisał, że życie polskie to młyn, który zmiele wszystko. Istotnie — żyjemy w tym codziennym młynie, gdzie nie ma dziś miejsca na życie prywatne ani na myślenie pozaczasowe. Wszyscyśmy politycy — chcemy czy nie chcemy.

Źródło dynamizmu to długo tłumione a teraz nagle rozkwitłe poczucie świadomości narodowej — odzyskiwanie własnego języka, historii, samodzielności myśli, prawa nazywania rzeczy po imieniu. Tego nie doceniają na Zachodzie, gdzie sprawę polską dzisiaj rozpatruje się z punktu widzenia polityki zagranicznej (Rosja) i problemów ekonomicznych, zupełnie pomijając fakt najważniejszy: dynamizm psychologiczny buntu, który począł się z odrzucenia komunistycznej mowy obrzędowej czy „drętwej” i z powrotu do źródeł samodzielnego, narodowego myślenia. Inny język, niewiara w magiczną rzekomo siłę dotychczasowej propagandy, odrzucenie w słowie i w piśmie wszelkich tabu, oto olbrzymi atut nowego ruchu, atut na Zachodzie nie doceniany, tak jak nie doceniane było przedtem komunistyczne niewolenie mózgow przez monopol propagandy. A wszakże dla komunistów propaganda jest zawsze najważniejszym instrumentem rządzenia — ważniejszym nawet niż policja czy monopol gospodarczy.

Nowy język, nazywający wszystkie rzeczy po imieniu, stał się nagle powszechną, masową własnością, tak poza partią jak i w partii, bezradni wobec niego okazują się działacze dawnego typu z sekretarzem Kanią na czele, który mocno napocić się musi na burzliwych, prawdomównych zebraniach partyjnych przed zjazdem, gdzie go nikt nie oszczędza. To są właśnie owe

tajemniczo nazwane „struktury poziome” w partii, czyli po prostu normalna demokracja, do której włączyła się młodzież. Bo rzecz przekształciła się również w konflikt pokoleń. Symbolem partyjnej konserwy stał się grubawy, szpakowaty facet w garniturze, najchętniej odczytujący z maszynopisu długie przemówienie. Ale nie pozwalają mu na to młodzi ludzie w dzinsach i z brodami, przerywający mu „gadkę” bez ceremonii i zarzucający go kłopotliwymi pytaniami, przy czym wszystko puszcza się na publiczny głośnik lub co najmniej nagrywa na magnetofon. Młodzież wszędzie jest jednakowa i jednakowo podniecona, czy to w „Solidarności” czy w związkach „brązowych” lub zgoła w partii. Ta młodzież najprawdopodobniej zaważnie lipcowym zjazdem PZPR — a to będzie heca! Niektórzy starzy totalistyczni wyjadacze pojęli już nieodwracalność całej sprawy i przeszli ostentacyjnie na stronę młodych — przykładem zadziwiająca wolta kutego wszak lisa — Andrzeja Werblana. Choć jeszcze mało kto mu wierzy...

Absolutne odrzucenie przez masę języka propagandy (praktykowanego jeszcze po trochu w telewizji a całkowicie, jako asekuracja wobec Ruskich, przez tzw. publicystów międzynarodowych) doprowadza do incydentów paradoksalnych. Wezwany na pomoc obłożonym w Otwocku milicjantom Adam Michnik, wielokrotny tychże milicjantów więzień, skutecznie uspokaja tłum słowami: „Nazywam się Adam Michnik, jestem siłą antysocjalistyczną”. Ta kpina z urzędowego określenia natychmiast zjednuje mu życzliwość tłumu: siła antysocjalistyczna czyli nasz człowiek! Zaś artykuły *Prawdy*, gdzie sytuacja w Polsce przedstawiana zostaje dokładnie odwrotnie niż ma się w rzeczywistości (biedni komunistyczni robotnicy, uciśnieni przez „Solidarność” i jej KOR-owskie kierownictwo) cytowane są dosłownie, jako fajerwerki komizmu, w licznych oficjalnych i nieoficjalnych kabaretach.

Bowiem granica między oficjalnym a nieoficjalnym ulega zatarciu, zwłaszcza wobec setek powielaczowych wydawnictw w związkach i na wyższych uczelniach, gdzie trwa też kampania wybierania nowych rektorów. Ale i prasa oficjalna (którą trudno dostać) odrzuciła wszelkie tabu, poza może Katyniem, i pisuje rzeczy niebywałe: przodują tutaj takie coraz bardziej krytyczne, znakomite pisma jak *Gazeta Krakowska*, *Kurier Polski*, studentki *I.T.D.*, odrodzona radiowa *Antena* etc. Cenzura interweniuje w nich mało, bojąc się buntu zecerów i skandalu — zresztą obecny „liberalizm” cenzury jest takim samym dowodem bezprawności jej działań jak uprzedni zamordyzm. W kształtującym się dopiero, ciekawym choć nierównym piśmie *Solidarność* (nakład pół miliona, redaktor Tadeusz Mazowiecki) ukazał się wywiad z młodym cenzorem, absolutnie pewnym wysokiego standardu swej inteligencji. Niezwykły to przykład degeneracji mózgow i atrofii moralnej, wywoływanej przez praktykowany *con amore* totalizm. Na to schorzenie nie pomoże wałkowana w sejmie ustawa o cenzurze, tu potrzeba specjalnej, indywidualnej tera-

pii psychologicznej wewnątrz tego nieprawdopodobnego, orwellowskiego Urzędu.

Ogólnemu, żywołowemu odnowicielstwu psychologiczno-politycznemu, przeprowadzanemu przez młodzież w dzinsach i wiatrówkach, próbują towarzyszyć środki masowego przekazu, radio i telewizja. Robią to po linii narodowo-solidarystycznej, w myśl hasła: kochajmy siebie i naszą narodową historię. Zaczęto od Konstytucji 3 Maja, do której przyznali się wszyscy dostojnicy z panem Jabłońskim na czele, niepomni tego, jak jeszcze przed rokiem brutalnie rozpędzono w Gdańsku 3-majową manifestację, zorganizowaną przez Ruch Młodej Polski (pismo *Bratniak*, polecam bardzo!). Z kolei przyszły sprawy bolesne i przygnębiające: zamach na Papieża i ciężka choroba Prymasa Stefana Wyszyńskiego, jednego z tak nielicznych, upragnionych w Polsce, nieskazitelnych autorytetów moralnych. Wielkie, spontaniczne manifestacje religijne i publiczne modły znalazły swe szerokie odbicie i w radio i w telewizji — tu „publikatory” były w pełnej zgodzie z narodem. Kolejna manifestacja: uroczyste obchody setnej rocznicy urodzin generała Sikorskiego (z pominięciem sprawy Katynia oczywiście), naturalnie znowu pod przewodnictwem wszędybylskiego pana Jabłońskiego. Był nawet w telewizji film z pogrzebu Generała, z Mikołajczykiem i Sosnkowskim, a jakże! Czego się nie robi dla zjednania narodu...

Na fali wolnościowych 100 polskich kwiatów objawiła się również nacjonalistyczna organizacja „Grunwald”. Poświęca się ona głównie dwum sprawom: niszczeniu legendy Piłsudskiego (Poręba, Filipiński, Gontarz) oraz antysemityzmowi. Co do Piłsudskiego, akcja ich jest beznadziejna. Był on wszakże, jest i będzie kochany, bo pierwszy to od czasów odsieczy wiedeńskiej Sobieskiego polski wódz, który legitymuje się wygraną wojną. Kościuszko, Poniatowski, Mierosławski, Traugutt to wszyscy bohaterowie batalii przegranych, za to Piłsudski w 1920 wygrał „jak drut” i przywrócił narodowi polskiemu wiarę w siebie. A co do antysemityzmu „Grunwaldu”, to jest on tchórzliwy. Na tablicy, umieszczonej przed dawnym Ministerstwem Bezpieczeństwa napisali, że oddają hołd ofiarom „syjonistycznej kliki” Bermana i Zambrowskiego. Nie mieli odwagi napisać „żydowskiej kliki”, ani „komunistycznej kliki”, ani „żydowsko-komunistycznej kliki”, lecz posłużyli się sowieckim, zastępczym i absurdalnym terminem „syjonistyczny”. To świadczy o dyspozycyjnym i dwuznacznym charakterze grupy. I pomyśleć, że wiceprezesem „Grunwaldu” jest znany nam skądinąd Kazimierz Studentowicz. *Habent sua fata...*

Dużo by jeszcze można mówić o duchowej odnowie, choćby na przykładzie rzeczywiście i pięknie odkłamującego swą przeszłość PAX-u, i to pod wodzą starego weterana Ryszarda Reiffa a ku zgorzeniu twardegłowych Przetakiewiczów i Dobraczyńskich. Ale przejdźmy do spraw prozaicznych, do spraw bazy gospodarczo-ustrojowej. Od entuzjazmu do... niemożności.

Kartki na mięso, tłuszcz, kasze, cukier miast uspokojenia

(jakie podobno od 20 lat wprowadził system kartkowy na Kubie...) zasiały nerwowość, zamęt, gniew, a uliczne ogony jeszcze się wydłużyły. Reforma cen spożywczych jest w tej sytuacji niemożliwa, a bez niej nie ma konkretnych instrumentów i bodźców planowego, gospodarczego działania. Na rynku brak coca-coli, piwa, kawy, papierosów, proszków do prania, lekarstw, ligniny, żarówek, pism, ryb, oleju, octu, serów, cukierków, czekolady, mąki, makaronu *et caetera*. Nie ma też nadziei na to, aby paczki żywnościowe z zagranicy nie tkwiły gdzieś w magazynach czy wagonach (patrz rozpaczliwy apel w tej sprawie pióra Stanisława Albinowskiego w samejże... *Trybunie Ludu*). A co będzie z pół miliona ton licząca pomocą amerykańską, zorganizowaną przez pana Piszka?! Strach pomyśleć! Zaś w magazynach zalega podobno angielski smalec i niemieckie masło, ale nikt nic pewnego o tym nie wie. Na ulicach pełno prywatnych aut (skąd benzyna?!), za to autobusów, kolei, samolotów coraz mniej. Dług zagraniczny rośnie i będzie rósł, boć bankrutować nie możemy. Spłaca go pewno nasze wnuki, przeklinając dziadów — kalwaryjskich. Ale jak spłaca?!

Wśród wielu rzeczy, których nie ma, brak jeszcze jednej: raportu o stanie gospodarki (choć istnieje bardzo dobry angielski raport prof. Portesa) — i reformy gospodarczej. Ciekawa to rzecz: ustrój komunistyczny u nas zbankrutował, ale mimo nieskończonych dyskusji nie wiadomo dotąd, czym go zastąpić. W historii, kulturze, propagandzie, życiu związkowym, piśmiennictwie, samorządzie etc. mamy koncepcje, w gospodarce — nie. Program „Solidarności” piękny, ale same to ogólniki i pobożne życzenia, podobnie jak program Partii, której niedalekim zjazdem zresztą nikt się specjalnie nie interesuje — poza Ruskimi. Trwa nieskończona dyskusja ekonomistów, ale są oni bez politycznej egzekutywy. Wszyscy zgadzają się, że odnowa ustroju ma mieć charakter „socjalistyczny”, ale nikt nie wie, co to znaczy, poza ochronnym na zewnątrz brzmieniem słowa. Oczywiście — żaden kapitalista (skąd go wziąć?!) nie przyjąłby z filantropii naszej przemysłowej masy upadłościowej: hut, farm, wytwórni dziwnych rzeczy („Polkolor”) — własność leży na ulicy, można projektować dowoli, ale z ekonomicznym rachunkiem nie ma to nic wspólnego. Podobno i stocnie nam się nie opłacają (!), i rybołówstwo, i rafinerie. Wszystko co państwowe drogo kosztuje, w kapitalizmie bankrutują producenci rzeczy niepotrzebnych, u nas zbankrutował — ogół. Zaś rzeczy niepotrzebne produkuje się nadal, nie sposób zatrzymać wielkich inwestycji, zarządzanych wciąż przez dawny aparat administracyjny (bo skąd wziąć nowy, robotnicy nie palą się brać odpowiedzialności za cudze grzechy). Nie sposób przeprowadzić najoczywistszych zmian przepisów, aby np. premie załogi nie zależały od zawyżenia kosztów produkcji. Nie sposób wprowadzić bodźców, które by skłoniły producentów do produkowania rzeczy najpotrzebniejszych, np. części zamiennych do traktorów. Nie sposób skoncentrować działań i siły roboczej na wybranych kierunkach, np. na węglu, o którym

tyle się krzyczy. Nie sposób uporządkować importu i coraz to jakaś produkcja staje z powodu braku zagranicznych drobiazgów. Machina produkcyjna kręci się siłą rozpędu w abstrakcyjnej, rynkowej próżni, a naród, upojony duchowymi wolnościami i rozdyktowany, bankrutuje z każdym dniem. Czy ktoś chce go może wziąć głodem? I jaka siła polityczna wyprowadzi kraj z produkcyjnej niemożności, skoro państwowy komunizm zbankrutował tak naocznie i dosłownie przy pierwszym swobodniejszym zetknięciu z wolnym światowym rynkiem?! Wiele tu pytań — i tajemnic. Boć sprawy gospodarcze tak są w komunizmie złożone i zawiłe, że, jeśliś prosty obywatel, to „bez wódki nie rozbieresz”.

Wszyscy liczą na dwa sektory, w których działają jeszcze autentyczni produkujący ludzie, nie zaś urzędy: na rolnictwo oraz prywatny sektor drobnej wytwórczości, handlu i usług. Oba te „sektory” podlegały w ciągu 35 lat przesładowaniu z marksistowskich względów doktrynalno-ideowych. W zniszczonej przez Niemców, pozbawionej kapitału i wielkich przemysłowców, przeniesionej w dodatku na nowe, spustoszone ziemie Polsce roku 1945 marksistowska doktryna poszukiwała na gwałt wroga klasowego. Zdecydowano się wreszcie na indywidualnego chłopca, którego nie po polsku przewano „kułakiem”, oraz na drobnych czy średnich wytwórców i usługowców czyli na jedyne dwie dziedziny, które w zniszczonym kraju jeszcze jako tako funkcjonowały. Epopeja wiejska, walka z kolektywizacją, z jej rozmaitymi etapami, jest znana, w rezultacie chłopca mimo wszystko zniszczyć się dotąd nie udało. Jest on dziś rzeczywiście nadzieją gospodarczej odnowy, jeśli nie będzie mu się rozmyślnie i uparczywie przeszkadzać, jak to do ostatniej chwili miało miejsce z blokowaniem powstania „Solidarności” wiejskiej. Dymisja z ZSL-u dyspozycyjnego wobec partii Gucwy jest tu dobrą wróżbą. Bardziej złożone i skuteczne było niszczenie drobnej i średniej wytwórczości oraz usług. Choć „Manifest Lipcowy” gwarantował im istnienie, od razu zaczęto je niszczyć bezprawnymi domiarami podatkowymi, upaństwowiać, przedstawiając społeczeństwu jako krwio pijców-paskarzy. Gomułka po 1956 przez chwilę łudził ich obietnicami poprawy sytuacji, aby niezadługo znów przejść do „walki klasowej”. Polikwidowano wtedy tak dziś brakujące prywatne młyny, kuźnie, cegielnie, masarnie, piekarnie, wiele zakładów rzemieślniczych o starej tradycji, zastępując je niesprawnym, wciąż reorganizowanym i dezorientowanym sektorem państwowo-„spółdzielczym”. Przetrwało niewiele, wśród nich sporo rzeczywistych „kombinatorów” czy ryzykantów, podejmujących pracę w państwowych agencjach, mnóstwo odeszło, straciwszy do marksistowskiego państwa zaufanie raz na zawsze. Czy uda się wskreszenie i odbudowanie niszczonej przez tyle lat żywej, samoczynnej tkanki społecznej, odtworzenie zdrowej, autonomicznej struktury klasowej i grupowej? Czy po 35 latach nie jest już na to za późno?

Bankructwo państwowej gospodarki i całego komunistycznego

państwa wskazywałoby na konieczność radykalnych przemian, bez względu na to, czy nowe struktury nadal, ze względów na polityczną ostrożność, będą czy nie będą nazywać się „socjalizmem”. Potrzebny jest jednak bardzo konkretny i radykalny program przemian, aby kraj, tak przecież zasobny i w surowce i w tereny rolne mógł stać się producentem z prawdziwego zdarzenia i dać możliwość działania tyłu zdolnym ludziom. Lecz siły politycznej, która odważyłaby się sformułować ten program nie widać: ogólnikami i dobrymi życzeniami zadowala się i „Solidarność” i Partia — nie tak to widać łatwo, mimo radykalnej zmiany klimatu, przerobić komunistyczne państwo na co innego. Lecz bez takiej koncepcji duszno tu i trwożnie, wolność duchowa wydaje się chwilową złudą, „ogólna niemożność” nieuniknionym przekleństwem naszego losu. Stąd miotanie się od nadziei do beznadziei, stąd ów polski młyn, co nas jednak wciąż miele, mimo wszelkich jakże wspaniałych i niespodziewanych darów Matki Fortuny. Ale na dalsze, niezbędne przemiany czekam wciąż jeszcze, i Wam tego życzę

KISIEL

TRZECIA WOJNA ŚWIATOWA

— pióra generała Sir John Hackett'a — to sensacyjna książka z gatunku współczesnej powieści polityczno-wojennej, która stała się światowym *bestseller'em* Nr 1 natychmiast po jej ukazaniu się w języku angielskim (patrz *Kultura* Nr 3, Paryż 1979). W języku polskim powieść ta ukaze się wiosną 1981 roku nakładem

LITERATURA Publishing Co.,
6201 Lexington Ave, Hollywood, CA, 90038 USA.

Cena: 14,50 dolarów.

W estetycznej szacie graficznej — edycja ta ukaze się w ściśle ograniczonym nakładzie — 500 egz. Zamówienia do realizacji przyjmujemy wyłącznie z przedpłata, stąd zastrzegamy sobie prawo do negatywnego załatwienia (tj. zwrotu wpłaty) późniejszych zgłoszeń.

Ci, co odeszli

Marynia

Swój piękny tom wspomnień „Europa w rodzinie” zakończyła Maria Czapska migawką pewnej nocy w rodzinnych Przyłukach z listopada 1914 roku: „W zenicie maleńki, krągły księżyc biegnął pośród lekkich obłoków. Gałęzie starych lip klaskały, zbijane wichurą. Mroźna, szumna noc, ogrom nieba i żarliwe pragnienie pełni życia, oby nic mi nie było oszczędzone, ani ból, ani trud”.

Historia spełniła to życzenie siedemnastoletniej Maryni zapewne ponad jej najmielsze oczekiwania. Ścisłej mówiąc, dała jej pełne możliwości rozwoju indywidualnego, wcześniej ją uwalniając od ciężaru klasowych i materialnych przywilejów, zdając ją i jej rodzeństwo na własne siły, własną odwagę, własną wyobraźnię. Pięć siostr i dwaj bracia, w dzieciństwie osieroceni zgonem matki, pozostali zawsze blisko ze sobą związani, ale los sprawił, że koleje życia Marii i Józefa potoczyły się równoległe od zarania aż po wspólne mieszkanko „na górze” w domu *Kultury*. Los ten spowodowany był niewątpliwie podwójnym pokrewieństwem między nimi, gdyż związek krwi utrwał się z latami w bliski związek duchowy między tymi dwiema równie silnymi i odmiennymi indywidualnościami. Pisząc te słowa nazajutrz po śmierci Maryni, nie będę się tu porywał na pobeżny zarys jej długiego i niezwykłego życia. „Europa w rodzinie” i „Czas odmieniony” Marii Czapskiej, „Wspomnienia starobielskie” i „Nieludzka ziemia” Józefa Czapskiego, wspólnie przez nich napisany „Dwugłos wspomnień” dają w sumie niemal pełną kronikę „na dwa fortepiany” losów brata i siostry od urodzenia aż po rok 1945. Kontrast między pięknym, klasycznym stylem Marii, opartym na metodzie doświadczonej archiwistki, autorki szeregu książek i szkiców historyczno-literackich, wysoko cenionych przez najwybitniejszych polskich specjalistów i spontanicznym, barwnym, nerwowym słowem Józefa, stanowi jeden z uroków tej podwójnej autobiografii, którą dopełni niedługo od dawna oczekiwany „Dziennik” brata, prowadzony na nowo od ostatniej wojny, jego dzieło pisarskie najbliższe chyba mistrzostwa rysunków, przeplatających rękopis.

W zakończeniu mego artykułu dla *Kultury* o „Europie w rodzinie” pisałem, że Maria Czapska jest najciekawsza i najbardziej wzruszająca kiedy opisuje własne dzieciństwo: „Dzieci bywają nieraz przejrzyste. Ale rzadko się zdarza, aby osoba dojrzała potrafiła przekazać równie bezpośrednio i bez cienia jakiegokolwiek stylizacji istotę swych dzieciennych przeżyć. Maria Czapska tego dokonuje — gdyż mądrość i przejrzystość idą u niej w parze”. Dodam dzisiaj, że Maria Czapska należała do tej niezmiernie rzadkiej kategorii ludzi, którzy są wprost psychicznie niezdolni do zakłamania, nawet w najbardziej złagodzonej, towarzysko powszechnej formie. Świadczy o tym w jej twórczości „Ludwika Śniadecka”, książka za którą otrzymała przed wojną nagrodę *Wiadomości literackich* — ówczesny polski ekwiwalent *Prix Goncourt*. Gustaw Herling-Grudziński tak pisał o drugim, rzymskim wydaniu tej książki: „Jest to na pewno jedna z najlepszych polskich monografii historycznych. Czapska jest tak czujna i tak wrażliwa, tak sprawiedliwa i bezinteresowna, że wydaje się jak gdyby sama uczestniczyła *ex post* w sprawach i zdarzeniach, które opisuje”. W przedmowie do swych świetnych „szkiców mickiewiczowskich” pisze sama Czapska: „Pracując nad Mickiewiczem i jego epoką starałam się docierać do istoty rzeczy każdego zagadnienia w przekonaniu, że zbliżenie do prawdy i jawność są wymowniejsze i moralniejsze od przemilczeń, legend i niedomówień”. I cytuje to powiedzenie Słowackiego, godne Kierkegaarda: „Mickiewicz stale reputację rozsądnego człowieka na szwank wystawia, bo mu Bóg miłszy, niż reputacja”.

Myszę, że to zamiłowanie do prawdy tak związane z nietkniętą u niej przyjrzytością dzieciństwa leżało u sedna tego rzadkiego talentu przyjaźni, który dzieliła ze swym bratem. Marynia i Józio byli bliskimi przyjaciółmi ludzi o czterdzieści lat od nich starszych i o pięćdziesiąt lat od nich młodszych. Najdziwniejsze jednak, że było to *na równej stopie* zarówno z Dymitrem Mereżkowskim czy Danielem Halévy (w stronę wieku XIX), jak z Adamem Michnikiem czy Wojciechem Karpińskim (w stronę wieku XXI). We wczesnej młodości byli na tyle „dojrzałi”, przekroczywszy osiemdziesiątkę na tyle „młodociani”, aby przyjaźń prawdziwa i wzajemne zaufanie niweczyły tak często nieprzekraczalną „granicę wieku”.

Za parę dni spocznie Marynia na wiejskim cmentarzyku w Le Mesnil-le-Roi, w pobliżu Zygmunta Hertza, który często do niej „na górkę” zachodził. Po jego śmierci ukazało się w *Res Publica* wspomnienie o nim, podpisane inicjałami R.S., którego młody autor w kapitalnym skrócie przedstawił ustrój „udzielnego księstwa na Maisons-Laffitte” i niezastąpioną w nim rolę Zygmunta. Marynia dalej stała od pisma, aby dojść do jej naróżnego pokoju na szczycie domu trzeba było przejść obok pracowni Józia, wdrapać się o piętro wyżej, przesłiznąć przez wąski korytarz. Jak często się zdarza, rola Maryni w środowisku *Kultury* odpowiadała topologii domu: zasiadając naprzeciw niej w

głębokim fotelu, inną miarą sądziło się wypadki dnia, czy nawet lat. Gościa witał przejrzysty uśmiech, rozjaśniający piękną, klasyczną twarz tej starszej i tak młodej pani, dla której Mickiewicz czy Norwid byli równie bliscy i znajomi jak jej współcześni. Maryni można było wyznać wszystko co człowiekowi leżało na sercu i spotkać się z tym samym, zawsze żywym zrozumieniem. Tolerancja jej nie znała granic, może dlatego że będąc sama człowiekiem prawym i mądrym nigdy nie zapominała, że — jak pisał Mickiewicz do przyjaciół cytując „Naśladowanie”: „Ludźmi jesteśmy i tylko ludźmi ułomnymi, choćby nas inni brali za aniołów”.

K. A. JELEŃSKI

Paryz, 12 czerwca 1981

ZAPRENUMERUJ

ZESZYTY HISTORYCZNE

Jedyny, niezależny kwartalnik poświęcony najnowszej historii Polski.

Dzisiaj, kiedy średnie i młode pokolenie nie tylko w Polsce ale i na Zachodzie, coraz mniej wie o historii swego narodu, albo nieświadomie ulega jej fałszowaniu w Kraju lub równie szkodliwym mitom patriotycznym na Zachodzie — istnienie tego wydawnictwa jest niewątpliwie koniecznością. Niestety — choć nie brak nam komplementów czy słów uznania — brakuje ciągle dostatecznej ilości prenumeratorów, aby nie tylko utrzymać ale i rozbudować **ZESZYTY HISTORYCZNE**.

Przy rosnących kosztach druku i stosunkowo niskiej cenie tylko kilkuset nowych prenumeratorów może być prawdziwą pomocą.

Roczna prenumerata w r. 1981 wynosi F. 180 (\$ US 45; \$ Can. 50) a dla prenumeratorów *KULTURY* F. 160 (\$ US 40; \$ Can. 45), za 4 zeszyty, zawierające każdy 240 stron.

Książki

„Populorum regressio” Zinowiewa

Aleksander Zinowiew — rosyjski logik, metodolog nauki i przymusowy emigrant (od trzech lat na Zachodzie) jest pisarzem tak płodnym, że przeciętny czytelnik z trudem dotrzymuje mu kroku. Od czasu swego debiutu powieściopisarского („Przepasne wyżyny”, 1976) wydał następujące pozycje beletrystyczne: „Światłana przyszłość”, „W przedsionku raju”, „Notatki nocnego stróża” i 2-tomowy „Żółty dom”; poza tym — w wersji rosyjskiej, zawsze w tym samym wydawnictwie *L'Age d'Homme* w Lozannie — ukazały się książki publicystyczne i socjologiczne „Bez iluzji”, „My i Zachód” i „Komunizm jako rzeczywistość”*. Ta ostatnia rzecz jest szczególnie godna uwagi, ponieważ zawiera podsumowanie poglądów Zinowiewa na Związek Sowiecki i komunizm i można ją uważać za przewodnik po innych jego książkach. Przewodnik taki ułatwia uchwycenie podstawowych linii jego utworów beletrystycznych, które — pomijając rozmiary — pisane są techniką składankową (dziesiątki i setki drobnych rozdziałków) i rozgrywają się zazwyczaj na kilku poziomach (opowieści satyryczno-fantastycznej, wspomnień wojennych, komentarza socjologicznego i rozważań filozoficznych).

„Rzeczywistość” jest terminem wieloznacznym i z lekka demagogicznym, sugeruje bowiem jedną tylko interpretację i to taką, jaką dany opisujący autor nam przedkłada. Intencją Zinowiewa przy wybieraniu tytułu było jednak zapewne nie tyle narzucanie swej interpretacji czytelnikowi, co zwrócenie uwagi na swoistość komunizmu, jego nieporównywalność z innymi systemami społecznymi istniejącymi obecnie na świecie i — co za tym idzie — rozpatrywanie go jako układu o własnej dynamice i celach. Zinowiew uważa komunizm (czy też: zrealizowany socjalizm) za zwycięstwo tendencji stadnej, komunalnej i przeciwstawia go cywi-

lizacji *tout court*, czyli tendencji do borykania się z rzeczywistością samodzielnie, na własne ryzyko, ale też i przy zachowaniu suwerenności osobistej. W pewnym uproszczeniu koncepcje „tendencji stadnej” Zinowiewa można przedstawić jako jeden z dwóch możliwych wyborów grupy ludzkiej, zmuszonej przez okoliczności do wspólnego działania w świecie: członkowie jej mogą albo skierować swą aktywność na zewnątrz, zachowując maksimum w danym wypadku możliwych swobód wewnątrz grupy, albo też skoncentrować się na wewnętrznej sytuacji, to znaczy traktując innych jako część swego otoczenia, które należy użytkować dla zapewnienia sobie bezpieczeństwa i dobrobytu. Ta druga opcja jest często idealizowana — w formie utopii, ideologii lub demagogii, przy czym podkreśla się tylko jej strony pozytywne: solidarność, „troskę o człowieka”, zapewnienie minimum życiowego i w ogóle tzw. sprawiedliwość. Negatywne strony takiej organizacji społecznej pojawiają się dopiero w praniu, tzn. kiedy całe społeczeństwo zostanie już połączone w jeden kłęb sposobem, jaki ilustruje okładka omawianej książki (również pędzla autora): przedstawia ona dwa szcury związane ze sobą ogonami, ściskające sobie czule prawe łapki i duszące się wzajemnie lewymi. Nie jest to pozycja, pozwalająca na wydajną pracę, ale za to prowadząca do upowszechnienia relacji *subordynacji*, porządkującej stado w kierunku horyzontalnym; szcury silniejsze i bardziej bezwzględne znajdują się po pewnym czasie na górze. Przy bardzo dużej ilości szcurek powstanie piramida, w której każdy kogoś dusi i z każdym jest związany, ale w której mimo wszystko lżej się oddycha i bardziej korzysta ze świata na górze (gdzie duszących jest mniej) niż na dole.

I ten obraz jest jeszcze nie całkiem zgodny z koncepcją Zinowiewa: ilustruje on tylko to, co autor nazywa *podstawową komórką stadną*. Może to być biuro, fabryka lub instytut naukowy, chodzi o to, by komórka taka była względnie samodzielna i dysponowała pewnymi środkami materialnymi. O ile stanowi ona część społeczeństwa zorganizowanego stadnie, czyli komunistycznie, nie będzie ona w zasadzie w ogóle zmuszona do zajmowania się rzeczywistością zewnętrzną — coś tam będzie się produkować lub badać, ale przy braku konkurencji „cywilizowanej” wydajność może być niska (byle wszystko zgadzało się na papierze) — natomiast walka o miejsce w hierarchii i związane z tym korzyści będzie się tam toczyła stale i bez litości. Podstawowym przykazaniem takiej komórki — i zorganizowanego z takich komórek społeczeństwa — jest: „grupa jest ważniejsza od jednostki”. Przykazanie to zapewnia przetrwanie i rozrost danej komórki (i danego społeczeństwa) i z tego też względu jest akceptowane przez wszystkich, którzy profitują lub zamierzają profitować z tego układu stosunków. Osobników takich jest wielu, gdyż każdy kto zdaje sobie sprawę, że samodzielnie nie potrafiłby dojść do niczego, albo że musiałby wysilać o wiele bardziej niż dotychczas, albo boi się ryzyka świadomie lub podświadomie lgnie do stada i zwiększa jego siłę.

* A. Zinowiew, *Komunizm kak realnost'*, Editions L'Age d'Homme, Lausanne 1981, str. 230.

Wobec dominującej — bo życiowo ważnej dla każdej jednostki — tendencji do subordynacji („albo ja jego, albo on mnie zgębi”), *koordynacja* jest zawsze tylko chwilowa, nietrwała i „taktyczna”. Pozorne ciepło „zwartej wspólnoty” generowane jest przez dwie obsesje władające każdym z jej członków: „żeby nikt na tym samym szczelbu nie miał lepiej niż ja” oraz „żeby ja miał lepiej niż wszyscy inni na tym samym szczelbu”. Praktyczną konsekwencją pierwszej obsesji jest utracanie wszelkich potencjalnych konkurentów, czyli stałe, przewencyjne ściąganie wszystkich lepszych w dół, a konsekwencją drugiej: pchanie się w górę, przy czym zgodnie z podstawowym przykazaniem własne interesy należy przedstawiać jako interesy ogółu. Rozmiarów obłudy, intryg, delatorstwa, *oczkowtiratelstwa* i innych nieproduktywnych i kontraproduktywnych zjawisk jakie powstają w takim układzie podkreślać nie trzeba.

Komunizm chełpi się zniesieniem własności i jakoby likwidacją przez to „wyzysku człowieka przez człowieka”. Zinowiew stwierdza, że istotnie: *własność* została w tym systemie zniesiona, ale jej miejsce zajęło władanie. „Są panowie, nie ma gospodarzy”. Bycie panem oznacza, że ciągnie się korzyści z powierzonej sobie części dóbr (z przynależnymi do niej ludźmi), a równocześnie nie ponosi się za nią odpowiedzialności: decyzje podejmowane są „kolegialnie” (co nie znaczy: demokratycznie, bo na skład kolegium „doły” nie mają żadnego wpływu), a zatem anonimowo. Na wyższych szczeblach decyzje nazywają się już w ogóle tylko „wytycznymi” lub „postanowieniami”, tzn. określa się w nich mgliście cele, ale nie podaje środków do ich osiągnięcia, toteż w razie klęski zawsze można zwalić winę na podwładnych. Władza tego typu jest wszechmocna w sensie negatywnym: niszczenia, eksploatacji, marnotrawstwa, ucisku, likwidowania inicjatywy, a bezsilna w sensie pozytywnym, bo nawet tzw. dobre intencje poszczególnych jednostek nie mogą przezwyciężyć bezwładności całości.

Zinowiew rozpatruje dojrzały komunizm jako samosterujący się układ, w którym automatycznie powstają urzędy i tendencje, eliminujące zagrożenia istniejącego stanu rzeczy. Takim wewnętrznym zagrożeniem mogłoby być np. powstanie większej grupy ludzi niezależnych od kolektywów (drobnych przedsiębiorców prywatnych czy choćby rzemieślników indywidualnych); wiadomo jak komunizm reaguje na to zjawisko. „Prawo do pracy” czyli jej przymus jest w istocie wcielaniem w stado. Zagrożeniem zewnętrznym układu jest właściwie całe jego otoczenie, *jeszcze* nie poddane komunistycznemu ładowi — szczególnie Zachód, pobudzający do rozmyślań i nasuwający nieprzychylnie porównania. Toteż, zdaniem Zinowiewa, tendencja do likwidacji cywilizacji zachodniej (przybrana w ideologiczne ozdóbki w rodzaju „wyzwolenia od wyzysku”) jest głównym i w zasadzie jedynym rzeczywistym celem Związku Sowieckiego w tej chwili. I będzie nim, dopóki ten system będzie istniał.

Co można by zrobić, żeby przestał istnieć? Tutaj Zinowiew

nie daje wyraźnej odpowiedzi — jedynie zaleca, by przeciwstawić mu się wszędzie, za wszelką cenę, ponieważ porusza się on siłą bezwładności i — jak ciecz — wszędzie gdzie znajdzie najmniejszą możliwość penetracji, wnuknie i zmoczy.

Jak się wydaje, Zinowiew widzi tylko możliwość powolnej ewolucji tego systemu, ponownego powstania cywilizacji, a więc właściwie powtórzenia historii ludzkości na całym obszarze opartym przez „stadność”. Powtarza wielokrotnie, że jest to proces, który wymaga „stuleci i ofiar”.

Książka pisana była w drugiej połowie 1979 i na początku 1980 roku, nie uwzględnia więc wypadków w Polsce. Rozważając różnice między ideologią a religią Zinowiew wspominał też wizytę Papieża w Polsce i rolę Kościoła w tym kraju — ale raczej jako zjawiska szczególne i ograniczone do nietypowego obszaru (swoje uogólnienia buduje on wyraźnie na obrazie społeczeństwa sowieckiego). O ile chodzi o Rosję (czy też: Związek Sowiecki) autor jest skrajnie pesymistyczny, choć odżegnuje się ciągle od tej kwalifikacji. Jego zdaniem komunizm nie da się zlikwidować, tak jak można było zlikwidować nazizm, ponieważ nie można w nim oddzielić „złej władzy” i „dobrego narodu” — jest to jedna całość, którą można tylko zniszczyć („a co wyrośnie na gruzach, trudno powiedzieć. Najprawdopodobniej komunistyczne społeczeństwo takiegoż typu, być może — z jeszcze okrutniejszym reżymem”), lub też — walczyć w nim samym o odtworzenie cywilizacji. Czyli czekać stulecia.

Obraz przedstawiony przez Zinowiewa jest jeszcze bardziej przynębiający, niż „1984” Orwella, bo oparty na większej ilości danych rzeczywistych. Mimo to warto może przypomnieć reakcję tegoż Orwella na pierwsze wydanie „Rewolucji menadżerskiej” Burnhama (w której postęp faszyzmu na świecie uznany został za nieunikniony): „Burnham popełnia pospolity błąd intelektualny przyjmując, że to co istnieje w danej chwili będzie trwało zawsze”.

M. BRŃSKI

"Zmierzch"

Kolejny to już — jeśli nie liczyć wyboru wierszy — tom poezji Marka Skwarnickiego. Urodzony w roku 1930, należy on do tej grupy poetów „pokolenia 56”, których pierwsze zbiorki złożyły się na drugą falę debiutów tej generacji. Pierwszą falę tworzyły głośne i szeroko wówczas komentowane tomy Grochowiaka, Drozdowskiego, Harasymowicza, Czyzka i Brylla. W tym

też czasie debiutowali książkami poeci starsi — Herbert i Białośzewski. W ich cieniu wkraczali na literacką arenę poeci mniej głośni: Balcerzan, Trznadel, Łukasiewicz, Iredyński, Śliwonik, Pollakówna, Skwarnicki czy tragicznie zmarły na wychodźstwie Ośniałowski. Nie towarzyszyła im, jak czołowce pokolenia, wrzawa krytyki literackiej. Nigdy też — poza nielicznymi wyjątkami — nie skupiali na sobie uwagi czytającej publiczności. Ostatnio jednak coraz liczniejsi przedstawiciele tej grupy stają się przedmiotem zainteresowania. Julian Rogoziński poświęcił interesujący szkic poezji Joanny Pollakówny, sporo pisano o ostatnich tomach Romana Śliwonika, małą sensacją literacką stały się niedawno nowe wiersze Bogdana Justynowicza. Również nowy tomik Marka Skwarnickiego — „Zmierzch”* — jest książką znaną i docenianą. Debiutował w roku 1961 zbiorkiem „Papierny dzwon”. Dwa następne tomiki — „Rdza” i „Cierń” — ukazały się w latach 1967 i 1971. „Zmierzch” ukazał się zatem po ośmioletniej przerwie. Poezja nie jest jedyną dziedziną twórczości Skwarnickiego — uprawia również prozę i felietonistykę. Od lat związany jest z zespołem redakcyjnym *Tygodnika Powszechnego*, w którego niemal każdym numerze zamieszcza krótkie, zwarte felietony podpisane pseudonimem Spodek. Wiersze zgromadzone w „Zmierzchu” stanowią mimo pozornie spokojnej tonacji dramatyczny apel o przewartościowanie zasad współczesnej poezji, kultury, cywilizacji. W jednym z wierszy czytamy: *Wróćmy do prostoty z naszego uwikłania./Porzucmy wszystkie style/jak stare ubrania/.../Powróćmy do źródeł życia/któreśmy zgubili.* Jakże są te źródła życia? Skwarnicki widzi je w odnowie języka, w powrocie do wartości podstawowych, prawdy przede wszystkim. W tomie tym wyraźnie widać rozpoznanie kryzysu, odczuwanego w naszej kulturze. Wiersze wychylone są ku przyszłości, stanowią rodzaj podsumowania dotychczasowych doświadczeń, bilans kulturowego dorobku. Widać to zwłaszcza w poemacie „Drzewo”, nawiązującym do Miłoszowego „Traktatu poetyckiego”, lecz również, w zakończeniu stanowiącym jakby odpowiedź na słowa kończące wcześniejszy jeszcze „Traktat moralny” Miłosza, jest to zsumowanie dorobku moralistycznego nurtu powojennej poezji. Utwór Miłosza, jak pamiętamy, zamykają słowa: *Idźmy w pokój, ludzie prości./Przed nami jest/— Jądro ciemności.* Słowa te, pisane w roku 1947, stanowią przeczenie, prorocstwo najbliższej przyszłości. W poemacie Skwarnickiego czytamy: *Drzewo poezji. Ono od początku,/od rytmu morza i przemian pór roku/jest miarą ładu, harmonią porządku,/światłem nadziei w ludzkich sprawach półmroku./Co nie oznacza, że jest bardzo łatwo/naprzód zobaczyć, potem wierzyć w światło.*

Kiedyś ciemność się kończy. Oto, pisze Skwarnicki, *w zmierzchu zapadły dzień na powrót wtargnął.* Zagrożona kultura podjęła znów wysiłek twórczy, jakby się dźwignęła z niemocy. Nie jest to jeszcze oznaką zdrowia, lecz świadczy o żywotności, jest zna-

* Marek Skwarnicki, *Zmierzch*, Kraków 1979.

kiem nadziei. Po okresie gwałtownych poszukiwań i eksperymentów, nie cofających się nawet przed zrywaniem z tradycją, z całym dotychczasowym dorobkiem, po czasie chaosu nadchodzi moment autorefleksji, samopoznania, scalanie tradycji i aktualnych doświadczeń. Zwłaszcza w poezji. „Drzewo” Skwarnickiego bowiem jest drzewem genealogicznym polskiej liryki, drzewem wyrosłym, jak czytamy w pierwszych słowach utworu, *w mojej ojczyźnie, we wschodniej Europie/pomiędzy stepem i ruiną Rzymu.* Świadomość istnienia na przecięciu kultur i wynikającej z tego swoistości doświadczeń jest coraz żywiej obecna w polskiej literaturze ostatnich lat i stanowi w pewnym sensie nawiązanie do rozważań wcześniej obecnych w naszym piarstwie — głównie okresu romantyzmu, później zaś modernizmu, szczególnie Tadeusza Micińskiego. Jest to problem obecny choćby w ostatnim tomie Jarosława Iwaszkiewicza „Mapa pogody”, gdzie w poemacie otwierającym ten świetny zbiór czytamy takie oto pytanie: *I czy się nasza wiedza naprawdę wzbogaci/Gdy będziemy wiedzieli czyśmy Europejczycy czyli też Azjaci?* Tak postawione pytanie musi pozostać bez odpowiedzi. Ważne natomiast wydaje się co innego. Co wynika z wielowiekowego istnienia na styku kultur? Bo choć w ostatnich latach wielki nacisk kładziony jest przez część publicystyki — przede wszystkim związaną z prasą katolicką, choć nie tylko — na utrwalenie naszych związków z dorobkiem i tradycją kultury europejskiej, to przecież nie są to związki jedyne. Drzewo genealogiczne naszej poezji — a to właśnie drzewo opisuje poemat Skwarnickiego — wyrasta nie tylko z gleby europejskiej. Czytamy bowiem: *Wolność to stepy. Nasze Dzikie Pola./I one były poezji ojczyzną./Bo lot swobodny srebrnego sokoła/ma jeszcze teraz urok romantyzmu.* Zbyt często, jak się zdaje, przymuszeni do tego okolicznościami czasu a także świadomą propagandą, zapominamy o fali wpływów wschodnich, rzeźbiących kształt naszej kulturowej tożsamości. A przecież z tego nurtu wypływa wielka gałąź poezji romantycznej ze Słowackim na czele i, by nie wyliczać zbyt wiele, znakomita twórczość Iwaszkiewicza. Odżywianie w kulturowej świadomości uspiionych krajobrazów i nastrojów świadczy o powrocie do równowagi, o odzyskiwaniu rugowanych po wojnie wzorów, żywych przecież wciąż w zbiorowej pamięci, stanowiących też ważny wątek literatury tworzonej na wychodźstwie, by powołać się choćby na dzieło Stanisława Vincenza. Odnowienie tej problematyki zawdzięczamy w dużej mierze rozległemu ostatnio badaniom nad polskim romantyzmem. Tu na szczególnie wyróżnienie zasługuje praca prof. Marii Janion, zwłaszcza redagowana przez nią w Wydawnictwie Literackim seria „Biblioteki romantycznej”. Tak więc nie w Europie samej, lecz „między stepem i ruiną Rzymu” musimy odnaleźć swą tożsamość. Pamiętać musimy po równo o obu źródłach zasilających naszą kulturę. I nie tylko o nich — także o wpływie litewskiej legendy, którą w swej twórczości ożywia Miłosz, a której siłę podkreśla dziś powołanie, jakim się cieszy wznowiona po latach „Starożytna Litwa”

Aleksandra Brücknera. Jak widać, szczupły zbiór wierszy Skwarnickiego skłania do głębszej refleksji nie tylko nad naszą współczesnością, lecz nad ukrytymi pokładami narodowego dziedzictwa kulturowego. Dowód to wagi tej poezji, tworzonej jakby w cieniu zjawisk głośniejszych, bardziej eksponujących zagadnienia doraźne, a przez to żywiej dyskutowanych. Utwory zgromadzone w „Zmierzchu” świadczą nie tylko o rozwoju talentu poetyckiego. Dowodzą wręcz nagłego skoku w skali artystycznej dojrzałości Skwarnickiego. Spokojny, wyważony tok poetyckiej narracji nakazuje te wiersze czytać w skupieniu, zwracać uwagę nie tylko na formę, lecz przede wszystkim na treści wpisane w te utwory. Na pewno mamy tu do czynienia z kontynuacją osiągnięć powojennego nurtu klasycystycznego. Jego widoczny w ostatnich latach rozwój nie jest już chyba tylko znamiem poetyckiej mody. W liryce polskiej widać, i to u przedstawicieli wszystkich generacji, dążenie do ogarnięcia rozproszonych, indywidualnych doświadczeń. Klasycystyczna forma jest chyba najlepszym po temu sposobem.

Krzysztof ZAWRAT

Mychajło Kociubynskij - impresjonista

Od przeszło dwóch lat zabierałem się do napisania niniejszej recenzji o książce Ołeksandry Czernienko*. Autorkę poznałem na Konferencji Polsko-Ukraińskiej w Hamiltonie, w październiku 1977 roku; książkę z dedykacją otrzymałem w styczniu następnego roku. Jest to praca historyczno-krytyczna o znakomitym pisarzu ukraińskim, który żył, działał i pisał na przełomie dwóch stuleci (ur. w 1864 w Winnicy, zmarł w Czernihowie w 1913). Stale tę recenzję odkładałem, ciągle mi coś przeszkadzało, a najbardziej zły stan zdrowia. Recenzja ukazuje się więc z poważnym opóźnieniem.

Nazwisko Kociubynskiego przeciętnemu polskiemu czytelnikowi nic nie powie. Z bibliografii, podanej przez Czernienko, wynika, że w czasopiśmie *Slavia orientalis* z 1959 roku ukazał się krótki szkic o Kociubynskim, pióra Elżbiety Janczewskiej. To

* Ołeksandra Czernienko, *Mychajło Kociubynskij — Impresjonista*. Podtytuł: „Obraz człowieka w twórczości pisarza”. *Suczastnist' (Współczesność)*, 1977, str. 144.

niewiele. W *Literaturze Ukraińskiej* Mariana Jakóbca, wydanej przez Państwowe Wydawnictwo Naukowe w roku 1963, znalazłem trzy fragmenty utworów Kociubynskiego oraz krótki komentarz biograficzno-krytyczny, a w nim fałszerską informację, że pisarz pod koniec życia znalazł się pod wpływem „klasyków marksizmu”. Na temat wartości artystycznej same ogólniki. Na przykład „Rdzeń twórczości Kociubynskiego tworzą nowele... W miarę zastrzania się sytuacji rewolucyjnej stawały się one coraz bardziej buntownicze. Nowele te odznaczają się wysokimi walorami artystycznymi. Niektóre z nich... weszły na trwałe nie tylko do literatury ukraińskiej”.

Co z tego można zrozumieć, co to komu powie? O każdym wybitnym prozaiku można napisać identycznie to samo, z podobnym, to znaczy żadnym rezultatem. Dowiedzieliśmy się tylko tyle, że był to pisarz w skali międzynarodowej.

Już z tytułu wynika, że Czernienko uważa Kociubynskiego za prozaika nie realistycznego, lecz za impresjonistę. Normalnie impresjonistami przywykliśmy nazywać przedstawicieli określonego kierunku malarskiego, urodzonego we Francji, pod koniec XIX stulecia. Ale impresjonizm miał swoich, mniej lub bardziej oddalonych, antenatów. El Greco w wieku XVI namalował burzliwe niebo nad Toledo w stylu czysto impresjonistycznym. Ale czy można tę nazwę stosować do pisarzy? Zapewne, nie wszyscy się z tym zgodzą. Czernienko twierdzi, że tak, i udowadnia przekonująco słuszność swej opinii.

Druga połowa ubiegłego stulecia zaczęła się pod znakiem pozytywizmu. Uznany naiwnie przez swoich zwolenników za szczytowy punkt w rozwoju ludzkiego poznania, pozytywizm rozwijał się równoległe do marksizmu, choć się z nim nie utożsamiał; w każdym razie coraz to się z nim krzyżował i zbiegał. Częściowym odejściem od pozytywizmu był empiryzm, w filozofii najtypowiej reprezentowany przez Ernsta Macha. Otóż właśnie Macha Czernienko uznaje (z pewnymi zastrzeżeniami) za filozoficznego patrona impresjonizmu. Zacytowana została opinia Maksa Liebermana, który oświadczył, że „impresjonizm — to nie metoda, lecz światopogląd” (str. 26).

Kogo z ówczesnej literatury europejskiej Czernienko uznaje za impresjonistów, stawiając ich obok Kociubynskiego? Guy de Maupassanta, Arthura Schnitzlera i Antona Czechowa. Następnie dorzuciła Knuta Hamsuna, a nawet Marcela Prousta! Istnieje wielka różnorodność i rozpiętość między wymienionymi pisarzami, a mimo to zostali sprowadzeni do wspólnego mianownika. Czernienko podkreśla różnice, ale widzi ów wspólny mianownik bardziej w metodzie literackiej, niż w zawartościach treściowych. Wspomniani twórcy w większości byli agnostykami. Kociubynskij, podobnie jak Hamsun, dochodzi poprzez swoisty panteizm do postawy religijnej. Co jeszcze ich wszystkich łączy? Mniej lub bardziej zaakcentowany psychologizm, chociaż i tu były oczywiście różnice.

Warto zwrócić uwagę na to, jak autorka uwypukla różnicę między psychologizmem szkoły naturalistycznej i psychologizmem impresjonistów. Naturaliści przyjmowali bez zastrzeżeń estetyczną teorię Taine'a, zaś impresjoniści niemniej energicznie ją odrzucali. W wypadku Kociubynskiego zasadniczą rolę odgrywała sytuacja polityczno-społeczna narodu, do którego należał. Na rok przed urodzeniem pisarza zostało ogłoszone oświadczenie ministra Wałujewa, że „mowy ukraińskiej nie było, nie ma i nie będzie”. Kociubynskyj miał dwanaście lat, gdy ogłoszono tzw. Emski Dekret, którym Aleksander II określił język ukraiński jako „dialekt” i zakazywał wydawania, oraz sprowadzania z zagranicy książek w „małorosyjskim narzeczu”.

Literatura ukraińska tamtych lat była prawie zupełnie opuszczona przez węgry, chciałyby się rzec prowincjonalną, tematykę społeczno-ludową — Kociubynskyj spowodował zasadniczy przełom. Ale jego życie prywatne układało się trudno, niekiedy wręcz ciężko. Umarł, nie mając jeszcze pięćdziesięciu lat, często biedował, swoje książki musiał wydawać we Lwowie. Gdy udało mu się, dla poratowania zdrowia, wyjechać na Capri, poznał tam Maksyma Gorkiego, na którym wywarł duże wrażenie, oraz zetknął się ze Stefanem Żeromskim.

Był wysoko oceniany w polskich kołach literackich. Leopold Staff napisał, że „barwa morza, skał, odcienie zieleni i nieba łączyły się u niego z różnymi ludzkimi przeżyciami”, co mogłoby świadczyć o już wspomnianym panteizmie ukraińskiego pisarza. Grzymała-Siedlecki uznał, że Kociubynskyj był „typem mistrza, który wznosił się na wysokość nadzwyczajnych wymagań, a jednocześnie... pozostał Rusinem z krwi i kości”. I jeszcze: „Odzwierciedlenie narodowości zawiera się jednak nie w tematyce, lecz w duchowych cechach jego twórczości”. Twórczość ta, według polskiego krytyka, „posiada głębokie korzenie narodowe, ale jest zjawiskiem ogólnoludzkim”. Kociubynskyj nie był pisarzem zaangażowanym politycznie w sposób bezpośredni, a jednak dokonał wielkiego dzieła, w pewnym sensie politycznego: wprowadził prozę ukraińską do światowego piśmiennictwa.

Mimo niewielkiej objętości, książka Czernienko zawiera tyle materiału, że ogarnąć go, a tym bardziej wyczerpać w krótkiej recenzji, okazuje się zadaniem ponad siły. Autorka starannie się przygotowała do pracy, zna doskonale literaturę przedmiotu, obraca się bez trudu w problematyce filozoficznej epoki. Dowiedziałem się, że krytyka na Ukrainie Sowieckiej przyjęła tę książkę niechętnie, czemu nie należy się dziwić. Już sam fakt, że ukazała się w wydawnictwie emigracyjnym wystarczy, a do tego krytyka ta już dawno uznała, że Kociubynskyj mocno zbliżył się do marksizmu. A tu częstą czytelnika empiryzmem i ekspresjonizmem!

Małe odchylenie od książki Czernienko. Na dwadzieścia kilka lat przed jej ukazaniem się Jurij Szerech napisał artykuł pt. „Od Kociubynskiego do Roselliniego, od Roselliniego do Kociu-

bynskiego”. Chodziło o zaskakujące zbieżności między filmem włoskiego reżysera „Stromboli”, a opowiadaniem Kociubynskiego „Na kamieniu”. Oczywiście, Rosellini nie czytał tego opowiadania i chyba nawet nigdy o ukraińskim pisarzu nie słyszał, więc nie ma mowy o wpływowości. Nie mam miejsca na dokładne streszczenie artykułu, więc ograniczam się tylko do podania słusznego stwierdzenia Szerecha o wyjątkowości noweli Kociubynskiego, od której w prozie ukraińskiej zaczęła się nowa epoka.

„Gdyby pisarz — to urywek z artykułu — był płaskim realistą, mógłby cały konflikt... postawić na 'socjologiczne nogi'... Ale szło mu o tragedię człowieka, a nie o ilustrację do socjologii...”. Opinia Szerecha dokładnie rymuje się z książką Czernienko, tyle, że w niej sprawa została postawiona o wiele obszerniej i szczegółowo uzasadniona.

„W ciągu długich stuleci — pisze Czernienko — grzmiały słowa, wypisane na trójkątnym frontonie świątyni Apollina w Delfach: 'Poznaj siebie samego!'. To hasło zajęło centralne miejsce w światopoglądzie impresjonistów; Kociubynskyj realizował je swoją twórczością. Wraz ze zjawieniem się impresjonizmu zaczęła się walka nie o prawdziwość ideologii, koncepcji, czy innych teorii, lecz o prawdę poznania samego siebie. Kociubynskyj służył tej jedynej prawdzie, stąd twórczość jego ma charakter uniwersalny, ogólnoludzki, wtedy nawet, gdy pisarz czerpał tematy ze współczesnego życia ukraińskiego”.

A na pierwszej stronie wstępu czytamy: „Każde... opowiadanie, czy powieść Mychajły Kociubynskiego poświęcone jest charakterowi człowieka i jego stosunkowi do świata zewnętrznego. Twórcza postawa Kociubynskiego jak gdyby potwierdzała słowa François Mauriac: 'Powieść nie ma żadnej wartości, jeżeli nie dodaje nic nowego do naszej znajomości ludzkiego serca'. Rzeczywiście, twórczość Mychajły Kociubynskiego dodaje bardzo dużo do ogólnego poznania człowieka”.

Tu wolno by wdać się w małą dyskusję. Opinia Mauriac jest jak najbardziej słuszną, gdy chodzi o prozę psychologiczną. Ale co z powieścią historyczną, polityczną, satyryczną, czy po prostu fantastyczną? Zdyskwalifikować wszystkie te rodzaje? Obawiam się, że w takim razie wiele arcydzieł literackich społeczeństwa na zawsze w koszyku na śmiecie. Na przykład Swift, Defoe, a także nasz Sienkiewicz, nie licząc wielu innych, pomniejszych. Mauriac miał na myśli, naturalnie, tylko jeden rodzaj literacki — powieść psychologiczną. Należy się wystrzeżać zbyt daleko idących uogólnień.

Brakuje oświetlenia na przykładach sprawy izolacji i samotności człowieka — zagadnienie, które niezmiernie często zjawia się w prozie Kociubynskiego i któremu Czernienko poświęca jeden z najdłuższych rozdziałów swojej książki. Wystarczy, jeżeli dam świadectwo istnienia tego zagadnienia. Ale izolację i samotność człowieka — mówi twórczość Kociubynskiego — można przewyciężyć, jeśli się szuka przez prawie całe życie i potrafi się znaleźć prawdę. Byłe odzegnać się od zmaterializowanego

bytu, określonego przez pisarza jako „grzech przeciw Duchowi Świętemu”. W etyce chrześcijańskiej jest to grzech najcięższy.

Do tego grzechu należy odrzucenie urody życia, niezależnie od motywacji. Ostatnim, napisanym tuż przed przedwczesną śmiercią, utworem Kociubynskiego jest opowiadanie „Na wyspie”. Opowiadanie? Właściwie prawie nic się tam nie dzieje. Opis południowej przyrody i całkowitego z nią zespolenia. Czernienko zacytowała parę fragmentów. „Słońce brodzi wśród inkrustacji cieni. A ja patrzę na niebo. Jest dzisiaj ciche, sine, głębokie i tak szczerze spływa w dół, że mam pewność: to ono zalewa morze błękitem. Skąd idzie ta cisza — ze mnie, czy wchodzi we mnie? Nie wiem... zdaje się — wszyscyśmy się w tej ciszy roztopili”.

Dalszy cytat: „Swoje własne życie i poznanie prawdy Kociubynskij porównuje z kwiatem agawy, która 'zakwita, aby umrzeć, i umiera, aby zakwitać'. Kaliczenko pisze, że na krótko przed zgonem pisarz dał swemu bratu do przeczytania ostatni rękopis, właśnie opowiadanie 'Na wyspie', a gdy brat wypowiedział się o nim z zachwytem, Kociubynskij wyznał: 'Czy rozumiesz, że opisałem nie agawę, lecz własne życie?'. Podobnie jak pisarz, agawa 'pokonywała tysiące przeszkód', aby wyrosnąć bliżej nieba i po rozkwitnięciu zobaczyć to, 'czego uprzednio nie widziała'...”

„Ostatnie wersy, napisane ręką pisarza, którymi zamknął całą swoją twórczą pracę, brzmią następująco: 'Gdy z rana otwieram okno, raz-po-raz widzę rząd kwitnących agaw. Stoją wysmukłe i wysokie, z wieńcami śmierci na czole, i witają odległe morze: — *Ave, mare, morituri te salutant!*'. Wrażeniem, jakie mu dawała uroda przyrody, wrażeniem własnej podświadomości we śnie, odkrywał Kociubynskij drugą stronę ludzkiej duszy — stronę jasną i czystą”.

Zdaję sobie sprawę, że tylko częściowo streściłem tę książkę, a częściowo wyraziłem moje przejęcie się jej lekturą. Gdyby istniała taka możliwość, należałoby ją przełożyć na polski w całości. Już choćby dlatego, że jest niezmiernie bogata w obserwacje, które można by zaaplikować także do niejednego z wybitnych pisarzy polskich. No, ale tak krawiec kraje, jak mu sukna staje. Jeżeli sukna było za mało, uszyty strój musi wypaść kuso. Mówi się trudno. Jestem jedynie ubogim, emigracyjnym krawczykiem.

Na zakończenie jeszcze jedna, dość zasadnicza uwaga. Dwa nasze narody — polski i ukraiński — żyły obok siebie przez liczne stulecia, mieszały się ze sobą — stąd słynne powiedzenie, że „granica etniczna przechodzi przez łoża małżeńskie” — miały okresy walk i spokojnego zacisza, współpracy i wzajemnej nienawiści. Mimo tego, Polacy na ogół rzadko interesowali się rozwojem ukraińskiej kultury. Docierali do nas bez żadnych przeszkód pisarze zachodni, najpierw włoscy, później francuscy, angielscy, niemieccy. Naturalnie, także rosyjscy. Ale nie ukraińscy, a w

każdym razie z rzadka i niewiele. Więc brak wiedzy o najbliższych sąsiadach, a w dalszej konsekwencji brak wspólnego języka.

Gorliwie rozpowszechniano głupi, lwowski kawał o podziale literatury ukraińskiej na kilka okresów. W pierwszym — nie było niczego, a w ostatnim, współczesnym także nie ma niczego, ale z biegiem czasu będzie. Jakże ta rozkoszna postawa pociągnęła skutki społeczne i polityczne — dobrze wiadomo. Szkoła Ukraińska w polskiej poezji, ze Słowackim na czele, dała dobry początek, niestety zmarnowany przez następne pokolenia. A było dość czasu na porozumienie i wyrównanie krwawych porachunków. Mamy tysiące przykładów w historii, że kto traci czas, zbiera następnie fatalne konsekwencje. Tak musiało się stać także i tym razem. Za grzechy antenatów zawsze płacą ich potomkowie.

Józef ŁOBODOWSKI

P.S. Już po napisaniu tej recenzji zorientowałem się, że w bibliografii, podanej przez autorkę, jest jeszcze jedna polska pozycja, mianowicie Elżbiety Wiśniewskiej „O sztuce pisarskiej Mychajła Kociubynskiego”. Zakład Narodowy Imienia Ossolińskich. Wydawnictwo Polskiej Akademii Nauk, 1973.

J. Ł.

Polonijni prominenci w Kanadzie

„Przywództwo w Polonii kanadyjskiej” porusza szereg historycznych i socjologicznych zagadnień Polonii, podczas gdy druga część książki, „Mini-biogramy prominentów”, zawiera sylwetki 24 osób, które zdaniem Autora posiadają kwalifikacje przywódcze. Autor jednak nie dał definicji „przywództwa” ani też nie wyjaśnił kryteriów, na podstawie których przeprowadził wybór owych 24 postaci. Wywodzi jednak, że ani czynny udział w życiu organizacyjnym ani piastowanie wysokich stanowisk nie są wystarczającymi kwalifikacjami czy atrybutami przywódcy. I tak pisze: „Każda z tych grup ma swoich rzeczników i orędowników w skali lokalnej, organizacyjnej a nawet krajowej, zarówno poprzez Kongres Polonii Kanadyjskiej jak i organizacje o wielkim zasięgu. Nie są to jednak przywódcy... Byli i są zasłużeni działacze i to na różnych organizacyjnych poziomach, ale nie sposób wytypować ktoregokolwiek na przywódcę” (str. 16).

Heydenkorn prezentuje sylwetki swoich prominentów na szerokim tle, kreśli ich działalność, osiągnięcia, poglądy i zainteresowania w oparciu

zarówno o rozmowy z nimi jak i swoją znajomość życia polonijnego. Są to osoby z różnych środowisk społecznych, zawodowych i ideologicznych, w tym zaledwie kilka urodzonych w Kanadzie; pozostali to imigranci, przybyli w większości po drugiej wojnie światowej.

Nie sposób nie zgodzić się z Autorem, że zaprezentowane osoby wiele dokonały w różnych dziedzinach i jeśli zasada jego wyboru jest niejasna, to stwierdzić wypada, iż przy lekturze ujawnia się nie wiążąca tych promienników. Wszyscy oni są ściśle związani z Kanadą, osiągnęli wiele jako Kanadyjczycy a jako polscy Kanadyjczycy pozbawieni są kompleksów. Pooglądaj ich, a zwłaszcza stosunek do obecnej rzeczywistości w Polsce, są często bardzo różne.

Sylwetki ich stanowią przyczynek do dziejów polonijnego życia organizacyjnego, gdyż każda z nich rzuca światło na inne jego aspekty. Tym większa szkoda, że ta mini-wersja polonijnego „Who's Who” nie jest kompletna. Otrzymaliśmy sylwetki zaledwie garstki osób z Montrealu i Ottawy, pozostałe są z Toronto, które wprawdzie jest najważniejszym i największym ośrodkiem polonijnym (80.000), siedzibą Zarządu Głównego KPK, innych centralnych organizacji i instytucji oraz miejscem publikacji czterech pism w języku polskim, niemniej jednak są zarówno w Ontario jak i w zachodnich prowincjach inne miejscowości ze znaczną ilością mieszkańców polskiego pochodzenia. Heydenkorn pisze o tym wprawdzie we wstępie, nie zmienił jednak tytułu książki na bardziej odpowiedni, np. „Przywództwo w Polsce wschodnio-kanadyjskiej”. Bogate w naturalne zasoby zachodnie prowincje przyciągają wielu różnych specjalistów z wolnych zawodów, kwalifikowanych robotników zarówno z innych prowincji jak i z zagranicy; odnosi się to oczywiście również do Polaków. Od lat 1920-tych wzrasta w prowincjach Alberta i Saskatchewan liczba ludności pochodzenia polskiego. Praca Heydenkorna będzie kompletna, gdy napisze on drugą część, zwiedziwszy takie ośrodki jak Winnipeg, Regina, Saskatoon, Calgary, Edmonton, Vancouver i inne.

Lektura książki pozostawia uczucie niedosytu, autor bowiem serwował doskonale dania, ale w bardzo małych porcjach. Zwiąże szkice są z jednej strony pożyteczne, gdyż dostarczają w zwartej formie szerokiego wachlarza materiałów, ale często sprawiają zawód, gdyż ta forma nie pozwala na dostateczne przedstawienie i pogłębienie ważnych zagadnień. Omawiana praca Heydenkorna pozostaje jednak poważnym osiągnięciem, gdyż informuje i ujawnia pewne nieznane dotychczas aspekty życia polonijnego. Autor strawił zapewne wiele czasu nad badaniami i studiami archiwalnymi.

Reasumując wypada stwierdzić, że książka Heydenkorna zaostrza apetyt na dalsze studia o Polonii kanadyjskiej. Autor, wnikliwy obserwator problemów etnicznych, opublikował już sporo prac o tej tematyce. Jego wkład w tej dziedzinie jest poważny. Należą mu się słowa uznania, gdyż jest to wkład nie tylko do historii Polonii kanadyjskiej, ale również do historii Kanady.

Krzysztof M. GEBHARD

NOTA BIOGRAFICZNA

Krzysztof M. GEBHARD, ur. 1951 r., magisterium z historii uzyskał w 1977 r. na Uniwersytecie Ottawskim. Obecnie kierownik archiwum głosowego (Sound Archives) prowincji Saskatchewan w Regina. Przygotowuje pracę o grupie polskiej na podstawie wywiadów przeprowadzonych z imigrantami różnych fal.

Nadesłane nowości wydawnicze

KSIĄŻKI WYDANE W POLSCE POZA CENZURĄ

- NOWAK (Jan) (JEZIORAŃSKI Zdzisław). *Kurier z Warszawy*. Str. 116 i 2 nlb., wydanie drugie. (Wyd. NOW-a jako przedruk z wyd. „Odnowa”, Warszawa, styczeń 1981).
- MOCHNACKI (Maurycy). *Powstanie narodu polskiego*. Str. 249 i 3 nlb. (Wyd. „Krag”, Warszawa 1981).
- BĄDKOWSKI (Lech). *Twarzą do przyszłości*. Str. 35. (Wyd. „Młoda Polska”).
- BARTYZEL (Jacek). „Kryzys” czy „przesilenie”? *Mesjanizm jako próba przezwyciężenia świadomości katastroficznej*. Str. 28. (Wyd. „Młoda Polska”, Łódź 1979).
- Czarna księga cenzury PRL*. Przedruk fragmentu dwutomowej publikacji pod tym samym tytułem, wydanej na Zachodzie przez „Aneks”. Str. 130. (Wyd. NOW-a, kwiecień 1981).
- MŁOSZ (Czesław). *Człowiek wśród skorpionów. Studium o Stanisławie Brzozowskim*. Str. 125. (Przedruk z wydania Instytutu Literackiego, wyd. „Młoda Polska”).
- GROSS (Jan T.). *W zaborze sowieckim*. Str. 31. (Przedruk z *Aneksu* nr 22/1979, wyd. NOW-a, marzec 1981).
- MŁOSZ (Czesław). *Wiersze zebrane*. Tom I. Str. 283. (Wyd. „Krag”, Warszawa 1980).
- NOWAK (Leszek). *Trzy wykłady z nie-marksistowskiego materializmu historycznego*. Str. 50 i 2 nlb. (Wyd. „Po prostu bis”, Kraków, kwiecień 1981).
- PIŁSUDSKI (Józef). *Zadania praktyczne rewolucji*. Str. 42 i 2 nlb. (Wyd. N.ZS Gliwice-Wrocław).
- Rejestracja Niezależnego Zrzeszenia Studentów. Dokumenty*. Zebrał i komentarzem opatrzył J. Czaputowicz, opracował H. Głowacki. Str. 30. (Wyd. Studencka Oficyna Wydawnicza „Sowa”, UW 1981).
- BESANÇON (Alain). *Solżenicyn i Zachód. Sowiecka teraźniejszość i rosyjska przeszłość*. Str. 38. (Przedruk z *Aneksu* nr 22 i 23, wyd. NOW-a, kwiecień 1981).
- WIERZYŃSKI (Kazimierz). *Krzyże i miecze*. Str. 71. (Przedruk z *Poezji zebranych* wyd. przez „Wiadomości” i Polski Instytut Naukowy w New Yorku, wyd. NOW-a, marzec 1981).
- O czym myśleć nie lubimy czyli o niektórych dylematach zasady narodowej*. Opr. S. Amsterdamski i T. Kowalik. Str. 37. (Wyd. NOW-a w cyklu zeszytów naukowych TKN-u, seria „Kolokwia”, Warszawa 1980).
- Kim są chłopcy z tamtych dni? (Bydgoski marzec — prowokacja nieukarana!)*. Str. 12. (Wyd. NSZZ „Solidarność”).
- Grudzień 1970*. Wybór wierszy pod redakcją M. Terleckiego i A. Pawlaka. Str. 19. (Wyd. „Młoda Polska”, grudzień 1980).
- Marzec 68. 13-ta rocznica*. Str. 36. (Wyd. N.ZS INP w biuletynie *Woda na młyn* nr 5, Wrocław, marzec 1981).
- Bydgoszcz 19. 03. 1981*. Str. 40. (Wyd. N.ZS INP w biuletynie *Woda na młyn* nr 6, Wrocław, kwiecień 1981).
- HERBST (Lothar). *Listy w sprawie wiary i nadziei*. Wiersze. Str. nlb. (Wyd. „Biblioteka Agory”, zeszyt 6, Wrocław 1979).
- KARPIŃSKI (Wojciech). *W Central Parku*. Str. 152. (Wyd. „Klin”).
- Słownik polityczny pod redakcją Wojciecha WASIUTYŃSKIEGO*. Str. 207 i 1 nlb. (Wyd. „Młoda Polska”, Gdańsk 1980).

CYWIŃSKI (Bohdan). *Zatruta humanistyka. Ideologiczne deformacje w nauczaniu szkolnym w PRL*. Str. 17 i 2 nlb. (Przedruk z Biblioteki Głosu, wyd. „Młoda Polska”).

MADEJ (Bogdan). *Maść na szczury*. Str. 98 i 2 nlb. (Przedruk z wydania Instytutu Literackiego, wyd. NZS Wrocław).

GOMBROWICZ (Witold). *Dziennik 1959-1961*. Str. 247. (Przedruk z wydania Instytutu Literackiego, wyd. „Klin”, grudzień 1980).

KRYŃICKI (Ryszard). *Niewiele więcej. Wiersze z notatnika 78/79*. Str. 39. (Wyd. „Kos”, Kraków 1981).

Po sierpniu. *Wybór tekstów z miesięcznika Kultura* nr 10, 11, 12, Paryż 1980. Str. 65. (Wyd. „Kos”).

Marzec 1968. Str. 64 (Wyd. NOW-a w cyklu zeszytów naukowych TKN-u, seria „Kolokwia”, Warszawa 1981).

GROSFELD (Leon). *Polskie aspekty stosunków niemiecko-sowieckich w przededniu i w pierwszym okresie II wojny światowej*. Str. 39. (Wyd. NOW-a, marzec 1981).

Plotka a monopol informacji. Str. 75 (Wyd. NOW-a w cyklu zeszytów naukowych TKN-u, seria „Kolokwia”, Warszawa 1981).

TAYLOR (J.). *Więzienia PRL 1981 r.* (Przemówienie adwokata Janusza Taylora na ogólnopolskim zjeździe adwokatów w Poznaniu w dniu 1 stycznia 1981 r. Str. 13. (Wyd. NZS Warszawa).



Wypisy nr 1/79. *Polska prasa niezależna*. Str. 339. (Przedruki z polskiej prasy niezależnej, wyd. Towarzystwo Krzewienia Nadziei, P.O. Box 274, Villa Park, Ill. 60181, USA).

KRENZER (Ferdinand). *Taka jest nasza wiara*. Str. 362 i 6 nlb. (Wyd. Editions du Dialogue, Paryż 1981).

CHRZANOWSKI (Feliks). *W oczach felietonisty. Historia i kultura*.

Wspomnienia, reportaże, szkice. Str. 208. (Wyd. Polska Fundacja Kulturalna, Londyn).

Blagostawiona Jadwiga Królowa. Historia jej kultu, beatyfikacja, formularze liturgiczne. Str. 63. (Wyd. staraniem Centralnego Ośrodka Duszpasterstwa Emigracji, Rzym 1981).

Nowy Testament (z ilustracjami). Nowy przekład z języka greckiego. Str. 424 i 2 nlb. (Wyd. Brytyjskie i Zagraniczne Towarzystwo Biblijne, Warszawa, wyd. II).

Nasza przeszłość. Studia z dziejów Kościoła i kultury katolickiej w Polsce. Redaktor Alfons Schletz. Str. 471 i 5 nlb. (Wyd. Instytut Wydawniczy „Nasza przeszłość”, Kraków 1981, cena zł 350).

KĘTRZYŃSKI (Wojciech). *Z księgi pieśni człowieka niemzonego*. Str. 141 i 3 nlb. (Wyd. Pojezierze, Olsztyn 1980, cena zł 90).

BIELAWSKI (Tomasz). *Mysliwiec*. Opracowali i wstępem poprzedzili Z. Nowak i W. Odyniec. Str. 106 i 4 nlb. (Wyd. Pojezierze, Olsztyn 1980, cena zł 86).

FAC (Bolesław). *Rzeźnia Maksza Heroda*. Str. 250 i 2 nlb. (Wyd. Pojezierze, Olsztyn-Białystok 1981, cena z. 45).

MORAWSKI (Dominik). *Chrétienne Pologne*. Traduit de l'italien par J. Joba. Str. 253 i 3 nlb. (Wyd. Editions France-Empire, Paryż 1981).

FICOWSKI (Jerzy). *Déchiffrer les cendres*. Postface et traduction du polonais de Lucienne REY. Str. 61 i 3 nlb. (Wyd. Plasma, Paryż 1981).

MICHEL (Patrick). *L'Eglise de Pologne et l'avenir de la nation*. Str. 193. (Wyd. Le centurion w serii „Faire notre histoire”, 1981).

The Moscow Games of 1980. Str. 32. (Wyd. Slavistica nr 81, Ottawa-Washington 1981).

Woycenko (Olha). *J. B. Rudnycky — septuagenarius. A Biographical Sketch*. Str. 32. (Wyd. Ukrainian Language Association, Ottawa-Montreal 1980).

KRAJ — BLOK WSCHODNI

21-4-81

Polskie Towarzystwo Historyczne wraz z NSZZ „Solidarność” zamierza zorganizować otwarty konkurs na podręczniki historii, angażując w tę pracę obok warszawskiego także środowiska naukowe i nauczycielskie Krakowa, Poznania i Lublina.

17-5-81

Na Politechnice Warszawskiej została zorganizowana Ogólnopolska Wystawa Wydawnictw Niezależnych. Na wystawie zgromadzono około 500 tytułów; reprezentowane były prawie wszystkie wydawnictwa niezależne m.in. NOW-a, Młoda Polska, K.O.S., Krag, Głos, wyd. Konstytucji 3 Maja, Biblioteka Literacka i Historyczna, Oficyna Liberałów, Spotkania, S.O.W.A., wydawnictwa Niezależnego Związku Studentów i „Solidarności”. W ciągu trzech godzin sprzedano wszystkie wystawione tytuły.

21-5-81

Warszawski *Kurier Polski* podaje, że w pracowni Antuna Augustyńczyca, jednego z najwybitniejszych rzeźbiarzy jugosłowiańskich, odkryto monumentalny spiszowany pomnik Józefa Piłsudskiego na koniu. Jest on przedstawiony w mundurze legionowym, z obnażoną szablą, na której wyrte są słowa „Honor i Ojczyzna”. Istnieje niewiele informacji jak to się stało, że pomnik ten jest dziełem jugosłowiańskiego artysty. Jest tylko wiadome, że powstał on w latach 1937-1939 na zamówienie władz miasta Katowice.

24-5-81

Zycie Gospodarcze podaje: „Wytwornia Bałtyk wypuściła pomadki w czekoladzie o nazwie „Miłoszki”. W Gdańsku można je niekiedy kupić po półtoragodzinnym staniu w ogonku. Czekamy na landrynki „Putramentki” i irysy „Hołujki” — może wtedy ogonki po skodyrze zmaleją”.

29-5-81

Doroczną nagrodę im. Bolesława Prusa, przyznaną przez Stowarzyszenie Dziennikarzy Polskich otrzymał naczelny redaktor *Tygodnika Powszechnego*, Jerzy Turowicz. ■ Zmarł w Warszawie w wieku 67 lat Janusz Minkiewicz, znany satyryk.

2-6-81

Wydano zakaz kąpieli i uprawiania sportów wodnych na wodach przybrzeżnych Bałtyku w rejonie od Wisłoujścia do zachodnich granic Sztutowa. Zakaz ten prawdopodobnie zostanie przesunięty dalej, w kierunku wschodnim, a jego powodem jest całkowite zanieczyszczenie wód przybrzeżnych Bałtyku.

ZACHÓD — EMIGRACJA

30-4-81

W Adelaide (Australia) zmarł Adam Szczepanowski w wieku 65 lat. Adam Szczepanowski był historykiem, redaktorem pracy zbiorowej „Polacy w Południowej Australii” i założycielem Polskiego Towarzystwa Historycznego w Australii.

1-5-81

W najbliższym czasie ukaże się *Biała Księga* Polskich Oddziałów Wartowniczych przy armii amerykańskiej we Francji. Jest ona do nabycia w przedpłacie u autora p. Stanisława Łysiaka — 1, Avenue du Commandant Lisiack, 17690 Angoulins-sur-Mer, Francja. ■ Redaktorem znanego miesięcznika ukraińskiego *Suczastnist'* została p. Marta Skorupska na miejsce prof. Szewelova.

9-5-81

Zmarł w Argentynie płk Władysław Wyskota-Zakrzewski, jeden z głównych organizatorów i przywódców Powstania Wielkopolskiego w grudniu 1918 r.

13-5-81

Alliance College w Cambridge (Anglia) przyznał doktorat *honoris causa* Lechowi Wałęsie. ■ Tegoroczna nagroda im. G. Herdera została przyznana m.in. prof. Elidzie-Marii Szarocie, germanistce z Instytutu Germanistyki Uniwersytetu Warszawskiego.

15-5-81

Jury konkursu „Moje zderzenie z bolszewikami we wrześniu 1939”, zorganizowanego przez Fundusz im. Kazimierza F. Vincenza, przyznało I-szą nagrodę (Frs 500,00) Henrykowi Skirmuntowi ze Szwecji, II-gą nagrodę (Frs 400,00) Janinie Gładuń-Sułkowskiej z Kanady, dwie III-cie nagrody (po Frs 300,00) Zygmuntowi K. Dąbrowskiemu z Afryki Południowej i Helenie J. Gładkowskiej z Londynu.

19-5-81

Zmarł nagle w Manchesterze (Wielka Brytania) w wieku 62 lat Stefan Strelcyn, językoznawca, orientalista, specjalista w zakresie języków semickich a w szczególności języków Etiopii. Był profesorem Uniwersytetu Warszawskiego (1950-1969), założyciel i były kierownik Studium Afrykanistycznego U.W. (1962-1969). W 1967 roku otrzymał Haile Sellasie I Award for Ethiopian Studies. Zmuszony do opuszczenia Polski w 1969 roku osiedlił się w Wielkiej Brytanii, gdzie wykładał na Uniwersytecie w Manchesterze. 1976 roku został wybrany na członka British Academy.

20-5-81

Towarzystwo Przyjaciół *Kultury* w Sztokholmie zorganizowało spotkanie z wybitnym dziennikarzem Leopoldem Ungerem (Brukselczykiem), stałym współpracownikiem *Kultury*, *International Herald Tribune*, oraz brukselskiego *Le Soir*.

21-5-81

Do Malmö przybył Lech Wałęsa, który otrzymał specjalnie ufundowaną nagrodę dziennika *Arbetet* w wysokości 50.000 koron szw. Nagroda ustanowiona w 1977 roku w związku z 90-leciem istnienia tego pisma jest przyznawana „wybitnym bojownikom o pokój, ochronę środowiska, sprawiedliwość społeczną i demokrację”. ■ Między 17 a 24 maja br. w Sztokholmie bawiła 7-osobowa delegacja Polskiego PEN-Clubu, zaproszona przez Szwedzki PEN-Club. W skład delegacji wchodził: Juliusz Żuławski, Urszula Koziół, Władysław Bartoszewski, Kazimierz Brandys, Andrzej Braun, Marcin Król i Artur Międzyrzecki. Towarzystwo Przyjaciół *Kultury* Paryskiej urządziło w dniu 23 maja br. wieczór dla członków tej delegacji.

23-5-81

Fundacja im. Kościelskich przyznała cztery nagrody literackie: Januszowi Andermanowi za powieść „Gra na zwłokę”, Krzysztofowi Dybciakowi za zbiór

esejów „Gry i katastrofy”, Annie Frajlch za zbiór wierszy „Tylko ziemia” i Janowi Komolce za powieść „Ucieczka do nieba”. Nagrody wynoszą po Frs 3.000,00 każda.

24-5-81

Jury nagrody Związku Pisarzy w Londynie przyznało doroczne nagrody: Jerzemu Pietrkiewiczowi z Londynu za całokształt twórczości oraz Zofii Romanowiczowej z Paryża za powieść „Skrytki”. Nagrody wynoszą po £ 200.00 każda. Ponadto wyróżniono: Ryszarda Przybylskiego za książkę „Wdzięczny gość Boga” (esej o poezji Osipa Mandelsztama) oraz Zbigniewa Zaniewickiego za wspomnienia „Od Amazonki do Wisły”. ■ W Dammarieles-Lys we Francji odbył się doroczny walny zjazd Polskiego Zjednoczenia Katolickiego. Prezesem został wybrany p. Breliński.

1-6-81

W Bibliotece Polskiej w Paryżu odbył się wieczór autorski prof. Jana Kotta.

5-6-81

W Centre du Dialogue w Paryżu miał miejsce odczyt Andrzeja Micewskiego. Prelegent miał mówić na temat „Kościół, Państwo, 'Solidarność'”, ale w związku ze śmiercią Prymasa kardynała Wyszyńskiego — Jemu poświęcił cały wieczór. Przewodniczący zebrania, ks. Florian Kniotek, prezentując prelegenta zebranym ujawnił, że nagroda Instytutu Literackiego, ufundowana z okazji ukazania się 50-tego *Zeszytu Historycznego*, przyznana m.in. historykowi krajowemu, którego nazwiska wówczas nie ujawniono, dotyczyła Andrzeja Micewskiego, który otrzymał ją za całokształt swoich prac.

8-6-81

Zmarł w Paryżu w wieku lat 70 ppłk dypl. Marian Czarnecki. Kampanię wrześniową odbył w 10 zmotoryzowanym pułku strzelców konnych, w czasie kampanii w Normandii w 1944 roku był szefem sztabu 10 brygady kawalerii w I-iej dywizji pancerniej gen. Maczka. Później został mianowany szefem sztabu Polskiej Misji Wojskowej we Francji, a po jej likwidacji założył Stowarzyszenie Polskich Komitantów i był jego prezesem do chwili zgonu. Od początku lat 50-tych ppłk Czarnecki zajął się pracą publicystyczną, przez szereg lat współpracował z Polską Sekcją radia francuskiego, a później z radiem Wolna Europa. ■ Londyński *Times* poświęcił jeden ze swych redakcyjnych komentarzy wstępnych sprawie przewiezienia do Polski prochów gen. Sikorskiego. Dziennik opowiada się za pozostawieniem prochów Generała w Anglii. Przypomina, że życzeniem Sikorskiego było „spoczywać wśród moich żołnierzy”; poza tym „istnieje zawsze ryzyko, że rząd polski wykorzysta wydarzenie raczej dla podbudowania własnego kapitału politycznego, niż dla wzmocnienia idei wolnej czy choćby zliberalizowanej Polski”. Cztery dni wcześniej tenże *Times* ogłosił list konserwatywnego posła do parlamentu Sir Bernarda Braine, który zadaje pytanie: jeżeli rzeczywiście przewiezienie prochów gen. Sikorskiego ma wzmocnić głębokie zmiany zachodzące w Polsce, to czy nie byłoby ze strony władz polskich rzeczą właściwą zwrócenie się do władz sowieckich z prośbą o powrót szczątków oficerów polskich zamordowanych w Katyniu, ażeby i oni pochowani zostali jak należy w swym kraju ojczystym?

13-6-81

W Papieskim Instytucie Studiów Kościelnych w Rzymie została otwarta wystawa o życiu i działalności Prymasa Stefana Wyszyńskiego, fundatora Instytutu. ■ W szpitalu w Orléanie zmarł w wieku 86 lat Szymon Kolarski, potomek starej i zasłużonej dla kultury polskiej rodziny. Ekonomista

i bankowiec, Szymon Konarski przybył do Paryża na początku 1939 roku i objął kierownictwo banku Polska Kasa Opieki. W czasie wojny starał się choć w zmniejszonym zakresie utrzymać Bank, w którym emigracja polska we Francji lokowała swoje oszczędności, opiekował się Księgarnią Polską w Paryżu, jak również organizował akcję pomocy dla uchodźców. Z Rektorem Polskiej Misji Katolickiej, ks. Cegiełką i niedawno zmarłą żoną swą Marią poświęcił się pracy charytatywnej, głównie w ramach organizacji „Caritas”, co w końcu doprowadziło do aresztowania go przez Gestapo na okres szeregu miesięcy. Głównym zamiłowaniem Szymona Konarskiego była genealogia i heraldyka. Przed wojną wydał pracę „Szlachta kalwińska w Polsce”, cytowaną dziś w kraju jako dzieło źródłowe. Po zaprzestaniu pracy w PKO poświęcił się genealogii wydając m.in. prace o kanoniczkach warszawskich oraz monografie rodów Platerów i Kirkorów. Członkostwo Międzynarodowej Akademii Heraldycznej oraz jego „Armorial de la noblesse polonaise titrée” (1958) sprawiły że brał udział w pracy zbiorowej „Le Sang de Louis XIV (1962). Konarski był poza tym współredaktorem parotomowych „Materiałów do bibliografii, genealogii, i heraldyki polskiej”. Jako oficjalny prelegent Związku Polskich Kawalerów Maltańskich był surowym sędzią przedkładanych mu dowodów. Swe krytyczne uwagi odnośnie tej dziedziny zebrał w pracy „O heraldyce i heraldycznym snobizmie” (1967).

16-6-81

Szwajcarskie Ministerstwo Sprawiedliwości podaje, że w ciągu pierwszych czterech miesięcy br. około 100 Polaków uzyskało azyl w Szwajcarii. ■ *Herald Tribune* drukuje korespondencję z Wiednia o wzroście polskich podań o azyl w Austrii i RFN w bieżącym roku (dziewięciokrotnym w Austrii, dwukrotnym w RFN). W Austrii poprosiło w tym roku o azyl trzy i pół tysiąca Polaków, w RFN — 1.300. Sytuację komplikują limity imigracyjne w trzech krajach przeznaczenia „azyłowców”: w Stanach Zjednoczonych, Kanadzie i Australii. Wśród proszących o azyl nie brak również członków PZPR.

6-7-81

W Bibliotece Polskiej w Paryżu odbył się wieczór autorski Henryka Grynberga. H. Grynberg został ostatnio odznaczony przez Bnai Brith tegorocznym Medalem Wolności. Jest to odznaczenie im. Chaima Salomona, polskiego Żyda, zaangażowanego w rewolucję amerykańską, podczas której był ministrem finansów Washingtona. Odznaczenie to jest przyznawane Żydom, którzy przybyli do USA z Europy i wnieśli wartościowy wkład społeczny w nowym kraju.

KRONIKA WATYKAŃSKA

Na pogrzebie Prymasa Polski Kościoły krajów Europy wschodniej reprezentowali: kardynał Lekai, prymas Węgier, kardynał Tomašek, abp Pragi, bp Hnilica (Słowak z Rzymu), bp Schaffran z NRD, abp Kuharic z Zagrzebia, abp Lubacziwskyj z Rzymu, koadiutor kardynała Slipyja z prawem sukcesji*, bp Povilonis z Litwy nie mógł przybyć, bo „nie otrzymał na czas zezwolenia z Moskwy na wyjazd”. Po śmierci Prymasa liczba członków

* Abp Lubacziwskyj pozostał przez tydzień w Polsce w celu odwiedzenia m.in. ukraińskich studentów na KUL-u.

Św. Kolegium Kardynalskiego wynosi 125, w tym 12 ponad 80 lat, tzn. bez uprawnienia do udziału w konklawe.

Piracki zamach na samolot brytyjskich linii lotniczych w kwietniu br. przypomniał opinii publicznej objawienia Matki Boskiej w Fatima w kwietniu 1917 roku. Australijski wariat, który uprowadził samolot do Francji, domagał się ujawnienia trzeciej tajemnicy przepowiedni w Fatima. Pierwsza tajemnica dotyczyła końca pierwszej wojny światowej, druga zapowiadała nawrócenie Rosji na katolicyzm. Trzecia natomiast, nieujawniona, przekazana w testamentie przez żyjącą dotąd karmelitankę Łucję, była znana Pawłowi VI i jest przechowywana w Watykanie. Podobno zawierała ona „wizję apokaliptyczną przyszłości ludzkości”. Według innej wersji dotyczyła „przyszłości Kościoła”. Kilkaset tysięcy pielgrzymów przybyłych do Fatimy 13 maja obchodziło uroczyste 50-tą rocznicę maryjnej konsekracji Portugalii. Zbieżność tych obchodów z zamachem na Placu Św. Piotra spowodowała, że kapłani opiekujący się świątynią w Fatimie oświadczyli: „Nasza Pani z Fatimy uratowała życie Papieżowi”. Przełożona klasztoru karmelitanek powiedziała, że zachodzi współzależność między objawieniami Matki Boskiej w Fatima a strzałami na Placu Św. Piotra. Siostra Łucja odmówiła wszelkich deklaracji.

23 maja w bazylice Santa Maria Maggiore odbyła się uroczysta liturgia mszy św. w obrządku bizantyjsko-słowiańskim dla uczczenia świętych Cyryla i Metodego, apostołów Słowian, proklamowanych przez Jana Pawła II współpatronami Europy razem ze św. Benedyktem. W tej samej bazylice 1100 lat temu była odprawiona przez tych świętych apostołów pierwsza msza w języku starosłowiańskim w obecności papieża Hadriana II. Mszę św. pod przewodnictwem kardynała W. Rubina, prefekta Kongregacji dla Kościołów Wschodnich, koncelebrowali Ukraińcy, abp Lubacziwskyj i bp Marusyn, bp Cristea, administrator apostolski dla rumuńskich unitów w Europie, oraz bp Tomko, sekretarz Synodu Biskupów. Asystowało w tej ekumenicznej koncelebrze kilkunastu kapłanów obu obrządków, bizantyjsko-słowiańskiego i łacińskiego, m.in. ks. Mudryj, rektor Papieskiego Kolegium Ukraińskiego, ks. Lacko, prof. Papieskiego Instytutu Wschodniego, bułgarski archimandryta Eldarov i Białorusin, Ojciec Tamuśanski z Radio Vaticana oraz rektorzy papieskich kolegiów: polskiego — ks. Michalik, czeskiego — ks. Vrana, słoweńskiego — ks. Jezernik, chorwackiego — ks. Peric. Śpiewały chóry Kolegium Ukraińskiego św. Jozafata i papieskiego Kolegium „Russicum”. Obecni byli kardynałowie Seper i Baum oraz liczni profesorowie i uczniowie kolegiów wschodnioeuropejskich obydwu obrządków.

18 kwietnia zmarł w wieku 88 lat w Louvain biskup Bolesław Sloskans „bohaterski administrator apostolski Mohylewa i Mińska” (wspomnienie pośmiertne w *L'Osservatore Romano* z 18 maja br.). Urodził się we wsi Stirniane na Łotwie jako syn *uradnika*, carskiego policjanta. Ukończył seminarium w Petersburgu. Święcenia kapłańskie otrzymał w 1917 roku z rąk bpa Cieplaka, sufragana Mohylewa. Sakrę biskupią otrzymał w Moskwie w 1926 roku z rąk jezuitę abpa D'Herbigny, wysłannika Piusa XI. Mianowany administratorem apostolskim Mohylewa i Mińska, po wydaleniu arcybiskupa Roppa i ekstradycji do Polski biskupa pomocniczego Cieplaka (przedtem uwięzionego i skazanego na śmierć), został już następnego roku

aresztowany pod zarzutem szpiegostwa. Po odmowie wyjazdu z ZSSR, deportowany, spędził lata w obozach pracy na Wyspach Sołowieckich. Po powrocie do Mohylewa w listopadzie 1930 roku został ponownie aresztowany i skazany na trzy lata zesłania na Syberię. Wrócił na Łotwę w styczniu 1933 roku, po wymianie ze szpiegiem sowieckim. W marcu tego samego roku przyjechał do Rzymu na wezwanie Piusa XI. Witał go m.in. abp D'Herbigny, niefortunny emisariusz papieski w Moskwie, mający za zadanie reaktywowanie hierarchii katolickiej na terenie ZSSR. Po powrocie do Rygi bp Sloskans oddał się pracy wychowawczej i apostołatowi wśród młodzieży. Uniknął szczęśliwie aresztowania przez NKWD w czasie drugiej wojny światowej, a w czasie okupacji hitlerowskiej został deportowany w 1944 roku do Niemiec. Po zakończeniu wojny przeniósł się do Belgii, gdzie działał wśród kapłanów i seminarzystów łotewskich i litewskich. Mianowany wizytatorem apostolskim Białorusinów obrządku łacińskiego odwiedzał często obozy uchodźców w Niemczech. Znał dobrze język polski. W uroczystościach pogrzebowych wzięli udział abp brukselski Daneels, nuncjusz apostolski Cardinale, kilku biskupów belgijskich i opat benedyktynów w Louvain. W depeszy Jan Paweł II przypomina „ciężkie doświadczenia doznane przez administratora apostolskiego Mohylewa i Mińska” i składa „głębokie wyrazy współczucia katolikom Białorusi i jego łotewskim rodakom”.



W Rzymie ukazał się drugi numer biuletynu *Informationes* Papieskiego Instytutu Studiów Kościelnych, zasłużonej placówki naukowej prowadzonej przez Ojców Jezuitów pod kierunkiem O. Hieronima Fokońskiego. Publikacja ta zawiera m.in. materiały odnoszące się do zasobów Biblioteki Watykańskiej i serii, w których Instytut prowadził poszukiwania, opracowanie źródeł polskich w związku z konklawe po śmierci papieża Klemensa XIV (1774) r., omówienie stosunków pomiędzy Papiestwem a Polską w XVI wieku oraz recenzję z książki historyków Uniwersytetu Gregoriańskiego pt. „Le Saint Siège et la situation religieuse en Pologne et dans les pays baltes 1939-1945”, jak również sprawozdanie z działalności Instytutu w latach 1976-1979.

D. M.

KRONIKA AMERYKAŃSKA

Nagrodę im. Jana Wajznera za rok 1980 Fundacja Kościuszkowska przyznała Władysławowi Bartoszewskiemu oraz śpiewacze Teresie Zylis-Gara, primadonnie Metropolitan Opera w Nowym Jorku. ■ 23. 5. br. odbył się XI Zjazd Delegatów Kół Stowarzyszenia Polskich Kombatantów w Westlake Hollyday. Zjazd wybrał nowe władze. Prezesem Zarządu Głównego został J. Krzyżanowski, wiceprezesami — B. Rodowicz, B. Wojewódka i W. Stepień. Sekretarzem Generalnym został W. Matykiewicz. W sprawozdaniu podano informacje o świadczeniach finansowych Stowarzyszenia, m.in. przyznano \$16.120 na pomoc inwalidom, \$6.465 na pomoc ruchom demokratycznym w Kraju, \$4.979 na Centrum Polskie w Rzymie, \$6.867 na polonijny bank leków, \$1.677 na prasę polonijną, \$2.015 na pomoc organizacjom młodzieżowym. ■ Polski Związek Akademików w Chicago zorganizował „Wieczór twórczości Miłosza”. ■ 16. 5. br. Towarzystwo Literacko-Dramatyczne w San Francisco zorganizowało odczyt prof. dr. Wiktora Sukiennickiego na temat stosunków polsko-rosyjskich na przestrzeni dziejów. ■ 29. 5. br. miał miejsce odczyt mec. Władysława Siła-Nowickiego

pt. „Znaczenie Solidarności dla Polski i dla świata”. ■ Została zawarta umowa o współpracy w zakresie nauczania w Polsce historii Żydów pomiędzy Uniwersytetem Warszawskim a *Union of American Hebrew Congregations*. Podpisanie umowy nastąpiło w Nowym Jorku — ze strony polskiej podpisał ją rektor Henryk Samsonowicz. ■ Na George Washington University w Waszyngtonie odbyła się konferencja na temat polskiego ruchu robotniczego, z udziałem m.in. Ernesta Lee, Stephena Procyka i Jana Nowaka. ■ Kongres Polonii Amerykańskiej zawiadamia, że do dnia 12 maja br. na konto Banku Leków dla Polski wpłynęło \$284.438. Ostatnio tempo zbiórki wyraźnie się zwolniło. ■ Stefan Korboński został odznaczony izraelskim Medalem Sprawiedliwych za pomoc udzielaną Żydom w czasie drugiej wojny światowej. Wręczenie tego medalu odbyło się w Ambasadzie Izraela w Waszyngtonie. ■ Delegacja „Solidarności” na zjazd Amerykańskiego Związku Metalowców, który odbył się w maju br. w Waszyngtonie, w składzie: Mieczysław Gil, Jacek Kurczewski i Zbigniew Przydział, została entuzjastycznie przyjęta przez innych delegatów. ■ W kwietniu br. w Nowym Jorku odbyło się dwudniowe sympozjum naukowe dla uczczenia 60-tych urodzin Andrieja Sacharowa. W sympozjum wzięło udział około dwustu uczonych, w tym czterech laureatów Nagrody Nobla. ■ W *New York Times* z 18 maja ukazało się, na zasadach płatnego ogłoszenia, zestawienie „Kampania przeciw Polsce trwa”: po jednej stronie zarzuty sowieckie, po drugiej fakty. Pod zestawieniem przeszło czterdzieści podpisów wybitnych amerykańskich uczonych, pisarzy, dyplomatów. Z Polaków zestawienie podpisali prof. Ehrenkreutz, prof. Feliks Gross, Alojzy Mazewski, Czesław Miłosz. ■ Londyński *Times* przedrukował z *New York Times* bałamutny i szkodliwy reportaż z Polski dziennikarza Harley Lippmana, pełen bredni i zmyśleń na temat „Solidarności”. W liście do dziennika londyńskiego zaprotestowała przeciw temu Anka Kowalska (*Times* otrzymał również podobne listy od Janusza Onyszkiewicza i T. E. Jarskiego). Walter Mattson, prezydent *New York Times*, przeprosił publicznie za mitomański wybryk Lippmana.

KRONIKA KANADYJSKA

Polski Fundusz Wydawniczy w Kanadzie urządził 31. 5. br. w Toronto spotkanie z Ewą Lipską, znaną poetką z Kraju. ■ W Toronto zmarł dr Stefan Szlapak, adwokat, obrońca Łebeda, organizatora zamachu na ministra Pierackiego. ■ W bież. roku odbędą się uroczystości w związku z 25-leciem erygowania Metropolii Ukraińskiego Kościoła Katolickiego w Winnipegu i 30-lecia sakry biskupiej bpa Maksyma. Uroczystości odbędą się 3 i 4 października br. z udziałem Kardynała Rubina oraz Kardynała Slipyja. ■ Akcja pomocy dla Polski prowadzona przez Kongres Polonii Kanadyjskiej przyniosła do maja br. około \$c. 250.000. Kongres uzyskał od władz kanadyjskich przywilej, na mocy którego dotacje dla komitetu zbiorowego podlegają zwolnieniu od podatków. ■ Istniejący przy Centrali Związków Zawodowych w Toronto *Polish Workers Solidarity Committee* zorganizował publiczne zebranie z udziałem Stanisława Barańczaka jako głównego referenta. Organizatorzy poinformowali zebranych, że został zaproponowany przedstawiciel „Solidarności” Region Mazowsze na trzytygodniową wizytę w Kanadzie. ■ W Winnipeg zostało otwarte Muzeum Wojskowo-Historyczne Ukraińskiej Wolnej Akademii w Kanadzie. Ekspozyty odnoszą się głównie do ostatniego okresu historycznego. ■ Na kanadyjskim *McMaster University* odbył się w maju pięciodniowy sympozjon, poświęcony ruchom robotniczym. Jedną z sesji poświęcono Polsce. Przewodniczył prof. Flakerski, referaty wygłosili profesorowie Kawecki, Barańczak (o „Solidarności”), Glaberman, Matejko i Tickin.

Listy do Redakcji

Rzym, 24 maja 1981.

Wielce Szanowny Panie Redaktorze!

Uprzejmie proszę zamieścić w Pańskim poczytnym miesięczniku sprostowanie mylnych informacji, jakie ukazały się w „Nocie” pt. „Dom Pielgrzyma w Rzymie” (*Kultura* nr 5, 1981 r.). Wielka szkoda, że Redakcja *Kultury* nie dała tej notatki swojemu Korespondentowi w Rzymie do sprawdzenia przed opublikowaniem jej. Uniknęłoby się niepotrzebnego i szkodliwego zamętu. Niniejszy list piszę tylko po to, aby sprostować fałszywe informacje, abstrahując od tonu „Noty”, który czyni z niej coś, co nie zasługuje na dyskusję.

Otóż w „Nocie” poruszono trzy problemy, w tym jeden zupełnie nie wiążący się z Polskim Instytutem Kultury Chrześcijańskiej ani z Domem Polskim w Rzymie (Autor „Noty” myli te dwie rzeczy!).

1) „Nota” oraz poprzednia wzmianka o Domu Polskim w Rzymie (por. numer marcowy *Kultury* z br.) sugerują, że Instytut już powstał. Nie jest to prawdą. Formalnie Instytut jeszcze nie został powołany do życia. W Domu Polskim obok pracy duszpasterskiej dla pielgrzymów zaczyna się powoli, w sposób naturalny krystalizować coś, z czego ma powstać Polski Instytut Kultury Chrześcijańskiej. Instytut ten rozpoczął niejako wykluczać się od urzędzania spotkań z odczytami. Pierwsze spotkanie miało miejsce pod koniec października, z okazji zakończenia Synodu Biskupów, a nie w lecie, jakby to wynikało z „Noty”. W ciągu ośmiu miesięcy odbyło się tych spotkań dziesięć. Ostatnie przed wakacjami, a jedenaste z kolei odbędzie się w czerwcu. W tym też Instytucie miało miejsce spotkanie przedstawicieli środowisk polskich oraz włoskich w Rzymie z Czesławem Miłoszem zaraz po otrzymaniu przez Niego Nagrody Nobla w grudniu zeszłego roku (szkoda, że obecny na nim Korespondent Pańskiego miesięcznika nie posłał Panu, Panie Redaktorze, notatki o tym wydarzeniu).

Na odczyty zapraszani są Polacy (zaczynają się interesować tą inicjatywą także i nie-Polacy!) bez żadnej różnicy na stan, płeć i wyznanie. Ze zrozumiałych względów natomiast nie zapraszamy na nie Polaków mieszkających poza Rzymem, np. w Neapolu, Florencji czy w Mediolanie. Co zaś dotyczy pani Prof. dr Karoliny Lanckorońskiej, wielka szkoda, że Redakcja nie poinformowała się u Niej samej, jak rzeczy wyglądają. Polacy przybywający z kraju mogą jak najbardziej korzystać z tych odczytów, jeżeli tylko chcą. Trudno jednak zapraszać ich imiennie ze względu na nieregularność i krótkość ich pobytu w Rzymie.

Kto wygłasza odczyty? Różni ludzie, duchowni i świeccy, z Polski oraz z Rzymu. Z Polski nie zaprasza się ich specjalnie dla wygłoszenia konferencji, korzysta się jedynie z ich pobytu w Rzymie z innych okazji. Ostatnie odczyty — majowy i czerwcowy — wygłosił ks. prof. dr Janusz Pasierb (ATK — Warszawa) oraz prof. dr Ewa Jabłońska-Deptułowa (KUL - Lublin). Spośród innych prelegentów, którzy wypełnili nasze „wieczory kasjańskie” — aby uzupełnić ich obraz, jaki daje „Nota” — wymienię siostrę dr E. Ehrlich, biblistkę przebywającą w Rzymie, ks. dra J. Michalika,

rektora Polskiego Kolegium w Rzymie, panią dr K. Czajkowską z Instytutu Badań Literackich, ks. A. Bonieckiego z „Osservatore Romano”. Żeby móc mówić odpowiedzialnie o wachlarzu prelegentów, trzeba jeszcze poczekać jakiś czas.

Polski Instytut Kultury Chrześcijańskiej nie będzie rzecz jasna ograniczał się do urzędzania odczytów; jest także za tym, żeby i inni je organizowali. Gotów jest udzielać w tym względzie pomocy. Zdanie o zasklepieniu się „w wąsko pojmowanej koncepcji kultury chrześcijańskiej” jest wysoce bałamutne i pozbawione podstaw. Z kontekstu wynika, że chodzi o zasklepienie działalności Instytutu do organizowania odczytów, co nie jest prawdą. Zdanie to także nie wyraża prawdy, jeżeli chodzi o tematy poruszane przez prelegentów. A przecież tak łatwo można się było o tym przekonać!

2) Problem Biblioteki. I znowu „Nota” wprowadza czytelników w błąd. Biblioteka Instytutu tworzy się i mamy już setki pozycji. Będzie to jednak Biblioteka o specjalnym profilu. Nie możemy pozwolić sobie na dublowanie tego, co inni już robią. Musimy też działać stosownie do określonych potrzeb i swoich możliwości. Na demagogiczne pytanie, czy „dyrektor Instytutu” boi się o reputację „tej placówki”, nie zamawiając w Paryżu m.in. dzieł Czesława Miłosza, odpowiadam: nie boi się.

3) Tu przechodzę do trzeciego problemu, nie związanego z rodzajem się Instytutem Kultury Chrześcijańskiej w Rzymie — do wydania „Wyboru poezji” Czesława Miłosza w języku włoskim przez „Prospettive nel mondo”. Do „Wyboru” tego napisałem wstęp. Zarzut, że można „instrumentalizować” Miłosza (według „Noty” ma to zrobić Włoska Demokracja Chrześcijańska), aby przez Niego wejść w łaski Papieża, jest bez sensu i świadczy o niewłaściwym traktowaniu poezji i zarazem osoby samego Papieża. Jest także coś niepokojącego w robieniu niemal intrygi politycznej z szaty graficznej tej książki (wizerunek Matki Boskiej Częstochowskiej). Jeżeli zaś chodzi o stronę prawną całego zagadnienia („Adelphi” — „Prospettive nel mondo”), nie jest moim obowiązkiem nią się zajmować. Dodam tylko nawiasem, że to właśnie Pański Korespondent w Rzymie, pan Dominik Morawski, którego nazwisko figuruje w „stopce”, wśród współpracowników miesięcznika „Prospettive nel mondo”, namawiając mnie telefonicznie do nie publikowania tego wstępu (czy Autor „Noty” ma na myśli ten telefon, kiedy pisze „ostrzegano go?”), uspokoił mnie, że od strony prawnej wszystko jest w porządku. Natomiast nie mogę się zgodzić z nikim, kto usiłuje mieć monopol na określone dziedziny kultury.

„Nota” kończy się zdaniem: „Wszystko to jest wysoce niesmaczne i niemoralne”. Co jest niesmaczne i co jest niemoralne?

Pozostając z wyrazami szczerzego poważania prosząc na przyszłość o rzetelniejsze sprawdzanie publikowanych informacji dla dobra *Kultury* oraz dla dobra kultury polskiej w ogóle.

Stanisław GRYGIEL

Nasza nota była oparta o listy czytelników i informacje redakcyjne. Dr Grygiel powołuje się kilkakrotnie na D. Morawskiego. Oddajemy głos w tej sprawie naszemu korespondentowi (*Red.*):

1. S. Grygiel jest chyba czytelnikiem *Kultury* dość świeżej daty. Inaczej bowiem zauważyłby, że w nr. 4 (kwiecień) z ub. roku omawiał obszernie sprawę Domu Polskiego w Rzymie jako placówki również kulturalnej, której „profil programowy wykrystalizuje się, zanim powstanie ko-

nieczna baza materialna dla realizacji tego projektu". Niezależnie od strony formalnej, Instytut faktycznie istnieje od 9 miesięcy, mieści się w Domu Polskim przy via Cassia, urządza odczyty i wydaje biuletyn *Wieczory Kasjańskie*. Odczyty te nie mają charakteru otwartego — zaproszenia są rozsyłane imiennie. Szereg osób z polskiego środowiska w Rzymie skarży się, że ich nie otrzymuje. Jakie kryteria stosuje S. Grygiel — nie wiadomo. Nie można ponadto z góry wykluczyć osób spoza Rzymu. Bywają tu przejazdem i chętnie przyjechałyby, zwłaszcza na specjalnie interesujące prelekcje. Na przykład tutejsza stacja naukowa PAN wysłała zaproszenia na odczyty również do osób mieszkających poza Rzymem. Brakiem wszelkiej ekskluzywności odznaczały się również odczyty organizowane w swoim czasie przez O. H. Fokcińskiego, dyr. Polskiego Instytutu Studiów Kościelnych. Na temat nowego Instytutu brak rzetelnej informacji, na którą zasługują na pewno — m.in. za pośrednictwem *Kultury* — ofiarodawcy w zbiorce na Dom Polski.

2. Tworzenie biblioteki Instytutu o określonym profilu nie zwalnia bynajmniej od *obowiązku* urzędnika biblioteki wydawnictw emigracyjnych i sali czasopism. Jak się okazuje, przy dobrej woli można to uczynić: w dn. 26 maja ks. K. Sokołowski, opiekun Domu, poinformował mnie z dumą: „czytelnia już działa”. Faktem jest natomiast, że p. Grygiel nie zwrócił się o przysłanie dzieł zbiorowych Miłosza i w ogóle wydawnictw Instytutu Literackiego jak i innych oficyn wydawniczych (wszystkie skwapliwie przysyłałyby za darmo, biorąc pod uwagę cel społeczny). Obawy, że powściągliwość S. Grygiela w tej sprawie nie jest rzeczą przypadkową potwierdził fakt następujący: pewien kapłan występujący tu w roli *sui generis* nadzorca, ale oficjalnie niezwiązany z kierownictwem Domu i Instytutu, powiedział mi nie tak dawno (przy świadku) z butą: „A co p. Giedroyc myśli sobie, że przysła też *Sołżenicyna*”. Nawet przed przełomem sierpniowym odzignywanie się od autorów *niebłagonadwożnych* byłoby, łagodnie mówiąc, niewłaściwe. Cóż dopiero teraz, kiedy *Sołżenicyna*, Herlinga i innych „trefnych” pisarzy wydaje NOW-a i znikła w prasie zmowa milczenia na temat ich egzystencji. Jeśli chodzi o Miłosza i innych polskich autorów, wydanych przez Instytut Literacki, trzeba „nadzorca” i p. Grygielowi przypomnieć, że kultura polska jest jedna i niepodzielna, obojętnie czy jej wytwory ukazują się w Paryżu czy w Warszawie (pod i poza zasięgiem cenzury).

3. Ostrzegając faktycznie p. Grygiela przed „wystrzałem z grubej rury”, jak pewien uczony kapłan, *nota bene* prelegent na jednym z „wieczorów kasjańskich” określił trafnie całą operację wydania przez włoskich chadeków tomiku poezji Miłosza. S. Grygiel przebywa we Włoszech od niespełna roku. Dużo być może jeszcze czasu upłynie, zanim rozpozna sprężyny poruszające „instrumentalizacyjne” działania chadeckie. Z rozsądnego punktu widzenia rzeczywiście świadczy to o „niewłaściwym traktowaniu poezji i osoby Papieża”. Pretensje jednak S. Grygiel powinien skierować do włoskich wydawców, a nie do tych, którzy mu doradzali, by nie angażował się w tę grubymi nićmi szytą „instrumentalizację”. Wizerunek Matki Boskiej na okładce: nie chodzi o doszukiwanie się „intrygi politycznej”, lecz po prostu o uderzający brak smaku. Strona prawna tej imprezy: nie uspakajałem S. Grygiela, powtórzyłem jedynie, że według wydawcy „jest w porządku”. Jak się potem okazało — skłamał. Wydawnictwo literatury pięknej „Adelphi” w rzeczy samej zostało zaskoczone tym kłusowniczym wybrkiem edytorskim. Fakt, że figuruję w „stopce” współpracowników pisma *Prospettive nel mondo*, tzn. wydawcy chadeckiego, nie ma nie do rzeczy. Mam prawo — i korzystam z niego — do swobodnego wyrażania poglądów, jeśli mi się coś nie podoba. Wydawca chadecki *nota bene* na moje przestrogi zareagował obcesowo, powołując się na telefon ks. St. Dziwisza, życzliwość Papieża i na S. Grygiela jako autora wstępu. Czyż to

nie jaskrawy dowód nadużywania autorytetu Papieża? S. Grygiel, wykładawca filozofii w seminarium krakowskim, działał na pewno w najlepszej wierze, ale bez znajomości rzeczy i z dużą dozą naiwności i dlatego „wpakował się w kabałę”. Niezależnie od tego, jego wstęp ma charakter kaznodziejski, a nie szkicu literackiego. Nie jest to tylko moje zdanie. Nikt nie usiłuje „mieć monopolu”. Chodzi natomiast o poczucie kompetencji, własnych limitów i... pokorę chrześcijańską.

Dominik MORAWSKI

6 czerwca 1981

Londyn, 3 marca 1981.

Szanowny Panie Redaktorze,

Profetyczna działalność, wspierająca się o zniekształcenie lub złe odczytane teksty dawnych pisarzy, jest odwieczną plagą ludzkości.

Gustaw Herling-Grudziński w nrze 4 *Kultury* z kwietnia br. dowodzi jakoby „pewne koła liberalnej inteligencji” miały zwyczaj powoływania się na „słynną 'złotą myśl' Samuela Johnsona”, która w cytowanej przez Grudzińskiego wersji brzmi: „Jeśli nadużycie przybierze ogromne rozmiary, sama natura powstanie zbuntowana i domagając się swych pierwotnych praw, powali zgnity system polityczny”.

Prorocy często powołują się na siebie: w *Tygodniu Polskim* 2 maja br. Józef Łobodowski, w artykule pt. „Co nas oczekuje jutro”, powtarza tenże sam domniemany cytat z Johnsona.

Chciałabym dlatego przypomnieć obydwu panom, iż Samuel Johnson był racjonalistycznym pisarzem osiemnastowiecznym i nigdy by mu nie przyszło do głowy przypisywać „naturze” jakiegoś ludzkiego emocje lub cele. Domniemana „złota myśl”, z której sztydzą obaj, jest całkowitym przekręceniem poglądu Johnsona, który w rzeczywistości brzmi tak:

„When I say that all governments are alike, I consider that in no government power can be abused long. Mankind will not bear it. If a sovereign oppresses his people to a great degree, they will rise and cut off his head. There is a remedy in human nature against tyranny, that will keep us safe under every form of government”.

Nic tutaj nie ma o przyrodzie, która ma powstać zbuntowana: chodzi tu tylko o naturę ludzką.

Można oczywiście twierdzić, że nawet takie sformułowanie brzmi dzisiaj zbyt optymistycznie, nie ma jednak żadnych podstaw, by przypisywać Johnsonowi czysto romantyczny optymizm tylko dlatego, że jakiś niezbyt uczciwy tłumacz niedbałe streścił jego myśl.

Łączę wyrazy poważania,

Maria NIEMOJOWSKA

Ten list wydaje mi się, szczerze mówiąc, dość dziwny. Po pierwsze, nie wiem dlaczego jego autorka nazywa mnie i Łobodowskiego „prorokami”. Po drugie, nie wiem dlaczego twierdzi że „sztydzą” z myśli Johnsona. Po trzecie, nie wiem dlaczego kategorycznie zapewnia, że taka myśl nie istnieje, bo istnieć nie może, skoro Simon Leys przytacza ją w swojej książce *Chinese Shadows* („If the abuse be enormous, nature will rise up and, claiming her original rights, overturn a corrupt political system”) i nazywa „Dr. Johnson's

famous adage". Jeżeli więc autorka koniecznie już chce sobie urządzić przyjemność skakania do oczu, powinna się zwrócić bezpośrednio do niego. Wykłada on zdaje się (pod prawdziwym nazwiskiem Pierre Ryckmans) na jednym z uniwersytetów belgijskich, ale myślę że można do niego także pisać na adres wydawcy angielskiego (Penguin Books Ltd.).

G. H.-C.

Bogota, N.J., 9 czerwca 1981.

Szanowny Panie Redaktorze,

W grudniowym numerze *Kultury* (12/399) do działu Wydarzenia Miesiąca 5. 11. 80 zakradły się pewne nieścisłości, które chciałabym sprostować. Nagroda literacka im. Janusza Korczaka została zaproponowana jako żywy pomnik dla uczczenia wielkiego, szlachetnego Polaka-Żyda, uosobienie najlepszych walorów ludzkich, syna dwóch kultur i jako podkreślenie dialogu i wysiłków porozumienia między grupami polsko-amerykańską i żydowsko-amerykańską. Myśl ta, nurtująca wielu z nas, została wprowadzona w czyn przez szereg polskich intelektualistów w Washington, D.C., po zbliżeniu się do przedstawicieli Żydów amerykańskich została też aprobowana przez naszego Papieża, Jana Pawła II, który udzielił obu grupom audiencji i błogosławieństwa dla tego wysiłku budowania pomostu do wzajemnego zrozumienia i szacunku. The Anti-Defamation League of Bnai Brith w Nowym Jorku była gospodarzem bankietu i współorganizatorem tej pracy.

Nagroda im. Janusza Korczaka jest podwójna: jedna, to książka dla dzieci, a druga, to książka o dzieciach dla rodziców czy wychowawców czy też pedagogów. Niekoniecznie mają one być o martyrologii dzieci żydowskich w czasie drugiej wojny światowej. Większość książek (około 80 było przedstawionych do jury) nie dotyczyła tego tematu. Obie pierwsze nagrody też nie miały tego tła. *Black as I am* przez Luidzi Mandela opisywała trudne życie dziecka murzyńskiego w Południowej Afryce. Sama Luidzi — o ile pamiętam 14-letnia dziewczynka — nie otrzymała pozwolenia wyjazdu od władz swego kraju. Druga pierwsza nagroda — *Will to live*, pióra Hugh'a Franka, opisywała zmagania młodego chłopca (syna autora) z przeszkodami fizycznymi i zdrowotnymi, aby osiągnąć życie pełne godności i sukcesów, przy bardzo nierównych szansach wygrania.

Pozostaję z szacunkiem,

Maria RASIEJ

Dokumenty

Z NOWEJ KSIĘGI ZAPISÓW GUKPPiW W WARSZAWIE wg STANU OBOWIĄZUJĄCEGO OD KOŃCA STYCZNIA 1981

DZIAŁ XIII (STARA NUMERACJA; PRZESTAŁ ISTNIEĆ DZIAŁ XII)

1) Zapis niniejszy ma na celu zapobieżenie popularyzacji przedstawicieli emigracji politycznej, prowadzących po wojnie działalność sprzeczną z interesami PRL. Intencją zapisu jest, aby dorobek naukowy, pisarski, jak i działalność tych osób były przedstawiane w sposób obiektywny, aby uniknąć sytuacji, w której nadawano by nieuzasadnione znaczenie dorobkowi pisarskiemu lub naukowemu i w ten sposób podnoszono rangę osoby działającej na niekorzyść PRL.

W zapisie przyjęta została generalna zasada stosowania innych kryteriów w publikacjach naukowych (tj. w wydawnictwach i czasopismach PAN, instytucjach naukowych, wyższych uczelni, PWN i wydawnictw specjalizujących się w danej dziedzinie wiedzy) a innych w środkach masowego przekazu. Przyjęta została zasada, że każdy tekst — niezależnie od litery zapisu — musi być kontrolowany także od strony zgodności z normalnymi kryteriami cenzorskimi, zaś sprawy wykraczające poza te kryteria lub niezwyfikowane zapisem — zastrzeżone są do decyzji kierownictwa GUKPPiW.

a) W naukowych pracach historycznych i pamiętnikach można zwolnić — przy zastosowaniu normalnych kryteriów cenzorskich — nazwiska, cytaty, powoływanie się na twórczość wymienionych niżej polskich historyków i publicystów emigracyjnych, którzy swą działalność naukową lub publicystyczną rozpoczęli w okresie międzywojennym. Nie należy jednak zwalniać żadnych pozytywnych ocen wartości prac tych osób, lecz ograniczać się do zrelacjonowania samego poglądu lub przytoczenia cytaty. Krytyczne opinie o tych pracach mogą być zwalniane bez przeszkód.

Jeśli z przytoczonego tekstu wynika, że cytowane (omawiane) prace ukazały się w „Aneksie” lub paryskiej „Kulturze”, należy sprawę sygnalizować kierownictwu GUKPPiW.

W stosunku do tych naukowców i publicystów, którzy oprócz twórczości naukowej zajmowali się w okresie międzywojennym i w czasie wojny działalnością polityczną, należy przyjąć zasadę zwalniania wzmianek o nich a także krótkich omówień ich działalności. Obszerniejsze omówienia ich działalności politycznej mogą być zwalniane pod warunkiem, że z materiałów będzie wynikać, że prezentowali oni pravicę społeczną, lub — jak w wypadku działaczy socjalistycznych i ludowych — pravicową orientację w swych partiach.

Materiały w całości poświęcone tym osobom należy sygnalizować kierownictwu GUKPPiW.

Wszelkie wzmianki o tych osobach w prasie społeczno-kulturalnej należy sygnalizować kierownictwu GUKPPiW.

Z pozostałych środków masowego przekazu należy eliminować te nazwiska. Zapis dotyczy:

Zygmunta Berezowskiego, Tadeusza Bieleckiego, Adama Ciołkosza, Józefa Garlińskiego, Jędrzeja Giertycha, Oskara Haleckiego, Wacława Jędrzejewicza, Kamila Kantaka, Tytusa Komarnickiego, Stanisława Kota, Mariana Kukiela, Władysława Pobóg-Malinowskiego, Karola Popiela, Adama Pragiera, Zbigniewa Stypułkowskiego, Wojciecha Wasutyńskiego, Pawła Zaremby, Zygmunta Zarembę.

b) W pracach naukowych mogą być zwalniane nazwiska niżej wymienionych osób informujące o ich pracach i cytaty z utworów, jeśli prace te ukazały się w Polsce. Nie należy jednak zwalniać żadnych pozytywnych ocen ani tych osób ani ich twórczości. Z pozostałych środków masowego przekazu należy nazwiska te eliminować. Nie podlega ograniczeniu — przy zachowaniu normalnych kryteriów — krytyka utworów i działalności tych osób w Polsce i po wyjeździe z kraju również w środkach masowego przekazu.

Zapisać tym objęci są:

Bronisław Baczo, Zygmunt Bauman, Seweryn Bialer, Włodzimierz Brus, Andrzej Brycht, Zbigniew Byrski, Edward Edler, George Fleming (Jerzy Działak), Aleksander Ford, Piotr Guze, Łukasz Hirszczyk, Maria Hirszczyk, Witold Jedlicki, Nina Karsow, Roman Karst, Juliusz Katz-Suchy, Leszek Kołakowski, Jan Kott, Maria Kurecka, Karol Lapter, Józef Lewandowski, Alicja Lisiecka, Włodzimierz Odojewski, Aleksander Peczenik, Krzysztof Pomian, Stefan Ritterman, Kalman Segal, Dawid Sfar, Szymon Szechter, Leopold Tyrmand, Andrzej Wirth, Stanisław Wygodzki, Eugeniusz Żyto-mirski, Krystyna Żygulska.

c) Anulowany 10. X. 1980 (punkt dotyczył specjalnie Miłosza).

d) W prasie literackiej i książkach można zwalniać — przy zachowaniu normalnych kryteriów — omówienia przedwojennej twórczości niżej wymienionych (nieżyjących) pisarzy, poetów i redaktorów:

Jana Bielatowicza, Ferdynanda Goetla, Mieczysława Grydzewskiego, Herminii Naglerowej, Stefani Zahorskiej.

W opracowaniach historyczno-literackich i krytyczno-literackich dotyczących całokształtu twórczości oraz utworów powstałych w czasie wojny i po jej zakończeniu należy przestrzegać zasady, by w tekście (przypisie, przedmowie czy posłowniu) znalazła się uwaga o politycznej postawie zajmowanej przez daną osobę w przeszłości. W opracowaniach tych należy także unikać pochlebnych ocen walorów artystycznych i treściowych wojennej i powojennej twórczości tych osób. Utwory własne tych osób należy sygnalizować kierownictwu GUKPPiW. Z pozostałych środków masowego przekazu należy te nazwiska eliminować.

Uwaga: W rozumieniu niniejszego zapisu jako pracę literacką należy traktować następujące pisma: „Poezja”, „Twórczość”, „Dialog”, „Miesięcznik Literacki”, „Nowy Wyraz”, „Teksty”, „Literatura”, „Kultura”, „Życie Literackie”, „Tygodnik Kulturalny”, „Kamena”, „Odra”, „Nurt”.

e) Przy zachowaniu normalnych kryteriów można zwalniać w prasie literackiej i książkach utwory własne niżej wymienionych pisarzy nieżyjących:

Mariana Hemara, Zygmunta Nowakowskiego, Aleksandra Wata, Józefa Wittlina, Stanisława Vincenza.

W opracowaniach historyczno-literackich i krytyczno-literackich dotyczących ich twórczości w czasie wojny i po jej zakończeniu należy przestrzegać zasady, by w tekście (przypisie, przedmowie czy posłowniu) znalazła się charakterystyka polityczna postawy zajmowanej przez daną osobę w przeszłości. W opracowaniach tych należy także unikać pochlebnych ocen walorów artystycznych i treściowych wojennej i powojennej twórczości tych osób. Z pozostałych środków masowego przekazu należy te nazwiska eliminować.

Uwaga: (tak samo jak w punkcie d).

f) W pracach naukowych można zwalniać nazwiska niżej wymienionych osób, informacje bibliograficzne oraz krótkie wzmianki na ich temat — tam — gdzie jest to niezbędne ze względu na charakter pracy. Nie należy jednak zwalniać żadnych pozytywnych ocen ani tych osób, ani ich twórczości (krytyczne mogą być zwalniane według normalnych kryteriów).

Jeśli w pracy zawarte jest szersze omówienie życia i twórczości danej osoby (gdą poświęcono jej obszerniejszy fragment) musi się w tekście (przypisie, wstępie, posłowniu) znaleźć krótka charakterystyka jej politycznej postawy zajmowanej (w przeszłości i dzisiaj) w stosunku do socjalizmu i PRL. Rozdziały prac i całe prace poświęcone tym osobom należy sygnalizować kierownictwu GUKPPiW.

Z pozostałych środków masowego przekazu należy te nazwiska eliminować:

Franciszek Białas, Aleksander Bregman, Wiktor Budzyński, Tadeusz Chciuk (Marek Celt), Jerzy Drobniak (Andrzej Tomicki), Jerzy Giedroyc, Kazimierz Glabisz, Zbigniew Grabowiecki, Feliks Gross, Bronisław Hełczyński, Gustaw Herling-Grudziński, Zofia Hertz, Wacław Iwaniuk, Zygmunt Jabłoński, Konstanty Jeleński, Zbigniew Jordan, Ryszard Kiersnowski, Tadeusz Kirschke, Aleksander Korab, Stefania Kossowska, Stanisław Marek Kotowicz, Zofia Kozarynowa, Władysław Kozłowski, Jan Krok-Paszkowski, Leo Lipski, Leopold Łabędź, Józef Łobodowski, Józef Mackiewicz, Jan Markowski, Jadwiga Maurer, Juliusz Mieroszewski, Kajetan Morawski, Marian Muszkat, Antoni Niezbrzycki, Jan Nowak (Jeziorski), Tadeusz Nowakowski, Kazimierz Okulicz, Stanisław Podgórski, Andrzej Pomian, Kazimierz Romanowicz, Zofia Romanowicz, Konrad Sienkiewicz, Piotr Sławiński, Tomasz Staliński, Mariusz Sopicki, Stanisław Strzetelski, Władysław Studnicki-Gizbert, Aleksandra Stypułkowska (Jadwiga Mieczkowska), Andrzej Stypułkowski, Wiktor Sukiennicki, Włodzimierz Szarnbachowski, Jerzy Szyszko-Bohusz, Stanisław Śmiałowski, Wiktor Trościanko, Jan Tyszkiewicz, Wacław Zbyszewski, Tadeusz Żenczykowski.

g) Wymogi punktu f) należy stosować także do niżej wymienionych osób, jednakże w ich przypadku można zrezygnować z obowiązku zamieszczania politycznej charakterystyki osoby, jeśli zwalniany materiał dotyczy wyłącznie twórczości przedwojennej. Zapis dotyczy:

Józefa Czapskiego, Maria Czapskiej, Wacława Grubińskiego, Aleksandra Hertza, Jerzego Stempowskiego (Pawła Hostowca), Tymona Terleckiego, Karola Zbyszewskiego.

21. 05. 1980 r.

2) Aż do odwołania nie należy dopuszczać żadnych materiałów o aktorce Annie Prucnal (reklamujących osobę aktorki bądź prezentujących jej osiągnięcia artystyczne za granicą).

3) Nie należy zwalniać żadnych materiałów dotyczących polskiego szablisty Jerzego Pawłowskiego.

4) Nie należy zwalniać żadnych nazwisk, informacji, klepsydr, wspomnień itp. materiałów upamiętniających zmarłego tragicznie w Krakowie Stanisława Pyjasa, studenta V roku Wydziału Filologicznego UJ.

(Zapis jest przeznaczony tylko do wiadomości cenzorów). 1. 06. 1977 r.

5) Należy sygnalizować kierownictwu GUKPPiW materiały autorstwa niżej wymienionych osób bądź informacje na ich temat: 1. Jacek Kuroń, 2. Kisielewski Stefan, 3. Kielanowski Jan, 4. Michnik Adam, 5. Moczulski Leszek, 6. Toruńczyk Barbara.

Dyrektywa jest przeznaczona tylko do wiadomości cenzorów.

6. Z materiałów omawiających twórczość Cz. Miłosza i T. Konwickiego należy eliminować:

- postulaty wydania książek: „Umysł zniewolony” Miłosza oraz „Mała Apokalipsa” i „Kompleks Polski” Konwickiego,
- pozytywne oceny tych książek.

Można natomiast zwalniać tytuły tych książek, jeżeli wymieniane są tylko informacyjnie („wyliczanka”) lub w krytycznym (ujemnym) kontekście.

Dyrektywa jest przeznaczona tylko do wiadomości cenzorów.

Dyrektwy doraźne dz. XI.

3. Uwzględniając fakt, iż w obecnej działalności Rady Rewolucyjnej i Chomeiniego dominują akcenty antyimperialistyczne i antyamerykańskie, przy kontroli materiałów dotyczących aktualnej sytuacji w Iranie należy zwracać uwagę, aby publikacje te nie zawierały:

— argumentacji proamerykańskiej oraz określeń w rodzaju — „grupy fanatycznych muzułmanów domagają się wymordowania zakładników”, „muzułmanie uprowadzają zakładników amerykańskich” — negatywnych ocen i stwierdzeń itp. o rewolucji irańskiej (np. „władzę sprawuje konserwatywna ekipa duchowieństwa szyickiego”).

4. Materiały dotyczące Afganistanu, jego sytuacji wewnętrznej i zewnętrznej, mogą być zwalniane według normalnych kryteriów cenzorskich. Konsultacji z kierownictwem Urzędu wymagają własne komentarze i wzmianki dotyczące pomocy militarnej dla ludowo-demokratycznej władzy. Nie dotyczy materiałów PAP.

Dyrektywa tylko do wiadomości cenzorów.

12. Wszystkie publikacje dot. zarzutów naruszenia prawa lub osiągnięcia korzyści osobistych przez osoby z kadry partyjnej i państwowej muszą być konsultowane w:

- prasie centralnej — z Wydziałem Prasy KC PZPR,
- prasie terenowej — z KW PZPR.

W związku z tym, o każdym zgłoszeniu do kontroli takich publikacji przez redakcje pism centralnych oraz centralnych programów radia i telewizji należy bezzwłocznie informować kierownictwo Urzędu. Odnosnie materiałów zgłoszonych do regionalnych pism i programów radiowych i TV należy postępować analogicznie, informując odpowiedni KW PZPR.

Dyrektywa tylko do wiadomości cenzorów.

13. Informacje o powstaniu Stowarzyszenia „Patronat” i in. form organizacyjnych mających na celu obronę więźniów należy konsultować z kierownictwem Urzędu.

15. W materiałach fot. filmów, które są obecnie ponownie przeglądane należy kwestionować postulaty szybkiego wprowadzenia ich na ekrany oraz omówienia treści tych filmów.

16. Należy eliminować wzmianki o całkowitym wstrzymaniu eksportu węgla do ZSRR, o czym poinformował dziennikarzy rzecznik prasowy Rządu na konferencji w dniu 5. XII. br. (1980).

17. Do odwołania należy wstrzymać publikowanie tekstu założeń ustawy o związkach zawodowych, omówień tych założeń i komentarzy na ich temat. (Założeń nie rozpatrzyła jeszcze Rada Państwa).

(Punkty 18, 22, 23, 24 — przekazałem poprzednio).
(Punkty 1, 2, 5-11, 14, 19-21 anulowane).

Stan na 28. I. 1981

D. 1

25. Informacja o próbie samospalenia w Warszawie w dniu 13 stycznia br. jest przeznaczona wyłącznie dla „Życia Warszawy” i „Ekspresu Wieczornego”.

26. Z Chrześcijańskiego Stowarzyszenia Społecznego (ChSS) wykluczono 5. bm. trzech dziennikarzy: J. K. Orgelbranda, S. Gramszczuka, W. Tkaczuka. Nie należy dopuszczać do publikacji oświadczeń lub protestów tych osób.

Tylko do wiadomości cenzorów.

(koniec).

(Stan na 28. I. 1981)

Nie należy dopuszczać do popularyzowania oświadczeń w sprawie rządowego projektu wolnych sobót wydanych (przed 20. I. br.) przez Komisję Porozumiewawczą Branżowych Związków Zawodowych, Tymczasowy Komitet Współpracy Autonomicznych Związków Zawodowych oraz Komisję porozumiewawczą NSZZ „Solidarność” i odrzucających rządowy projekt skracania czasu pracy. Krytyczne naświetlenia tych stanowisk są dopuszczalne. Nowe, odbiegające od tych stanowisk oświadczenia związków zawodowych w tej sprawie należy sygnalizować Kierownictwu.

(Nowa wersja dyrektywy nr 23 dz XI).

13. I. 1981

Adamiak

Do odwołania należy wstrzymać informację o rejestracji Związku Żołnierzy Rezerwy PRL (decyzja Sądu Wojewódzkiego zostanie poddana rewizji).

(Tylko do wiadomości cenzorów).

(Dyrektywa doraźna nr 24 dział XX — 13. I. 1981 — poufne)
podpisał wiceprezes Edward Adamiak

Należy kwestionować: — informacje dotyczące powstawania, organizowania i działania NSZZ „Solidarność” Wiejska” bądź innych form organizowania związków zawodowych indywidualnych rolników (producentów rolnych);

— wszelkie inne materiały (wzmianki, komentarze) pozytywnie oceniające tworzenie nowych związków zawodowych rolników.

Dyrektywa nie dotyczy materiałów i wzmianek krytycznych. Dyrektywa nie dotyczy także działających w ramach samorządu wiejskiego reaktywowanych zrzeszeń producentów (np. Inu), hodowców (np. trzody chlewnej) lub plantatorów (np. tytoniu) i związków (pszczelarzy).

Tylko do wiadomości cenzorów (nowa wersja dyrektywy nr 18 dz XI).

12. I. 1981 — podpisał Adamiak

Michał Zieliński, Vantaa, Suomi (Finlandia) — sumę zebraną 17 maja na zebraniu Zjednoczenia Polskiego w Helsinkach	F. 305,55
Adela i Władysław Żeleński, Paryż — zamiast kwiatów na grób Szymona Konarskiego	F. 100,00

WPLATY NA KSS „KOR”

Eugenia i Emil Adlerowie, Getynga (RFN) — zamiast kwiatów na grób Stefana Streleyna — DM 100,00	F. 234,00
Bezimiennie z Grenobli	F. 100,00
Kazimierz Grabowski, Düsseldorf (RFN)	F. 251,36

WPLATY NA NOW-ą

A. T. (USA) — \$ 30,00	F. 165,00
Andrzej J. Chilecki, Kolonia (RFN) — DM 100,00	F. 234,00

WPLATY NA POMOC DLA WIĘZNIÓW POLITYCZNYCH

T. Brzostek (Paryż) i Stankiewicz (Nancy) — zebrane wśród rodaków na proces przywódców KPN	F. 420,00
Władysław Czerucki, Lailly-en-Val (Francja) — zamiast kwiatów na mogiłę Prymasa — na Fundusz Pomocy więźniom politycznym w Polsce	F. 200,00
K.L., Lidinö (Szwecja) — na obronę więźniów politycznych w Polsce — Kr.S. 500,00	F. 550,00
L.T. i koledzy z Monachium — pieniądze ze sprzedaży znaczków „Solidarności” na Komitet Obrony Więzionych za przekonania	F. 214,00
Witold Osiński, Malmö (Szwecja) — sumę zebraną pod kościołem w Malmö na Komitet Obrony Więźniów w Polsce — Kr.S. 100,00	F. 110,00
Witold Osiński, Malmö (Szwecja) — na „Solidarność Wiejską”	F. 100,00

SPROSTOWANIA

W numerze majowym *Kultury* we wpłatach na NSZZ „Solidarność” zniekształcone zostało nazwisko p. Jana Jaworowskiego z Bloomington, Ind. (USA), który nadesłał \$ 100,00. (Wydrukowano Jan Jaworski — za co przepraszamy).

Dziękujemy p. J.H., Missouri (USA) za zwrócenie nam uwagi, że jego dar na NOW-ą w wysokości \$ 250,00 (F. 1.250,00) przez omyłkę odnotowaliśmy 2 razy (w kwietniu i w maju) — podczas gdy dar otrzymaliśmy tylko raz — co niniejszym prostujemy.

REDAKCJA

Włoski korespondent „Kultury”: Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI
Napoli, via Crispi 69. — Telefon: 66 57 28.

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE

91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le Roi, 78600 Maisons-Laffitte.

Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.

Commission Paritaire N° 60789.

Dépôt légal: 3^e trim. 1981.



PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz. poj.	Prenumerata	
		1/2-roczna	roczna
AFRYKA POLUDNIOWA: Dr F. Kaluza, 214 Giovanetti Str., New Muckleneuk, Pretoria, 0002		F. 115,00	F. 210,00
ARGENTYNA: « Liberia Polaca », Serrano 2076, Buenos Aires, Suc 25	F. 20,00	F. 115,00	F. 210,00
AUSTRALIA: Polish Book Depot VISTULA, Daking House, Rawson Place, Sydney NSW, 2000, Tel. 212-2013	\$A. 4,50	\$A. 26,00	\$A. 48,00
AUSTRIA: Henryk Odlanicki-Poczobut, Wien I, Schönlaterngasse Nr 5/2, Stiege/Türe 14, Tel. 52-40-762	F. 20,00	F. 115,00	F. 210,00
BELGIA: Janina Korab Brzozowska-Csaky, 19, Amédée Lynen, app. 57, 1030 Bruxelles, Nr konta pocztow. 7315-20. Tel. 218-69-23	F.B. 190,00	F.B. 1100,00	F.B. 2000,00
BRAZYLIA: prosimy o przesyłanie czeków do administracji « Kultury »	\$ US 5,00	\$ US 28,00	\$ US 52,00
DANIA: O. T. Zalewski, Postboks 41, 2880 Bagsvaerd ..	F. 20,00	F. 115,00	F. 210,00
FRANCJA: do nabycia w redakcji « Kultury » i w księgarniach polskich w Paryżu	F. 20,00	F. 115,00	F. 210,00
HOLANDIA: Mrs J. Minkiewicz, Wielingenlaan 6, Vlissingen, Tel. (01 184) 14073, Postgiro 1379176	Fl h 10,50	Fl h 60,00	Fl h 110,00
KANADA: Krystyna Krakowska, 770 Cr. Picard, Ville Brossard, P.O. J4W 1S5. Tel. (514) 465-2362; B. Krasuski, 8 High Park Blvd., Toronto, Ont. M6R 1M4; Very rev. Donald Malinowski, 23 Coralberry Ave., Winnipeg, Man. R2V 2P2, Tel. 339-5577; Z. Micherdzinski, 285-287 Ottawa St.N., Hamilton, Ont. L8H 3Z8. Tel. 545-2115; J. Korwin-Lopuszczański, 90 Hiliard Avenue, Ottawa K2E 6C2; « Polish Voice Publishing » Co., 1089 Queen St. W. Toronto 145 Ont., Polish Alliance Presse, Ltd. (« Zwiastowiec », 1636 Bloor St. W., Toronto, Ont., M6P 1A7	\$ Can. 6,00	\$ Can. 35,00	\$ Can. 60,00
NIEMCY: St Mikiciuk, 8 München 45, Gablonzerstr 7/1.	DM 10,00	DM 60,00	DM 100,00
NORWEGIA: Br. Lubinski, Klommenstengt 8, Moss ..	F. 20,00	F. 115,00	F. 210,00
SZWAJCARIA: Maria Wasung, 6, rue des Lilas, C.P. 74, 1211 Genève 7. Tel. 44-32-51, Nr konta pocztow. 12.14431 ..	F.S. 10,00	F.S. 60,00	F.S. 100,00
SZWECJA: Norbert Zaba, Kalskärsgratan 3/IV, 115 33 Stockholm, Tel. (08) 60-15-70, Postgirokonto Nr 48 82 34-6.	K.S. 20,00	K.S. 115,00	K.S. 210,00
U.S.A.: S. Dobczynski, Alma Shipping Co., 121 St. Marks Pl., New York, N.Y. 10009, Tel. 475-8886. Ada Dziwanowska, 3352 No Hackett Avenue, Milwaukee, Wis. 53211; T. Konopacki, 27437 Detroit Rd., Cleveland, Ohio, 44145, Tel. 871-48-47; Irena Kretowicz, 4254 - 34-th St., San Diego, Cal. 92104, Tel. 284-6271; Krystyna Leser, 1725 - 17-th St., N.W., Washington D.C. 20009; M. Kosciuch, 12331 French Rd., Detroit Mich. 48234; F. Orzechowski, Book, 2036 Chestnut St., Philadelphia, Pa. 19103. POLONIA Bookstore, 2886 Milwaukee Ave., Chicago, Il. 60618, Tel. (312) 489-2554; E. I. Suszynski, 4923 Merrill St., Torrance, Cal. 90503. Tel. (213) 540-2398; Jan Wojcik, 674, Farmington Ave., New Britain, Conn. 06053; Księgarnia Ludowa, Peoples Book Store, 5347 Chene St., Detroit, Mich. 48211; Szwede Slavic Books, 2233 El Camino Real, Palo Alto, Cal., 94306, Tel. (415) 327-5590 & 851-0748.	\$ US 5,00	\$ US 28,00	\$ US 52,00
WIELKA BRYTANIA: Orbis Books (London) Ltd., 66 Kenway Rd., London, S.W.5. ORD. Tel. (01) 370 2210	F. 20,00	F. 115,00	F. 210,00
WŁOCHY: Witold Zahorski, Roma, via Gallia 60 int. 27., Tel. 75-67-241	F. 20,00	F. 115,00	F. 210,00

W krajach niewymienionych prenumerata roczna — F.210; półroczna — F.115.
Przesyłka pojedynczego numeru — F.2,20.

Należności wysyłane pocztą prosimy przekazywać na nasze konto pocztowe:
INSTITUT LITTERAIRE, 91 avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi,
par 78600 MAISONS-LAFFITTE — C.C.P. PARIS 18-228-56 (z Francji)
lub C.C.P. PARIS 18-228-38 (z zagranicy).

Nowości wydawnicze

BIBLIOTEKA « KULTURY »

**TOM 336 i 339 — CZESŁAW MIŁOSZ
DZIEŁA ZBIOROWE**

POEZJE

Tom I-szy

Str. 292.

Cena F. 75,00.

Tom II-gi

Str. 240.

Cena F. 70,00.



TOM 337 — STANISŁAW BARAŃCZAK

TRYPTYK Z BETONU, ZMĘCZENIA I ŚNIEGU

Nowy tom wierszy

Str. 68.

Cena F. 25,00.



TOM 338 — ZESZYTY HISTORYCZNE

ZESZYT PIĘDZIESIĄTY SZÓSTY

Zawiera m.in. opracowania: J. Rakowskiego — *Zetowcy i piłsudczycy* (dok.); P. Wandycza — *Historia Polski od roku 1863*; Gen. M. Tokarzewskiego-Karaszewicza — *U podstaw tworzenia Armii Krajowej*; M. Trojanowskiej — *Nieudana wyprawa kurierska*; RECENZJE, OKRUCHY HISTORII.

Str. 240.

Cena F. 45,00.



TOM 340 — MACIEJ BROŃSKI

TEKSTY I PRETEKSTY

Zbiór esejów
z dziedziny literatury i kultury.

Str. 272.

Cena F. 75,00.